

AGNIESZKA
PIETRZYK

OSTATNIE
SŁOWO



Kapitalny thriller psychologiczny z motywem książki
w książce. Koniecznie go przeczytajcie! — **MAGDALENA MAJCHER**

**OSTATNIE
SŁOWO**

AGNIESZKA PIETRZYK

OSTATNIE SŁOWO



Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2024

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2024

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Lidia Kozłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Mariusz Banachowicz

Fotografia autorki: © Monika Juraszek

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie książki w internecie. ;-)

eISBN 978-83-67974-86-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

CZEŚĆ CZWARTA. Czarna wołga wraca

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

CZEŚĆ SZÓSTA. Czarna wołga wraca

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

CZEŚĆ SIÓDMA

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

CZEŚĆ ÓSMA. Czarna wołga wraca

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

Rozdział XV

Rozdział XVI

CZEŚĆ DZIESIĄTA. Czarna wołga wraca

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

CZEŚĆ JEDENASTA

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

CZEŚĆ DWUNASTA. Czarna wołga wraca

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

CZEŚĆ TRZYNASTA

Rozdział XX

Rozdział XXI

CZEŚĆ CZTERNASTA. Czarna wołga wraca

Rozdział 33

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[CZEŚĆ PIĘTNASTA](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[CZEŚĆ SZESNASTA. Czarna wołga wraca](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[CZEŚĆ SIEDEMNASTA](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[CZEŚĆ OSIEMNASTA. Czarna wołga wraca](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

CZEŚĆ DZIEWIĘTNASTA

Rozdział XXVIII

Marzenie. Jesteś najlepszą siostrą na świecie.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

WILLIAM OBEJRZAŁ SIĘ NA LAS. Nie było nic niepokojącego w drzewach oświetlonych wschodzącym słońcem, on jednak dławiał się strachem. Najbardziej bał się wścibskich ludzkich oczu. Nikt go nie powinien teraz widzieć.

Dyszał. Pot ściekał mu po czole. Wytarł się rękawem koszuli. To nie dla niego taki wysiłek. Był wykładowcą hobbistycznie uprawiającym pomidory. Nawet do zrobienia kompostu wynajął człowieka. A teraz wziął się do wykopywania grobu. No cóż, tego zadania nie mógł nikomu zlecić.

Już świtało. Musi się spieszyć. Wbił ostrze łopaty w trawnik. Od dwóch tygodni nie spadła kropla deszczu. Susza zamieniła ziemię w kamienną skorupę. Wykopanie metrowego dołu stało się wyczynem dla mocarza. Pół godziny później zszedł do wykopu. Nie było nawet metra głębokości. Trudno. Tyle musi wystarczyć. Powinien tylko go poszerzyć. Kopał dalej jak w transie, trzęsąc się ze strachu. Nigdy wcześniej tego nie robił. Nigdy nie musiał ukrywać ciała. Nawet nie przypuszczał, że kiedykolwiek znajdzie się w tak przerażającej sytuacji.

Gdzieś z daleka dobiegło pianie koguta. Łopata trafiła na kamień, oddając siłę uderzenia w ramię Williama. Syknął z bólu. Wspierając się na trzonku, wy dostał się na górę.

Ruszył w stronę budynku. Szedł skulony, przyciśnięty grozą sytuacji, niespokojnie rozglądając się na boki, z obawą, że zaraz wypatrzy jakiegoś człowieka. Gdy się sprowadził do Dawid pięć lat temu i postawił tu drewniany dom z tarasem, mieszkańcy kręcili się w pobliżu jego posesji. Zagadywali,

dopytywali. William niechętnie odpowiadał. Uznali go za odludka i dali spokój. Dzisiaj jednak ktoś mógł się wypuścić na poranny spacer pod las. A on w tej chwili nie potrzebował gości.

Postukał trampkami o pierwszy schodek, pozbywając się grudek ziemi. Wewnątrz domu było duszno. Ta duchota przycisnęła mu płuca, potęgując uczucie trwogi. Czy jeszcze kiedyś zdoła oddychać pełną piersią? Bez tego dławiącego strachu? Wątpił w to.

Hol, salon i kuchnia tworzyły wspólną przestrzeń ze schodami prowadzącymi na piętro. Drżącą ręką wyciągnął z szafy cienki polarowy koc. Nie chciał spoglądać na zwłoki, ale źrenice mimowolnie ich szukały, jak gdyby umysł musiał się utwierdzić w potwornej rzeczywistości. Ciało leżało pod przeciwległą ścianą. Swoją nieruchomością doprowadzało Williama do rozpacz. Zdawało się pozbawiać go życia, jakie znał i uwielbiał. Odbierało mu przyszłość.

Musi jak najszybciej się tego pozbyć. Wypił dwie szklanki wody i wziął się do pracy. Zawinał trupa w koc, zawiązując rogi, aby ciężka zawartość się nie wysunęła. Otworzył drzwi na taras i wyszedł na zewnątrz. Pod nosem liczył: raz, dwa, trzy. Pomagało mu to wykonywać kolejne czynności. Przetawił leżaki, krzesła i stolik na jedną stronę. Podniósł dwie puszki po piwie. Wydały znajomy zgrzyt, gdy je zgniatał. Rozejrzał się.

Czysty błękit nieba zapowiadał kolejny upalny dzień. Brak deszczu zmienił okolicę w apokaliptyczny krajobraz. Zieleń lasu stała się przybrudzona, jak gdyby ktoś wysypał popiół na drzewa. Grusze i śliwy w sadzie miały pozwijane żółtawe liście, a iglaki wydawały się przykurczone. Dobrze, że miał tak mało drzewek owocowych. Korzenie utrudniłyby mu wykopanie grobu. Wrócił do kuchni i chwycił za związane rogi koca.

Pociągnął. Ciężar gładko sunął po deskach tarasu, potem pięć schodków i wysuszony trawnik. Wepchnął zwłoki wraz z kocem do dołu i zaczął go zasypywać. Spieszył się, nie mogąc znieść tego, że w ogóle to robi. Udeptał ziemię na grobie i poprawił gałązki pobliskiej tui. Wreszcie skończył. Już po wszystkim. Koniec koszmaru. A może wcale nie koniec?

Wskazówki zegarka na jego nadgarstku pokazywały szóstą piętnaście. Powlókł się prosto do sypialni i padł na łóżko. Zasnął. To był bardzo głęboki sen i spokojny wbrew tej potworności, która się wydarzyła w jego domu. Gdy po godzinie otworzył oczy, pomyślał, że będzie dobrze, jakoś wszystko się ułoży. Poszedł pod prysznic. Chłodna woda przywróciła mu siły. Założył szorty i koszulkę bez rękawów z nadrukiem ryby zaplątanej w woreczek foliowy. Zrobił sobie kawę i tosty z dżemem. Wyszedł z tym na taras. Jadł powoli, wsłuchując się w bzyczenie os i śpiew skowronka. Zwyczajna codzienna aktywność przywracała go do normalności.

Drugą kawę wypił z kostkami lodu i mlekiem. Wyniósł laptop na taras i zajął się sprawdzaniem poczty. W skrzynce znajdowały się cztery nowe wiadomości. Społeczna Akademia Nauk w Warszawie proponowała mu poprowadzenie cyklu wykładów od października. Wyglądało na to, że jakiś profesor im się wykruszył i na gwałt szukali zastępcy. Drugi mail przyszedł od nauczyciela z Zielonej Góry.

Drogi Williamie, długo zastanawiałem się, czy napisać do Ciebie. Od dawna marzę o tym, żeby zostać pisarzem. Wiem, że pisanie wzbogacę własne życie i życie przyszłych czytelników. Moja wyobraźnia przepełniona jest mnóstwem historii, a każda domaga się opowiedzenia. Mógłbym napisać tysiąc książek, bo tyle pomysłów kotłuje się w mojej głowie. Myślę, że wiesz, o czym mówię, bo też cierpisz na ten nadmiar. Siła twórcza może przytłaczać, gniesć umysł ciężarem kreatywności. Mógłbym nawet jak Ty stać się sprzedawcą początków powieści

i zrobić na tym majątek. Wolę jednak być pisarzem. Już dawno zacząłbym pisać, ale nie potrafię poradzić sobie z nadmiarem historii w mojej wyobraźni. Potrzebuję oczyszczenia. Potrzebuję nowego początku, który pomoże mi oderwać się od mojego osobistego rogu obfitości. Proszę cię, Williamie, przyslij mi jak najszybciej początek powieści. Powinien to być początek wyjątkowy, niezwykły, jakich nie wymyślasz wiele. Chciałbym już dzisiaj usiąść do pisania, zanim porwie mnie nurt nauczycielskich obowiązków. Uiszczyłem już opłatę za początek powieści. Dowód przelewu znajduje się w załączniku.

William otworzył plik. Transakcja opiewała na równowartość w złotych tysiąca euro. Przeszedł do folderu z początkami powieści. Widniało tutaj kilkaset dokumentów, wszystkie już sprzedane. Wybrał jeden z najstarszych plików i wysłał go do nauczyciela wraz z umową. Dołączył też standardowe życzenia satysfakcjonującej pracy nad tekstem i rychłego sukcesu literackiego. Na swojej stronie zapewniał, że każdy początek powieści jest niepowtarzalny, pisany specjalnie pod zamawiającego autora. No ale niektóre początki wpadły w niebyt czyjegoś komputera, nigdy nie otrzymały ciągu dalszego w postaci pełnoprawnej fabuły, a osoby, które je zakupiły, już dawno zapomniały o własnych aspiracjach literackich i o tym, co od niego dostały. Uznał więc za zupełnie bezpieczne ponowne wykorzystanie najstarszych pomysłów, oczywiście po lekkim ich retuszu.

Kliknął w kolejny mail. Ten swoją prostotą wpisywał się w większość wiadomości, które otrzymywał.

Dzień dobry, mam dwadzieścia jeden lat, pracuję w pizzerii. Chciałabym napisać książkę, ale nie wiem, jak zacząć. Interesuje mnie komedia romantyczna. Uprzejmie proszę o superpoczątek.

Uśmiechnął się. Każdy z klientów liczył na to, że otrzyma coś wyjątkowego, że tym razem William Kriger napisze początek, jakiego wcześniej dla nikogo nie napisał. W pewnym sensie spełniał te oczekiwania, bo za każdym razem dbał o jakość narracji i oryginalność pomysłu. Odpisał młodej pracownicy pizzerii, że chętnie przygotuje dla niej początek komedii romantycznej. Wysłał jej umowę i przypomniał, że powinna przekazać mu dowód przelewu.

Rozdział II

PRZEZ OKNO ZOBACZYŁ KOBIECĘ. Stała na drodze wyłożonej płytami i patrzyła na jego dom. Przy jej nogach leżał plecak. Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział.

Opuściła lekko okulary przeciwsłoneczne i ponad nimi patrzyła na front domu. To nie budynek wzbudził jej zaciekawienie. Wypatrywała jakiegoś ruchu, sylwetki człowieka, szukała wzrokiem Williama Krigera.

Wyszedł na zewnątrz ze szklanką coli w dłoni. Kostki lodu przyjemnie stukały o szkło. Stali teraz naprzeciwko siebie, a dzieliło ich kilkanaście metrów podwórka. Kobieta rozejrzała się niepewnie i przesunęła stopą plecak.

– Pani do mnie? – zawołał z uśmiechem na twarzy.

Ośmielił ją tym. Podeszła.

– Czy pan jest Williamem Krigerem?

Miała miękki głos. Skojarzył mu się ze stertą poduszek, z hasającymi kotami i z wizytą u pani weterynarz przed kilkunastu laty.

– Jeśli szuka pani gościa, który porzucił stolicę dla wiejskiego życia i nie zamierza tego zmieniać, to dobrze pani trafiła.

Przełożył szklankę do lewej ręki i wyciągnął do niej prawą. Przedstawił się. Podała mu dłoń w cienkiej bawełnianej rękawiczce.

– Wera Kwiatkowska.

– Wera? Ciekawe imię – oznajmił uprzejmie.

– To od Weroniki – wyjaśniła z ironią. Nie spuszczała wzroku z oszronionej szklanki. Przełknęła ciężko ślinę. – Przepraszam, że tak pana nachodzę, ale byłam nad morzem i pomyślałam, że wpadnę w drodze powrotnej. W pensjonacie dali mi na pana namiary. Ale najpierw, gdy podałam pana nazwisko, to nie wiedzieli, o kogo pytam. Dopiero kiedy wspomniałam, że szukam profesora z Warszawy, to skojarzyli.

– Wero, masz do mnie jakąś sprawę?

Była młoda, na pewno przed trzydziestką. Widział w niej ucieleśnienie wszystkich swoich studentek, nieśmiałych, zakompleksionych, ale w głębi ducha wierzących, że cały świat do nich należy.

– Przyjechałam, bo chciałam kupić początek powieści.

Tego się właśnie spodziewał. Kolejna dziewczyna marząca o byciu pisarką.

– Na mojej stronie podałam procedury zakupu. Piszesz do mnie mail, jaki gatunek cię interesuje i temat. Wysyłam ci umowę, a ty wpłacasz pieniądze. Do siedmiu dni przysyłam początek powieści.

– Wiem o tym, ale pomyślałam, że skoro jestem blisko, to wpadnę i osobiście ci opowiem, jaką książkę chciałabym napisać.

– I liczysz na to, że w ten sposób wymusisz na mnie początek powieści lepszy od wszystkich innych, jakie napisałem?

Rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

– Aż tak łatwo mnie przejrzeć?

– Wcale nie, po prostu nie różnisz się od pozostałych początkujących pisarzy.

Wskazała na szklankę w jego dłoni.

– Mogłabym dostać coli?

Nie miał ochoty wpuszczać jej do środka. To nie był czas na wizyty, nie po tym, co się wydarzyło w jego domu, nie po tym, jak zakopał trupa w sadzie. Za kilkanaście dni znowu zacznie gościć znajomych. Teraz potrzebował izolacji, żeby wyciszyć w sobie ten lęk i osiągnąć względną równowagę. Nie mógł jednak odmówić dziewczynie szklanki zimnej coli, nie w takim upale.

– Zapraszam do środka. Nie będziemy stać na słońcu.

Wróciła na skraj podwórka po swój plecak i weszła za nim do domu. Rozglądała się uważnie przez ciemne szkła okularów. Spodziewał się, że zaraz z jej ust padną słowa uznania. Każdy, kto go odwiedzał, zachwycał się dużym kominkiem stojącym pośrodku otwartej przestrzeni i przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na taras. Wera nie wydawała się urzeczona, raczej zaciekawiona.

Wyciągnął z lodówki colę i wodę mineralną, do miseczki wsypał kostki lodu. Wszystko postawił na wyspie kuchennej, wraz z kilkoma szklankami.

– Mam nadzieję, że będzie mi to zaliczone jako uczynek miłosierdzia. Napoić spragnionego.

– Och, na pewno.

Nalała sobie mineralnej i wypła. Krople wody zatrzymały się na jej ustach. Oblizwała je czubkiem języka. Zerknęła na talerz z gruszkami. Na owocach siedziało kilka os.

– Mogę? – zapytała.

– Częstuj się. To z mojego sadu. Trochę ponadgryzane przez osy, ale za to niepryskane.

Wzięła największą gruszkę, strząsając z niej owady.

– Dasz mi nóż?

Wskazał na szufladę ze sztućcami. Wyjęła nożyk z żółtą rękojeścią. Wykroiła kawałki gruszki nadjedzone przez osy.

Resztę przekroiła na cztery części i zaczęła jeść. Wszystko robiła w bawełnianych rękawiczkach, w które obficie wsiąkał sok z owocu.

Spojrzała na taras, na stojący tam laptop.

– Pracujesz?

– Tak, jestem zajęty.

Dyskretnie dał jej do zrozumienia, że nie może jej długo gościć.

– Pisziesz początek powieści?

– Tak.

– Powiesz mi, o czym będzie książka?

– O czym? Nie wiem. To od autora zależy, co z niej zrobi.

– No dobra, to powiedz, jak się będzie zaczynać.

– Z młodą Polką kontaktuje się w mediach społecznościowych tajemniczy mężczyzna z Francji i podaje się za jej przyrodniego brata. Proponuje spotkanie. Zaprasza ją do siebie, do swojej winnicy w Alzacji. Wysyła jej pieniądze na podróż. Dziewczyna się pakuje i rusza w drogę.

Wera się zamyśliła.

– Brzmi ciekawie – oznajmiła po dłuższej pauzie. – Ale ja bym chciała coś mocniejszego, coś, od czego przechodzą dreszcze na plecach.

– Planujesz zostać autorką horrorów?

– Nie o to mi chodziło. Chciałabym napisać książkę o największym koszmarze. O tym, czego ludzie najbardziej się boją.

– Musisz sprecyzować. Każdy ma swoje lęki.

Na czole dziewczyny pojawiły się niewielkie zmarszczki świadczące o namyśle. Poważnie traktowała tę rozmowę.

– Jestem matką – oznajmiła. – Każdego dnia boję się o moją córkę.

– Czyli mówimy o koszmarze rodzica?

Przytaknęła.

– Napisałbyś dla mnie taki właśnie początek?

– Oczywiście. Skoro tu już jesteś, podpiszemy umowę. Zaraz ci ją przyniosę.

Wszedł na piętro po lekko skrzypiących stopniach. Te schody nie były nowe. Odkupił je od tutejszego gospodarza, gdy ten odnawiał stary poniemiecki dom. Wziął z drukarki dwa egzemplarze umowy. Zamachał nimi, aby odgonić muchę, i zszedł na dół.

Wera siedziała na stołku barowym przy wyspie kuchennej. Wciąż miała na nosie przeciwsłoneczne okulary, a na dłoniach cienkie rękawiczki. Pod jego nieobecność przygotowała sobie colę z kostkami lodu i teraz ją popijała. Położył przed nią umowę i długopis.

– Moje dane są już wpisane. Ty wpisz swoje, a potem się podpiszemy. Jedna umowa jest twoja, a druga moja.

Usiadł po przeciwnej stronie wyspy i czekał. Dziewczyna szybko sunęła długopisem po papierze.

– Ile zajmie ci napisanie początku dla mnie?

– Już ci mówiłem, do siedmiu dni.

– Zrozumiałam, że do siedmiu dni to dla wszystkich innych. Ja pytam, ile zajmie ci praca dla mnie.

– Zawsze nad jednym początkiem pracuję jak Pan nasz i Stwórca nad całym światem. Siódmego dnia rzucam okiem na dzieło i wysyłam do klienta.

Zdjęła okulary i popatrzyła na niego prosząco dużymi jasnymi oczami. Dopiero teraz dostrzegł jej urodę. Było w niej coś ambiwalentnego. Banalne piegi i zbyt szeroki nos kontrastowały ze szlachetnie zarysowanym czołem i hipnotycznymi tęczęwkami.

– Nie wyjadę stąd, dopóki nie dostanę początku powieści –
Złożyła dłonie w błagalnym geście.

– Jeśli chcesz siedzieć w Dawidach siedem dni, to proszę
bardzo. W pałacu mają podobno fantastyczne warunki.

– Nie stać mnie na pałac, poza tym z czasem u mnie krucho.
Naprawdę nie zrobisz wyjątku?

Pokręcił przecząco głową.

– A gdybym obiecała, że umyję ci okna i opielę ogródek?
Zająłoby mi to dwa dni.

– Nie mam ogródka.

– To skoszę trawę w sadzie.

– Trawa uschła.

– To daj mi jakąś inną robotę na dwa dni.

– I ja ze swoją robotą też mam się uwinąć w dwa dni?

Pewna przekora pojawiła się w jasnym spojrzeniu Wery.

– Jeśli uwiniesz się z początkiem powieści w dwa dni, to
będziesz lepszy od Pana naszego i Stwórcy.

William już się łamał. Co mu właściwie szkodzi. Przecież jest
w stanie napisać ten początek w kilka godzin. Zwykle wysyłał
teksty na trzeci, czwarty dzień od zamówienia. Te siedem dni
to żadna sztywna zasada, to tylko rezerwa czasowa na
wypadek, gdyby pochłonęło go jakieś inne zajęcie. Poza tym
przymus pisania mógłby mu pomóc nie myśleć o tamtej
potworności, o nieruchomej twarzy, o martwym spojrzeniu
dużych ciemnych oczu.

– Sorry, ale bez honorarium nie pracuję. Najpierw kasa,
potem robota – oznajmił z pełną powagą.

To akurat była sztywna zasada niepodlegająca dyskusji, choć
zamawiający czasami próbowali w tej kwestii negocjować.
Zwykle proponowali, że zapłacą wtedy, gdy dostaną zaliczkę od
wydawcy.

Wera zsunęła się ze stołka barowego i podeszła do plecaka. Szperała w nim przez chwilę, po czym wróciła z kopertą. Położyła ją na wyspie kuchennej.

– Tu jest tysiąc euro. Przelicz!

Przeliczył. Zgadzało się, dziesięć banknotów po sto euro. Dziewczyna podpisała dwa egzemplarze umowy, po czym mu je podsunęła wraz z długopisem. Też się podpisał.

– To ile zajmie ci napisanie początku dla mnie?

– Za cztery, pięć godzin będziesz miała tekst.

– Naprawdę?

Głos Wery wyrażał zaskoczenie, a twarz wielką satysfakcją.

– Obiecuję, że dłużej to nie potrwa.

– W takim razie za pięć godzin będziesz miał mnie z głowy.

Dopiła colę i zbyt głośno odstawiła szklanke. Wzięła umowę i podeszła z nią do plecaka.

– Teraz pójdę na spacer i wrócę za pięć godzin.

William patrzył na jej pochyloną sylwetkę. Widział umięśnione plecy i wąskie biodra. Cienki materiał spodni przykleił się do atletycznych ud. Dziewczyna musiała często odwiedzać siłownię. Dbała o kondycję bardziej niż o wygląd. Włosy ściśnięte w nieładny kok nie dodawały jej urody. Bluzka przypominająca męski podkoszulek też nie.

– Mam inną propozycję – rzucił William, opierając łokcie o blat.

Wera zamarła z dłonią w plecaku. Wolno obróciła ku niemu twarz. W nieruchomych źrenicach tliła się czujność. Nie zapytała, jaka to propozycja. Czekwała, aż on się odezwie.

– Ja będę pisał, a ty przez ten czas usmażysz rybę. Mam pstrąga w zamrażalniku.

Dziewczyna się rozluźniła. Czarne punkty w jasnych tęczęwkach drgnęły. Za chwilę przywołała na twarz przesadne

oburzenie.

– Mam smażyć w takim upale? Żartujesz?

– Bez obiadu nie będę pracował. No i do ryby musisz jeszcze usmażyć frytki.

Uniosła ręce w geście poddania. Wyglądała dziwnie z dłońmi w białych rękawiczkach nad głową.

– Niech ci będzie. Zrobię rybę i frytki.

Wsunął kopertę z pieniędzmi do kieszeni i wyszedł na taras. Była dwunasta w południe. O siedemnastej znowu zostanie sam. Oby wtedy poczuł się lepiej, bez tego świdrującego niepokoju w duszy i jeszcze mocniejszych wyrzutów sumienia.

Rozdział III

WILLIAM PISAŁ NA TARASIE. Tutaj też zjadł rybę z frytkami. Wera przyniosła mu talerz i próbowała zagadywać. Pytała, jak mu idzie. Nie szło mu dobrze. Kilka godzin wcześniej w jego domu leżał trup. Świadomość tego nie pomagała w pracy. Ponadto gorące i gęste powietrze oblepiało mu ciało i umysł. I jeszcze te osy i bąki. Chciał się już przenieść do domu, ale tam siedziała Wera, a na piętrze było zbyt duszno.

O szesnastej dopadła go senność. Nic dziwnego, był niewyspany po tym, jak wstał o czwartej, aby w porannym chłódzie zakopać zwłoki. Kawa nie pomogła mu wrócić do lepszej kondycji, zdrzemnął się więc parę minut na leżaku. Obudził się mokry od potu. Zdjął koszulkę i wytarł nią czoło. Był zły na siebie, że obiecał Werze początek powieści w pięć godzin. Wiedział, że nie zdąży. Oby tylko uwinął się dzisiaj. Chciał mieć to z głowy, ten początek i samą dziewczynę. Chciał zostać sam, wziąć zimny prysznic i nago chodzić po domu z kuflem piwa w ręku.

Zbliżała się dziewiętnasta trzydzieści. Świerszcze cykały w pobliskiej trawie. Gorące powietrze wydawało się wibrować od tego dźwięku, a umysł Krigera wpadł w jakiś dziwny trans. Zamknął klapę laptopa i mruknął pod nosem:

– Wystarczy.

Wszedł do domu. Unosiła się tutaj ciężka woń smażonej ryby. Brudne naczynia stały na wyspie kuchennej, a blat świecił się od tłuszczu. W myślach obwinił Werę o ten bałagan. Zalała go niezamierzona fala złości.

Podszedł do kobiety śpiącej na kanapie i potrząsnął ją za ramię. Nie silił się na delikatność. Otworzyła oczy i wycelowała w niego czarne jak smoła źrenice. Miał wrażenie, że ma naprzeciw siebie dwie małe lufy, z których zaraz wystrzelą śmiertelne pociski. Cofnął się pod siłą tego spojrzenia.

– Gdzie mam ci przesłać tekst?

– Przesłać?

Uniosła głowę, podpierając się na łokciu. Senność zalegała w jej gardle. Odchrząknęła.

– Skończyłem pisać początek powieści. Daj mi adres, pod który mam go wysłać.

– Aha! Super. To teraz wydrukuj to i przynieś mi tutaj!

Z powrotem położyła głowę i przymknęła oczy. Nie zobaczyła przekleństwa zatrzymującego się na jego ustach. Poszedł na górę i uruchomił drukarkę. Chwilę później stanął przy kanapie z plikiem kartek.

– Pobudka! – zawołał. – Koniec gościny. Pani już dziękujemy.

Usiadła na brzegu kanapy i złapała się za głowę.

– Ciszej. Nie musisz tak krzyczeć.

Wyciągnął plecak spod kanapy i wcisnął do niego wydruk komputerowy.

– Przepraszam cię, Wero, ale powinnaś już iść. Chciałbym zostać sam. To jest mój dom i mam prawo odpocząć. Może uznasz mnie za buraka, ale właśnie cię wypraszam.

Nie stawiała oporu, gdy prowadził ją do drzwi.

– Wymyśliłeś jakiś tytuł do mojej powieści? – zapytała, stojąc już na zewnątrz w promieniach zachodzącego słońca.

– Tak: *Czarna wołga wraca*.

– *Czarna wołga wraca* – powtórzyła powoli, jakby smakowała każdą sylabę. – Fajny tytuł.

– Cieszę się, że ci się podoba. Życzę owocnej pracy nad dalszą częścią książki.

Wszedł do środka i przesunął zasuwkę. Podszedł do okna i wzrokiem odprowadzał Werę. Niosła plecak w ręku i wlokła się noga za nogą. Przypominała mu ucznia, który wraca do domu ze złą oceną i uwagą w dzienniczku. Przystanęła na skraju drogi i wyjęła z plecaka kartki, po czym zarzuciła go na ramiona. Dalej szła, czytając. Nagle się odwróciła i uniosła kciuk. Domyśliła się, że ją obserwuje, i dała mu znak, że podobają się jej pierwsze zdania.

Ogarnęła go satysfakcja z dobrze wykonanej roboty. Bardzo mu zależało, żeby dać tej dziewczynie dobry początek. Może dlatego tak się męczył podczas pisania.

Rozdział IV

WERA DOSTRZEĞŁA DUŻY I PŁASKI KAMIEN. Leżał kilka metrów od drogi, a za nim przewalały się puszki po piwie. Obejrzała się. Domu Krigera nie było widać. Dopadła do kamienia i usiadła. Zsunęła z ramion plecak, zrzucając go na trawę. Nie przejęła się tym, że pod własnym ciężarem przesuwiał się w dół w stronę puszek po piwie. Ponownie przeczytała pierwsze zdania powieści. Trafiły do jej wyobraźni płynnie jak tlen do płuc, jak adrenalina do krwi. To było to. Na to czekała. Konik polny wskoczył na kartkę, zakłócając na moment zagłębianie się w tej drugiej rzeczywistości. Strząsnęła go i czytała dalej. Po dziesięciu minutach sięgnęła ręką za siebie, szukając plecaka. Nie natrafiła na niego. Wstała więc i podeszła do bagażu. Wyciągnęła starego samsunga i napisała esemesa:

„Udało się. Kriger złapał się na haczyk”.

CZEŚĆ DRUGA
Czarna wołga wraca

Rozdział 1

Była szesnasta dwadzieścia. W wielu oknach paliło się światło, bo styczniowa pora zaciągnęła już nad Pasłek szarość wieczoru. Zimową ciszę rozpraszał jedynie dźwięk opon przesuwających się po asfalcie i szum silnika. Czarny samochód jechał wąską ulicą, powoli, jak gdyby kierowca zamierzał zaparkować przed którymś z domów. Nie zatrzymał się jednak. Dwie małe dłonie przyklejone do szyby samochodowej i blada twarzyczka wykrzywiona niezrozumieniem i lękiem wydawały się nierzeczywiste i ulotne jak cień na topiącym się śniegu.

Rozdział 2

JULIAN WCISNAŁ DŁONIE W KIESZENIE, a głowę w ramiona. Nie wziął szalika ani rękawiczek, bo miał do przejścia tylko kilka metrów. Jak zwykle na Partyzantów wiało. Nigdy nie kupiłby tu domu, nie w tych przeciągach. Nieważne, że go nie było stać na zamieszkanie na tej ulicy. Nawet gdyby miał kasę, to nie wybrałby tego miejsca. Nerwowo obracał w palcach kluczyki. Był niespokojny jak zawsze, gdy pojawiał się u swojej byłej żony, a raczej u jej drugiego męża, wielce szanowanego w Pasłęku doktora Oskara Kowalika. Nacisnął przycisk dzwonka. Drzwi otworzyła Weronika. Znowu wyglądała elegancko, jak gdyby zaraz miała wychodzić do teatru. Gdy była z nim, nosiła dzinsy i za duże koszule, a teraz te wąskie sukienki.

– Dziewczynki już nie mogą się ciebie doczekać – powiedziała na powitanie.

Głową wskazał na zegar wiszący na końcu obszernego holu.

– Jestem punktualnie.

– Ja to wiem, ale Ania i Matylda nie.

– Aha, czyli mam w ten weekend wyjaśnić im, że jest coś takiego jak zegarek i czas.

– Możesz spróbować, ale one mają dopiero po pięć lat. Mogą jeszcze tego nie ogarnąć. – Weronika obróciła głowę, wyraźnie nasłuchując dziecięcych odgłosów dobiegających z piętra. – Tata już jest! – zawołała.

Rozległ się radosny pisk. Po chwili dziewczynki pojawiły się na schodach. Matylda zbiegała, zdając się frunąć nad

stopniami, a Ania schodziła ostrożnie, trzymając się poręczy. Obie ubrane w identyczne ogrodniczki, z włosami podobnie falującymi i tęczęwkami o tym samym odcieniu zieleni. Bliźniaczki jednojajowe.

Julian podniósł Matyldę w górę. Radosny śmiech wydobył się z jej ust. Ania wyciągnęła do niego ręce. Też ją podniósł prawie pod sam sufit. Dziewczynki były wniebowzięte, ale nie on. W takich sytuacjach zawsze dopadała go gorycz porażki. Nie sprawdził się jako ojciec i mąż, dlatego teraz widywał córki raz na dwa tygodnie.

Pomógł Ani włożyć buty. Weronika pochylała się nad drugą córką i zapinała jej płaszcz.

– Dajcie mamie buziaczki i jedziemy.

Dziewczynki posłusznie ułożyły drobne usta w dziubek. Chwilę później Matylda wybiegła z domu. Weronika popatrzyła za nią z niepokojem w oczach.

– Boże, to dziecko sekundy nie ustoi w miejscu.

Ania wyciągnęła rękę do Juliana.

– Tatuś, idziemy?

Weronika poprawiła córce czapkę.

– Uważaj na nie.

Julian się uśmiechnął z przymusem. W tej prośbie usłyszał sugestię, jakoby nienależycie czuwał nad dziećmi. Co prawda ostatnio pod jego opieką Matylda spadła z huśtawki i stłukła oba kolana, ale tak z pięciolatkami już bywa. On w tym wieku rozbił sobie głowę i wybił trzy mleczaki.

– Będę uważał. A jeśli komuś je oddam, to na pewno będzie to ktoś sympatyczny i troskliwy.

– Przestań. Ania to słyszy.

– Dobrze, że słyszy. Niech wie, że tatuś o nią dba i nie odda jej byle komu.

– Ale ona może to komuś powtórzyć.

W oczach żony zobaczył rozbawienie. W nowym związku musiało jej brakować żartów i zwyczajnego małżeńskiego przekomarzania się. Julian parę razy zetknął się z drugim mężem Weroniki. Nie polubił go. Doktor wyglądał na straszego sztywniaka.

– Idźcie już – ponagliła ich.

Pochylił się i przyłożył wargi do ciepłego policzka byłej żony. Nie planował tego. Podświadomość go skłoniła do gestu, który odtworzyłby czas miniony, gdy oboje cieszyli się wzajemną miłością. Weronika wstrzymała oddech, a potem odsunęła się gwałtownie, poprawiając sukienkę na biodrach.

– Muszę wstawić pstrąga do piekarnika. Oskar zaraz wróci.

Julian mocniej ścisnął drobną dłoń Ani i wyszedł z domu. Śnieg prószył. Cienka warstwa bieli zdołała już pokryć maskę jego wozu. Matylda trafnie rozpoznała zaletę tej powierzchni i teraz z zapalem rysowała palcem po śniegu. Powinien zwrócić jej uwagę, że będzie miała mokre rękawiczki. Nie lubił jednak strofować swoich dzieci. Niech córka się dobrze bawi. To najważniejsze, żeby pod jego opieką obie tryskały radością.

Rozdział 3

JULIAN WYSYPAŁ Z PUDEŁKA KLOCKI magnetyczne. Na każdą wizytę dziewczynek kupował nową zabawkę, żeby tylko wychodziły od niego uszczęśliwione. Ania usiadła na podłodze.

– Tatusiu, zbudujemy domek?

– Jasne, że zbudujemy.

Matylda rzuciła się na kolana i zaczęła zgarniać klocki do siebie.

– Ja będę budować.

– A my będziemy ci pomagać – oznajmił Julian.

Matylda połączyła dwa elementy, potem dołożyła trzeci. Wydała z siebie pełen zdumienia świst, gdy okazało się, że czwarty klocek jest odpychany.

– Kochanie, to są klocki magnetyczne. Musisz go przekręcić, żeby się ładnie przyczepił.

Posłuchała go. Ania zainteresowała się kulkami magnetycznymi. Wybierała je spośród innych klocków i łączyła ze sobą, tworząc srebrzystego węża. Zabawa była wyśmienita, ale trwała krótko. Po kwadransie dziewczynki zaczęły się nudzić.

– Tatuś, pójdziemy poszukać kotka? – zapytała Matylda.

Gdy dziewczynki go odwiedzały, chodził z nimi między blokami i szukali piwnicznych kotów. Gdy jakiś się znalazł, karmili go szynką. Nie chciał ich dzisiaj zabierać na taki spacer, bo było zimno i już zmierzchało.

– Kochanie, wszystkie kotki poszły spać. Poszukamy ich innym razem.

Taka odpowiedź nie spodobała się Matyldzie, kopnęła w konstrukcję z klocków i pobiegła do drugiego pokoju. Zdezorientowana Ania skrzywiła buzię do płaczu. Julian ją przytulił.

- Teraz się pobawicie same, a ja wam zagrzeję rosołu.
- Nie chcę rosołu.
- No to dostaniesz pomidorówkę.

Dziewczynki w jego mieszkaniu miały mnóstwo zabawek. Powinny zaraz wynaleźć sobie jakieś zajęcie. Poszedł do kuchni. Z lodówki wyjął garnek z rosołem, koncentrat pomidorowy i śmietanę. Zgodnie z życzeniem Ani będzie pomidorówka. Z pokoju obok dobiegały rozbawione dziecięce głosy. Nagle zrobiło się ciszej. Wszedł do przedpokoju. Ania siedziała na podłodze i usiłowała włożyć swoje kozaczki.

- Skarbie, co robisz?
- Idę do mamy. - W jej głosie pojawił się płaczliwy ton. Postawił ją na nogi.
- Mam dla ciebie bardzo fajną zabawkę.

Uniosła na niego oczy. Zieleni tęczówek aż się rozszerzyła z zaciekawienia.

- Jaka?
- Zaraz ci pokażę.

Zabrał córkę do kuchni. Z szafki wyjął starego dziadka do orzechów i torebkę orzechów laskowych. Pokazał jej, jak to urządzenie działa. Ania z zachwytem wyciągnęła ręce po nową zabawkę. Za pół godziny całe mieszkanie będzie zasypane łupinami, ale to nieważne. Liczyło się tylko to, aby jego dzieci dobrze się bawiły. Wszedł do pokoju dziewczynek. Matylda siedziała na podłodze. Trzymała w rękach poduszkę w kształcie ryby. Gdy otworzyła usta, Julian zamarł. Coś srebrnego mignęło na jej języku. Potrzebował ułamka

sekundy, żeby zrozumieć, że włożyła do buzi kulkę magnetyczną. Wystarczyłaby chwila nieuwagi, aby ta wpadła jej do gardła. Kulka była za duża na to, by lekko przejść przez przełyk. Zakrztuszenie się i zamknięcie dopływu tlenu do płuc byłoby nieuniknione. To jego wina, powinien był taką ewentualność przewidzieć, spakować klocki magnetyczne i je schować. Ostrożnie przyklęknął przy córce i podsunął dłoń pod jej usta.

– Kochanie, proszę, wypluj to, co masz w buzi.

Spojrzała na niego ze zdecydowanym protestem w zielonych oczach.

Rozdział 4

WERONIKA ZNOWU PODESZŁA DO OKNA W salonie i wyjrzała na zaśnieżoną ulicę. Wypatrywała świateł samochodowych. Niestety, żadne nie rozpraszały zimowej ciemności. Opel byłego męża nie nadjeżdżał, a dochodziła dziewiętnasta. Julian spóźniał się i to ją niepokoiło. Jeśli wizyta dzieci u niego miała się przedłużyć, powinien ją o tym poinformować. Podeszła do stolika i podniosła telefon. Wiadomości nie było. Wyjęła z pudełka jedną pralinę i włożyła sobie do ust. Rozgryzła delikatną czekoladową skorupkę, zagłębiając język w orzechowym nadzieniu.

W drzwiach do salonu stanął Oskar. Opierał się o futrynę. Nawet przybierając tak zwyczajną pozę, emanował elegancją i wdziękiem.

– Czy moja piękna żona w końcu się zrelaksuje?

– Jeśli pomożesz mi się zrelaksować, to może mi się to uda. – Zbliżyła się do męża i musnęła palcami jego usta. – Chciałabym, żebyś zrobił mi masaż stóp.

Przytrzymał jej dłoń przy swoich wargach i całował palce, każdy po kolei, zaczynając od najmniejszego. Weronika się uśmiechnęła. W końcu miała życie, jakiego zawsze pragnęła.

– To co z tym masażem? – zagadnęła pieszczotliwie.

– Też mam na to ochotę, ale zajmę się twoimi cudownymi stopami dopiero za pół godziny. Teraz muszę na chwilę wyjść.

– Dokąd?

– Zadzwoił burmistrz. Jego matkę wypisali wczoraj ze szpitala. Chciał, żebym rzucił okiem na wyniki. Obiecuję, że to

potrwa chwilę.

Była pewna, że to będzie tylko chwila, bo burmistrz mieszkał na tej samej ulicy co oni.

Sięgnęła po kolejną czekoladkę i spojrzała na okno. Julian powinien zaraz przywieźć dziewczynki. Gdy będą w domu, odetchnie. Martwiła się o nie, gdy z nim przebywały. Jej były mąż był dobrym człowiekiem, ale niezbyt roztropnym, a gdy ma się dzieci, trzeba bardzo uważać. Każdy rodzic powinien mieć dwie pary oczu i obie szeroko otwarte. Niestety, Julian miał tylko jedną parę i zdawał się zbyt często ją przymykać. Włożyła do ust następną pralinę z nadzieją, że cukier spowolni rosnący niepokój o córki.

Rozdział 5

– Tatuś, dla mnie żelki! – zawołała Matylda.

– Nie. Żelki dla mnie, to ja lubię żelki. – Głos Ani nabierał płaczliwej intonacji.

– Obie dostaniecie żelki.

– I lizaki.

Matylda jak zwykle próbowała ugrać więcej.

– Okej, lizaki też wam kupię.

Pisk radości rozległ się na tylnej kanapie starego opla.

Julian odwoził dziewczynki. Wracały do mamy z roześmianymi buziami. Na pewno jej powiedzą, że u taty było cudownie i chcą do niego jeździć częściej.

Przyhamował. Przed nim wolno toczył się renault. Pogoda nie pozwalała przycisnąć pedału gazu. Śnieg i ujemna temperatura zamieniały asfaltową powierzchnię w ślizgawkę. Rozglądał się za otwartym sklepem spożywczym i dogodnym miejscem do zaparkowania. Zatrzymał się dopiero na Ogrodowej.

Zerknął na dziewczynki. Na czubku głowy Matyldy tkwiła czapka z żółtym pomponem. Ania miała swoją czapkę mocno naciągniętą na uszy. Obie były w płaszczykach. Przed wsadzeniem w foteliki powinien był je rozebrać. Biedne, niepotrzebnie się zgrzały. Beznadziejny z niego ojciec. Gdyby częściej przebywał z córkami, wiedziałby, jak się nimi zajmować.

– Idę po żelki i lizaki.

– I gumę! – zawołała Matylda.

– A dla mnie wafelki, dwa wafelki, trzy wafelki.

Ania wyciągała palce, odliczając kolejne sztuki. Pospiesznie wysiadł z samochodu, dobrze wiedząc, że litania życzeń prędko się nie skończy. W drzwiach do sklepu minął kobietę. Wychodziła skulona, jak gdyby obawiała się styczniowego chłodu, który czekał na nią na zewnątrz. Połowę jej twarzy zasłaniał kolorowy szalik. Julian podszedł do lady. Był jedynym klientem. Poprosił o żelki i lizaki. Wzrokiem wodził po półkach, zastanawiając się, co jeszcze kupić dziewczynkom. Weronika wybrałaby na pewno coś zdrowego, choćby suszone owoce albo migdały.

– Kupi pan majonez? Mamy w promocji.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na ekspedientkę. Uśmiechała się do niego zbyt dużymi ustami. Miękki akcent wskazywał na wschodnie pochodzenie. Zapewne Ukrainka.

– Za majonez dziękuję. Ale wezmę te owsiane ciastka. I proszę doliczyć papierową torbę. – Zapłacił. Miał już wychodzić, ale cofnął się od drzwi. – Poproszę jeszcze krakersy.

Lubił czasami coś sobie pochrupać do piwa. W jego lodówce stały trzy browary. Dzisiaj wieczorem je otworzy. Wyszedł ze sklepu i podobnie jak poprzednia klientka skulił się, chroniąc ciało przed zimnem. Dopadł do opla i wsunął się do środka.

– Mam żelki i lizaki! – zawołał.

Nagłe uczucie niepokoju prześliznęło się po jego kręgosłupie jak cień. W samochodzie było zbyt cicho, rozlegało się jedynie spokojne dziewczęce podśpiewywanie. To była jakaś wyliczanka: „Trelelele, dzisiaj zjadłam trzy morele. Raz, dwa, trzy, dziś obiadu nie zjesz ty”. Brakowało dziecięcego okrzyku radości na wieść, że przyniósł słodycze. Kątem oka zobaczył

w lusterku buzię Ani. Odwrócił się gwałtownie. Nieme przekleństwo zawisło mu na ustach. Jeden fotelik był pusty.

– Gdzie jest Matylda?

Ania patrzyła na niego pokornym wzrokiem.

– Poszła po żelki.

– Jak to: po żelki?

To wydawało się nielogiczne, przecież był w sklepie. Matylda tam na pewno nie dotarła. Nie spotkał jej też, gdy wracał do wozu. Rozsądek mu mówił, że nie zastanie jej w spożywczaku, ale podświadomość krzyczała, że natychmiast ma tam iść.

– Zaraz będę z powrotem, kochanie – rzucił do Ani i wypadł z opła.

Do sklepu miał piętnaście metrów. Tylko kilkanaście kroków prostym chodnikiem, bardzo blisko, mimo to dopadł do drzwi zziębnięty. Otworzył je. Patrzył na rozświetlone elektrycznym światłem wnętrze, na zastawione towarami półki i na zbyt szeroki uśmiech ekspedientki.

– Coś jeszcze? – zapytała uprzejmie.

Matyldy tutaj nie było. Bez słowa wyjaśnienia zamknął drzwi i rozejrzał się po ulicy rozświetlonej lampami ulicznymi. Tuż obok znajdował się sklep z asortymentem dla dzieci, naprzeciwko Biedronka, zamknięta, bo niedziela. Wystraszone spojrzeniem filtrował każdy fragment miejskiej przestrzeni, wypatrując sylwetki pięcioletniego dziecka. Nigdzie żadnego ruchu, ani jednego człowieka, którego mógłby zapytać, czy nie widział dziewczynki w kraciastym płaszczyku. Dlaczego tu jest tak pusto? Był przecież na Ogrodowej, tu powinni być ludzie. Minął go samochód, za chwilę kolejny. Chaos i lęk nawarstwiały mu się w głowie. Nie może ulec panice. Musi racjonalnie myśleć. Dokąd mogła pójść Matylda? Gdzie skręciła? Punkty usługowe były pozamykane, czyli

nigdzie nie weszła. Pozostawał jedynie ten jeden sklepik spożywczy. Ponownie otworzył drzwi.

– Czy tu zaglądała taka mała dziewczynka?

– Dziewczynka? Nie.

Ekspedientka dla podkreślenia swoich słów energicznie pokręciła głową. To było oczywiste, że Matylda nie wchodziła do sklepu, musiał się jednak upewnić. Robił zakupy przez parę minut, może pięć, nie więcej. W tym czasie córka wysiadła z wozu i szła w tę stronę, ale do spożywczaka nie dotarła. Coś ją zatrzymało albo ktoś. A może pomyliły się jej kierunki, przecież to tylko pięcioletnie dziecko. Rzucił się w stronę opla. Ania siedziała w foteliku. Otworzył drzwi od jej strony.

– Skarbie, widziałaś, dokąd poszła Matylda?

Starał się mówić spokojnie, żeby nie przestraszyć córki.

– Poszła po żelki.

– Ale w którą stronę? Widziałaś?

– Tam.

Ania wskazała przed siebie, na ścianę przedwojennej kamienicy. Julian wyjął z papierowej torby żelki, otworzył je i wręczył córce.

– Skarbie, zaraz wrócę.

– A lizak?

– Potem dam ci lizaka.

– Ja chcę teraz.

Podał jej lizaka.

– Sama sobie rozwiniiesz z papierka?

– Tak, sama.

Zamknął drzwi i włączył blokadę, żeby Ania nie mogła ich otworzyć od wewnątrz. Powinien był o tym pomyśleć wcześniej. W ogóle powinien więcej myśleć i bardziej się troszczyć o córki.

Był beznadziejnym ojcem. Był żaloszny. Z niczym sobie nie radził.

Szedł prędkim krokiem w przeciwną stronę niż sklep spożywczy. Oglądał się za siebie, mając oko na swój wóz i jednocześnie wypatrując Matyldy. Może gdzieś się schowała, przywarła do architektonicznego elementu, przycupnęła za zaparkowanym samochodem albo stanęła za załamaniem ściany. Może zobaczyła kota albo psa i poszła za nim i teraz wystraszona błąka się na tyłach któregoś z budynków. Znowu obejrzał się za siebie. Oddalił się od opla już na jakieś dwieście metrów. Matyldy nie było na chodniku. Ulicą przejechała toyota, chwilę później taksówka. Nadepnął na coś miękkiego. Podświadomość mu podpowiedziała, co to może być. Schylił się i podniósł czapczkę. Mokra i zmięta zdawała się zapowiadać wielką tragedię. Nie chciał, żeby to była czapka jego dziecka, ale żółty pompon jawił się niczym identyfikator z wypisanym imieniem i nazwiskiem.

Zaczął wołać córkę. Najpierw niezbyt głośno, ale już po chwili wydzierał się, ile sił w płucach. Biegał w tę i z powrotem. Okręzał niektóre budynki. Mijał komórki i garaże. Sprawdzał, czy nie są gdzieś otwarte drzwi, bo jego dziecina mogłaby tam się schować. Zaglądał pod wszystkie samochody. Ogarniało go coraz większe przerażenie. Gdyby Matylda go słyszała, przybiegłaby już do niego.

Drogę zastąpił mu jakiś mężczyzna w samej bluzie, z kapturem naciągniętym na głowę.

– Co się stało? Kogo pan tak woła?

– Córkę. Zgubiłem córkę. Ona ma pięć lat. Nie mogę jej znaleźć.

Nagle zaroilo się wokół niego od ludzi. Niektórzy mieli narzucone kurtki, inni byli w samych swetrach. Wyciągnął ich

z domów swoimi krzykami.

– Temu panu zaginęła pięcioletnia córka – oznajmił mężczyzna w bluzie.

Posypały się krótkie pytania: Gdzie? Kiedy? Jak dziewczynka wygląda? Odpowiadał nieskładnie i dygotał na całym ciele.

Niektórzy ludzie się rozbiegli w poszukiwaniu dziecka, inni jedynie się rozglądali. Jakaś kobieta próbowała go uspokoić. Ktoś zaproponował, żeby zawiadomić policję.

– Jest! Znalazłem dziewczynkę! Siedzi w samochodzie!

– Widzi pan, wszystko się dobrze skończyło.

Kobieta poklepała go po ramieniu. Jakiś mężczyzna roześmiał się nieprzyzwoicie głośno.

– Ja też tak kiedyś miałem. Szukałem mojego chłopaka na podwórku, a potem mi się przypomniało, że go nie odebrałem ze świetlicy.

Julian podszedł do opla. Kilka osób podążało za nim. Otworzył drzwi i wyjął z wnętrza zapłakaną Anię. Przytulił ją mocno. Wciąż trzymał w dłoni czapkę Matyldy.

Ekspedientka pierwsza zorientowała się w sytuacji. Wskazała na czapkę z żółtym pomponem na głowie Ani, a potem na identyczną czapkę w jego dłoni.

– Pan miał dwie córki? Tak?

Przytaknął. Kobieta użyła czasu przeszłego. To go przeraziło. Miał dwie córki, została mu tylko jedna.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział V

ROWER LEKKO PODSKAKIWAŁ na nierównościach. William Kriger pedałowal wolno. Nie spieszył się. Wolałby siedzieć teraz w klimatyzowanym wnętrzu swojego opla, ale niestety musiał odstawić wóz do warsztatu. A właściwie postawił go w stodole sąsiada. Witek potrafił sporo zrobić, a na pewno umiał zamontować nowy zderzak.

William wjechał na podwórko. Młody wilczur zaczął ujadać na łańcuchu, aż piana zebrała mu się na pysku. Gospodarz wyrztał przez okno.

– Zamknij się, Brutus! – wrzasnął.

Pies ucichł, ale tylko na moment. Kriger zamachał na powitanie i zsiadł z roweru. Od razu podszedł do wilczura i poklepał go po grzbiecie. Brutus zapiszczał z radości.

Witek wyszedł z domu w samych szortach i gumowych klapkach. Niósł dwa piwa. Jedno podał Williamowi.

– Co myśmy, kurwa, takiego zrobili, że pogoda tak się nad nami znęca? Piekło. Daję słowo.

Kriger przytaknął i wskazał na psa.

– Dlaczego trzymasz Brutusa na łańcuchu?

– Dzisiaj rano wykopał padlinę u sąsiadów.

– Jaką padlinę?

– Padły im cztery gęsi. Leon zakopał je, a Brutus odkopał. – Witek wziął duży łyk piwa i grzbietem dłoni wytarł usta. – Taka natura wiejskiego psa. Jak poczuje padlinę, to wykopie. Przez kilka dni muszę go trzymać na łańcuchu. A tak w ogóle to Leon za płytke zakopał te gęsi.

William przyłożył zimną puszkę do policzka, potem do czoła. Ciężko oddychał. On też za płytko zakopał zwłoki w swoim sadzie. A może wcale nie. Może pół metra wystarczy. Może niepotrzebnie panikuje. Chciał zapytać Witka, pod jaką warstwą ziemi pies wyczuje padlinę. Już się szykował, żeby zadać to pytanie swobodnym tonem, ale sąsiad zmienił temat.

– Przyszedłeś po wóz?

– A już go zrobiłeś?

– Tak.

– Przecież jutro miałeś jechać na szrot po zderzak.

– Wyklepałem twój. Jest jak nowy.

Kruger otworzył piwo i napił się.

– Dwa dni temu mówiłeś, że trzeba wymienić.

– Nic takiego nie mówiłem. To ty mówiłeś o wymianie zderzaka. Jeśli chcesz to zrobić, to proponuję na nowy, a nie ze szrotu.

William wziął kolejny łyk piwa.

– No to w takim razie zabieram auto. Mogę u ciebie zostawić rower? Przyjdę po niego jutro.

– Jasne. A teraz chodź do domu. Ewa powiedziała, że masz wdepnąć na kawę.

William zastanawiał się, jak wykręcić się z tego zaproszenia. Witek i Ewa to jedyni mieszkańcy Dawid, z którymi się zaznajomił. Raz w tygodniu kupował od nich dwadzieścia jajek. Wiedział, że się chwala znajomością z nim, z profesorem z Warszawy, dlatego czasami bywał u nich na kawie. Nie zależało mu jednak na zacieśnianiu tych więzi. Pasowali mu jako sąsiedzi, a nie przyjaciele.

– Znajoma ma do mnie wpaść. Jest w drodze nad morze. Powiedziała, że zajedzie – oznajmił z udawanym smutkiem.

Witek uśmiechnął się, odsłaniając brak górnej trójki.

– Skoro znajoma... no i jeśli ładna, to nie masz wyjścia.

Rozdział VI

WERA SZŁA OD STRONY PAŁACU. Niosła plecak. W ręku trzymała butelkę z wodą. Ubrana była nieodpowiednio do temperatury. Spodnie do kostek i bluzka z długim rękawem. I ta sama fryzura co wczoraj, włosy upięte w ciasny kok.

William zaskoczył widok dziewczyny. Tak się jej spieszyło, a jednak wciąż była w Dawidach. Zahamował. Uchylił szybę i zawołał:

– Słońce świeci dla wszystkich, ale dlaczego dla nas podwójnie?

– Bo sobie zasłużyliśmy – odpowiedziała, pochylając się i zaglądając do auta.

Twarcz miała mokrą od potu. Na dłoniach białe bawełniane rękawiczki.

– Co powiesz na klimatyzowane wnętrze? – rzucił zachęcającym tonem.

– Skorzystam.

Usiadła w fotelu pasażera. Sapnęła z ulgą.

Ruszył.

– Gdzie cię podrzucić?

– Tam, gdzie chłodniej. Mógłbyś?

– To będzie trudne, ale postaram się. Nocowałaś w pałacu?

– Nie. Poszłam tylko go obejrzeć.

– Myślałem, że ruszyłaś już w dalszą drogę. Wczoraj wyglądało na to, że się spieszysz.

– A pamiętasz, że dawałam ci dwa dni na napisanie powieści? Zaplanowałam sobie, że zostanę tu dwa dni. No

i zostałam.

– Skąd jesteś?

Zawahała się.

– Z Warszawy. – Po chwili dodała: – Właściwie z Łomży, ale teraz mieszkam w Warszawie.

Domyślił się, że została tam po studiach. Zaparkował przed swoim domem. Gdy otworzył drzwi auta, do wnętrza wpadło gorące powietrze wraz z letnią ciszą. W południowym skwarze nawet ptakom nie chciało się śpiewać.

– To tutaj ma być chłodniej? – Teatralnie przybrała rozczarowaną minę. – Nie przypominam sobie, żebyś miał klimę. Chyba że jej nie włączyłeś, bo oszczędzasz na prądzie.

– Nie mam klimy. W zamian mogę ci zaproponować mrożoną kawę.

– Niech będzie – zgodziła się łaskawie.

Weszli do domu. William otworzył okna i drzwi na taras. Liczył na przeciąg czy choćby na minimalny podmuch. Niestety, powietrze nawet nie drgnęło. Wyjął z lodówki dzbanek z kawą i wyszedł na taras. Wera siedziała już przy ogrodowym stole. Poprawiała rękawiczkę, zasłaniając nadgarstek.

– Masz problemy skórne? Dlatego te rękawiczki?

– Tak, mam alergię prawie na wszystko.

Zdjęła prawą rękawiczkę. Zobaczył zaognione plamy na grzbiecie dłoni i coś jeszcze, co stało w sprzeczności z jej wcześniejszym twierdzeniem o alergii niemal na wszystko. Ślad po obrączce. Na złoto uczulenia nie miała, bo skóra na palcu nie była zaczerwieniona.

– To nie jest zaraźliwe, ale nie wygląda ładnie – oznajmiła.

– Nie wygląda też źle. Mnie ten widok nie przeszkadza. Możesz zdjąć rękawiczki. Nie musisz się męczyć w tym upale.

– Chciałabym, ale słońce mi nie służy.

Włożyła z powrotem rękawiczkę i uniosła szklankę z mrożoną kawą. Napiła się i pokiwała z uznaniem. Robił mocną kawę i dodawał trochę aromatu migdałowego. Ucieszył się, że jej zasmakowało.

Milcząc, siedzieli w gęstym gorącym powietrzu nasyconym drażniącym zapachem wysuszonej trawy i słodką wonią gruszek. Z sadu dobiegało ciche buczenie owadów, poza tym żaden inny dźwięk. Wera zaczęła ostentacyjnie się rozglądać.

– Nie powiedziałabym, że jest tu pięknie, ale na pewno spokojnie.

– Pięknie będzie, jak zadbam o sad. Na razie skupiłem się na pomidorach.

Wskazała palcem na ścianę szklarni lśniąca od odbitych promieni słonecznych.

– Tam rosną pomidory?

– Tak.

– Ktoś ci pomaga w ich uprawie? Nie wierzę, że spędzasz tu całe dni zupełnie sam.

– Na co dzień jestem samotnikiem. Ale mam duże grono bliskich znajomych. Często ich tu zapraszam i jest mi z tym dobrze.

– Aha!

Znowu siedzieli w milczeniu i popijali kawę. Po paru minutach Wera przerwała ciszę.

– Przeczytałam początek powieści.

William czekał, aż dziewczyna zacznie ten temat. Wczoraj zdecydowanie domagała się tekstu, a do tej pory ani słowa komentarza. Trochę dziwne. Ponadto naprawdę ciekawiła go jej opinia.

– I co? – zagadnął, zachęcając ją do kontynuowania.

– No, podoba mi się. Są emocje. No i temat mi pasuje, zaginięcie dziecka.

– A masz już pomysł, co zrobisz dalej z fabułą?

– No nie wiem. Może ty mi podpowiesz?

– Nie podpowiem.

Zaśmiała się nerwowo.

– Myślałam o tym, że ojczym zaginionej Matyldy wynajmie prywatnego detektywa, żeby jej szukał.

Wera posłała mu pytające niepewne spojrzenie.

– Może być detektyw, ale z lokalnych policjantów na twoim miejscu bym nie rezygnował.

– Dobrze, nie zrezygnuję. A ten Pasłek to tutaj niedaleko?

– Tak, jakieś dziesięć kilometrów od Dawid.

– Chyba powinnam go zwiedzić, skoro tam się dzieje akcja mojej powieści?

– Nie musisz. Możesz przenieść akcję do innego małego miasteczka w Polsce, które znasz.

Upiła kawy. W jej ruchach pojawiła się nerwowość. Uśmiech wydawał się wymuszony.

– Tylko jedna rzecz mi nie pasuje – oznajmiła, poprawiając się na krześle.

– Co takiego?

Naprawdę był zaciekawiony.

– Myślałam, że ten początek będzie dłuższy. Te kilka stron za tysiąc euro, to trochę mało. Na swojej stronie podałeś minimalną ilość znaków tekstu, który oddajesz. Wydaje mi się, że mój początek tyle nie ma.

Wera się myliła. Jej początek osiągnął minimum znaków. Nie musiała tego wiedzieć, bo dostała tekst jako wydruk. Prawdą było jednak to, że otrzymała mniej niż inni klienci. Zwykle pisał więcej niż minimum. Wczoraj jednak wyjątkowo nie szła

mu praca, dlatego przerwał w momencie, gdy spełnił wyznaczony przez siebie limit znaków. Nigdy nie uzupełniał wysłanego raz początku. Teraz postanowił zrobić wyjątek.

– Jeśli jeszcze posiedzisz u mnie trzy godziny, to dopiszę ci te kilka stron.

Wera klasnęła w dłonie. Odgłos klaśnięcia przytłumił materiał rękawiczek.

– Naprawdę zrobisz to?

– Tak.

– Jesteś cudowny. – Śmiała się oczami i ustami. – Mam przez ten czas ugotować obiad?

– Daj spokój z obiadem. Jest za gorąco. W zamrażalniku mam lody waniliowe. Nałóż nam, dodaj jakieś owoce i ubij śmietaną. Uwielbiam lody z bitą śmietaną.

– Już się biorę do roboty.

Zerwała się z krzesła, gotowa do działania.

Rozdział VII

WERA WDYCHAŁA GĘSTE POWIETRZE otwartymi ustami i wpatrywała się w zachodzące słońce. William powiedział, że zajmie mu to trzy godziny, a tymczasem pisał już dziewięć godzin. Czasami wstawał od laptopa i chodził po sadzie albo po domu. Nie zagadywała do niego, nie podpytywała. Starła się być niewidoczna, żeby tylko mu nie przeszkadzać, żeby napisał jak najwięcej.

Przygotowała lody, o które prosił. Potem zrobiła kanapki i postawiła mu je koło laptopa. Podziękował, nawet na nią nie zerkając. Nakarmiła też kota, który kręcił się koło domu. Miała ochotę wejść na górę i poszperać w rzeczach Williama. Może dopisałoby jej szczęście i znalazłaby coś interesującego, jakiś ślad. Bała się jednak, że mógłby ją na tym przyłapać. Wtedy by ją wyrzucił i musiałyby zmieniać swój plan.

Uniosła bluzkę, odsłaniając brzuch i plecy. Ciało kleiło się jej od potu. Machnęła ręką, odganiając osę. Trawa cicho szeleściła pod jej stopami, gdy szła w stronę domu. Krigera nie było na tarasie. Otwarty laptop kusił, żeby zajrzeć i przeczytać choć kilka zdań. Nie zrobiła jednak tego. Powinna być cierpliwa. Stawka jest zbyt wysoka.

Weszła do domu i nasłuchiwała. Z piętra dochodził cichy szmer. Rozpoznała go. To był dźwięk pracującej drukarki. Chwilę później Kriger pojawił się na schodach. Wręczył jej wydruk.

– Gotowe – oznajmił.

Wera mimowolnie zarejestrowała fakt, że teraz plik kartek był grubszy niż za pierwszym razem. Pochwyciła też mocne spojrzenie Krigera. Zacisnęła zęby. Gorąco pulsowało jej w skroniach. Powinna podziękować mu uśmiechem, ale to było ponad jej siły. Odwróciła się, żeby na niego nie patrzeć. Usiadła na leżaku na skraju tarasu i zaczęła czytać.

CZEŚĆ CZWARTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 6

CO ROBIĆ, GDY ZAGINIE twoje dziecko? Najlepiej roztrzaskać sobie głowę na najbliższej ścianie. To jedyny sposób, żeby poradzić sobie ze strachem i bezradnością.

Przed domem Kowalików stała kobieta. Blondynka z niebieską grzywką. Niebieski szalik kilkoma warstwami owijał jej szyję. Wyglądała jak wciśnięta w olbrzymi obwarzanek. W ustach trzymała elektronicznego papierosa. Kłęb dymu przysłaniał jej zaczerwienioną od zimna twarz.

– To pan jest ten słynny Dizel? – zapytała zmarzniętymi wargami.

Damian zatrzymał się półtora metra przed kobietą. Papierosowy dym nie zachęcał do podejścia bliżej.

– A pani jest kimś z rodziny zaginionej dziewczynki?

– Nie. Jestem dziennikarką „Głosu Pasłęka”. Nazywam się Justyna Drabicz.

– W takim razie w tej chwili nie pogadamy. Może później.

Wyminął kobietę, kierując się na schody.

– Jestem też przyjaciółką Weroniki Kowalik. Od niej wiem, że dzisiaj miał przyjechać Dizel. Mam nadzieję, że im pan pomoże, że pan ją odnajdzie, jak tego chłopca w Monachium.

– Będę się starał – rzucił przez ramię przychylnym tonem.

Drzwi otworzył mu mężczyzna z imponującą czupryną. Gęste siwe włosy wydawały się falować przy każdym ruchu głową.

– Dobrze, że pan jest, panie Dizel. Weronika umiera z rozpaczy. W panu nadzieja.

Damian rozpiął kurtkę. W domu było bardzo gorąco.

– Pan nie jest mężem Weroniki?

– Jestem jej ojcem. Bogdan Szulc.

Dizel podążył za mężczyzną szerokim holem. Pootwierane drzwi ujawniały wytworne wnętrza zasobne w obrazy i gustowne meble. W najmniejszym i najskromniej urządzonej pokoju czekała na nich Weronika Kowalik. Siedziała owinięta w koc. Miała za sobą nieprzespaną i przepłakaną noc. Było to widać w zaczerwienionych białkach oczu i spuchniętych powiekach. Przed nią na stole stała szklanka z wodą, obok leżały tabletki.

– Jestem Damian Górecki – przedstawił się.

– Damian Dizel Górecki – powtórzyła cicho, a na jej twarzy pojawił się cień nadziei. – Proszę, niech pan znajdzie moją córeczkę.

Łzy popłynęły po bladych policzkach kobiety. Dizel usiadł naprzeciwko.

– Proponuję, żebyśmy wszyscy przeszli na ty. Trochę czasu spędzimy razem. Ułatwi nam to komunikację.

Weronika przytaknęła, po czym spojrzała na opartego o futrynę Bogdana.

– Tato, proszę, zrób Dizelowi kawę.

– Za kawę na razie dziękuję. Tylko chwilę porozmawiamy, a potem pójdę szukać informacji na zewnątrz.

– Na zewnątrz? Czyli gdzie?

– U ludzi. Przede wszystkim na komisariacie i u mieszkańców tej ulicy, przy której zaginęła twoja córka.

Bogdan przysiadł na brzegu kanapy i pochylił się do przodu. Pięści miał zaciśnięte.

– Policja nic nie robi, zupełnie nic. Mówiłem im, żeby sprowadzili psa tropiącego. I wiesz, co mi powiedzieli?

– Powiedzieli, że nie ta pogoda?

– No właśnie, pogoda im nie pasowała. Tu chodzi o dziecko, a im pogoda przeszkadza.

Żal dźwięczał w głosie dziadka zaginionej dziewczynki.

Przy padającym śniegu pies raczej nie złapałby tropu. A po zaginięciu Matyldy niestety zaczęło padać. Na miejscu tutejszych funkcjonariuszy Dizel też nie zawniioskowałby o psa tropiącego. Przez osiem lat pracował w wydziale kryminalnym olsztyńskiej komendy. Policyjne procedury i niepisane zasady nadal determinowały jego myślenie, choć to właśnie z ich powodu zrezygnował ze służby. Jako prywatny detektyw wcale nie miał więcej możliwości, ale chociaż nie musiał się słuchać głupszych od siebie.

Weronika podciągnęła koc pod brodę. Ramiona jej dygotały, mimo że w pokoju panowała wysoka temperatura.

– Czy twój mąż mógłby uprowadzić córkę?

– Mój mąż?

Kobieta otworzyła szeroko oczy. Miała piękne zielone tęczęwki. To one dodawały jej urody.

– Tak, pytam o ojca dziewczynek.

– Aha, o Juliana. To mój były mąż. Julian na pewno by nie uprowadził Matyldy. Mój obecny mąż też by tego nie zrobił.

– Jakie relacje łączą cię z byłym mężem?

– Dobrze.

– Dlaczego się rozstaliście?

– Bo poznałam Oskara i się zakochałam.

– Rzuciłaś męża dla innego i nadal masz z nim dobre relacje?

Piers Weroniki uniosła się pod kocem, gdy głęboko westchnęła.

– Julian jest dobrym człowiekiem, jest bardzo poczciwy.

Dizel pokiwał głową, jak gdyby przyznawał jej rację.

– Jak się zachowywał, gdy przyszedł po dzieci?

– Normalnie. Znowu żartował. Poprosiłam go, żeby na nie uważał. A on powiedział, że będzie uważał, że jeśli komuś je odda, to będzie to ktoś sympatyczny.

Weronika się rozplakała. Łzy ciurkiem spływały po policzkach i skapywały na koc.

– Ten żart o oddaniu dzieci, to typowe dla twojego byłego męża?

– Tak. Kiedyś bardzo mnie denerwował ten jego niestosowny humor, ale od czasu rozwodu już nie. Teraz nawet czasami mnie bawią te jego żarty.

– Dlaczego nakazałaś mu, że ma uważać na dziewczynki?

– Zawsze to mówię.

Dizel spojrział na Bogdana.

– Zabierasz gdzieś czasami wnuczki?

– Tak, oczywiście.

– Czy córka powtarza ci za każdym razem, że masz uważać na dziewczynki?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, ale chyba nie.

– Aha, czyli jeśli Julian zabierał dziewczynki, to się o nie niepokoiłaś, a gdy twój ojciec, to już nie? Dobrze rozumiem?

Weronika głośno pociągnęła nosem.

– To nie tak.

– A jak?

– Bo Julian jest taki nieostrożny. To nie o to chodzi, że ja się bałam tego, że on coś im specjalnie zrobi. On po prostu jest nieostrożny. Teraz też był nieostrożny, bo zostawił Anię i Matyldę same w samochodzie i poszedł do sklepu. Nawet nie zablokował drzwi, a przecież wie, jaka Matylda jest ruchliwa. Powinien się domyślić, że może wysiąść. – W zielonych oczach

kobiety znowu zebrały się łązy. – Chcę, żeby moja ukochana córeczka wróciła – wyszeptała drżącymi ustami.

– Zrobię wszystko, żeby się znalazła – zapewnił Damian. – Chciałem jeszcze zapytać o tę kobietę przed domem. Powiedziała, że jest dziennikarką i twoją przyjaciółką. To prawda?

– Tak, to Justyna Drabicz. Znamy się jeszcze z liceum.

Górecki wstał. Bogdan poprawił koc na kolanach córki i też się podniósł.

– Kochanie, odprowadzę Dizela do drzwi, a ty spróbuj się zdrzemnąć.

– Tato, co ty mówisz? Matylda zniknęła, a ja mam spać? – W głosie Weroniki pojawił się ton świadczący o nadchodzącym ataku hysterii. – Powinnam jej szukać.

– Do tego wynajęłaś mnie – zauważył spokojnie Damian.

Zastanowił się, czy nie zaangażować matki Matyldy do czytania komentarzy na profilu poświęconym zaginięciu jej córki. Może wyczytałaby coś ważnego. Uznał jednak, że to nie jest dobry pomysł. Ta kobieta nie udźwignęłaby tych wszystkich spekulacji, których autorzy prześcigaliby się w snuciu katastroficznych wizji. No i musiałyby zmierzyć się z hejtem o nieodpowiedzialnych rodzicach. Postanowił jej tego oszczędzić.

Dizel sam założył profil o zaginięciu pięcioletniej dziewczynki z Pasłęka. Wrzucił dwa zdjęcia, na jednym Matylda kuciała pod choinką, na drugim Weronika całowała córkę w czubek głowy. Obie fotki chwytaly za serce. W poście poprosił o informacje pomocne w znalezieniu dziewczynki. Przy czym zaznaczył, że interesują go też sugestie, hipotezy i podejrzenia. Chciał, żeby mieszkańcy Pasłęka się rozgadali i bez skrupowania donosili na sąsiadów. Gdy jeszcze był w służbie,

zrozumiał, że ludzie są najlepszym źródłem informacji. Ani ślady daktyloskopijne, ani monitoring czy bilingi nie dają tyle, co umysł człowieka, który pragnie pomóc albo tylko chce znaleźć się w kręgu ciekawej sprawy. Teraz, gdy nie miał tak szerokiego dostępu do zabezpieczania śladów kryminalistycznych, jeszcze bardziej docenił słowa ludzi. To właśnie przeglądając komentarze na profilu założonym przez rodzinę ośmioletniego Arona z Monachium, trafił na trop chłopca.

Przeszedł do obszernego holu. Bogdan podążał za nim.

– Co sądzisz o swoim zięciu?

– O Julianie?

– Tak, o nim.

Mężczyzna obejrzał się za siebie, upewniając się, że córka została w pokoju.

– Dobrze, że Weronika go zostawiła. To nieudacznik. Z Oskarem ma lepiej.

– Czy Julian mógłby uprowadzić Matyldę, żeby się zemścić?

Bogdan obiema dłońmi przygładził falujące włosy.

– Nie wiem. Ale to mało prawdopodobne. On jest taki...

– Jaki?

– Bez jaj. W ogóle nie walczył o Weronikę. Gdy go poznałem, to wyglądał mi na dobrze wychowanego, ale to nie to. Tam, gdzie się Julka pchnie, tam pójdzie. To nie jest prawdziwy facet.

Dizel tworzył sobie w głowie portret człowieka zdesperowanego, którym wszyscy gardzą. O zdradzonym i porzuconym mężu nie mówi się, że jest poczciwy, bo to brzmi jak obelga. A tak określiła go Weronika. Może Julian już nie wytrzymał i postanowił dać im wszystkim nauczkę. Jeśli to on uprowadził córkę, to teraz musiał czuć ogromną władzę. Od

niego zależało, czy była żona i byli teściowie wrócą do normalnego życia.

Rozdział 7

JUSTYNA DRABICZ WCIĄŻ STAŁA przed domem. Skończyła już palić elektronicznego papierosa. Teraz trzymała ręce w kieszeniach płaszcza. Szalik podciągnęła pod nos. Niebieska grzywka fruwała na lekkim wietrze. Nie odezwała się do Damiana. Tym razem czekała na jego gest.

Dziennikarka i przyjaciółka matki zaginionej dziewczynki, takiego źródła informacji nie mógł sobie odpuścić. Powinien dobrze zaznajomić się z tą kobietą.

– Szukam noclegu w Pasłuku. Coś mi doradzisz? – zagadnął.

Odrzuciła głowę do tyłu, głównie po to, żeby odsłonić usta z fałd szalika.

– Hotelik 51, mały, a o tej porze roku prawie pusty. I w dobrej lokalizacji.

– Hotelik, fajnie, ale może znasz kogoś, kto udostępniłby mi swoje mieszkanie. Wystarczy mi jeden pokój.

Przymrużyła oczy, jak gdyby usiłowała coś sobie przypomnieć.

– Myślę, że coś znajdę.

– Super. Jadę teraz na Ogrodową, a potem na komisariat. Dam ci swój numer telefonu.

– Już mam twój numer. Zadzwoń, gdy będę miała dla ciebie klucze do mieszkania.

– Dzięki za pomoc.

– Nie dziękuj. Jeszcze nic nie załatwiłam. Poza tym odwdzięczysz się informacjami. Chciałabym, żebyś mnie

pierwszą powiadomił, gdy wpadniesz na trop Matyldy albo w ogóle dowiesz się czegoś ciekawego.

Odwróciła się i zaczęła iść pustą ulicą. Patrzył za nią przez chwilę. Jak na dziennikarkę była mało nachalna. Powinna poprosić go o wywiad. Nieważne, czy coś ustalił. Dobrym tematem na artykuł jest już to, że słynny Damian Dizel Górecki prowadzi poszukiwania małej Matyldy.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Dzisiaj w Pasłęku było sucho i mroźnie. Duże płatki śniegu nie topniały, lecz powoli pokrywały wszelkie powierzchnie. Ruszył. Nie miał daleko. Matylda zaginęła niecałe półtora kilometra od własnego domu. Zaparkował na Ogrodowej opodal Biedronki. W zasięgu wzroku po drugiej stronie ulicy znajdował się sklep spożywczy. To tam wczoraj Julian kupował córkom żelki. Sporo tu było punktów usługowych i handlowych. Na jednej z wystaw dostrzegł zapomnianą dekorację świąteczną. Ludzi na Ogrodowej nie brakowało. Poniedziałkowe zakupy przyciągnęły znaczne grono pasłęczan. Do piekarni i cukierni wchodziły tłumy. Ze sklepu z asortymentem dla maluchów wyszła kobieta z czwórką dzieci. Kilkunastu przechodniów podążało w obu kierunkach ulicy. No i samochody, tych było dużo. Wczoraj zapewne znajdowało się tutaj mniej osób, bo niedziela, ale pozostawali jeszcze mieszkańcy Ogrodowej, a tych nie mogło być mało, uwzględniając liczbę budynków. Po jednej stronie ulicy stały dziewiętnastowieczne kamienice, po drugiej bloki z PRL-u. To niemożliwe, żeby zaginięcia Matyldy nikt nie przyuważył. Ktoś musiał widzieć całe zdarzenie, ale z jakiegoś powodu woli cicho siedzieć.

Dizel wybrał najbliższą kamienicę i podszedł do drzwi. Przycisnął domofon. Sekundę później tłumaczył, że przychodzi w sprawie zaginionej dziewczynki. Wpuszczono go do środka.

Wbiegł na pierwsze piętro. W uchylonych drzwiach czekała na niego nastolatka.

– Mamo, miałaś rację, to ten detektyw od Niemców! – zawołała za siebie.

W progu pojawiła się okołoczerdziestoletnia kobieta z papugą na ramieniu.

– Już cały Pasłek mówi, że pan przyjechał szukać tej małej. – Wyciągnęła rękę. – Barbara jestem.

Dizel zdawał sobie sprawę z tempa, z jakim informacja roznosiła się w kilkunastotysięcznych miasteczkach, ale i tak był zaskoczony.

– Kama, zrób panu Dizelowi kawy. Napije się pan kawy?

– Chętnie.

Nastolatka patrzyła szeroko otwartymi oczami na jego poranioną głowę. Odruchowo dotknął szramy nad lewym uchem. Ta swędziała go najbardziej, ale była też najmocniej zaogniona.

– Miałem mały wypadek – wyjaśnił.

– Mały wypadek? Wpadł pan podczołg?

– Kama, prosiłam cię o kawę.

– Już idę.

Dziewczyna cofała się, nie odrywając od niego spojrzenia. Wreszcie zniknęła w kuchni, a Damian wszedł do salonu.

– Bardzo panu kibicowaliśmy, gdy pan szukał tego chłopca w Monachium. Ja stawiałam na pana, a mój brat na Niemców. No i wyszło na moje. Pan go znalazł, a nie oni.

– Ważne, że chłopiec znalazł się żywy – zauważył Damian.

Internauci w Polsce zamienili poszukiwanie ośmioletniego Arona w swoistą rywalizację z monachijską policją. Sam się do tego przyczynił, akcentując swoją polskość. Kilka miesięcy wcześniej dostał od kolegów z komendy w Olsztynie czarną

kurtkę z białym orłem na plecach. Kurtka była ciepła i wygodna, pojechał więc w niej do Niemiec. Wystarczyło kilka fotek wrzuconych do sieci, a biały orzeł z rozpostartymi skrzydłami opadającymi na rękawy stał się jego znakiem rozpoznawczym. Detektyw z Polski, który intuicją przewyższał nowoczesne techniki niemieckich funkcjonariuszy. Tak go widziano głównie po tej stronie Odry.

– Mam nadzieję, że tę małą też pan znajdzie. Oczywiście żywą. A skąd pan wiedział, że powinien przyjść akurat do nas?

– A jak pani powiem, że wybrałem wasze mieszkanie na chybił trafił, to pani uwierzy?

– Oczywiście, że nie uwierzę. – Barbara zaśmiała się pełną pierśią. Papuga wydała z siebie podobny dźwięk. – Przyszedł pan tutaj, bo ta dziewczynka zniknęła pod moimi oknami. Chce pan wiedzieć, czy coś widziałam.

– Tak, właśnie to chcę wiedzieć.

– Niestety, nie było mnie wtedy w domu. Odwiedzałam brata. Ale moja córka była świadkiem tego wszystkiego. Policja ją przesłuchiwała.

Kamila weszła do salonu. Niosła kawę. Gdy stawiała ją przed Damianem, zatrzęsała się jej ręka. Odrobinę kawy wylało się na spodeczek.

– Sorki – mruknęła, czerwieniąc się.

Czarny obszerny sweter, tego samego koloru legginsy, do tego czerwone ostrzyżone po męsku włosy i różowy motyl wytatuowany na nadgarstku. Dziewczyna zapewne myślała, że prezentuje się oryginalnie, a według niego wyglądała jak typowa nastolatka.

– Ile masz lat? – zapytał, sięgając po filiżankę.

– A co? Chce się pan ze mną umówić?

– Kamila! Przestań! – W głosie Barbary pojawiła się ostra nagana. – Moja córka za cztery miesiące skończy siedemnaście lat.

Dziewczyna przysiadła na niskiej pufie i dłońmi objęła kolana.

– Powiesz mi, co wczoraj działo się pod waszą kamienicą?

– Nie ma co opowiadać. Było dużo lamentów, krzyków i biegania.

– A może coś zwróciło twoją uwagę?

Kamila spojrzała przelotnie na matkę.

– No powiedz panu Dizelowi! Przecież twoje zeznania mogą się przydać do odnalezienia Matyldy.

– Wcale się nie przydadzą!

Podniosła głos, jak gdyby niesłusznie oczekiwano od niej zbyt dużo.

– Nigdy nie wiadomo, co może się okazać ważne. Nawet jeśli masz coś banalnego, to dawaj mi to.

– Ale to jest głupie.

– Sam to ocenię.

Dziewczyna przesunęła dłońmi od kolan po kostki.

– No bo ci ludzie zaczęli od razu gadać, że to pedofil porwał tę małą. Bo ona była identyczna jak ta druga, co została w samochodzie. Że taka słodka. Blondynka i miała zielone oczy.

– A ty nie wierzysz w wersję z pedofilem?

– To nie o to chodzi, że nie wierzę. Po co zakładać najgorsze?

Barbara nie potrafiła ukryć entuzjazmu, jak gdyby córka opowiadała o zakupach, a nie o zaginięciu dziecka. Zdjęła papugę ze swojego ramienia i włożyła ją do klatki.

– Powiedz jeszcze o Laurze.

Kamila się skrzywiła. Nie lubiła być instruowana. Typowa nastolatka.

– Nie ma o czym.

– Jak to nie ma o czym. – Kobieta przysiadła na drugiej pufie. – Na naszej ulicy mieszka pierwsza żona pana doktora, Laura Kowalik. Gdy ludzie wyszli na ulicę, żeby szukać dziewczynki, to ona też się pojawiła, ale nie brała udziału w poszukiwaniach. Po prostu stała i wszystkiemu się przyglądała. Kama zrobiła jej zdjęcie. Kamuś, pokaż tę fotkę!

Dziewczyna się przeciągnęła, potem podrapała po łydkach. Demonstracyjnie informowała otoczenie, że nikt nie będzie wydawał jej poleceń.

– Pokażesz mi te zdjęcia? – zapytał uprzejmie Damian.

Niespiesznie wyjęła telefon spod swetra i chwilę później podeszła do niego.

– To ona.

Zobaczył na wyświetlaczu iPhone'a białą kobietę, dosłownie białą, jak gdyby światło księżyca się od niej odbiło. Tę nienaturalną biel podkreślał jeszcze czarny płaszcz.

– To albinoska?

– Tak. Doktor ją zostawił dla matki tych dziewczynek – oznajmiła Barbara. – Okropne. Nie uważa pan? Wygonił z domu chorą kobietę i na jej miejsce wziął młodszą, ładniejszą, no i zdrową.

– Mamo, nie przesadzaj. Albinizm to nie jest aż taka straszna choroba.

– Czyli Laura Kowalik mieszka na tej samej ulicy, na której zaginęła Matylda? – zagadnął Dizel.

Barbara zatarła ręce.

– Tak, dokładnie tak jest. Też pan uważa, że to daje do myślenia?

Nie odpowiedział.

– Masz więcej fotek?

– Kilka.

Podawała mu iPhone'a. Zdjęć było osiem. Od zrobienia pierwszego do ostatniego minęło dziewięć minut. Krótka dramatyczna historia w cyfrowym zapisie. Najpierw policjanci wysiadają z radiowozu. Potem Julian trzyma w objęciach zapłakaną córkę. Na kolejnej fotce siedzi w samochodzie i ściska sobie głowę. Następne zdjęcia prezentowały ludzi, skulonych, z twarzami skierowanymi w jednym kierunku. Wreszcie Laura Kowalik odcinająca się bielą od szarego tła, zaraz potem Weronika Kowalik wspierająca się na ramieniu wysokiego mężczyzny z ciemną brodą, a na kolejnej fotce tuląca córkę. Obiektyw uchwycił jakieś emocje, ale jakie? Co wyrażają te otwarte oczy i usta, podniesione ręce, wygięte tułowia i odrzucone głowy?

– Mogę przesłać sobie te zdjęcia?

– Jasne.

Chwilę później oddał Kamili aparat.

– Co robiłaś, zanim to na ulicy się zaczęło?

– Jadłam kanapki i powtarzałam słówka z hiszpańskiego.

– I co cię od tego oderwało?

– Nie pamiętam. Chyba nic. Po prostu podeszłam do okna i zobaczyłam ludzi. Pomyślałam, że coś się zadzieje. No to wyszłam z telefonem.

Kamila ścisnęła w dłoniach iPhone'a, jak gdyby ktoś zaraz miał go jej odebrać. Od samego początku usiłowała odgrywać wyluzowaną nastolatkę, brakowało jej jednak talentu aktorskiego. Napięcie w głosie, uciekający wzrok i nerwowa mimika dowodziły, że wczorajsze wydarzenie bardzo na nią wpłynęło.

– Dziękuję za wszystkie informacje.

Wstał. Barbara poderwała się z pufy.

– Pomogłyśmy panu?

– Tak, pomogliście i to bardzo.

Powiedział to, żeby zadowolić Barbarę. Udało mu się. Ogromna satysfakcja sprawiła, że jej policzki zapłonęły, a ciało się wyprężyło.

Rozdział 8

NA KOMISARIACIE BYŁO ZIMNO. Oszczędzali ciepło i prąd. Dawniej oszczędzało się papier do drukarek i toaletowy. Aspirant Kosma Bielewicz był za tym, żeby ograniczyć zużycie papieru, bo w policji rozpasanie w tworzeniu notatek, raportów, protokołów przekraczało granice zdrowego rozsądku. Z normami nałożonymi na prąd nie mógł się jednak pogodzić. Pijał pięć kaw w pracy i miał nadzieję, że niebawem powróci możliwość nielimitowanego korzystania z ekspresu i elektrycznego czajnika. Dobrze chociaż, że nie ograniczono im używania komputerów.

Przeglądał właśnie profil na Facebooku o nazwie: „Gdzie jesteś, Matyldo?”. Identyczny profil godzinę temu pojawił się na Instagramie. Na obu kontach w sumie znalazło się już kilkadziesiąt wpisów. Zwykle internauci kierowali do rodziny słowa wsparcia i wyrażali nadzieję, że dziewczynka szybko się znajdzie. Byli też tacy, którzy hejtowali ojca Matyldy. Jak mógł zostawić dzieci w samochodzie i pójść na zakupy? Żadna matka by tak nie postąpiła, bo matki mają lepiej rozwinięty instynkt opiekuńczy. Kosma szukał komentarzy pastęczan. Liczył na to, że ktoś coś zauważył, nawet nie samo zaginięcie dziewczynki, ale coś niecodziennego, i postanowił podzielić się swoją obserwacją w internecie. Może tego dnia w mieście pojawił się ktoś zachowujący się podejrzanie albo może któryś z mieszkańców znalazł coś specyficznego, na przykład lornetkę wciśniętą w kubek na śmieci. Niejaki Adam Lotnik żartował, że należałoby sprawdzić Rodzinę K. z Kraszewskiego,

bo ci mają już ośmioro dzieci i jedno więcej by im nie przeszkadzało, a zawsze to dodatkowe kilka stówek. Wesoła profesorka radziła rodzinie Matyldy, aby wyznaczyli nagrodę za informacje o zaginionym dziecku. A Krzysztof Z. przed godziną informował, że w mieście był już widziany Damian Dizel Górecki.

Aspirant Bielewicz wiedział, że rodzina wynajęła Dizela. Doktor Oskar Kowalik, ojczym zaginionej dziewczynki, osobiście go o tym poinformował. Wyjaśnił, że to wcale nie świadczy o ich braku zaufania do państwowych organów ścigania. Po prostu chcą wykorzystać wszystkie możliwości. Kosma rozumiał tę decyzję. Miał dwunastoletnią córkę i gdyby, nie daj Boże, któregoś dnia znikła, to też wynajęłby tego właśnie detektywa, a przecież sam jest funkcjonariuszem.

Zaczął ponownie czytać jeden z komentarzy na Instagramie. Robert Bodner pisał: „Nie chcę się wymądrzać, ale policja powinna poszukać tego czarnego samochodu. Może to nie ma nic wspólnego z zaginięciem małej Matyldy, ale w sobotę czarny duży wóz zatrzymał się w centrum miasta, naprzeciw parku, w pobliżu placu zabaw, gdzie bawiło się kilkoro dzieci. Już od dwóch matek słyszałem o tym samochodzie. Podobno nikt z niego nie wysiadł. Stał kilka minut, a potem odjechał”.

Kosma przerzucił się na facebookowy profil. To tam przed paroma minutami również przeczytał o podejrzanym czarnym samochodzie. Pospiesznie przebiegał wzrokiem posty. Znalazł. Królowa Nocy informowała, że widziała z okna swojego mieszkania czarny duży wóz, który powoli sunął ulicą Spacerową i miał wyłączone światła. „Czy to nie dziwne, że po ciemku?” – pytała Królowa i jeszcze zauważyła, że na sąsiedniej ulicy zniknęła Matylda.

Dzisiaj rano dostał zapis monitoringu sprzed Biedronki. Market znajdował się prawie naprzeciwko spożywczaka, w którym Julian kupował żelki. Było to jedyne nagranie, jakim dysponował z Ogrodowej. Już je przejrzał i niczego specjalnego nie zobaczył. Obiektyw nie obejmował przeciwległego chodnika, tylko ulicę i miejsce przed samą Biedronką. Nagrało się niewiele samochodów i mało przechodniów, no bo niedziela. Wyjął z szarej koperty płytę. Postanowił jeszcze raz rzucić okiem na zapis. Przewinął film od razu na dziewiętnastą i zaczął oglądać. Przez kwadrans, czyli do momentu, w którym przypuszczalnie zaginęła dziewczynka, na chodniku pojawiła się tylko jedna osoba. Sylwetka i ruchy wskazywały, że jest to młody mężczyzna. Ponadto przejechały trzy samochody, żaden z nich nie był czarny i duży. Ostatni był jasny renault. Kamera zarejestrowała auto o dziewiętnastej trzynaście. Powinien znaleźć ten samochód na jakimś innym monitoringu, może udałoby się ustalić numer rejestracyjny i dotrzeć do kierowcy, który mógł przecież coś widzieć, na przykład Matyldę wysiadającą z opla albo idącą chodnikiem.

Kosma przewinął film do dziewiętnastej dwadzieścia. Wtedy Julian szukał już córki, wówczas też na monitoringu pojawił się człowiek na hulajnodze, a chwilę potem przejechał kolejny samochód. Minutę później przed Biedronką pojawili się ludzie, sześć rozglądających się osób, mieszkańcy ulicy szukający dziewczynki. Ktoś nawet podszedł do drzwi marketu, jak gdyby miał nadzieję, że zobaczy za nimi Matyldę. Julian Piątek w to miejsce nie dotarł. Ruszył szukać córki w przeciwną stronę, nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Jeśli kierował nim instynkt, to trafnie, bo przecież tam znalazł czapkę. Ta czapka też była sporą zagadką. Julian zeznał, że Matylda miała nałożoną ją na

czubek głowy. Mogła więc zwyczajnie ją zgubić, ale nie mógł wykluczyć, że spadła w momencie, gdy ktoś zgarnął dziewczynkę do samochodu właśnie w tym miejscu.

Drzwi się gwałtownie otworzyły i do pokoju wszedł starszy posterunkowy Karol Jaskóła.

– Zgadnij, kto do nas przyszedł – zagadnął już w progu.

– Dizel?

– Tak, on.

Kosma oderwał wzrok od monitora.

– No to przyprowadź go tutaj.

Starszy posterunkowy stanął przed biurkiem.

– Chcesz z nim gadać?

– No tak, przecież Weronika Kowalik wynajęła go do znalezienia córki.

– To my się narobimy, a on zbierze laury?

– Oj, oj, pozycja starszego posterunkowego Karoliny Jaskóły jest zagrożona.

– Nie żartuj, Kosma! Ja do ciebie na serio.

– Ja też na serio. Ten człowiek ma większe doświadczenie w poszukiwaniu zaginionych dzieci niż my. On się może nam przydać. Poza tym przypominam ci, że Górecki przez osiem lat był psem. Idź po niego.

Karol wyszedł. Wrócił po minucie, prowadząc prywatnego detektywa. Ten był ubrany w słynną kurtkę z białym orłem. Wygięty dziób sięgał kaptura, może dlatego Górecki miał go wciąż na głowie, aby pokazać ptaka w całej okazałości.

– U nas nie jest zbyt ciepło, bo oszczędzamy, ale możesz się spocić – zauważył nad wyraz miłym tonem Jaskóła.

Zatrzasnął drzwi, dając do zrozumienia, że ma zamiar tutaj zostać i przysłuchiwać się rozmowie aspiranta z detektywem. Odsunął krzesło od sąsiedniego biurka i się rozsiadł.

Dizel ściągnął kaptur, odsłaniając trzy zaognione szramy na częściowo wygolonej czaszce. Karol wskazał palcem na głowę detektywa.

– Czytałem o tym – mruknął.

– A co napisali?

– Że napadło cię trzech Syryjczyków w Berlinie. Mieli noże i chcieli cię przekonać, że ten orzeł to ich. Podobno wszystkich trzech powaliłeś na ziemię.

Górecki się roześmiał.

– Tak naprawdę to był tylko jeden Syryjczyk uzbrojony w tulipana. Zaskoczył mnie. Barman pomógł mi go rozbroić.

– Tak myślałem, że nie dałbyś rady trzem.

– Siadaj! – Kosma wykonał zapraszający gest, wskazując na krzesło. – Karolina, zrób kawę naszemu gościowi! – zwrócił się poufale do Karola.

Ten się nie ruszył. Uniósł jedynie teatralnie brwi.

– Kawę? A limit na czajnik?

Damian pojednawczo podniósł dłoń.

– Dzięki za kawę. Przed chwilą piłem. Wpadłem, żeby pogadać o zaginięciu Matyldy Piątek. Coś ważnego już ustaliliście?

– A ty?

Kosma nie miał zamiaru wymigiwać się od współpracy z prywatnym detektywem, ale wymiana informacji powinna być obustronna. Oni mu jedno, a on im drugie.

– Na razie stawiam na ojca biologicznego, na Juliana Piątka.

– Mało oryginalnie – wtrącił Karol nie bez złośliwości.

– W naszej robocie sprawdzają się trafne hipotezy, a nie oryginalne – zripostował natychmiast Dizel.

– Masz coś na niego? – zapytał Kosma.

– Nie mam, ale pasuje mi psychologicznie. Porzucony, upokorzony facet, który chce się odegrać na żonie i całym świecie.

– A jak miałyby to twoim zdaniem zrobić? Przecież nie schował pięcioletniego dziecka pod kurtkę.

– Pod kurtkę nie, ale do bagażnika własnego wozu już tak. Oczywiście wcześniej podałyby jej środki nasenne. Sprawdziliście bagażnik jego samochodu, gdy przyjechaliście na miejsce zdarzenia?

– Nie.

Kosma przyznał w myślach, że to błąd. Tak niewiele trzeba było, żeby dziś mieć mniej wątpliwości.

– Zrobiliście coś, żeby go skreślić jako sprawcę?

– Sprawdziliśmy jego bilingi. W ciągu ostatniego tygodnia nie kontaktował się z nikim podejrzanym. A od momentu zaginięcia córki dzwonił tylko do byłej żony i swojego ojca. Odebrał też połączenie od dwóch kumpli z pracy i od dziennikarki, Justyny Drabicz. Ta dzwoniła do niego trzy razy. Żadnego kontaktu z potencjalnym współnikiem, a przecież kogoś takiego powinien mieć, jeśli to on uprowadził własne dziecko.

– Piątek może posługiwać się drugim aparatem i drugą kartą SIM, zarejestrowaną na kogoś innego. Spróbowaliście to ustalić?

– Nie.

Aspirant poczuł się nieswojo. Owładnęło go uczucie, że detektyw próbuje wykazać ich niekompetencję.

Damian przesunął palcami po szramach na głowie. Wyglądały na świeże, niedawno szyte. Może go swędziały. Gdyby nie te rany, wyglądałyby bardzo zwyczajnie, nawet

wzbudzałyby zaufanie, ale one dodawały mu bandyckiego sznytu.

– Byliście u jego rodziców? Może mała jest u dziadków.

– Byliśmy. Nie ma tam jej.

– A macie jakiś mocny trop?

Kosma pomyślał o czarnym dużym samochodzie, o którym przeczytał na portalach społecznościowych. To mógł być mocny trop albo zwyczajna plotka. Powinni przejrzeć wszystkie dostępne nagrania z dnia zaginięcia.

– Skupiamy się na monitoringu miejskim i prywatnych kamerach. Może znajdziemy jakiś podejrzany pojazd. Sprawdzamy też przestępców seksualnych, którzy w ostatnim czasie opuścili zakład karny. Może któryś wczoraj przejeżdżał przez Pasłęk.

– Czy w takim razie nie powinniście sprawdzić leśnych terenów za miastem?

Tok myślenia Góreckiego był prawidłowy. Jeśli to robota pedofila, to jak wskazywały policyjne statystyki, ktoś taki szybko zaspokajał swoje potrzeby i jak najszybciej pozbywał się dziecka, może martwego, może żywego. Jeśli wczoraj Matylda została porzucona żywa, to raczej nie przetrwała nocy na odludziu w temperaturze poniżej zera. Aspiranta przeszył dreszcz niepokoju na myśl, że popełnił błąd, nie wszczynając poszukiwań na szeroką skalę. Uśpił go Child Alert, o który zawnioskował, nie wierząc w to, że uda się go uruchomić. Nie było przecież żadnych przesłanek, że dziewczynce grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Komenda główna zdecydowała się jednak na użycie alertu. Wizerunek dziewczynki został upubliczniony przez media, ale może należało przede wszystkim jej szukać w promieniu kilkunastu kilometrów, a oni ograniczyli się jedynie do kilku ulic,

zakładając, że sama się oddaliła. Kosma wziął głęboki oddech. Z powodu silnego zdenerwowania na moment skurczyły mu się płuca. Wyobraźnia podsunęła mu obraz jego własnej córki, dwunastoletniej Agaty, błąkającej się nocą po zimowym lesie. Boże, co za koszmar. Zaniedbał tę sprawę już na samym początku. Musi jak najszybciej to naprawić. Chciał, żeby Dizel opuścił komisariat, żeby nie zawracał mu teraz głowy, bo musi się poradzić z szefem i podjąć właściwe czynności. Oby nie było za późno.

– Dotarłeś do czegoś jeszcze, co może pomóc w znalezieniu Matyldy Piątek? – zapytał trochę zbyt oficjalnym tonem.

Dizel wyraźnie się zawahał.

– Nie wydaje mi się, żebym zdołał ustalić coś istotnego.

Kosma pokiwał głową w geście niedowierzania.

– Wielki panie detektyw, chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli ta mała się nie znajdzie albo znajdzie się martwa, to ty też zapłacisz za to wysoką cenę, nawet wyższą niż my?

– Wiem. Mamy ten sam interes, dlatego tu dziś przyszedłem. Jeśli znajdę dziecko, to ogłoszę, że funkcjonariusze byli bardzo pomocni. A jeśli wy ją znajdziecie, to wspomnicie, że się do tego przyłożyłem. I to będzie prawda, bo wy będziecie mnie informować o waszych postępach, a ja was o moich. To chyba uczciwy układ?

– Bardzo uczciwy – przyznał Kosma. – Skoro już wszystko ustaliliśmy, to muszę cię pożegnać. Mam robotę.

Dizel wstał i wyciągnął telefon.

– Podaj mi swój numer. Powinniśmy mieć stały kontakt.

Aspirant Bielewicz podyktował dziewięć cyfr. Górecki zapisał je, po czym naciągnął kaptur i odwrócił się do drzwi, znowu prezentując imponującego orła na plecach. Nie był to byle jaki wizerunek, wyglądał raczej na dzieło niezłego artysty. Nic

dziwnego, że media podchwyciły tego orła jako znak rozpoznawczy Dizela.

Starszy posterunkowy Karol Jaskóła zaprowadził detektywa do wyjścia i po paru minutach wrócił do pokoju aspiranta.

– Myślisz, że on mówił prawdę? Że nic ważnego nie odkrył?

– Myślę, że coś ma, ale dobra, niech się tym zajmie. Pewne jest to, że jeśli trafi na mur, to przyjdzie do nas, żebyśmy mu pomogli. A my na razie mamy co robić. Musimy zacząć poszukiwania.

Rozdział 9

W CAŁYM DWUNASTOTYSIĘCZNYM PASŁĘKU nie było ani jednej osoby, do której nie dotarłaby informacja o dziwnym zaginięciu Matyldy. Dzisiaj nie było ważniejszego tematu. Mówiono o tym w każdym domu, każdym sklepie i salonie fryzjerskim. Ludzie przystawali na chodnikach i pochylali się ku sobie, aby w zimnym powietrzu powtórzyć to, co podawał internet. Podchodzili do siebie na parkingach i dopytywali, czy pojawiło się coś nowego. Nie wypuszczali telefonów z dłoni, bo one zapewniały im natychmiastowe zapoznanie się z przełomem, którego wszyscy podświadomie oczekiwali. Pasłęczan ogarnęło niezdrowe podniecenie, swoista fascynacja i zwyczajna ciekawość. Ulica i pasłęckie fora zawrzały od teorii spiskowych, od racjonalnych i absurdalnych domysłów. Każdy chciał się w tej sprawie wypowiedzieć, wielu czuło potrzebę, aby się jakoś przydać. Chętnie wymieniano informacje o obcych widzianych w mieście i o podejrzanych samochodach. Mówiono też o niecodziennych zdarzeniach i zjawiskach: o zniszczonej ławce w parku, o stercie zabawek porzuconych w pobliżu jakiegoś śmietnika, o alarmach samochodowych, które włączały się ostatniej nocy w północnej części Pasłęka.

Dizel był w centrum tego fermentu. Ludzie pokazywali go sobie palcami, robili mu zdjęcia, niektórzy nawet podchodzili i dopytywali, czy coś już wiadomo. Na razie nie ustalił wiele. Od godziny próbował skontaktować się z Julianem. Tamten nie odbierał telefonu. Na trzy esemesy z prośbą o spotkanie

też nie odpowiedział. Górecki udał się więc do jego mieszkania na Polnej. Stał przez kilka minut pod drzwiami. Nikt mu nie otworzył. Dołączyły do niego dwie sąsiadki Juliana. Ta z naprzeciwka z egzaltacją rozplýwała się nad urodą Matyldy, że taka śliczna, że blond loczki jak z obrazka, że nawet piegi miała jak namalowane. Ta z piętra wyżej przytakiwała i wzdychała, powtarzając co chwilę, że szkoda dzieciaczka. Damian miał ochotę pogadać z nimi, bo to w końcu sąsiadki Piątka. Musiał się jednak spieszyć. W sprawie zaginięcia dziecka czas odgrywał ważną rolę. Zostawił więc panie i pojechał do mleczarni. Tam też nie było Juliana. Nie pojawił się w pracy i nikt nie miał do niego o to pretensji. Każdy zgadzał się z tym, że taka tragedia dawała mu prawo nie przyjść. Dizel w końcu poprosił Weronikę Kowalik o pomoc w skontaktowaniu się z jej byłym mężem. Oddzwoniła po kwadransie i poinformowała, że Julian jest nad jeziorkiem. Łamiącym się głosem dodała, że szuka tam ich córki.

Górecki wsiadł w seata i po pięciu minutach parkował już przy jednej z wiat. Tutaj było zimniej niż w mieście. To przez bliskość jeziora. Ciągnęło wilgocią. Odruchowo zapiął kurtkę pod samą szyję. Rozejrzał się. Latem musiało być tu uroczo. Teraz wionęło nieco ponurym klimatem, głównie przez te pudełka po pizzy walające się pod drewnianym dachem i przez papiery fruujące wzdłuż brzegu. Szara tafla wody odbijająca zaciągnięte chmurami niebo też przywodziła na myśl scenierię dramatu. Jakaś przytulona para skrećiła w pobliską drogę, znikając za pniami czarnych drzew. Opel Juliana stał tuż obok wody i również wyglądał jak element mrocznej scenografii, jak auto porzucone przez jakiegoś desperata.

Damian postanowił poczekać przy samochodzie. Lepiej, żeby się nie minęli, a przecież tak może się stać, gdy zacznie tutaj

biegać i szukać Piątka. Po dwudziestu minutach dostrzegł ciemną sylwetkę. Mężczyzna nie miał czapki ani szalika. Wcisnął głowę w ramiona. Szedł lekko pochylony, co kilka kroków zatrzymywał się i rozglądał. Coś żalosego było w jego postawie. Samotny, nieszczęśliwy człowiek w zimowej, pustawej przestrzeni.

Dizel zbliżył się do niego.

– Nazywam się Damian Górecki – przedstawił się.

Julian obrzucił go osłupiałym spojrzeniem. Pokręcił nawet przecząco głową, jak gdyby odganiał się od domokrażcy.

– Jestem prywatnym detektywem – wyjaśnił Dizel. – Wynajęła mnie twoja była żona.

Piątek cofnął się o krok, jak gdyby poczuł się zagrożony.

– Czego ode mnie chcesz?

– Porozmawiać. Muszę wiedzieć jak najwięcej o okolicznościach zaginięcia Matyldy, skoro mam ją znaleźć.

Na twarzy Juliana pojawiło się zrozumienie.

– Aha, to ty jesteś ten Dizel. Weronika mówiła mi, że na pewno znajdziesz naszego aniołeczka. Ja też jej szukam.

Zatoczył ręką wokół. Damian mimowolnie powiódł wzrokiem za tym pełnym rozpaczny ruchem.

– To ja ją zgubiłem. To przeze mnie.

Cierpienie wybrzmiewało w każdym słowie, a nawet w każdym fonemie wypadającym ze spierzchniętych ust Juliana. Ten człowiek prezentował się bardzo wiarygodnie. Dizel nie był naiwny. Wiedział, że można udawać rozpacz, ale czy aż tak?

– Chciałbym, żebyś mi wszystko opowiedział. Na razie znam relację twojej byłej żony. Powiedziała mi to, co jej przekazałeś. To jednak tylko relacja z drugiej ręki i to obciążona wielkimi emocjami.

– Powiem ci wszystko, co pamiętam. – Julian ścisnął dłońmi głowę i skrzywił usta w grymasie bólu. – Czasami wydaje mi się, że pamiętam wszystko co do minuty, co do sekundy. Chwilę później mam wrażenie, że nie pamiętam nic. Wczoraj wybiegłem z komisariatu, bo mi się nagle wydało, że zostawiłem Matyldę w mieszkaniu, że po prostu jej nie zabrałem do samochodu. Jakbym wariował.

– Miałeś kiedyś problemy z głową? Z pamięcią?

– Nigdy.

Objął się ramionami. Jego ciało wpadło w niekontrolowany dygot.

– Może wsiądziemy do twojego samochodu? – zaproponował Dizel. – Będzie nam cieplej.

Piątek przytaknął i powlókł się do opla, szorując butami po śniegu. Drżącą dłonią wyjął kluczyki z kieszeni. Damian zajął miejsce pasażera. Odruchowo obejrzał się na tylną kanapę, na dwa puste foteliki.

– Ile czasu spędziłeś w tamtym sklepiku?

– Mało.

– Trzy minuty? Dziesięć minut?

– Nie wiem. Podałem policji, że pięć minut, a ta ekspedientka powiedziała, że około dziesięciu. Szkoda, że w tym sklepie nie było kamery, wtedy byśmy wiedzieli, ile tam byłem.

– Płaciłeś kartą?

– Tak. Zapłaciłem o dziewiętnastej szesnaście. Wczoraj na komisariacie zalogowałem się do banku i wydrukowałem potwierdzenie transakcji. Bielewicz, ten aspirant, dołączył je do swoich dokumentów.

– Po zapłaceniu od razu wyszedłeś?

– Stałem już przy drzwiach, ale wróciłem po krakersy. Po cholere były mi te krakersy. Po co po nie wracałem? Gdybym od razu wyszedł, to może trafiłbym na moją dziewczynkę.

– O której była druga transakcja?

– Za krakersy zapłaciłem gotówką. To była mała paczka, tylko pięć złotych. Tyle właśnie miałem w kieszeni.

– Sprzedawczyni cię zagadywała albo ty ją?

– Nie.

– Byłeś jedynym klientem?

– Tak. Gdy wchodziłem, w drzwiach minąłem się z kobietą. Bielewicz kazał mi ją opisać. Nie byłem w stanie tego zrobić. Nie widziałem jej twarzy. Zasłoniła się kolorowym szalikiem. Nie uważasz, że to podejrzane? Może nie chciała zostać zapamiętana, stąd ten szalik.

– Jest zima, szalik to nic podejrzanego.

– Ale to ona mogła zabrać Matyldę z chodnika. Wzięła ją za rękę i poszły razem. Jak myślisz, to możliwe?

W głosie Juliana pojawiła się nadzieja. Nic dziwnego, kobieta musiała mu się wydawać mniej niebezpiecznym sprawcą niż mężczyzna.

– Gliniarze jeszcze nie namierzyli tej klientki?

– Chyba nie.

– A sprzedawczyni jej nie zna?

– Nie. Byłem dzisiaj w sklepie. Policja też rozmawiała z tą ekspedientką. Ona jest z Charkowa, w Polsce od roku, a u nas od miesiąca.

Dizel mimowolnie interpretował każdą informację. Klientka w kolorowym szaliku nie wydawała mu się podejrzana, ale była ważna, bo mogła coś widzieć, choćby Matyldę wysiadającą z opla. Policja na pewno niebawem ustali, kim

ona jest. To będzie bardzo proste, o ile płaciła kartą. Dziwne, że jeszcze sama się nie zgłosiła.

– Opowiedz mi teraz o tym całym zdarzeniu. Jak to było z twojej perspektywy.

Julian podniósł dłonie na wysokość oczu i przez chwilę na nie patrzył. Ręce mu się trzęsły, jak gdyby był starcem z parkinsonem.

– Dziewczynki były u mnie cztery godziny. Powiniennem je odstawić do Weroniki o dziewiętnastej, ale przy dzieciach trudno o punktualność. Już wychodziliśmy, a Ania oznajmiła, że jeszcze musi siku. A Matylda nie chciała włożyć rękawiczek, bo to nie jej. Że niby Ania założyła jej rękawiczki. Nie wiem, jak one to rozpoznają, przecież te rękawiczki są identyczne. Gdy wsiadaliśmy do samochodu, to była już dziewiętnasta. No i potem moim dziewczynkom zachciało się żelków i lizaków. – Piątek przetaił dłońmi oczy i spojrzał przez samochodową szybę na szarą taflę jeziora. Ciche westchnięcie wypełniło wnętrze wozu. – Chciałem być dobrym ojcem, dlatego spełniałem każde ich życzenie. Żeby mnie kochały, żeby mówiły mamie, że tatuś jest najlepszy. Nie pilnowałem, aby myły zęby i ręce, i jadły jajka na miękko, od tego była Weronika. Ja zarezerwowałem sobie te przyjemniejsze rzeczy. Byłem tatusiem od słodyczy i zabawy. Powiedziałem, że im kupię te żelki i lizaki. Niestety, znalazłem miejsce do zaparkowania na Ogrodowej. Powiedziałem dziewczynkom, że idę po żelki. Zastanawiałem się później, czy ja im powiedziałem, żeby nie wysiadały. Nie jestem pewien, ale chyba nic takiego nie mówiłem. Nie zablokowałem też drzwi. Chryste! Gdybym to zrobił, Matylda by nie wysiadła.

Julian zaczął szlochać. Rozkleił się zupełnie.

Dizel wysiadł. Przez chwilę stał, patrząc na jezioro. Tafla wody zaczęła się marszczyć od podmuchów wiatru. Jakaś dziwna powietrzna zawiesina zbierała się przy samym brzegu. Na sam widok robiło się zimno. Policzył do stu, tyle czasu dał Piątkowi, aby ten się ogarnął. Powoli dopuszczał do siebie myśl, że będzie musiał rozejrzeć się za innym kandydatem na sprawcę. Ojciec Matyldy był zbyt wiarygodny w swoich emocjach.

Wsiadł z powrotem do opla, ale tym razem na tylną kanapę, przy czym najpierw odstawił znajdujący się tam dziecięcy fotelik. Chciał sprawdzić, czy drzwi otwierają się lekko, czy pięcioletnia dziewczynka by sobie z nimi poradziła. Nacisnął klamkę. Drzwi stawiały opór. Otworzyły się dopiero wtedy, gdy mocniej je pchnął.

Julian obrócił się ku tylnej kanapie. Jego zaczerwieniona od płaczu twarz prezentowała się upiornie.

– Myślisz, że Matylda sama nie wysiadła?

– Na to wygląda.

– To Ania powiedziała, że Matylda poszła po żelki. Uwierzyłem w to, bo ona jest bardzo ruchliwa, nie potrafi usiedzieć w miejscu.

– A czy kiedykolwiek otworzyła sama sobie drzwi w tym samochodzie? Widziałeś kiedyś, że to robi?

– Nie wiem. Chyba nie.

– A umiała sama wypiąć się z pasów?

– Tak. Weronika mówiła mi, że nasza maleńka kiedyś to zrobiła w trakcie jazdy.

– Policja nie przesłuchiwała twojej drugiej córki?

– Nie. Podobno pięciolatka nie jest wiarygodnym świadkiem.

Dizel ponownie otworzył drzwi od samochodu i ponownie musiał w to włożyć niewielki wysiłek.

– Powiedz mi, czy Ania była wystraszona, gdy wróciłeś wtedy do wozu.

– Nie, na pewno nie była wystraszona. To ja byłem wystraszony. Bałem się, że mój strach udzieli się jej. Dlatego otworzyłem jej te żelki, żeby ją czymś zająć, i poszedłem szukać Matyldy.

Dizel przesiadł się do przodu. Wpatrywał się w coraz mocniej falującą taflę jeziora. Woda wydawała się gęsta. Zmieniała swój stan pod wpływem ujemnej temperatury.

– Ania widziała sprawcę – oznajmił nagle.

– Chryste – jęknął Julian.

– Wygląda na to, że Matylda została wyciągnięta z samochodu. A skoro Ania nie była wystraszona, to musiał zrobić to ktoś, kogo twoje córki znały. Ten ktoś mógł powiedzieć, że pójdą po żelki. Powiedział tak, żeby chętniej z nim poszła. Ania to słyszała i dlatego powiedziała, że Matylda poszła po żelki.

Julian zbladł, powieki mu opadły, wargi się zacisnęły. Wyglądał na oderwanego od rzeczywistości.

– Kto miałby to zrobić? – wyszeptał, niemal nie otwierając ust.

– Ty?

Damian wskazał palcem na Piątka. Ten natychmiast zareagował. Uderzył zaciśniętą dłońią w swoją pierś jak w gong.

– Ja tego nie zrobiłem. To moje dziecko. Życie bym za nią oddał.

– To w takim razie kogo typujesz?

Julian zamyślił się. Biło od niego skupienie.

– To mógł być doktorek. Drugi mąż Weroniki. Oskar Kowalik.

W głosie Piątka wybrzmiała niechęć. Była jak zgrzyt gwoźdźca na kawałku blachy. Nawet przygłuchy by ją usłyszał.

– Dlaczego stawiasz na niego?

– Bo nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

– Ale dlaczego on miałby to zrobić? Nie lubi dzieci? Albo lubi za bardzo?

Julian wzdrygnął się, uświadamiając sobie, co kryje się za tymi słowami.

– Chryste! Mam nadzieję, że to nie to.

Dizel wyciągnął telefon i przejrzał fotki, które przesłała mu Kamila.

– Nie wydaje mi się, żeby to był Kowalik. Doktor przyjechał z Weroniką na miejsce zdarzenia o dziewiętnastej dwadzieścia dziewięć. Sfotografowała ich wtedy nastolatka mieszkająca na Ogrodowej. Powiedz mi jeszcze, czy znasz pierwszą żonę Kowalika?

– Tę albinoskę? Nie. Znam ich syna. Bardzo podobny do ojca, jakby skórę zdjął. Rozmawiałem z nim trzy miesiące temu, gdy przyjechałem do dziewczynek. Obie były wtedy przeziębione. To nastolatek, mądry chłopak. Mówił mi o ekologii, o segregowaniu śmieci, że Weronika powinna tego pilnować, bo dziewczynki mieszają odpady.

– Gdzie on mieszka?

– U matki, ale często bywa u ojca.

– Pierwsza żona doktora mieszka na Ogrodowej. Wiedziałeś o tym?

– Nie, ale widziałem ją tam wtedy, gdy szukałem Matyldy. Trudno byłoby jej nie zauważyć. Bardzo się wyróżnia. Ludzie pomagali mi szukać dziecka, ale nie ona. Trzymała się na dystans. – Julian umilkł. W aucie rozbrzmiewał jego

przyspieszony oddech. – Myślisz, że ta kobieta mogłaby uprowadzić naszą księżniczkę?

– Mogłaby. Jeśli to zrobiła, to trzyma twoją córkę w swoim mieszkaniu. Zaraz do niej pojedę.

Piątek włożył kluczyki do stacyjki.

– Jadę z tobą. I musimy zawiadomić gliniarzy, bo przecież ona nas nie wpuści do mieszkania.

Dizel położył mu dłoń na ramieniu.

– Pozwól mi pracować. Pojadę do niej sam. Jeśli mnie nie wpuści, to wtedy będę się zastanawiał, co dalej.

– Tu się nie ma co zastanawiać. U tej kobiety może być moja dziewczynka.

Górecki umiał radzić sobie z emocjami rodziny zaginionej bądź poszkodowanej osoby. Kilkanaście lat doświadczenia w służbie nauczyło go, że stanowczość jest najlepszą metodą. Ponadto należało bliskim dać wrażenie, że robią coś ważnego, że się przydają. W takich sytuacjach bezczynność była czymś najtrudniejszym do zniesienia. To dlatego Julian przyjechał nad jezioro szukać córki, to dlatego chciał też z nim jechać do pierwszej pani Kowalik.

– Teraz pojedziesz do domu. Zrobisz sobie kawę. Weźmiesz ołówki i spiszesz całe wczorajsze zdarzenie, od momentu gdy zabrałeś dziewczynki od Weroniki. Pamiętaj, żeby zapisać wszystko. Potem dasz mi tę kartkę. Jasne?

– Tak – zgodził się Piątek. – Dzwon do mnie od razu, gdy znajdziesz Matyldę u tej kobiety – poprosił drżącym głosem.

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział VIII

O SZÓSTEJ RANO WILLIAM ZOBACZYŁ na swoim tarasie Werę. Drzemała na maksymalnie rozłożonym leżaku. Może nie było jej zbyt wygodnie, ale na pewno nie zmarzła. W nocy temperatura nie spadła poniżej dwudziestu trzech stopni. Tego roku sierpień uraczył ich afrykańskimi upałami.

Nie zaskoczyła go obecność dziewczyny. Wczoraj było zbyt późno, żeby ruszała w dalszą drogę albo nawet szukała noclegu w Dawidach. Powinien jej powiedzieć, że może skorzystać z kanapy na parterze. Powinien też zostawić jej jakąś wygodną poduszkę. Przypomniwał sobie twarz Wery w promieniach zachodzącego słońca, gdy czytała ciąg dalszy powieści. Wyglądała tak, jak gdyby cierpiała z nadmiaru emocji. Zdumiało go to.

Postawił patelnię na kuchence. Najpierw podsmażył cebulę, następnie wbił dziesięć jajek. Uruchomił toster i ekspres do kawy. Z lodówki wyciągnął sok pomarańczowy, a z szafki talerze. Ostrożnie otworzył drzwi na taras i zaczął wszystko wnosić na zewnątrz. Skowronki śpiewały, jak gdyby się prześcigały w zaprezentowaniu swoich umiejętności. Aż dziwne, że jeszcze nie obudziły Wery. Gdy postawił patelnię z jajecznicą na stole, podszedł do dziewczyny i dotknął jej ramienia. Uniosła powieki i spojrzała na niego jasnymi tęczówkami.

– Co tak pachnie?

– Jajecznica. Wstawaj. Śniadanie czeka.

Usiadła na leżaku. Na dłoniach nadal miała rękawiczki.

- O Jezu! Zjadłabym konia z kopytami i dwie żyrafy.
- Muszę cię rozczarować. Z mięsa jadam tylko ryby. Wędlinki nie dostaniesz.
- Jakoś to przeboleję. - Wyciągnęła swój plecak spod leżaka.
- Mogę skorzystać z łazienki?
- Możesz.

Zarzuciła plecak na jedno ramię i weszła do domu. Nie czekał na nią. Zaczął jeść. Tosty były chrupiące, kawa aromatyczna. Raj na ziemi, gdyby nie te osy. Dwie okazały się wyjątkowo upierdliwe i nie dawały się odgonić.

Wera wróciła w nowej bluzce i nowych rękawiczkach. Z jej twarzy znikła senność. Roztaczała woń mydła. Nie rozpoznawał tego zapachu. To nie było jego mydło. Usiadła po przeciwnej stronie stołu i włożyła na talerz jajecznicę.

- Jak się spało? - zagadnął.
- Dobrze.
- Mogłaś się przespać na kanapie. Jest na pewno wygodniejsza niż leżak.
- Leżak nie był zły. Gdyby nie to, że w nocy nękały mnie komary, a rano muchy, to byłoby idealnie.

Palcem w rękawiczce potarła policzek. Dopiero teraz zauważył zaczerwienione miejsce po ukąszeniu komara.

- A żaden kot cię nie nękał?
- Nie, ale chyba jakiś pies tu się kręcił. Wystraszył mnie.
- Pies?
- Tak, to na pewno był pies.

William poczuł w klatce piersiowej krótki bolesny ucisk przypominający skurcz. Fizyczna oznaka niepokoju. Położył rękę na sercu i skierował wzrok w stronę, gdzie ukrył zwłoki. Z tej odległości nie był w stanie dostrzec, czy pies próbował tam kopać. Później to sprawdzi, gdy Wery już tu nie będzie.

Nalała sobie soku z kartonu i wypila całą szklankę.

– Gorąco – oznajmiła, wycierając krople potu z nosa.

Przytaknął. Dopiero była siódma rano, a żar już się lał z nieba. Wera zamieszała widelcem w jajecznicę. Widać było, że szykuje się, aby coś powiedzieć.

– Ta kontynuacja początku powieści... – zaczęła niepewnie.

A więc o tym chciała pogadać.

– No, co z nią? – ponaglił ją.

– Jest super. Podoba mi się.

William uśmiechnął się.

– Nie ma to jak zadowolony klient.

– A dużo masz zadowolonych klientów?

– Większość. Dziewięćdziesiąt procent to są klienci zadowoleni, pięć procent to ci w euforii, a reszta narzeka.

– A ci zadowoleni wracają do ciebie?

– Tak. Są tacy, co już kupili po trzy początki.

– Naprawdę? – Zdumienie powiększyło jej źrenice. Znowu zamieszała widelcem w jajecznicę. – Powiesz mi, co będzie dalej w mojej powieści?

Roześmiał się szczerze.

– Nie mam pojęcia. To twoja książka. Ty zadecydujesz, jak to się potoczy.

– No tak, ja, ale na pewno masz w głowie jakiś ciąg dalszy.

– Nie mam. Piszę początek i na tym koniec.

W pobliskich iglakach ganiały się młode sikorki. William miał ochotę ściągnąć koszulkę, ale obecność dziewczyny go powstrzymywała.

– Czy Matylda się odnajdzie? Czy wróci do swoich rodziców?

– zapytała Wera, zgarniając z talerza resztę jajecznicę.

Zaskoczyła go smutna nuta dźwięcząca w tym pytaniu. I coś jeszcze, jakby nadzieja, że udzieli twierdzącej odpowiedzi.

– Urwę parę pomidorów. Weźmiesz sobie na drogę.

Wstał, ona również.

– Mogę iść z tobą do szklarni?

– Jak masz ochotę pooddychać pięćdziesięciostopniowym wilgotnym powietrzem, to proszę bardzo.

Poszła z nim. Dwuskrzydłowe rozsuwane drzwi były otwarte, cztery okna dachowe również. Mimo to wewnątrz szklarni panował klimat tropikalny, jak gdyby weszli do parnika. Wysokie krzaki uginały się od owoców. Stały pionowo tylko dlatego, że były podwiązane do aluminiowej konstrukcji sufitu.

– Dam ci pomidory rzymskie. Są twarde, nie popękają w plecaku.

Rwał owoce i podawał Werze. Nie wzięli ze sobą żadnego naczynia. Trzymała więc je w rękach. Gdy wyszli ze szklarni, odetchnęli z ulgą.

– Jestem cała mokra – jęknęła. – Błagam, pozwól mi wziąć prysznic, zanim pojedę dalej.

– Jasne. Nie będę żałował ci wody. Możesz się umyć.

Rozdział IX

WERA WYJĘŁA Z PLECAKA sześciocentymetrowy szpikulec. Był naprawdę ostry. Wzięła słuchawkę do prysznica i wbiła ostrze u jej nasady, przebijając się przez metalowy wężyk i dziurawiąc gumowy przewód. Odkręciła kurek. Woda trysnęła z uszkodzonego miejsca, zachlapując kafelki i ją samą. Zakręciła z powrotem kurek i odwiesiła słuchawkę. Postąpiła chwilę przed lustrem, a potem wyszła z łazienki.

– William! Możesz zejść? – zawołała. – Prysznic jest zepsuty.

Zbiegł po skrzypiących schodach. Poruszał się jak niedźwiedź, ciężko, ale nie brakowało mu zwinności. Praca w szklarni i sadzie musiała uelastyczyć jego mięśnie. Gdyby siedział jedynie przed komputerem, poruszałby się bardziej niemrawo.

– Chyba nici z mojej kąpieli. Woda się leje.

Odsunęła się, wpuszczając go do łazienki. Odkręcił kurek. Fontanna wody strzeliła z przedziurawionego węża. William zaklął pod nosem.

– Weźmiesz prysznic na górze.

– Jeśli to nie kłopot, to chętnie.

Zarzuciła plecak na ramię i poszła za nim. Na piętrze znajdowało się jedno duże pomieszczenie pełniące funkcję sypialni i gabinetu. No i łazienka z tradycyjną kabiną prysznicową. William wyciągnął ręcznik z szafy i jej podał.

– Gdybyś chciała, możesz użyć mojego szamponu.

– Dzięki, nie będę myła włosów.

Zamknęła się w łazience na klucz. Z plecaka wyjęła gumowe klapki i żel. Rozebrała się, pozostawiając jedynie rękawiczki na dłoniach. Weszła pod prysznic. Szybko namydliła ciało i się spłukała. Wytarła się ręcznikiem i włożyła suche rękawiczki. Gdy miała już na sobie majtki, zaczęła przeszukiwać łazienkę. Dokładnie obejrzała kosmetyki stojące na otwartej półce. Wszystkie mogły należeć do Krigera, nawet krem do rąk o zapachu migdałów. Cicho otworzyła szafkę. Nie miała pewności, czy on nie stoi za drzwiami i nie nasłuchuje. Wstrzymała oddech na widok gumek do włosów. Były czerwone, ozdobione cyrkoniami. To już jakiś znak, że z tej łazienki korzystała kobieta. Do przejrzania pozostał jeszcze kosz na brudną bieliznę. Przykłęka przed nim i zdjęła wieko. Powoli wyjmowała ubrania, głównie męskie T-shirty. W końcu w ręce wpadło jej coś zielonego w różyczki. Rozpostarła ubranie. To była damska koszulka o rozmiarze S. Wera zadrżała. Czegoś takiego właśnie szukała. Miała mało czasu, aby zapanować nad wewnętrznym rozedrganiem, żeby William nie zauważył, że coś się w niej zmieniło. A może ta koszulka nic nie znaczy, to tylko błędny trop. Zaczęła dokładnie oglądać ubranie, jak gdyby wierzyła, że zaraz znajdzie wyszyty monogram. Ręce się jej trzęsły, łydki dygotały. Nagle przycisnęła damską koszulkę do twarzy z nadzieją, że rozpozna zapach. Nie rozpoznała.

Rozdział X

– Mogę jeszcze wypić kawę, zanim ruszę w drogę? – zapytała Wera.

Na jej policzku czerwienilo się ugryzienie komara. Musiała podrapać swędzące miejsce. William pomyślał, żeby dać jej maść łagodzącą. Nie zrobił jednak tego. Nie chciał być zbyt opiekuńczy. Da jej teraz maść, przygotuje kawę i zaraz się okaże, że będzie musiał jeszcze użyczyć jej swojej pralki, bo ona ma potrzebę wyprania kilku bluzek. Chciał już zostać sam i zająć się swoimi codziennymi sprawami. Musi podlać pomidory, przygotować śliwki do suszenia, trochę popisać, no i w końcu obciąć paznokcie. Towarzystwo Wery zaczynało mu ciążyć.

Wzrokiem natrafił na mały szary plecak stojący przy kanapie. Nagle ten niewielki bagaż wydał mu się bardzo podejrzany. Przecież kobiety mają w zwyczaju wozić ze sobą sterty ubrań i mnóstwo kosmetyków. Wera wracała z nad morza, tak mu powiedziała pierwszego dnia. Jest więc w podróży dość długo, powinna mieć więcej rzeczy. Może zostawiła je w bagażniku swojego wozu? Przyszło mu do głowy, że dziewczyna podróżuje autem, które stoi teraz na podwórku któregoś gospodarza w Dawidach albo pod pałacem. Ale dlaczego Wera udaje, że podróżuje prawie pieszo? A może nic nie udaje, a on jest zbyt podejrzliwy.

Zrobił dwie kawy i wyniósł je na taras. Przesunął stół bliżej ściany, aby nie siedzieli na słońcu. Rozłożył też parasol ogrodowy, zawsze to jakaś dodatkowa ochrona przed

promieniami słonecznymi. Temperatura sięgnęła już trzydziestu trzech stopni. Wszedł do domu po wodę mineralną. Gdy wrócił na taras, przy jego filiżance z kawą leżał wydruk komputerowy.

– Oddajesz mi początek powieści? – teatralnie się zdziwił.

– Nie oddaję. Chciałam jeszcze o nim pogadać. Zastanawiam się nad ciągiem dalszym.

– Coś już wymyśliłaś?

– No nie wiem. Może ty mi jednak podpowiesz?

– Już ci mówiłem, że nie podpowiem.

Zaśmiała się.

– Stanowczy jesteś. – Upiła kawy i popiła mineralną. W jej ruchach pojawiła się nerwowość. – William, czy mógłbyś napisać jeszcze kilkanaście stron mojej książki?

Powiedziała to tak cicho, że bzyczenie os wydawało się ją zagłuszać.

Popełnił wczoraj błąd, proponując, że rozszerzy początek. Drugi błąd był taki, że dopisał znacznie więcej, niż zamierzał. Rozochocił tym Werę. Skoro dostała tak dużo, mogła otrzymać jeszcze więcej.

Obracała filiżankę w dłoniach i wodziła wzrokiem za pszczołą krążącą nad stołem.

– Sam mówiłeś, że klienci do ciebie wracają, że zamawiają kolejne początki powieści. Nie wierzę, że nie było takich, którzy chcieli kupić ciąg dalszy.

Miała rację. Jej prośba wcale nie była czymś odosobnionym. Często klienci po otrzymaniu początku prosili o jeszcze jeden rozdział. Nigdy się nie zgodził.

– I co? Mogę liczyć jeszcze na parę stron?

Pokręcił przecząco głową. Złożyła dłonie jak do modlitwy i spojrzała na niego załzawionymi oczami.

– Proszę, tylko jeszcze kilkanaście stron. Zapłacę jak za początek powieści. – Weszła do domu, po chwili wróciła z plecakiem. Otworzyła go i wyjęła kopertę. – Tu jest tysiąc euro.

– Ile masz jeszcze takich kopert?

Zrozumiała, jaka sugestia kryje się za jego pytaniem.

– Obiecuję, że o więcej tekstu cię nie poproszę.

– Wero, dlaczego sama nie spróbujesz? Pisanie może się okazać dobrą zabawą, może ci dać dużo satysfakcji.

– Spróbuję, ale później. Muszę mieć więcej tekstu. Muszę się mocniej wkręcić w tę książkę.

– Już się wkręciłaś. Widziałem, z jakim zapałem wczoraj czytałaś.

– Wkręciłam się jako czytelniczka, nie jako autorka. – Położyła rozpostartą dłoń na kartkach. – Boję się, że jak wrócę z tym do domu, to gdzieś to rzucę, nawet nie usiądę do pisania. Powinnam mieć więcej fabuły.

– Nie napiszę dla ciebie ciągu dalszego.

Opuściła głowę i ramiona. Zrozumiała, że dalszymi prośbami niczego nie uzyska.

– Podwożę cię do Pasłęka. Obejrzysz sobie tam średniowieczne mury obronne, bo warto, a potem ruszysz dalej. Zbieraj się! Jedziemy!

Rozdział XI

WERA NIE DAŁA ODWIEZĆ SIĘ do Pasłęka. Powiedziała, że sobie poradzi. W pojednawczym geście wręczył jej torbę z pomidorami. Po chwili wahania wzięła ją. Zrzuciła plecak na ramię i poszła.

Gdy znikła, zdjął przepocony T-shirt i rzucił go na kanapę. Teraz czas należał wyłącznie do niego. Rozległ się odgłos przychodzącego esemesa. Uśmiechnął się, widząc, że napisał Rajmund. Jeden z niewielu ludzi, który nic od Williama nie chciał, a sam od siebie wiele ofiarowywał. I ten esemes był tego najlepszym przykładem. Rajmund pisał:

„Jacyś ważniacy organizują bankiet na plaży w Sopotcie. Ja zapewniam catering. Mogę ci załatwić wejściówkę. Chcesz? Najesz się do syta owoców morza. Ośmiorniczki sprowadzam z Apulii”.

„Kiedy ten bankiet?” – zapytał Kriger.

„W niedzielę”.

„A co to za ludzie?”

„Jacyś wpływowi w biznesie. Forbes to organizuje”.

„Załatw tę wejściówkę. Wpadnę”.

Rajmund w odpowiedzi przysłał zadowoloną emotkę. William odłożył telefon i skierował się do szklarni. Chwilę później podłączył zawór linii nawadniającej do węża ogrodowego. Rozległ się szmer tysiąca kropel wody. Jeszcze rok temu podlewał pomidory konewką, ale towarzyszył temu problem utrzymania właściwej wilgotności. Krzaki miały zbyt mokro

albo zbyt sucho. Linia nawadniająca sprawdziła się rewelacyjnie.

Wyszedł ze szklarni. Ten bankiet to bardzo dobry pomysł, pomyślał. Odpręży się po tym wszystkim, co przeszedł w ostatnich dniach. Przyciśnięta do ziemi sucha trawa chrzęściła pod jego trampkami. Szedł w stronę wykopanego dwa dni temu grobu. Chciał się upewnić, czy psy ze wsi nie wyczuły zwłok i nie zaczęły kopać. Za płytko ukrył ciało. Na odkopanie zwłok i pogłębienie dołu nie był przygotowany psychicznie. Musi znaleźć inne rozwiązanie. Może postawiłby w tym miejscu jakąś betonową rzeźbę. A najlepiej pięć, sześć rzeźb w całym sadzie, bo jedna mogłaby wzbudzać podejrzenia. Stał na grobie. Żadnych śladów psich pazurów, ale nie wiadomo, co będzie jutro albo za tydzień.

Niebo było zbyt błękitne, zbyt jasne, aż oczy go kłuły. Głowa nabrzmiewała mu od nadmiaru słońca. Pomyślał o szklance zimnej wody, o cieniu dającym choć odrobinę ulgi.

Ruszył w stronę tarasu. Ciało miał mokre od potu. Nagle zamarł, zastygł w miejscu, bez tchu w płucach. Ledwo wyczuwalny powiew powietrza musnął jego kark. Ale to nie zmysł dotyku go zaalarmował, to oczy zobaczyły coś, czego tu nie powinno być. Na stole ogrodowym leżał wydruk komputerowy, początek powieści Wery. Czy to możliwe, że zapomniała go zabrać? A może wróciła? Ogarnęła go złość. Wszedł na taras i podszedł do kartek. Na marginesie pierwszej strony widniało kilka zdań zapisanych czarnym długopisem:

„Drogi Williamie, chętnie opowiedziałabym Ci historię swojego życia. Historię kobiety zniszczonej i upokorzonej, która potrzebuje radykalnej zmiany na lepsze. Gdybyś wiedział, co mnie spotkało, nie odmówiłbyś mi ciągu dalszego powieści. Wsparłbyś mnie tymi kilkunastoma kartkami więcej.

Doceniam twoje zasady, ale przyznasz, że te byłyby nie do zniesienia, gdyby nie wyjątki. Liczę więc, że dla mnie uczynisz wyjątek. Jutro o szóstej rano pojawię się u Ciebie. Nie będę Cię budzić. Zostaw wydruk na tarasie. Wezmę go i sobie pójdę. Gorąco ściskam. Wera”.

Podniósł wszystkie kartki i zobaczył kopertę. Zajrzał do środka. Kilkanaście banknotów o nominale pięćdziesiąt i sto euro. Wszedł do domu i się rozejrzał. Zakładał, że Wera gdzieś tu jest. Spodziewał się, że zaraz wyłoni się zza kominka albo wyjdzie z łazienki. Zajrzał w każdy kąt. Na parterze jej nie było. Zaczął wchodzić po schodach. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Cisza. Odetchnął z ulgą, gdy nie znalazł jej na piętrze. Usiadł na brzegu łóżka. Co ma teraz zrobić? Napisać ciąg dalszy i liczyć na to, że to zadowoli Werę? Że więcej nie będzie żądała? A może powinien kategorycznie odmówić? To byłoby najrozsądniejsze. Miał świadomość, że nie powinien ulegać naciskom. W zakamarkach podświadomości coś mu jednak szeptało, żeby napisał ciąg dalszy. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, to jutro, gdy się obudzi, zastanie Werę na swoim tarasie. A tego bardzo nie chciał.

Uruchomił laptop i otworzył plik z początkiem powieści *Czarna wołga wraca*.

CZEŚĆ SZÓSTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 10

GDY ZAGINIE TWOJE DZIECKO, to tak, jak gdybyś wpadł do czarnej dziury. Przytłoczy cię uczucie, że już się z tego nie wydostaniesz.

Na wystawie sklepu spożywczego wisiała fotografia Matyldy. Swoim formatem przypominała plakat. Dziewczynka kucała pod choinką i uśmiechała się do obiektywu, pokazując białe ząbki. Nad jej głową wisiała czerwona bombka, a przez pierś biegł napis złożony z dużych białych liter o ostrym kroju: „Gdzie jesteś, Matyldo?”. Identyczne fotki wisiały wzdłuż całej Ogrodowej. Uroczą blondyneczką patrzyła z okna wystawowego księgarni, sklepów mięsnych, cukierni, piekarni, salonów fryzjerskich i restauracji. I wszędzie to samo pytanie: „Gdzie jesteś, Matyldo?”.

Dizel zastanawiał się, kto rozwiesił te plakaty. Nie była to akcja rodziny, bo Oskar Kowalik zapewne by go o tym poinformował. Może więc przyjaciele i sąsiedzi wyszli z taką inicjatywą? Ruszył dalej w mroźną przestrzeń. Światło lamp ulicznych wydobywało połysk z chodnika pokrytego warstwą śniegu. Przez pół godziny sypało tak intensywnie, że żaden dozorca nie nadążyłby tego odśnieżać. Teraz pogoda się uspokoiła, ale mróz się nasilał.

Górecki zbliżał się do grupy osób zajmujących całą szerokość chodnika. To byli młodzi ludzie. Rozmawiali bardzo emocjonalnie, bo wykrzykników i przecinków w postaci wulgaryzmów było całkiem sporo. Musieli usłyszeć kroki Dizela, bo nagle obrócili się w jego stronę. Wysoki chłopak

w czarnej kurtce trzymał duże zdjęcie Matyldy, takie samo jak to, które wisiało w sklepowych witrynach.

– To ten detektyw! – zawołała dziewczyna kryjąca twarz pod obszernym kapturem. – To on był dzisiaj u mnie w domu. Mówiłam wam o tym.

Zrzuciła kaptur, odsłaniając krótkie czerwone włosy. Górecki rozpoznał Kamilę. Uśmiechnął się do niej.

– I co? Gdzie jest Matylda? – warknął chłopak trzymający plakat z wizerunkiem zaginionej dziewczynki. Z jego ust i nosa groźnie wypadały obłoki pary.

– Gdybym ją znalazł, to już by mnie nie było w Pasłęku – oznajmił Górecki. – Ale widzę, że wy też planujecie jej szukać. – Wskazał głową na zdjęcie Matyldy.

– Dziecko zaginęło! Trzeba, kurwa, coś zrobić. No nie?

Kolejne obłoki pary wystrzeliły z ust chłopaka w stronę detektywa.

– No, tak – potwierdził Damian.

– Podobno stawia pan na tę albinoskę, że to ona porwała Matyldę – rzucił ktoś z grupy.

– Nie przypominam sobie, żebym coś takiego twierdził.

Kamila hardo uniosła głowę.

– Jak to nie? – rzuciła dość agresywnie. – Gdy moja mama to zasugerowała, to pan nie zaprzeczył.

– Nigdy nie polemizuję z domysłami postronnych osób.

Jeden z chłopaków trzymał w obu dłoniach duży rulon w taki sposób, jak gdyby chciał nim komuś przywalić. Okrakiem, ślizgając się, zbliżył się do Damiana.

– Dokąd idziemy, detektywie? Czy nie do tej kobiety?

Żeby nie było wątpliwości, o kogo mu chodzi, kiwnął głową w stronę budynku, w którym mieszkała Laura Kowalik.

Młodzi ludzie byli rozemocjonowani. Dramatyczne wydarzenie, które zadziało się w sąsiedztwie, wyciągnęło ich z mieszkań, oderwało od komputerów i telefonów. Zapragnęli być w centrum tego niepokojącego zamętu, aby wykazać się aktywnością, wziąć udział w sprawie, podobnie jak ich rówieśnicy w amerykańskich serialach. Patrzyli na Dizela odważnie, z tym rodzajem pewności siebie, który cechuje nastoletni wiek.

Chłopak trzymający rulon rozwinął go. Przed oczami Damiana ukazał się czarny napis: „Królowo Śniegu, oddaj dziecko”. Domyślił się, że Królową Śniegu została nazwana Laura Kowalik. Ci nastolatki już znaleźli osobę odpowiedzialną za zaginięcie Matyldy.

– To mi zapłacili za znalezienie dziewczynki. Nie odbierajcie mi roboty! Idźcie do domu!

Parę osób się zaśmiało. O to chodziło Dizelowi, aby z tych dzieciaków zeszyły emocje. Jedna z dziewczyn zaszła go od tyłu i zaczęła fotografować orła na jego kurtce.

– Rewelka. Gdzie pan ukradł tę kurtkę?

– Nie powiem. Tajemnica zawodowa.

Szybki śmiech przebiegł przez grupę.

– Idźcie do domów! Jest zbyt zimno, żeby tu stać.

Nie czekał na to, co zrobią. Wyminął nabuzowanych młodych ludzi i ruszył do kamienicy.

Wbiegł po schodach, chwilę później zapukał. Laura Kowalik natychmiast otworzyła drzwi, jak gdyby stała po ich drugiej stronie i zawczasu usłyszała kroki. Rozejrzał się w poszukiwaniu oznak bytności dziecka. Nie szukał zabawek, buczków czy kolorowanek. Raczej spodziewał się ujrzeć papierki po cukierkach albo poduszki zrzucone na podłogę.

Nic takiego nie zobaczył. W mieszkaniu panował lekki bałagan, ale nie został on uczyniony ręką pięciolatki.

– Jestem prywatnym detektywem.

– Wiem, kim pan jest, panie Dizel. Wpuściłam pana, bo wiem, że szuka pan tej małej.

Laura Kowalik patrzyła na niego bladoniebieskimi oczami. Od tej kobiety bił chłód niemający nic wspólnego ze spokojem.

– Chciałbym porozmawiać – zaczął Damian.

– Nie sędzę – rzuciła krótko. – Przyszedł pan tu sprawdzić, czy nie trzymam w szafie pasierbicy Oskara. Proszę, niech pan się rozejrzy.

Biała dłoń wykonała zapraszający gest. Dizel przeszedł dalej. Mieszkanie było duże i bez wyrazu, jakby nie do końca umeblowane, nieprzyozdobione przedmiotami, którymi człowiek zwykle się otacza. Brakowało lampki nocnej, akwareli na ścianie, książek na półce, doniczki z kwiatkiem na parapecie. Coś z tych rzeczy powinno tu się znajdować. Nie było jednak niczego, jak gdyby nikt tu nie mieszkał. Wyraźny znak, że Laura Kowalik traktuje ten lokal jako miejsce tymczasowe. Nie pogodziła się z tym, że musiała opuścić swój dawny dom, i zapewne czeka na moment, kiedy będzie mogła do niego powrócić.

– Mieszka pani z synem?

– Tak.

Kobieta stała pośrodku pokoju ze skrzyżowanymi rękami na piersiach. Odsłonięte przedramiona tworzyły biały znak „X” na tle szarości swetra. Tym iksem informowała go, że nie ma zamiaru długo go gościć. Lepiej, żeby się nie rozsiadał, bo zaraz będzie musiał wyjść. Przysiadł jednak na krześle.

– Zna pani Matyldę?

– Nie. Skąd miałabym ją znać.

– Ale na ulicy by ją pani rozpoznała.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, może.

– Czy Matylda była kiedykolwiek w tym mieszkaniu?

– Nie.

– A może pani syn kiedyś ją tu przyprowadził?

– Nie. – Zawahała się, po czym dodała: – Chyba że pod moją nieobecność.

– Czyli policja ma prawo znaleźć jej odciski palców w pani mieszkaniu?

Bładoniebieskie oczy otoczone białymi rzęsami patrzyły na niego z pogardą.

– Spodziewałam się czegoś więcej po panu. Podobno jest pan detektywem z wieloma sukcesami. A ma pan myślenie jak z kiepskiego kryminału. Była żona porwała dziecko z nowego związku swojego męża i poćwiartowała je, a następnie schowała do zamrażalnika. – Biała ręka z wyciągniętym palcem wskazała na ścianę za plecami detektywa. – Tam jest kuchnia. Proszę zajrzeć do zamrażarki!

– Pani Lauro, to nie jest kiepski kryminał, to statystyki, a te mówią, że sprawcy trzeba szukać w najbliższym kręgu zaginionego dziecka.

– To niech pan tam szuka. Niech pan idzie do tamtej kobiety. Może to ona jest winna. Może to matka pozbyła się swojego dzieciaka, bo przeszkadzało jej w uwodzeniu cudzych mężów. Podobno ta mała była nieznośna.

Laura Kowalik była jak góra lodu podgrzana od środka ogniem. Zimna i niespokojna, biała i mroczna. Dizel nie potrafił wyobrazić sobie tej kobiety gawędzącej z koleżankami przy kawie. Był pewien, że nie ma wielu znajomych, nie mówiąc o przyjaciółkach. Zapewne żyje w Pasłęku jak odludek

albo Królowa Śniegu, która patrzy na wszystkich z góry, z wysokości swoich sań. Porównanie do Królowej Śniegu, którego dokonała młodzież, wydało mu się bardzo trafne.

– Całe miasto trzyma kciuki za tym, aby Matylda się odnalazła. A pani?

Blade usta zadrżały, białe palce zacisnęły się na swetrze. Laura epatowała swoim niezwykłym kolorem ciała. Onieśmiała i przytłaczała zimną urodą. Górecki podejrzewał, że robiła to świadomie, bo niby dlaczego była boso i dlaczego podwinęła rękawy swetra aż do łokcia? Ciepło w mieszkaniu wcale nie było. W pewnym stopniu udało się jej związać jego uwagę białą skórą. Patrzył na śnieżną twarz, a gdy opuszczał wzrok, trafiał na stopy jak z porcelany.

– To pytanie było niefajne. Gdyby był pan funkcjonariuszem, złożyłabym na pana skargę, a tak mogę tylko pana wyrzucić z mojego mieszkania.

– Pytam, bo od świadków wiem, że wczoraj, gdy ludzie pomagali Julianowi Piątkowi szukać córki, to pani się tylko temu przyglądała.

Parsknęła krótkim śmiechem.

– Jacy oni byli śmieszni, ci wszyscy ludzie biegający po ulicy, jak gdyby myśleli, że ta mała nagle się gdzieś pojawi, choć widać było, że nigdzie jej nie ma.

– Jak pani myśli, co się stało z Matyldą?

– Już panu powiedziałam. Matka się jej pozbyła.

– Pani Lauro, porozmawiajmy na serio, bez złośliwości.

– Przyszedł pan sprawdzić, czy nie ma tutaj tej małej, i oczekuje pan współpracy z mojej strony? Nie jest pan lepszy od nich wszystkich. – Wskazała na okno. – Tam są hieny, które już wydały na mnie wyrok i teraz czekają, aż się im

poddam. – Podeszła do parapetu i nagle się cofnęła z wyraźną odrazą. – No niech pan sam to zobaczy.

Zbliżył się do niej i wyjrzał na zewnątrz. Zszokowało go to, co działo się przed kamienicą. Gdy wchodził do budynku, to na chodniku stało jedynie sześć osób. Teraz było ich około trzydziestu. W większości nastolatki, chociaż nie brakowało też ludzi po dwudziestce. Coś pokrzykiwali. W świetle lamp ulicznych widać było ruszające się usta i wznoszone w górę ręce. Kilka osób trzymało transparenty wzywające Królową Śniegu do oddania dziecka. Sytuacja była bardzo dynamiczna. Dochodzili nowi ludzie. Samochody zwalniały, aby nie potrącić zgromadzonych. Ktoś wyciągnął rękę z oskarżycielsko wysuniętym palcem w stronę okna Laury Kowalik. Inni też wykonali ten gest. Ktoś rzucił kulką śniegu w stronę budynku. To była specyfika małomiasteczkowej rzeczywistości. W Monachium do takich sytuacji nie dochodziło. Dizel odsunął się od okna i wybrał numer aspiranta Kosmy Bielewicz. Poinformował go o nielegalnej manifestacji na Ogrodowej i poprosił o przysłanie patrolu.

– Zaraz policja ich rozgoni – oznajmił, chowając telefon.

Laura wciąż patrzyła na ulicę.

– Tam jest koleżanka mojego syna. Kamila. Mieszka niedaleko. Okropna dziewczucha. Nie lubię jej. Mówiłam Michałowi, żeby dał sobie z nią spokój. Niestety, on jest innego zdania.

Obróciła się białą twarzą ku niemu. W bladoniebieskich oczach tlił się niepokój. Ta kobieta dobrze maskowała swój lęk, ale nie była w stanie go całkowicie ukryć. Chłodna, zdystansowana i przestraszona.

– Mogę rzucić okiem na mieszkanie?

– Tak, niech pan zagląda, gdzie chce. Niech pan się upewni, że tu nie ma tej małej. I proszę potem powiedzieć tym ludziom, że tu jej nie ma. Chociaż nie wiem, czy to pomoże, bo tłum ma swój rozum.

Roześmiała się bez cienia wesołości. Dizel zapisał w głowie spostrzeżenie, że Laura unika wypowiedzenia imienia zaginionej dziewczynki. Ani razu nie nazwała jej Matyldą. Mówiła o niej: „Ta mała”. To był niepokojący sygnał. Wyszedł do holu i skręcił w lewo. Najpierw wszedł do pokoju Michała Kowalika. Stało tu biurko, w rogu minisiłownia, przy drzwiach wąskie łóżko, a zbyt duża szafa częściowo przysłoniła okno. Uwagę przykuwała tapeta we wzór geometryczny, zbyt barwny jak na gust nastoletniego chłopca. Syn Laury nie zaakceptował tapety, którą zapewne odziedziczył po poprzednim lokatorze. Znakiem tego było koszmarnie graffiti wykonane niewprawną ręką, ciągnące się od podłogi i zahaczające o sufit. Michał w przeciwieństwie do matki próbował oznaczyć swój teren. Damian zajrzał do skrzyni na pościel i do szafy. W tych miejscach dałoby się ukryć pięcioletnią dziewczynkę. Zaciekały go jeszcze otwarte ciastka leżące na biurku. Może to przysmak Matyldy? Sfotografował je i wyszedł. Sypialnia Laury robiła wrażenie pustawej i pozbawionej indywidualnego rysu, podobnie jak salon. Uwagę zwracał wszechobecny kurz i ubrania rzucone na podłogę w kąt pokoju. Pani domu nie była miłośniczką porządków. Znowu zajrzał do szafy i szukał jakichkolwiek oznak bytności Matyldy. Wypatrywał na lustrze śladów po paluszkach, a na podłodze choć jednego blond włosa. W kuchni zajrzał do lodówki i sfotografował jej zawartość. Interesowało go, czy jest w niej jedzenie, w którym gustuje Matylda. Ustali to później z Weroniką. Darował sobie

zagładanie do zamrażalnika. W łazience znowu szukał śladów po małych palcach, ale brudne kafelki i zamazane lustro nie dawały mu szansy na wypatrzenie czegokolwiek.

Nie miał dowodów na to, że Matylda przebywała w tym mieszkaniu. Policja dysponowała większymi możliwościami w zabezpieczaniu śladów, tylko że żaden technik tu nie wejdzie, bo prokurator nie wyda nakazu, przynajmniej na razie, dopóki nie ma konkretnych przesłanek co do sprawstwa Laury Kowalik. Usłyszał hałas. Najpierw trzasnęły drzwi, potem coś huknęło, jak gdyby duży przedmiot spadł na podłogę.

– Michał, zachowuj się! Mamy gościa.

Michał Kowalik podobny był do ojca. Też szczupły i wysoki, te same ciemne brwi i rzęsy, i wyraźnie zarysowana, lekko kwadratowa żuchwa. Teraz był ładnym chłopcem, za parę lat będzie przystojnym mężczyzną. Nastolatek patrzył na Damiana rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Jestem prywatnym detektywem.

Chłopak przełknął z trudem ślinę.

– Aha, to pan. Tata mi mówił, że pana wynajął.

Zdjął buty i kopnął je pod ścianę. Schylił się po plecak leżący przy nogach.

– Byłeś u ojca?

– Tak, ale krótko, bo tam się nie da teraz wytrzymać. Weronika ryczy, Anka rzuca zabawkami, a tata siedzi przed komputerem. I jeszcze rodzice Weroniki. Tylko robią tłok.

– Gdzie byłeś wczoraj o dziewiętnastej?

– Ja?

– Tak, ty.

– Był w domu – oznajmiła Laura, wchodząc do holu.

Pojawiła się jak duch, bezszelestnie, emanując bielą swojego ciała. Chłopak opuścił głowę, przygarbił plecy.

– Widziałeś, co się dzieje na zewnątrz? – mówiła z pretensją, jak gdyby to jej syn odpowiadał za manifestację młodych pasłęczan. – Tam jest też twoja koleżanka. Ta cała Kamila. Widziałeś ją?

– Tak, widziałem.

– I co? Nadal uważasz ją za swoją koleżankę?

Chłopak uniósł głowę i spojrzał na matkę.

– Ona wierzy w to, co robi. Stoi tam z tymi ludźmi dla Matyldy. Ja też zaraz do nich pójde.

Laura zacisnęła palce na framudze drzwi.

– Co ty mówisz? Przecież ci ludzie mnie atakują.

– A co? Nie mają racji? – rzucił Michał zaczepnym tonem.

Kobieta postąpiła kilka kroków do przodu. Szła powoli, bezszelestnie. Niespiesznie uniosła rękę i wymierzyła synowi policzek. Ten spojrzał na nią z wyrzutem załzawionymi oczami.

– Idź do swojego pokoju! – rozkazała.

Michał przebiegł przez hol, głośno tupiąc.

– Przepraszam, że musiał być pan tego świadkiem.

Laura spojrzała na Damiana. Wciąż bił od niej chłód, a bladoniebieskie oczy wyrażały skrajny niepokój. Dizel wyciągnął z kieszeni wizytówkę i położył ją na pobliskiej szafce.

– Gdyby chciała pani coś mi jeszcze powiedzieć, to proszę zadzwonić.

– Nie będę dzwonić. – Podniosła wizytówkę i ją zgmiotła. – Żegnam pana.

Damian Górecki zbiegał po schodach. Nie znalazł Matyldy w mieszkaniu Laury Kowalik, nie miał też żadnego

konkretnego dowodu na to, że ta kobieta mogła mieć coś wspólnego z zaginięciem dziewczynki. Wprawdzie Michał coś takiego zasugerował, ale to nic nie znaczyło, a właściwie znaczyło tylko tyle, że Laura miała z nim złe relacje. Gdyby syn naprawdę ją o coś takiego podejrzewał, to nie pisnąłby na ten temat ani słowa.

Przed budynkiem ludzie skandowali: „Gdzie jesteś, Matyldo?”. Grupa liczyła już ponad pięćdziesiąt osób. Głównie młode twarze, wszystkie rozemocjonowane, z szeroko otwartymi oczami i ustami. Transparentów też było więcej. Na największym widniał napis: „To nie bajka. Królowo Śniegu, oddaj matce dziecko”. Do detektywa podbiegło troje nastolatków. Wymierzili w niego swoje telefony.

– Widział pan Matyldę? Królowa Śniegu ją odda?

– Nie ma tutaj Matyldy. Ta wasza akcja jest niepotrzebna. Wracajcie do domów!

Młodzi ludzie opuścili ręce z aparatami. W mgnieniu oka opadł z nich entuzjazm. Liczyli na sensacyjną wiadomość. Mieli nadzieję, że walczą w słusznej sprawie, a tu nic.

Kawałek dalej zaparkował radiowóz. Nikt jednak z niego nie wysiadł. Dizel się zbliżył. Rozpoznał starszego posterunkowego Karola Jaskółę. Policjant uchylił okno.

– Co tam, detektywie? To podobno ty zgłosiłeś nielegalne zgromadzenie na Ogrodowej.

– Tak. Ci ludzie nękają mieszkankę tej ulicy, Laurę Kowalik.

– Pani Kowalik nam tego nie zgłosiła, a nielegalnego zgromadzenia też tutaj nie widzę. Ruch uliczny nie został zakłócony.

Jaskółę kiwnął głową w stronę ludzi, którzy akurat się rozstępowali, aby przepuścić toyotę.

– A tak naprawdę, to dlaczego nie chcesz interweniować?

– Bo nie mamy czasu. Kosma rozpoczął poszukiwania Matyldy Piątek. Chcemy przetrząsnąć całe miasto i okolice w promieniu kilku kilometrów. Nie da się ukryć, że daliśmy ciała, nie biorąc się za poszukiwania od razu, wczoraj wieczorem. Żebyśmy tylko nie znaleźli tego dzieciaka martwego. Sorry, detektywie, ale muszę jechać. A tą sytuacją tutaj się nie zajmuj. Do żadnej większej rozróby nie dojdzie. Znam tych ludzi. Jestem z Pasłęka.

Gdy światła radiowozu zaczęły się oddalać, rozległo się buczenie i pojedyncze gwizdy. Zapewne ludzie myśleli, że policja pojawiła się, aby aresztować Królową Śniegu i uwolnić Matyldę. Odjazd funkcjonariusza stał w sprzeczności z ich oczekiwaniami.

Po drugiej stronie ulicy Górecki dostrzegł niebieski szalik i grzywkę w podobnym kolorze. Justyna Drabicz robiła zdjęcia manifestującym. W ustach trzymała elektronicznego papierosa. Zamachała do Damiana, po czym się zbliżyła.

– I co? To nie ona uprowadziła Matyldę?

– Na pewno dziewczynki nie ma w jej mieszkaniu. Sprawdziłem to.

– Ale nadal stawiasz na to, że ktoś z bliskich przyczynił się do tego zaginięcia?

– Tak.

– A europejska sieć pedofilska? Handel żywym towarem? Handel organami do przeszczepu?

– Te zagrożenia są mniej prawdopodobne.

– Dlaczego mniej? Słyszałam, że w handlu organami ważną rolę odgrywają lekarze.

– To prawda. To na trop chirurgów i anestezjologów najłatwiej wpaść, i to oni najczęściej są zatrzymywani, choć rzadko kiedy organizują ten biznes.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego nie łączysz zaginięcia Matyldy z handlem organami. Przecież jej ojczym jest lekarzem, w dodatku chirurgiem. Może sprzedał pasierbicę. Serce, dwie nerki, wątroba, płuca. Co tam się jeszcze przeszczepia? Wszystkie organy młode, z długą datą ważności. Chyba mógłby na tym nieźle zarobić?

Włożyła papierosa do ust. Nad jej niebieską grzywką unosił się dym.

– Nie lubisz doktora Kowalika?

– Nie o to chodzi, że nie lubię. Czasami myślę, że ten człowiek jest zbyt idealny. Weronika nad nim pieje z zachwytem. Rozmawiałam z nią godzinę temu. Powiedziała, że Oskar zachowuje się fantastycznie, że trzyma się tylko dzięki niemu. Wiele dałabym za to, żeby szczerze pogadać sobie z Laurą Kowalik. Ciekawe, co miałaby do powiedzenia o swoim byłym.

Ostatnie słowa Justyny zlały się ze skandowaniem tłumu. Sytuacja robiła się coraz bardziej piknikowa. Ludzie podśpiewywali, śmiali się. Niektórzy trzymali w dłoniach piwo, inni pstrykali zdjęcia. To dobrze, że zeszły z nich negatywne emocje. Zapewne zaraz się rozejdą.

Rozdział 11

OD PÓŁTOREJ GODZINY sto trzydzieści osiem osób przeszukiwało wyznaczony teren. Aspirant Kosma Bielewicz koordynował przeszukania. Najtrudniej było zgromadzić odpowiednio dużą liczbę ludzi, ale udało się. Wsparła ich straż miejska i jednostka ratowniczo-gaśnicza. Na wezwanie stawili się również druhowie z Ochotniczej Straży Pożarnej z Zielonki Pasłęckiej i z Rychlik. Kosma skontaktował się też z członkami klubu motocyklowego, do którego sam należał. Na nich zawsze mógł liczyć. Aż czternastu motocyklistów przyjechało do parku w centrum, od którego rozpoczynali poszukiwania.

Chodziło o to, żeby prowadzić działania jednocześnie na kilku obszarach. Podzielił więc Pasłek na sześć sektorów i zarządził sformowanie tyle samo grup poszukiwawczych, każda pod kierunkiem funkcjonariusza policji. Ludzie wyposażeni w lateksowe rękawiczki i latarki ruszyli w teren. Mieli sprawdzać kontenery na śmieci, łatwo dostępne pomieszczenia, głównie piwniczne, także dachy niższych budynków, studzienki kanalizacyjne oraz tereny budów. Mieli szukać dziecka, ale także śladów po nim. Wszyscy dostali informację, w co ubrana była Matylda w dniu zaginięcia. Kosma wysłał osobom biorącym udział w poszukiwaniu fotki garderoby dziewczynki.

Przeszukiwanie przebiegało sprawnie. Pasłek nie był dużym miastem, zaledwie dwanaście kilometrów kwadratowych. Zaczęli od parku położonego między Konopnickiej a Jagiełły i podążali w sześciu przeciwległych kierunkach. Po

przeszukaniu kolejnych ulic Kosma otrzymywał meldunki od funkcjonariuszy. Siedząc w radiowozie, oznaczał na mapie w tablecie przeszukane obszary. Jeszcze godzina i skończą robić miasto.

Usłyszał dźwięk esemesa. Wyjął telefon i rzucił okiem na wyświetlacz.

„Znalazłeś już Matyldę?” – pytała jego córka.

„A ty już powtórzyłaś matkę?”

Jutro Agatę czekał sprawdzian z geometrii. Zależało mu, żeby go zaliczyła na dobrą ocenę.

„Tato, nie ma znaku równości pomiędzy matką a zaginionym dzieckiem. Są rzeczy ważne i ważniejsze”.

Kilka miesięcy temu jego grzeczna córeczka przemieniła się w przemądrzałą nastolatkę. Nie mógł się do tego przyzwycząić. Odpisał jej dwoma słowami: „matka” i „Matylda”, wstawiając pomiędzy nie znak większości. Zareagowała na to pełną dezaprobaty emotką. Za chwilę przysłała kolejną wiadomość:

„Empatia odróżnia nas od zwierząt. Jesteś człowiekiem czy psem?”

Wybałuszył oczy. Jeszcze pół roku temu jego córka nie miała pojęcia, co to jest empatia. Nie mówiąc o tym, że nie byłaby zdolna do przewrotnych wypowiedzi z wykorzystaniem dwuznacznej semantyki.

„Siadaj do geometrii. Gdy wrócę, to cię przepytam”.

„Kiedy wrócisz?”

„Późno, może nawet rano”.

„Aha, czyli jeszcze szukacie Matyldy i zakładasz, że ją znajdziecie nieżywą, bo tylko oględziny mogą zająć ci tyle czasu, aż do rana”.

Na końcu Agata umieściła emotkę ze smutną buźką. Niestety, miała rację. Podświadomość mówiła mu, że znajda

martwą dziewczynkę. Wolał nie myśleć, jaki wtedy będzie jego los. Może skończy się na naganie za to, że zbyt późno wszczął poszukiwania. Oby nie wykopali go ze służby.

Po zakończeniu przeszukiwania miasta przenieśli się do bezpośrednio sąsiadujących z Pasłękiem wsi. Tutaj było trudniej, bo musieli przetrząsać rowy, pola i las. A lasów na wschód i południe od miasta rosło tu całkiem sporo. Sprawdzali też opuszczone budynki. Poszukiwania mocno utrudniało to, że zapadł już zmrok. W Pasłęku nie był to taki wielki problem, ale poza miastem widoczność została mocno ograniczona. Czołówki wyjmowały z czerni lasu jedynie fragmenty przestrzeni. Funkcjonariusze komunikowali, że to nie ma sensu, trzeba przełożyć poszukiwania na następny dzień. Aspirant Bielewicz nie zgodził się i gorączkowo myślał, skąd wziąć ludzi do pomocy. Przydałoby się kolejnych sto osób. Miał już dzwonić do Ochotniczej Straży Pożarnej w Gotkowie, ale przez policyjne radio zgłosił się starszy posterunkowy Karol Jaskóła.

– Kosma, kurwa, znaleźliśmy ciało.

– Dziecka?

– Tak, to na pewno dziecko.

Aspirant patrzył przez przednią szybę na ciemną masę murów biegnącą równoległe do ulicy, a w jego umyśle panował dziwny spokój. Znaleźli Matyldę. Nastąpił finał. Musi zawiadomić prokuraturę i przygotować ekipę do oględzin. No i trzeba będzie powiadomić rodziców. Już dwa razy informował bliskich o śmierci dziecka. Raz chodziło o wypadek z udziałem sprzętu rolniczego, drugi raz o zdarzenie drogowe, a teraz zapewne o morderstwo.

– Karol, gdzie jesteś?

– W Anglitach. Słuchaj, Kosma. Coś mi tu nie pasuje.

Głos wydobywający się z radia łamał się i drgał od zdenerwowania. Nic dziwnego, starszy posterunkowy Jaskóła był w służbie dopiero od trzech lat. To pierwsze martwe dziecko, z jakim miał do czynienia.

– Co ci nie pasuje?

– Te zwłoki. To nie tak powinno wyglądać.

– Co niby? O czym mówisz?

– To jest na pewno dziecko – powtórzył Jaskóła. – Kurwa, wolałbym, żeby mnie tu nie było. Dlaczego w tym lesie jest tak potwornie zimno, jak na Syberii?

Bielewicz postanowił sam rzucić okiem na miejsce zdarzenia. Dopiero potem zarządzi kolejne czynności.

– Jadę do ciebie. Daj dokładne namiary.

– Jedź pod pałac. Tam będzie ktoś na ciebie czekał.

Aspirant ruszył. Anglity znajdowały się bardzo blisko, to właściwie była kolonia Pasłęka, położona opodal drogi pięćset trzystaście, na skraju ładnego i gęstego lasu. Po paru minutach był na miejscu. W ciemności zimowego wieczoru zobaczył postać stojącą przed pałacem. Przyhamował. Otworzyły się drzwi i wraz z zimnym powietrzem do wnętrza radiowozu wpadła dziewczyna. Była zdyszana.

– Jestem druhna Ewa Janeczko – przedstawiła się między jednym a drugim oddechem.

Miała na sobie kamizelkę z emblematem OSP Zielonki Pasłęckiej. W jednej dłoni trzymała czołówkę, w drugiej latarkę typu szperacz. Była zmarznięta, mimo puchowej kurtki włożonej pod kamizelkę.

– Gdzie teraz? – zapytał Kosma.

– Prosto i w lewo pod sam las.

Opony szorowały po grudkach lodu, gdy skręcali na obrzeża wsi.

– Mój kolega ze straży ją znalazł – relacjonowała Ewa. – Okropność. Powiedział, że do końca życia nie zapomni tego widoku. Karol nie pozwolił nikomu więcej zbliżyć się do zwłok, żebyśmy nie zdeptali śladów.

Druhna Janeczko była mocno poruszona. Gdy wysiedli, podała mu czołówkę. Nie włączył jej, bo biel śniegu pokrywającego pola rozświetlała skraj lasu. Ewa poprowadziła go wzdłuż pierwszej linii drzew. Potem skręcili między pnie. Cienka warstwa śniegu lekko skrzypiała pod ich butami. Druhna włączyła latarkę i oświetlała im drogę. Aspirant dojrzał światło w głębi lasu. To tam znajdowało się miejsce zdarzenia. Gdy byli już blisko, druhna się zatrzymała.

– Mi nie wolno podchodzić. Karol zabronił. Dalej idź sam.

Przeszył go dreszcz, może z zimna albo z obawy, co zaraz zobaczy. Nagle snop światła spadł mu na twarz. Przymrużył oczy.

– Karolina, zlituj się, oślepiasz mnie.

Jaskółta wyłączył czołówkę. Zrobiło się ciemno, wręcz czarno. Wzrok aspiranta Bielewicza przyzwyczajał się do otoczenia. Najpierw zauważył bladą twarz kolegi. Karol mocno przeżywał sytuację. Jego przyspieszony oddech wypełniał ciszę lasu.

– To naprawdę źle wygląda – oznajmił, wskazując ręką na choinkę.

Kosma skierował w tę stronę wzrok, wypatrując ciała pod drzewem. Trudno było je dostrzec, bo nie leżało na białym puchu. Iglaste drzewa zatrzymywały płatki śniegu, tutaj ściółka była czarna. Włączył czołówkę i skierował światło na miejsce zdarzenia.

– Kurwa – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Widok go zaskoczył. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego.

– Co o tym sądzisz? – zapytał z napięciem Karol.

– Sądzę, że natychmiast powinienem zawiadomić prokuraturę.

Starszy posterunkowy machnął ręką w kierunku wyznaczonym przez snop światła.

– A o tym tutaj, co myślisz?

Bielewicz milczał. Miał zamęt w głowie, bo tego widoku nie mógł wpasować w klarowny ciąg rozumowania.

– Kim jest to dziecko? – zapytał Karol szeptem, ukrywając drżenie w głosie.

– Właśnie się nad tym zastanawiam – odpowiedział Kosma również szeptem.

Pod choinką leżała dziewczynka, ale to nie była Matylda Piątek. Też blondynka, lecz o wiele większa, zapewne parę lat starsza. Mogła mieć dziesięć lat. Mogła nawet być w wieku jego córki. Drobne dwunastolatki tak właśnie wyglądają, jak dzieci.

– Przecież nie mieliśmy drugiego zgłoszenia o zaginionym dziecku – oznajmił Karol.

– Może nikt jeszcze nie zauważył jej zniknięcia. Może ona tu leży dopiero parę godzin, a rodzice myślą, że jest u koleżanki.

Kosma kątem oka zobaczył, jak kolega kręci przecząco głową.

– Dotknąłem jej nadgarstka. Jest zimna i całkowicie sztywna. Na moje oko to znajduje się tu od wczoraj.

– To może nie jest stąd ani z naszego województwa.

– Może tak być. Coś kojarzę, że na Śląsku ostatnio zaginęły dwie dziesięciolatki. – Jaskółka wciągnął głośno powietrze. – To tutaj wygląda na robotę pedofila. Co nie?

Aspirant Bielewicz miał podobne wrażenie. Dziewczynka leżała na plecach. Miała na sobie krótką kurtkę i spodnie

opuszczone do kolan wraz z majtkami. Na jednej stopie but, na drugiej sama skarpetka, rękawiczki na dłoniach. Ofiara nie miała czapki. Jasne włosy rozsypały się wokół jej głowy. Nie było widać żadnych oznak mechanicznego pozbawienia życia. Wątpliwości budził jedynie szalik zawinięty wokół szyi, może zbyt mocno. Może została nim uduszona.

Kosma wyłączył czołówkę.

– Będziesz jej pilnował do przyjazdu prokuratora i techników.

– A co z poszukiwaniem Matyldy Piątek?

– Kontynuujemy.

– Jeśli mam tu zostać, to ktoś musi poprowadzić moją grupę.

Aspirant przytaknął.

– Trzeba nam więcej ludzi. Może funkcjonariusze z Elbląga przyjadą. W tej chwili musimy założyć, że Matyldę spotkało to samo, co tę dziewczynkę tutaj.

Rozdział 12

KOMISARZ PIOTR KAPTERA wyglądał jak filmowy glina. Szeroki w barach, ogolona głowa, kwadratowa szczęka z kilkudniowym zarostem i kabura z bronią wyraźnie odznaczająca się pod policyjną bluzą. Przysłała go elbląska komenda, żeby im pomógł, bo funkcjonariusze z komisariatu w Pasłęku rzekomo mieli mniejsze doświadczenie śledcze, a sprawa była poważna, zaginięcie jednego dziecka i śmierć drugiego.

Komisarz Kaptera uderzył dłonią w protokół.

– Trzeba ustalić, kim jest denatka. Dajcie jej zdjęcie do mediów, najlepiej ogólnopolskich.

Kosma trzymał właśnie fotkę z dokumentacji zrobionej podczas oględzin. Widniała na niej twarz dziewczynki, sina i lekko napuchnięta, z wyraźnymi plamami wokół nosa i ust.

– To się nie nadaje do upublicznienia – mruknął.

Kaptera posłał mu drwiący uśmiech.

– Najgłupszy grafik tak poprawi to zdjęcie, że denatka będzie wyglądała jak żywa.

Starszy posterunkowy Jaskóła siedział na końcu stołu skulony, jak gdyby pragnął pozostać niezauważony. Wyglądał źle. Miał spoconą twarz z widocznym na niej napięciem i zbyt mocno rozpiętą koszulę. Przesuwał po blacie dokumenty, ale ich nie czytał. Nagle uniósł głowę i powiększone źrenice utkwili w komisarzu.

– Proponuję, żeby najpierw pójść z tą fotką do pasłęckich szkół. Jeśli ofiara się w nich uczyła, to nauczyciele na pewno

ją rozpoznają. Media to ostateczność. Nikt nie chciałby zobaczyć swojego martwego dziecka w internecie albo telewizji.

Piotr Kaptera przesunął grzbietem dłoni po podbródku i poprawił kaburę pod bluzą.

– Czy ja czegoś nie doczytałem? Bo wydaje mi się, że nikt z Pasłęka czy sąsiednich gmin nie zgłosił zaginięcia okołodziesięcioletniego dziecka płci żeńskiej.

Nie patrzył na starszego posterunkowego, lecz na sufit, jak gdyby tam znajdował się mikrofon przekazujący jego słowa gdzieś dalej.

– W policyjnej bazie zaginionych też nie ma osoby, która by pasowała do denatki – zauważył Karol.

Przetarł spocone czoło i ciężko łapał oddech. Komisarz nadal nie raczył spojrzeć na młodego funkcjonariusza.

– W policyjnej bazie jest kilka tysięcy zaginionych dzieciaków, a system automatycznego rozpoznawania twarzy bywa zawodny. Dlatego proponuję dać zdjęcie do mediów. Rodzina rozpozna ją natychmiast.

– Ona będzie stąd. Statystyki mówią, że nie porzuca się ciała setki kilometrów od miejsca zbrodni.

Karol trzymał się swojej wersji. Mimo wyraźnego zmęczenia, a może nawet gorączki nie chciał ustąpić. Kosma był bardziej ugodowy, ale teraz zwyciężyła w nim solidarność z kumplem.

– Też bym zaczął od wizyty w tutejszych szkołach.

Drwiące wykrzywienie ust pojawiło się na kwadratowej szczęce komisarza.

– Na pogadanki o pracy policji też tak chętnie biegacie do szkół?

– Tak – rzucił krótko Karol.

Kaptera był zły. Zapewne się nie spodziewał, że policjanci z komisariatu w Pasłęku się mu postawią. Kosma uznał, że

dobrze byłoby załagodzić rodzący się między nimi konflikt. Przez najbliższych parę dni będą musieli ze sobą współpracować. Powinno się to odbywać w dobrej atmosferze.

– Ofiara miała na nadgarstku bransoletkę z rzemyków i niebieskich kamieni. Takie bransoletki sprzedawali w sierpniu na jarmarku Świętego Bartłomieja. Pamiętam, bo moja córka też chciała sobie taką kupić. Myślę, że to może być wskazówka, że denatka jest z Pasłęka albo jakiejś sąsiedniej wsi.

– Taki badziew można kupić na jarmarkach w całej Polsce. Wszędzie sprzedaje się to samo gówno z Chin. Ale niech wam będzie, zapierdalajcie do tych szkół. Może gdy przewietrzycie głowy, to łatwiej będziecie przyjmować moje rady. – Piotr Kaptera wstał, głośno odsuwając krzesło. – Spotykamy się tutaj za półtorej godziny. Chyba tyle czasu wam wystarczy?

– Wystarczy – rzucił aspirant Bielewicz.

Komisarz wyszedł wyprostowany, lekko kołysząc atletyczną sylwetką.

– Kurwa – rzucił Karol przez zaciśnięte zęby. – On się zachowuje, jakby się urwał z jakiegoś planu filmowego o supergliniarzach.

Kosma zgarniał ze stołu protokoły i zdjęcia. Zerkał przy tym na kumpla, bo tamten przygarbił się i oddychał ze świstem.

– Karolina, co ci jest? Wyglądasz jak na porządnym kacu.

Starszy posterunkowy spróbował się uśmiechnąć.

– Chciałbym, żeby to był kac. Zaraz by przeszło. – Palcami przetarł powieki. – Coś mnie bierze. Może grypa, może covid albo zwykłe przeziębienie. Wczoraj już się fatalnie czułem. A potem te poszukiwania i oględziny. Zmarzłem.

– Idź na zwolnienie! Ktoś cię zastąpi.

– Co ty pierdolisz? Jakie zwolnienie? Zaginęła pięcioletnia dziewczynka, drugą znaleźliśmy martwą, a ja mam się położyć pod kołdrę? Za trzydzieści lat nadal będzie się w Pasłęku mówić o tej sprawie. I co ja wtedy powiem moim dzieciom? Że byłem chory?

– Jak chcesz, ale pamiętaj, że przechodzenie przeziębienia może się źle skończyć.

Młody policjant machnął lekceważąco ręką.

– Powiedz lepiej, czy Dizel odzywał się do ciebie od wczoraj.

– Nie, ale myślę, że zaraz zadzwoni albo nawet tu przyjdzie. Będzie chciał czegoś się dowiedzieć o tej znalezionej dziewczynce. Chyba na razie daje nam czas, żebyśmy ustalili jak najwięcej faktów.

Starszy posterunkowy oblizał spierzchnięte wargi.

– Z jednej strony słynny Dizel, z drugiej zarozumiały Kaptera. I kto złapie sprawcę?

– My, policjanci z Pasłęka – odpowiedział pewnym tonem Kosma.

Rozdział 13

ASPIRANT KOSMA BIELEWICZ przekroczył próg szkoły podstawowej na Jagiełły. Niewiele tu się zmieniło przez ostatnich osiemnaście lat. Co prawda było trochę jaśniej, jakby czyściej, ale to wciąż te same korytarze, ściany i drzwi. Znał drogę do gabinetu dyrektora, bo często ją przemierzał za swojej bytności w tej placówce.

Nagle przyjemna cisza została złamana przez szkolny dzwonek. Kosma zaklął pod nosem. Zaraz chmara dzieciaków wypadnie z wrzaskiem z klas. Już zza drzwi dobiegał harmider głosów spotęgowany przez szuranie krzeseł. Sekundę później zaroilo się wokół niego od uczniów. Niewielu zwróciło uwagę na funkcjonariusza. Kilka dziewczyn powiedziało mu „dzień dobry”. Musiał momentami przystawać, żeby się nie zderzyć z pędzącym nastolatkiem. Ktoś zrobił mu zdjęcie i zawołał: „Uwaga! Psy w budzie”. Ktoś inny odkrzyknął: „Kafel, spierdalaj! Po ciebie przyszli!”.

Aspirant poczuł szarpnięcie za rękaw policyjnej kurtki. Zatrzymał się. Obok stała jego Agata. Usta miała pociągnięte grubo błyszczkiem.

- Tato, co tu robisz?
- Przyszedłem w twojej sprawie, bo nie chcesz się uczyć.
- Żartujesz.
- Nie żartuję. Naprawdę mnie wezwali.
- Akurat uwierzę. Na pewno jesteś tu w związku z tą dziewczyną, którą znaleźliście w Anglitach.

Konspiracyjnie przyłożył palec do ust.

– Nikomu o tym nie mów! Może nikt mnie tu nie zobaczy.

– Tato, co ty mówisz? Przecież wszyscy cię widzą i wszyscy wiedzą, że będziesz pytał o Wioletkę z Anglit.

Kosma lekko pochylił się do dużo niższej od niego córki.

– O kim ty mówisz? Co to za Wioletka?

Agata zrobiła typową dla siebie minę wszystkowiedzącej nastolatki.

– To jest taka jedna z piątej A. Wczoraj nie była w szkole, a od piątku nie ma jej na Insta, a wrzucała tam coś każdego dnia.

– Od piątku... – powtórzył mimowolnie Kosma.

Miał w pamięci opinię medyka sądowego odnośnie do czasu śmierci. Oznaki procesu gnilnego widoczne na twarzy dziewczynki wskazywały, że zgon nastąpił w temperaturze dodatniej. Mróz nie pozwoliłby na rozkład ciała, a ten nastąpił. Powyżej zera było od piątku do soboty, przy czym najcieplej w sobotę, aż cztery stopnie, dlatego ten dzień medyk wstępnie wytypował na czas śmierci.

– Wszyscy mówią, że ta dziewczyna, co ją znaleźliście, to właśnie Wioletka – kontynuowała Agata.

– Wszyscy mówią, czyli kto?

– No my, uczniowie jedyнки.

– A nauczyciele?

– Oni są z innej planety. Nie wiedzą, co się tutaj dzieje. Niby dotarło do nich, że w tym lesie była nieżywa dziewczyna, ale żeby to skojarzyć z Wioletką, to już za trudne. Fiński dramat.

– Teatralnie przewróciła oczami. – Tato, zastanów się, komu powierzyłeś moją edukację. Może lepiej, żebyś ty mnie uczył w domu.

Aspirant Bielewicz wielokrotnie doświadczał wielkiego zaskoczenia za sprawą swojej córki. Teraz również wprawiała go

w zdumienie. Pół godziny temu komisarz Piotr Kaptera chciał prosić media ogólnopolskie o pomoc w identyfikacji zwłok, a wystarczyło zwrócić się do jednej dwunastolatki.

– Masz zdjęcie tej Wioletki?

– Nie mam. Przypominam ci, że jestem w szóstej. Z dzieciarnią z piątej się nie zadaję, ale jeśli chcesz, to ci pokażę jej fotkę profilową na Insta.

Agata wyjęła z bluzy telefon i nie czekając na jego odpowiedź, przesuwiała palcem po wyświetlaczu. Chwilę później podsunęła mu go pod same oczy. Kosma zobaczył drobną buzię dziecka. Wioletka miała ogromne kolorowe okulary i wargi złożone w dziubek. Nie przypominała denatki z lasu. Jedyne włosy były podobne, jasne i do ramion.

Wokół aspiranta i jego córki zrobiło się cicho. Oderwał wzrok od telefonu i się rozejrzał. Kilkunastu nastolatków ze starszych klas stało opodal, a na ich twarzach rysowało się zaciekawienie. Gdy tylko odejdzie, osaczą Agatę i będą próbowali się dowiedzieć, co w szkole robi pies.

– Idę porozmawiać z dyrektorką o twoich ocenach.

– Tak, idź już.

Agata tym razem przybrała minę ważnej osobistości. Miała swoje pięć minut w szkole. W Pasłęku ginęły dzieci, a ona była córką policjanta prowadzącego śledztwo.

Kosma wszedł do gabinetu dyrektorki. Kobieta w drucianych twarzowych okularach wstała zza biurka. Na jej zbyt okrągłej twarzy pojawił się uśmiech. Gdy Markowska uczyła go matematyki dwadzieścia lat temu, to się nie uśmiechała. Mięśnie mimiczne miała zawsze ściągnięte groźnie i czujnie. Nazywali ją wtedy Cyrklem, bo była ostra i zawsze trzymała w dłoni ten przyrząd.

– Kosma, miło cię widzieć. Och, jakiś już duży. – Zaśmiała się głośno. – Siadaj, chłopaku!

Wróciła za biurko. Aspirant zajął miejsce naprzeciwko.

– Jestem tu służbowo.

– Służbowo, czyli mam przed sobą policjanta. Zawsze przeczuwałam, że będziesz miał do czynienia z policją, ale myślałam, że w innym charakterze. – Znowu się zaśmiała. – Z ciebie to był rozrabiaka, a teraz taki porządny obywatel. Samotne ojcostwo bardzo ci posłużyło. Myślę, że to dzięki Agatce wyszedłeś na ludzi. No co? Mam rację?

– Tak, pani dyrektor, ma pani rację.

– A Agatka taka do ciebie podobna.

– Też rozrabia?

– Trochę, ale przede wszystkim kłóci się z nauczycielami. Zawsze chce postawić na swoim i uważa, że wszystko wie najlepiej.

– Porozmawiam z nią.

– No powinieneś. To zdolna uczennica. Ona jeszcze o tym nie wie, ale ja już ci powiem, że twoja córka na koniec tego semestru otrzyma certyfikat botanika.

Kosma był zaskoczony. Nie miał pojęcia, że Agata interesuje się botaniką.

– Za co ona dostanie ten certyfikat?

– Za najładniejszy zielnik. Naprawdę się postarała. No ale przejdźmy do rzeczy. Przychodzisz tu służbowo, czy to znaczy, że któryś z naszych uczniów narozrabiał?

Aspirant pokręcił przecząco głową.

– Przychodzę w zupełnie innej sprawie.

– No w jakiej?

Dyrektorka splotła dłonie i położyła je na biurku. Przez jej twarz prześliznęło się zaciekawienie.

– Wczoraj znaleźliśmy w lesie w Anglitach martwą dziewczynkę.

– Słyszałam o tym. To straszne. Co się dzieje na tym świecie?

– Podejrzewamy, że to może być uczennica jedyńki.

– Na pewno nie, to nie może być nasza uczennica. Gdyby to była nasza dziewczynka, to przecież byśmy już wiedzieli, że jej nie ma, że coś się z nią stało. Rodzice na pewno daliby nam znać.

Bielewicz odruchowo przytaknął. To, co mówiła Markowska, miało sens.

– Mam zdjęcie zwłok. Czy mogłaby pani...

– Tak, rzucę okiem.

– Tylko ostrzegam, że nie będzie to przyjemny widok.

– Pokaż tę fotkę.

Aspirant położył na brzegu biurka zdjęcie i palcem wskazującym przesunął je w stronę dyrektorki. Ta podniosła je swobodnie, bez większych obaw. Przyglądała się przez kilka sekund, nie wykazując zbyt wielkich emocji. Poprawiła okulary, jak gdyby chciała lepiej widzieć szczegóły, i tylko w tym ruchu dało się zauważyć nerwowość.

– To jest Wioletka Nowak – oznajmiła, nie odrywając wzroku od fotki. – Niestety, to ona – dodała z cichym westchnieniem. – Odłożyła zdjęcie i oparła się plecami o krzesło. – Szkoda dzieciaka. To sympatyczna uczennica. Współczuję matce.

– Co pani może mi powiedzieć o rodzinie Wioletki Nowak?

– Mieszkają w Anglitach w budynku socjalnym. Dorota Nowak jest z Anglit. Też chodziła do naszej szkoły. Możesz jej nie pamiętać, bo jest dużo młodsza od ciebie. Wioletkę urodziła, jak miała siedemnaście lat. Ma jeszcze jedno dziecko, chłopca kilkuletniego, ze swoim obecnym partnerem.

– Czy to jest rodzina z problemami?

Markowska zamyśliła się.

– Jeśli mają jakieś problemy, to dobrze je ukrywają.

Kosma kojarzył większość rodzin z niebieską kartą. Nie było wśród nich Doroty Nowak z Anglit. Wygląda na to, że nie interweniowali tam w związku z przemocą domową.

Dyrektorka poprawiała kołnierzyk przy bluzce. Odchrząknęła. Najwyraźniej chciała jeszcze o coś zapytać. Aspirant już się domyślał, w czym rzecz.

– Kosma, powiedz mi, czy mamy u nas pedofila. No bo najpierw ta mała dziewczynka, Matylda. Nie wiadomo, co się z nią stało. A teraz Wioletka.

Bielewicz przytaknął. Kobieta zaklęła bez skrępowania, głośno i dosadnie.

– Ja bym takich kastrowała. Bestie. Trzeba będzie uczniów przygotować do tej informacji. Ich koleżanka ofiarą pedofila. To dla nich będzie trudne. Muszę porozmawiać z psychologiem.

Rozległo się nieśmiałe pukanie. Ktoś po drugiej stronie drzwi zapewne wiedział, że Markowska jest zajęta. Aspirant wstał.

– Dziękuję za pomoc w identyfikacji zwłok.

Dyrektorka też się podniosła.

– Złapcie tego potwora.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu zajrzał młody mężczyzna w czarnym dresie.

– Mogę?

– Wejdz, Rafałku.

Bielewicz dopiero teraz rozpoznał matematyka, Rafała Markowskiego, syna dyrektorki. Agata nazywała go Pitagorasem i mówiła o nim z niechęcią. No cóż, młody nauczyciel był tak samo wymagający jak jego rodzicielka dwadzieścia lat temu. Kosma swego czasu też nie powiedział

dobrego słowa o matematyce. Docenił ją dopiero po wielu latach.

Markowski poruszał się lekko, płynnie, w swoich ruchach przypominał tancerza. Na jego nadgarstku widniał ciekawy zegarek z fioletową połyskliwą tarczą.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem przypomnieć, że zaraz przyjdzie pracownik banku. Mamy elementy bankowości na matematyce – wyjaśnił, posyłając policjantowi promienny uśmiech. – Ten bankowiec ma przyjść ze specjalną aplikacją, za pomocą której uczniowie sami sobie założą konto w banku i zrobią parę przelewów. Ciekawe, co?

– Tak – przyznał Kosma.

Matematyk rytmicznie poruszał ramionami. Chyba miał problem z pozostaniem przez dłuższy czas w bezruchu. Ta dziwna nadaktywność dodawała mu jednak młodzieńczego wdzięku. Przypominał gibkiego nastolatka obeznanego ze sportem i tańcem.

– Gdy ja miałem zajęcia z bankowości, to poszliśmy do banku, tam nam dali ulotki i tyle było z tych lekcji. Pamiętam, że byłem rozczarowany. Dlatego teraz pilnuję, żeby uczniowie mieli ciekawie i żeby rzeczywiście czegoś się nauczyli.

– Agata na pewno będzie zadowolona z takich zajęć – oznajmił Kosma.

Matematyk roześmiał się i zakołysał całym ciałem.

– Agata na takie zajęcia będzie musiała jeszcze poczekać. Zaplanowane są dopiero w ósmej klasie. A tak w ogóle to wszystko dobrze z pana córką? Pytam, bo chyba bez powodu pan tu nie przyszedł.

– Pan aspirant jest u nas służbowo – odezwała się dyrektorka. – W związku z tym ciałem znalezionym w Anglitach – dodała ciszej.

Rafał Markowski na ułamek sekundy zamarł.

– Mamo, chyba nie chcesz powiedzieć, że ta dziewczyna...

– Tak, to nasza uczennica.

– Jezu! Która to?

– Wioletka Nowak.

Markowski przygryzł dolną wargę, żeby zatrzymać jej drżenie.

– Biedne dziecko, biedna matka. Co za koszmar.

Rozdział 14

ANIA SIEDZIAŁA NA BRZEGU kanapy w rogu salonu. Trzymała na kolanach lalkę i próbowała ubrać ją w sukienkę. Przychodziło jej to z trudem, bo ubranie nie chciało przejść przez głowę. Z koszyka stojącego obok wyjęła inną sukienkę i ponownie usiłowała włożyć ją lalce. Cały czas coś do siebie mówiła.

Gdyby Ania miała dwanaście miesięcy więcej, toby już wystarczyło, żeby z nią porozmawiać jak z dorosłą osobą. Pięciolatki potrafią budować zdania i znają około dwóch tysięcy słów, niektóre nawet piszą i czytają. Czasami niestety bliżej im do trzylatków i czterolatek, dlatego chętnie zmyślają, kłamią. Ania znajdowała się na granicy pomiędzy wyobraźnią malucha a wyobraźnią racjonalną. Blisko jej było do pojmowania fikcji jako prawdy, z drugiej strony zdolna była odróżniać rzeczywistość od bajki. W efekcie mogła zmyślać, mogła też powiedzieć prawdę. Niewykluczone, że po zaginięciu Matyldy cofnęła się do bezpieczniejszego dla siebie umysłu trzylatka. Traumatyczne przeżycia tak czasami działają na dzieci.

Dizel oderwał wzrok od dziewczynki i spojrzał na Weronikę siedzącą po drugiej stronie stołu.

- Czy zauważyłaś, żeby Ania zaczęła zmyślać?
- Nie. Nie wydaje mi się.
- A mówi o Matyldzie?

Rozmawiali przyciszonymi głosami, aby Ania ich nie słyszała. Weronika poprawiała rękawy swetra. Zrobiła to już któryś raz z kolei. Od dziesięciu minut wykonywała wokół siebie ruchy

porządkowe. Wygładziła poduszkę, przesunęła filiżankę, wytarła niewidoczny kurz. W ten sposób radziła sobie ze stresem i lękiem.

– To dziwne, ale Ania zachowuje się tak, jak gdyby nigdy nie miała siostry. Wiem, że to głupie, ale mam nawet do niej o to żal. Bez Matyldy jest tutaj tak pusto, nieznośnie cicho. Ona robiła w domu tyle hałasu. Jest przeciwieństwem Ani. Anię nazywam Aniołkiem, bo taka spokojna, a Matyldę Diabełkiem. Nie mogę znieść tej ciszy, ona mnie przytłacza. Chciałabym, żeby Ania zachowywała się jak Matylda, żeby narobiła hałasu, zaczęła biegać i krzyczeć. – Weronika zerknęła w stronę córki, upewniając się, że ta nie słyszy, po czym pełnym zdumienia tonem oznajmiła: – Ja tego nie rozumiem.

– Czego? – zapytał łagodnie Dizel.

– Tego, że wolałabym, żeby to Ania zaginęła. Ta myśl nie wychodzi mi z głowy. Zastanawiam się, dlaczego to Matylda? Dlaczego nie Ania? To jest straszne. Jestem okropną matką.

Raptownie opuściła głowę, jak gdyby nagle straciła przytomność. Jasne włosy spadły po obu stronach twarzy, ocierając się końcówkami o filiżankę kawy. Damian podłożył dłoń pod jej brodę i uniósł w górę. Zobaczył wytrzeszczone gałki oczne. Niedobrze. Jeśli ta kobieta odpłynie, nie będzie mogła mu pomóc w wyciągnięciu informacji od Ani.

– Posłuchaj mnie! Kilka miesięcy temu szukałem szesnastoletniego chłopca z Krakowa. Jego matka na trzeci dzień od zaginięcia spakowała wszystkie jego rzeczy i wyniosła na śmietnik. Tak może działać silny stres. Masz prawo czuć to, co czujesz. Twoje emocje nie odbiegają od normy.

– Znalazłeś go, tego chłopca z Krakowa?

– Sam wrócił na piąty dzień.

– Matylda sama nie wróci. Jest za mała. Nie trafi do domu.

W zielonych oczach Weroniki pojawiły się łzy. To dobry znak. Jej umysł zakleszczony strachem znowu był na swoim miejscu.

– Próbowałaś rozmawiać z Anią o tym, co się stało w niedzielę?

– Tak, tamtego dnia, jak tylko przywieźliśmy ją do domu. Później już nie. Aspirant Bielewicz powiedział, że to nie ma sensu, bo dzieci zmyślają.

– Co ci powiedziała?

– Niewiele, właściwie nic. Płakała i mówiła, że chce do tatusia. Obiecałam jej śpiewającą lalkę, jeśli powie mi, czy ktoś zaglądał do samochodu. Sugerowałam, że może jakiś pan albo pani. A ona kręciła głową, że nie.

– Chciałbym, żebyś z nią porozmawiała, teraz przy mnie. Minęło trochę czasu. Może powie nam więcej.

– A nie powinien tego zrobić jakiś psycholog? Możemy kogoś wynająć.

– Zależy mi na czasie, a trochę by to potrwało, nim znaleźlibyśmy dobrego specjalistę od dzieci, który by tu przyjechał i zapoznał się ze sprawą.

Weronika przesunęła filiżankę na spodku i palcem wytarła krawędź blatu.

– Bardzo się boję – szepnęła.

– Poradzisz sobie. Po prostu z nią porozmawiaj. Pozwól jej mówić. Każdy szczegół, który nam poda, może okazać się ważny.

– Ja się nie boję rozmowy z moim dzieckiem. Boję się tego, że Matyldy już nie ma. – Głos kobiety wydawał się załamywać w krtani i cofać w głąb gardła. Łzy popłynęły po jej zapadniętych policzkach i dużymi kroplami skapywały na stół.

– Cały czas myślę, że spotkało ją to samo, co tę dziewczynkę

z lasu. Może moja kochana córeczka tam gdzieś leży, na tym mrozie. Ja tego nie wytrzymam. Serce mi zaraz pęknie. Głowa mi pęknie.

– Już ci mówiłem, że to mało prawdopodobne, aby Matylda stała się ofiarą tego samego sprawcy. Przestępcy seksualni na dzieciach tak nie działają, nie z taką częstotliwością. U nich od jednego czynu do drugiego mija zwykle kilka tygodni, a tutaj zaginięcie Matyldy i śmierć tej dziewczynki, oba te zdarzenia, dzieli kilka, może kilkanaście godzin. Proszę, uspokój się.

Weronika skuliła się, wręcz skurczyła, zrobiło się jej mniej. Ze strachu i rozpaczki dosłownie ginęła w oczach.

– Przed godziną słyszałam, jak moi rodzice rozmawiają. Tata mówił, że to niemożliwe, żeby w jednym miejscu doszło do dwóch tak podobnych zdarzeń i żeby nie miały one ze sobą nic wspólnego. Tak samo piszą na tych profilach. Ludzie uważają, że to ten sam człowiek musiał zrobić.

– Ludzie mają prawo snuć różne teorie. Poza tym nie powinnaś tego czytać. Wystarczy, że ja przeglądam komentarze.

– Coś znalazłeś w tych wpisach?

Chciał zaprzeczyć, ale powstrzymały go drżące usta kobiety i nadzieja tłąca się w jej oczach.

– Sporo osób pisze o podejrzanym czarnym samochodzie, który jeździł w niedzielę po Pasłęku i miał wyłączone światła. Bielewicz sprawdza ten trop.

– Też czytałam o tym samochodzie. Aspirant mówił mi, że go szukają. Ale dlaczego to tak długo trwa? Powinni go już znaleźć. Nie uważasz?

– O ile ten samochód w ogóle istnieje – zauważył ostrożnie. – Obawiam się, że to może być powrót legendy o czarnej wóldze.

Ale pewności nie mam.

Weronika poprawiła rękawy swetra i przesunęła spodek, na którym stała filiżanka z nieruszoną kawą. Następnie spojrzała w kąt salonu, gdzie Ania ubierała kolejną lalkę, tym razem w spodnie i marynarkę. Dziewczynka nie zwracała na nich uwagi. Była skupiona na zabawie. Wyciągnęła nawet język, pomagając sobie w ten sposób w niełatwej czynności. Na twarzy Weroniki pojawił się cień uśmiechu, a ściągnięte rysy na moment złagodniały.

– To co? Porozmawiasz z Anią?

– Tak.

Weronika podeszła do córki i przyklękła przy niej. Ta zareagowała od razu. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę z lalką.

– Jak pięknie ubrałaś Ninę.

– To nie Nina, to Klara.

– A gdzie jest Nina?

Ania zsunęła się z kanapy i przykucnęła przy pudle. Włożyła do niego obie dłonie i po chwili wyjęła lalkę w żółtym kombinezonie.

– To jest Nina.

Weronika udała zdumienie.

– Aha, to jest Nina. Nie wiedziałam.

Ania wróciła na kanapę, wciąż trzymając lalkę w żółtym kombinezonie.

– Może założymy jej sukienkę? – zaproponowała Weronika.

Obie zaczęły wyjmować z koszyka różne elementy garderoby. Ania postawiła na różową sukienkę z falbankami. Weronika zdjęła z Niny kombinezon i podała lalkę córce.

– To twoja lalka czy Matyldy?

– Moja.

– A Klara jest Matyldy?

– Klara jest moja.

– A gdzie są lalki Matyldy?

Ania zamyśliła się, ale czynności ubierania Niny nie przerwała.

– Poszły spać.

– A gdzie jest Matylda?

– Poszła spać.

Dziecięce dłonie zaczęły szarpać sukienkę, która utknęła w połowie lalki. Sukienka się przesunęła, a Ania dalej szarpała.

– Z kim Matylda poszła spać? – zapytała Weronika po dłuższej pauzie.

– Z tatusiem.

– Z tatusiem?

Tym razem zdumienie dźwięczące w głosie kobiety było autentyczne.

– Myszko, kochasz mamusię?

– Tak.

– A tatusia kochasz?

– Tak.

– A kogo nie kochasz?

Górecki posiadał podstawową wiedzę psychologiczną. Wiedział, że tak małym dzieciom nie zadaje się pytań wprost i przede wszystkim nie pyta się o fakty, lecz o uczucia. Dlatego w gabinetach psychologów nieodłącznym wyposażeniem były kredki. Dziecko rysowało siebie, mamę i tatę, a psycholog na podstawie rysunku oceniał, jakie relacje łączą małego pacjenta z rodzicami. Czekał na odpowiedź Ani, kogo ona nie kocha. Mogła powiedzieć o osobie, która zabrała Matyldę z samochodu.

Dziewczynka rzuciła lalkę na podłogę. Weronika ją podniosła i poprawiła falbanki różowej sukienki.

– Niny nie kochasz?

– Nie kocham.

– I kogo jeszcze nie kochasz?

– Matyldy.

Ta odpowiedź Damiana nie zdziwiła. Ania wiedziała, że mama jest nieszczęśliwa, tata też jest nieszczęśliwy, a babcia i dziadek zdenerwowani. Po dziecięcemu czuła, że to z powodu jej siostry, i nie lubiła jej za to, że w domu jest tak niefajnie.

– Myszko, proszę powiedz mi, kto zabrał Matyldę z samochodu? Pamiętasz? Byłyście u tatusia. Potem tatuś was odwoził do domu i zatrzymaliście się przed sklepem, bo tatuś chciał wam kupić żelki. Kto wtedy zajrzał do was do samochodu? Proszę, powiedz mi.

Weronika zaprzestała wcześniejszego sposobu rozmowy. Teraz zadała pytanie wprost, zapytała o fakt. Ania mogła powiedzieć prawdę albo cokolwiek. Damian czekał w napięciu. Dziewczynka milczała. Matka przygarneła ją, sadzając sobie na kolanach.

– Myszko, proszę, powiedz mi, kto zabrał Matyldę z samochodu. No kto?

– Tatuś.

Ania wtuliła buzię w piersi rodzicielki. Ta ją raptownie odsunęła.

– Co ty mówisz? Przecież tatuś poszedł po żelki do sklepu. Bo chciałyście żelki.

Dziewczynka wykrzywiła się do płaczu.

– Powiedz mi natychmiast, kto zabrał Matyldę! No mów!

W głosie Weroniki wibrowało zdenerwowanie, a w ostatnim słowie słyhać było nawet gniew. Traciła panowanie nad sobą.

Rozmowa przybierała bardzo niebezpieczny obrót. Dizel zbliżył się. Miał nadzieję, że kobieta obróci ku niemu głowę i dojrzy jego uspokajające gesty. Ta jednak zaczęła potrząsać córką.

– Przecież wiesz, kto zabrał Matyldę. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

Ania wybuchła głośnym płaczem. Weronika ją przytuliła i też się rozplakała.

– Przepraszam, myszko.

W salonie nagle zaroilo się od ludzi. Pierwszy wpadł Michał, piętnastoletni syn doktora Kowalika. Zatrzymał się zaraz za progiem i z wyraźnym zakłopotaniem patrzył na drugą żonę ojca i jej córkę. Chwilę później pojawił się Oskar Kowalik. Miał zdecydowane ruchy. Wiedział, co robić. Objął Weronikę i szeptał uspokajające słowa. Anię na ręce wzięła babcia. Wnuczka wciąż zanosila się szlochem. Dziadek również przystąpił do jej uspokajania. Dizel wycofał się do holu. Michał także wyszedł z salonu.

– Mógłby pan już znaleźć tego bachora, bo nie idzie wytrzymać w tym domu. U matki źle, u ojca jeszcze gorzej. Gdybym był pełnoletni, pojechałbym na wojnę do Ukrainy. Może tam miałbym więcej spokoju.

Chłopak wyminął detektywa zamaszystym krokiem. Włożył buty i wyszedł na zewnątrz, głośno trzaskając drzwiami.

CZEŚĆ SIÓDMA

Rozdział XII

WILLIAM OBUDZIŁ SIĘ o dwunastej w południe. Pisał prawie całą noc. O czwartej rano położył wydruk na stole ogrodowym i dokładnie zamknął drzwi na taras, żeby Wera nie mogła wejść do domu. Zastanawiał się, czy skreślić do niej parę słów. Ostatecznie na ostatniej stronie napisał dużymi literami: KONIEC.

Przeciągnął się, ziewając. Chłodny prysznic przywrócił go do życia. Kilka minut później z mokrymi włosami i w nowych szortach, pogwizdując, schodził na parter. Rzucił okiem na taras. Był pusty. Wera, jak obiecała, wzięła tekst i sobie poszła. Super.

Nalał soku do szklanki i sprawdził prognozę pogody w telefonie. Zapowiadał się kolejny dzień skwaru, aż trzydzieści osiem stopni Celsjusza, ale za to jutro burze i chłodniej. Musi dzisiaj zerwać gruszki i pozbierać spady.

Dostał esemesa od Rajmunda. Przeczytał: „Czy chciałbyś labradora, szczeniaka z rodowodem? Może nie będzie bronił twojej posesji przed intruzami, ale będzie dobrym towarzyszem w twojej pustelni. Daj znać! Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo”.

Pies by mu się przydał. Problemem było to, że czasami wyjeżdżał na kilka dni i co wtedy? Kto na ten czas zająłby się zwierzakiem? Odpisał Rajmundowi, że się zastanowi. Jeśli weźmie psa, to tym bardziej będzie musiał postawić betonową rzeźbę w sadzie. Powinien jak najszybciej się tym zająć, bo jeśli przyjdzie mu w nocy czuwać, aby odganiać wiejskie psy,

to na pewno zwariuje. Zaczął szukać w internecie betonowych rzeźb. Wszystkie firmy w swojej ofercie miały to samo: krasnale, Afrodyty, Buddy, ponadto całą gamę betonowych zwierząt. Nie o to mu chodziło. Szukał czegoś bardziej oryginalnego, artystycznego. Pomyślał o Rajmundzie. On na tych wszystkich eventach spotykał różnych ludzi. Może poznał też rzeźbiarzy. Napisał do niego: „Szukam ciekawych monumentalnych rzeźb z betonu do mojego sadu. Znasz kogoś, kto robi takie rzeczy? Zależy mi na tym, żeby szybko coś kupić”.

Rajmund odpisał: „Popytam wśród znajomych”.

William otworzył drzwi na taras i wyszedł na zewnątrz. Słońce nie znało litości. Oślepiało i prażyło. Eksplozja jasności i gorąca, która zdawała się rozlewać na każdy element krajobrazu. Jasne drzewa, słoneczna trawa, promienie odbite od szklarni. Żadnego odpoczynku dla źrenic i umysłu. Przymrużył oczy. Nagle raptownie podniósł powieki. Na stole ogrodowym leżał wydruk komputerowy. Zaskoczenie mieszało się z rozczarowaniem. Wera nie przyszła po tekst. Nie odebrała go. Kolejna pisarka ze słomianym zapałem? Nie zapowiadała się na taką. Podszedł do stołu i zrozumiał. Tekst był czytany, bo kartki leżały inaczej, niż je zostawił. Dlaczego ich nie wzięła? Nie spodobała się jej kontynuacja? A może to był znak, że wróci po tekst, że jeszcze się zobaczą. Rozejrzał się. Wery nigdzie nie było, ale zauważył jej plecak, schowany za krzak czarnych porzeczek.

Zszedł po schodkach do sadu. Słyszał swój ciężki oddech i buczenie os. Dzisiaj było ich wyjątkowo dużo. Rój gęstniał mu przed oczami i nasilał bzyczenie. Bał się, że zaraz gołą stopą nadepnie jakiegoś owada. Przyklęknął przy krzaku i wyciągnął spod niego szary niepozorny plecak. Jeszcze raz

się rozejrzał, a potem go otworzył. Nie wiedział, czego szuka. Właściwie niczego konkretnego, może dokumentów, może czegoś innego. Na wierzchu leżały ubrania. Przesunął je, szukając wewnętrznych kieszeni. Znalazł. Otworzył kieszeń i palcami wymacał kilka kopert. Wyciągnął je. Sześć kopert, a w każdej euro. Licząc kasę, którą Wera mu już dała, miała przy sobie osiem tysięcy euro. Tyle była gotowa zapłacić za powieść, zapewne chodziło jej o zakończoną książkę. To była spora kwota. Nawet jeśli uda się jej wydać tę pozycję, to honorarium w takiej wysokości było bardzo wątpliwe. Może bardziej zależało jej na statusie pisarki niż na zarobku. Wyglądało na to, że miał do czynienia z kobietą, która wie, czego chce, i do tego dąży. Wsunął jeszcze raz dłoń do kieszeni plecaka i wyjął kluczyki od skody. A więc nie pomylił się, podejrzewając, że Wera podróżuje autem.

Osy latały mu przed twarzą i siadały na ramionach. Głowa tętniła od słońca. Pot oblepiał ciało. Cały żar dnia skupił się na nim jak w soczewce. Ptaki nagle ucichły. Sztywnymi dłońmi schował koperty do plecaka i zapiął go. Podniósł się z trudem i rozejrzał bolącymi oczami po zbyt rozświetlonej przestrzeni. Nigdzie nie dostrzegł Wery. Nie mogła pójść daleko. Nie zostawiłaby takiej kasy na długo bez nadzoru. Zaraz wróci i poprosi go o kilkanaście kolejnych stron. Będzie się opierał, ale ostatecznie się zgodzi. I to nie dla tych pieniędzy, które trzymała w plecaku. Wciągnął się w to pisanie, w fabułę, ale też w jej pragnienie bycia autorką.

Rozdział XIII

WILLIAM POKROIŁ DWANAŚCIE pomidorów. Tyle powinno wystarczyć dla niego i Wery. Jeszcze nie wróciła, choć od czasu, jak przejrzał jej plecak, minęło już dziesięć minut. Przystąpił do obierania cebuli. Planował zrobić pomidory w śmietanie. Doskonałe danie w taki upał, syte i przede wszystkim na zimno.

W dzbanku chłodziła się kawa. Zaraz dorzuci do niej kostki lodu. Nie mógł się oprzeć, żeby się nie oglądać na taras. W końcu ją zobaczył. Wera stanęła w progu z czołem lśniącym od potu. Nie miała odwagi wejść do środka. Ponownie ubrana w bluzkę z długim rękawem i rękawiczki. I ta sama fryzura, włosy upięte w ciasny kok.

– Niezbyt ładny masz ten las – zagadnęła. – Za dużo krzaków.

– To nie mój las, to gminy.

Uśmiechnęła się.

– Ale wieś przepiękna. Ciekawe domy.

– Dlatego tu zamieszkałam. Dobrze mi się tu żyje i pracuje. Jadłaś coś dzisiaj?

– Tak, gruszki i śliwki z twojego sadu. No i śniadanie w gospodarstwie, w którym dziś nocowałam. Całkiem dobre, swojska wędlina i twarożek ze szczypiorkiem.

– Chcesz pomidorów w śmietanie?

– Myślałam, że będziesz wściekły, a ty mi proponujesz pomidory w śmietanie?

– No powiedzmy, że trochę wściekły jestem. Nie lubię, jak się mnie do czegoś bardzo nakłania, a zwłaszcza do rzeczy niezgodnej z prawem.

Dopiero teraz przekroczyła próg. Jej ciało wydawało się parować. Duże plamy potu odznaczały się na bluzce.

– Ja cię namawiam do rzeczy niezgodnej z prawem?

– Jeśli oczekujesz, że napiszę dla ciebie całą powieść, to tak. W Polsce nie można sobie zamówić książki u kogoś, a potem wydać jej jako swojej własnej. Prawo autorskie na to nie pozwala, bo jest niezbywalne. Więź twórcy z utworem jest nierozwalna.

Wera wycelowała w niego palcem.

– A co z początkiem powieści? Nie słyszałam, żebyś kiedyś widniał na jakiejś okładce jako współautor. A według tego, co mówisz, właśnie tak powinno być.

– Tak byłoby, gdybym w rozumieniu prawa sprzedawał utwory. A ja nie sprzedaję utworów, tylko pomysły.

– Nieprawda – zaprotestowała. – Sprzedajesz utwór. – Z uniesieniem wyrecytowała: – „W świetle ustawy utwór to każdy przejaw działalności twórczej o indywidualnym charakterze, ustalony w jakiejkolwiek postaci, niezależnie od wartości, przeznaczenia i sposobu wyrażenia”.

William wstawił pomidory do lodówki. Odwrócił się przy tym tyłem do Wery, aby nie zauważyła zaskoczenia na jego twarzy. Właśnie zacytowała mu kluczowy fragment prawa autorskiego. Raczej nie była prawniczką. Po prostu dobrze się przygotowała, przyjeżdżając do niego.

– Jeśli chcesz mieć pewność, co ja sprzedaję, to przeczytaj umowę, którą trzy dni temu podpisałaś. Tam jest napisane, że nabyłaś produkt będący pomysłem na powieść.

– Przeczytałam. Ja wiem, ty wiesz, że tak sformułowana umowa pozwala ci zajmować się tym, czym się zajmujesz i na czym dobrze zarabiasz. W innym razie nie mógłbyś tego robić albo musiałbyś widnieć na okładkach jako współautor. Ta twoja umowa jest bardzo naciągana. Nie mów mi więc, że namawiając cię na napisanie ciągu dalszego, jakoś bardzo skłaniam cię do łamania prawa. Między sobą możemy uznać, że pół książki to też tylko pomysł. Co nie?

Mrugnęła do niego porozumiewawczo, gdy wrzucił kostki lodu do dzbanka z kawą.

– Czyli dobrze rozumiem, że chcesz więcej tekstu?

– Tak.

– Założmy, że napiszę ci całą książkę. Założmy, że nawet znajdziesz wydawcę. I co dalej? Przyjdiesz do mnie po kolejną?

Wzięła od niego kubek z kawą i usiadła przy wyspie kuchennej. Przygarbiła się, podpierając dłonią brodę.

– Cztery miesiące temu zostawił mnie mąż. Dla dziewiętnastolatki. Nie spodziewałam się tego. Nic nie podejrzewałam. Ale to bez znaczenia, nawet gdybym coś podejrzewała, to na taki cios człowiek nie jest w stanie się przygotować. To zawsze będzie szok. Przeżyłeś kiedyś coś podobnego?

– Nie.

Patrzył na profil Wery. Nie była taka młoda, jak mu się wydawało. Wokół oczu miała gęstą siateczkę zmarszczek, a policzki ciążyły wyraźnie ku dołowi. Mogła mieć nawet czterdzieści lat. Przypomniawszy sobie ślad po obrączce, który przyuważył, gdy zdjęła rękawiczkę, aby mu pokazać alergię.

– Nie mam zamiaru cię pocieszać, ale mężczyźni w pewnym wieku robią głupoty. Potem wracają do swoich żon, zwykle

bardzo skruszeni.

– Nie wiem, czy chcę, żeby do mnie wrócił. Ale na pewno chcę pokazać mu, że stracił kogoś wartościowego. Rozumiesz?

Rozumiał, i to dużo więcej, niż mogła przypuszczać. Porzucona kobieta postanowiła natychmiast zmienić swoje życie, stać się kimś innym, wyrwać się z obecnej nieciekawej sytuacji. Wizyta u fryzjera i kosmetyczki to za mało, choć Wera zapewne tego spróbowała. Potrzebowała zmiany radykalnej, która znalazłaby swoje odbicie w psychice. Zmiana zawodu to już coś, a gdy zostaje się pisarką, to od razu się zyskuje. Nawet jeśli książka nie odniesie sukcesu, to sam status autorki poprawi jej samoocenę. Nie dla byłego męża to robiła, lecz dla siebie samej, choć nie do końca zdawała sobie z tego sprawę.

William nie był żadnym psychologiem. Jego analiza wynikała z doświadczenia. Nie raz dostawał maile o treści: „Mam za sobą trudne małżeństwo. Chciałabym coś zmienić w swoim życiu, zwłaszcza teraz, gdy zbliżam się do czterdziestki. Zawsze kochałam literaturę. Pomyślałam więc, że zostanę pisarką. Uprzejmie proszę o początek powieści obyczajowej, najlepiej o wychowywaniu dzieci”.

Wera wpisywała się więc w dość powszechny nurt. Była tylko mniej cierpliwa od innych kobiet. Oczekiwała zmiany natychmiastowej. Chciała całej książki albo chociaż połowy.

– Mam taki mętlik w głowie – wyszeptała. – Myślę wciąż o moim byłym i tej jego małolacie. Chyba nie dam rady usiąść do pisania książki. Nie na tym etapie. Chciałam cię prosić o kolejne strony, tylko jeszcze jeden rozdział. Absolutnie nie chcę całości. Nie mam zamiaru udawać pisarki, ja naprawdę chcę nią być, dlatego planuję pół książki napisać sama. –

Posłała mu błagalne spojrzenie. – Jestem okropna. Wiem o tym. Oczywiście zapłacę, no i mogę ci ugotować obiad.

– Dzięki za obiad. Nie mam ochoty jeść nic gorącego. Nie w tym upale. – Wyjął z lodówki miskę z pomidorami w śmietanie. – To mi wystarczy. Nie będzie ci przeszkadzało, jak będę jadł?

– Nie. – Zsunęła się ze stołka barowego. – Pójdę po pieniądze. Mam je w plecaku.

– Jeszcze nie powiedziałem, że napiszę ciąg dalszy.

– Nie powiedziałaś też, że nie napiszesz.

Wyszła na taras, a on przystąpił do konsumpcji pomidorów.

Rozdział XIV

WERA WYJĘŁA Z KIESZENI telefon. Kupiła go cztery dni temu w jednym z warszawskich lombardów. Działał dobrze, ale miał pękniętą szybkę. Kartę SIM kupił jej jakiś młody Rom i oczywiście zarejestrował na siebie. Dała mu za to dwieście złotych.

Nie chciała zabierać swojego telefonu do Dawid, bo nie wiedziała, jaki będzie finał jej wizyty tutaj. Lepiej nie zostawiać śladu w postaci logowania się aparatu. Otworzyła elektroniczną skrzynkę, którą założyła kilka dni temu na wymyślone nazwisko. Dostała kolejną wiadomość od Rudena. Kliknęła w mail i zaczęła czytać:

„To cię może zainteresować. William Kriger sześć lat temu sprzedał Szwedce Karin Nilsson początek powieści, którego sam nie napisał. Był to początek polskiej książki *Pałac tajemnic*. Przetłumaczył go na angielski, a fabułę umieścił w fikcyjnej szwedzkiej miejscowości. Co, spisałem się?”.

– Tak spisałeś się – mruknęła pod nosem.

Ścisnęła aparat i gryzła się w język, żeby bólem powstrzymać krzyk kielkujący w głowie. Profesor William Kriger był kłamcą, oszustem i może jeszcze kimś gorszym. Otrzymała na to kolejny dowód. Uruchomiła edycję i wysłała do Rudena pytanie: „Jak ta Szwedka się dowiedziała, że kupiła fragment plagiatu?”. Odpowiedź dostała po kwadransie: „W najprostszy możliwy sposób. Karin dała angielską wersję do oceny swojej polskiej koleżance, a ta rozpoznała fabułę. Książek na świecie dużo, ale świat jest mały. Całą historię znalazłem na

szwedzkim forum, na którym Szwedzi wymieniają opinie o pracownikach z Polski”. Na końcu Ruden umieścił zasepioną buźkę.

Wylogowała się z poczty i wyłączyła telefon. Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w cykanie świerszczy. Ten dźwięk wydał się jej wyjątkowo powolny i leniwy, jak gdyby owady też były zmęczone całodziennym skwarem. Kriger od siedmiu godzin pisał. Niebawem powinien przynieść jej tekst.

Przysnęła na leżaku. Obudził ją ruch powietrza. Podniosła powieki i zobaczyła pociągłą twarz Williama. Wachlował ją plikiem kartek.

– Skończyłem. Możesz czytać.

Rzucił kartki na jej kolana i oddalił się. Złapała tekst i przycisnęła do serca, jak gdyby na tych stronach znajdowała się najdroższa tajemnica świata. Zaraz będzie czytać.

CZEŚĆ ÓSMA
Czarna wołga wraca

Rozdział 15

GDY ZAGINIE TWOJE DZIECKO, wydaje ci się, że nie ma chwili do stracenia. Wydaje ci się też, że już wszystko stracone.

W zimowym powietrzu Anglit coś wisiało i nie był to wyłącznie czarny węglowy pył wydobywający się z kominów. Atmosfera była przesiąknięta wielkim napięciem, jak gdyby ktoś podpiął tę wieś do reaktora. Cisza i dziwny bezruch potęgowały to wrażenie. Wieś zamarła, stanęła w swoim codziennym funkcjonowaniu. Brakowało ludzi biegnących do sklepu, kuriera taszczącego paczkę, mieszkańców odgarniających śnieg przy swoich posesjach. Zupełnie pusto też nie było. Dawało się zauważyć postacie stojące w niewielkich grupkach. Trzy osoby przed pałacem, trzy kolejne w pobliżu placu zabaw, cztery przy drodze na początku wsi. Wszyscy stali nieruchomo z twarzami skierowanymi ku przejeżdżającym przez Anglity samochodom. Wyglądali jak straż, jak społeczny patrol wypatrujący zagrożenia. Opodal ich domów, w lesie, zostało znalezione ciało dziewczynki. Choć nie mieli pewności, że jest to dziecko z ich wsi, to i tak postanowili czuwać.

Aspirant Bielewicz trzymał dłonie na kierownicy. Jechał wolno. Zauważył, że ludzie ze straży społecznej wyciągają telefony i fotografują radiowóz. Zaparkował przed parterowym budynkiem z lokalami socjalnymi. Tutaj mieszkała Dorota Nowak, matka zamordowanej Wioletki Nowak. Kosma przeczuwał, że nic dobrego go tu nie spotka. Od kilkunastu minut podświadomość podsuwała mu obraz martwej kobiety.

To było sensowne wyjaśnienie tego, że Nowakowa nie zgłosiła zaginięcia córki. Nie mogła tego zrobić, bo nie żyła.

– Idziemy? – zapytał Karol Jaskóła.

Starszy posterunkowy drżał. Musiał mieć gorączkę. Wskazywały na to wyschnięte wargi i półprzytomne spojrzenie.

– Wziąłeś paracetamol?

– Tak, dziesięć minut temu. Zaraz będzie ze mną lepiej.

– Oby.

Wysiedli. Przywitało ich głośnie krakanie wron. Te obsiadły pobliskie drzewa. Niektóre ptaki chodziły po śniegu, zostawiając odciski pazurów układające się w szereg poplątanych ścieżek. Kosma rzucił okiem na okna. Zdawało mu się, że za jednym ktoś się przesunął. Weszli do budynku i zapukali do pierwszych drzwi. Obaj byli zaskoczeni, że te natychmiast się otworzyły i stanął w nich młody mężczyzna w bluzie z podwiniętymi rękawami. Przywitał ich milczeniem i niecierpliwym ruchem żuchwy, jak gdyby coś konsumował.

– Czy zastaliśmy Dorotę Nowak?

– Nie ma jej.

– Gdzie jest pani Dorota?

– Pojechała do siostry, do Gdańska.

Aspirant nie uwierzył. W tym człowieku było coś takiego, że nie budził zaufania. Nie chodziło nawet o wygląd, bo ten był całkiem normalny, krótko ostrzyżone włosy, niewielki zarost, szczupła sylwetka, raczej niski wzrost. W zachowaniu widoczna była jednak nerwowość i pewien rodzaj wycofania. Mężczyzna uciekał wzrokiem na boki i bujał drzwiami, jak gdyby chciał je przed nimi zatrzasnąć.

– Możemy wejść?

– Po co?

– Chcielibyśmy sprawdzić, czy pani Dorota jest w środku.

– Przecież powiedziałem, że jej nie ma. Nie dotarło?

Mężczyzna chciał być stanowczy i bezczelny, ale głos mu zadrżał.

– Jest pan konkubentem Doroty Nowak?

– Konkubentem? Powinniście zmienić słownictwo, bo od waszego wieje komuną. Jestem partnerem Doroty, a nie jakimś konkubentem.

– Czyli rozmawiamy z Igorem Malikiem?

– Tak, rozmawiacie z Igorem Malikiem.

Mężczyzna nerwowo poruszał stopą. Niecierpliwił się.

– Możemy wejść?

– Nie.

Malik trzasnął drzwiami, odcinając się od nich. Starszy posterunkowy Jaskóła odchrząknął.

– Kosma, chyba powinieneś włożyć but za próg.

– Dzięki za dobrą radę, ale szkoda mi butów, stopy też.

Aspirant zwinął dłoń w pięść i zabębnił w drzwi.

– Malik, otwieraj!

– Przyszliście do Doroty, a jej nie ma – odkrzyknął mężczyzna z głębi mieszkania.

– Otwieraj! Dobrze wiesz, w jakiej sprawie tu jesteśmy.

Kosma spodziewał się dużego oporu, dlatego zaskoczyło go, że drzwi się otworzyły.

– Wchodźcie czy nie?

Weszli do mieszkania. Mężczyzna cofał się przed nimi, trzymając dłonie za plecami. Co tam chował? W co się uzbroił, gdy zamknął się na moment w domu? W nóż? W młotek? A może pistolet? Aspirant wzmógł czujność. W razie ataku nie mógł liczyć na starszego posterunkowego, bo ten z powodu gorączki i zapewne sporej dawki leków chwiał się na nogach.

Mieszkanie było ciasne i na pewno wymagało przewietrzenia. Pięćdziesięciocalowy telewizor był włączony, dźwięk jednak wyciszono. Kilka pustych butelek po piwie stało przy kanapie, a w zlewie tkwiła brudna patelnia. Standard niebudzący większych zastrzeżeń. Igor usiadł na taborecie. Dłonie wciąż trzymał za plecami. Starszy posterunkowy Jaskóła zajrzał do łazienki i pokoju. Dał aspirantowi znak, że nie zauważył nic niepokojącego.

– To gdzie jest Dorota Nowak? – zapytał Bielewicz, stając naprzeciw Malika.

– Pojechała do Gdańska, do siostry, razem z naszym synem.

– Kiedy?

– W sobotę rano.

To miało sens. Dorota nie zawiadomiła ich o zniknięciu córki, bo o nim nie wiedziała.

– Gdzie jest Wioleta Nowak?

Grdyka na szyi mężczyzny podskoczyła. Rozległ się nieprzyjemny świst powietrza wciągane przez nos.

– W szkole – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Tam jej nie ma. Jedziemy ze szkoły. Wczoraj też jej nie było na lekcjach.

Igor zamknął oczy, jak gdyby chciał ukryć tłący się w nich strach. Jego klatka piersiowa poruszała się ciężko, ale rytmicznie, przypominając wyeksploatowaną maszynę.

– Może Wioleta pojechała z matką do Gdańska? – zasugerował Kosma.

Malik pokręcił przecząco głową.

– No to gdzie ona jest?

– Nie wiem.

Mężczyzna opuścił głowę. Gdy ją podniósł, rysy miał ściągnięte przerażeniem. Nie ukrywał już swojego strachu.

Czy to możliwe, że mieli przed sobą sprawcę? Pedofila, który pod nieobecność partnerki nie zdołał powstrzymać swojego obrzydliwego popędu?

– Matka zostawiła pod pana opieką jedenastoletnie dziecko, a pan nie wie, gdzie ono jest?

Mężczyzna milczał, a na jego czole zbierał się pot.

– Słyszał pan, że wczoraj znaleźliśmy w Anglitach martwą dziewczynkę?

Malik przytaknął.

– Tą dziewczyną jest prawdopodobnie Wioleta Nowak, córka Doroty Nowak, uczennica szkoły podstawowej numer jeden.

Mężczyzna zachwiał się na taborecie niczym osobnik upojony alkoholem. Wydawało się, że zaraz runie na podłogę. Zdołał jednak utrzymać się w pozycji siedzącej.

– Kurwa, miałem nadzieję, że to nie ona.

Kosma posłał spojrzenie starszemu posterunkowemu. Karol wycierał właśnie spoconą twarz. Tabletki zaczynały działać i gorączka mu spadała. Dał znać lekkim uniesieniem brwi, że słowa Malika też na nim zrobiły wrażenie. Jeśli ten człowiek chciał odsunąć od siebie podejrzenia, to właśnie to zrobił i wyszło mu to dobrze, bardzo naturalnie.

– Kiedy pan ostatni raz widział Wioletę?

– W sobotę koło dwunastej. Wyszła z domu i już nie wróciła.

– W sobotę? A dzisiaj mamy wtorek. Dlaczego pan nas nie powiadomił przez tyle czasu?

– Nie wiem.

Igor ciężko sapał, jak gdyby całkiem na serio imitował parowóz.

– Czy powiadomił pan matkę, że córka nie wróciła do domu?

– Nie.

– Czyli Dorota Nowak o niczym nie wie?

Mężczyzna dopiero teraz wyciągnął rękę zza pleców. Trzymał w niej telefon.

– Dorota do mnie dzwoni od samego rana i pisze esemesy. Nie odbieram, bo się boję. Ona już wie, że znaleźliście ciało dziecka. Może przeczytała o tym w internecie. W telewizji też już coś mówili. Chyba się domyśla, że to Wioli mogło się coś stać. Do córki też dzwoni co chwilę. Napisała przed godziną, że wraca. Powinna zaraz być. Kurwa, gdybym wiedział, że tak to się skończy, to trzymałbym tego dzieciaka pod kluczem. Kurwa, kurwa...

Igor powtarzał przekleństwa jak mantrę, kiwając się w przód i tył. Aparat w jego dłoni zawibrował. Natychmiast schował go za plecy.

– Gdzie jest telefon Wiolety?

– U niej w pokoju na łóżku.

– Pojedzie pan teraz z nami na komisariat. Tam zostanie pan przesłuchany w charakterze świadka, chyba że prokurator zarządzi inaczej. Tutaj wejdą nasi technicy i zabezpieczą rzeczy Wiolety.

– Jakie rzeczy?

– Telefon i komputer. Może coś jeszcze.

Malik wbił wzrok w telewizor, wysunął przy tym głowę, jak gdyby chciał lepiej widzieć. Kosma też spojrzał w tę stronę. Zobaczył dziennikarkę ogólnopolskiej stacji. Ta stała na tle znajomego obiektu. Biały otynkowany mur i trójkątny kształt rysujący się w górnej części budynku. To był front pałacu w Anglitach.

– Już tu są – mruknął mężczyzna.

Zabrzmiało to złowieszczo, jak gdyby we wsi pojawiło się jakieś zło. Media już wiedziały, że chodzi o ofiarę pedofila, choć prokuratura tego oficjalnie nie potwierdziła. Niebawem

dziennikarze zwiedzają się, gdzie mieszkała zamordowana dziewczynka i zapukają do mieszkania Doroty Nowak. Mogą być tu nawet za minutę, bo przed budynkiem stał radiowóz, a w obecnej sytuacji nie było lepszego drogowskazu. Aspirant Bielewicz nie miał ochoty trafić przed obiektywy telewizyjnych kamer.

– No zbieramy się! – zakomenderował.

Malik wyłączył telewizor. Przez chwilę zachowywał się jak starzec w zawansowanej demencji. Najpierw włożył czapkę, mocno naciągając ją na czoło. Potem po kieszeniach różnych ubrań szukał dowodu osobistego. Starszy posterunkowy musiał mu przypomnieć, że trzeba wziąć klucze i zamknąć mieszkanie.

Gdy wyszli na zewnątrz, Kosma poczuł się nieswojo. Przed budynkiem stało około dziesięciu osób. Niby nic takiego, zwyczajni ludzie, zapewne mieszkańcy Anglit. Tylko że oni stali w zupełnej ciszy i bezruchu. Ich stanie przypominało demonstrację, milczący protest. Nie zgromadzili się tutaj, by czegoś bronić, lecz przeciwko czemuś. Spod kapturów i czapek wyzierały blade, zmarznięte twarze. Było w nich widać zacięcie i pewną surowość. Gdy policjanci wsiadali do radiowozu, kobieta z tej grupy wrzasnęła:

– Pedofil! Zwyrodnialec! Zajebać go!

Bielewicz się obejrzał i zobaczył wyciągniętą dłoń w czarnej rękawiczce, skierowaną na Igora. Ten syknął przez zaciśnięte zęby:

– Spierdalajcie! Pieprzona ława przysięgłych.

Wyglądało na to, że sąsiedzi Malika już wydali wyrok.

Rozdział 16

NA KOMISARIACIE UNOSIŁA SIĘ aromatyczna woń kawy. Wszyscy ją pili. Nawet oficer dyżurny trzymał pod kontuarem duży kubek. Dwie policjantki, które przed chwilą wróciły z interwencji domowej, delectowały się kawusią przy swoich biurkach. Komisarz Piotr Kaptera pił kawę, chodząc po pokoju na piętrze. Z kolei starszy posterunkowy Karol Jaskóła przycupnął na krześle pod oknem, a kubek postawił na parapecie. Nikt już nie zwracał uwagi na limity w używaniu ekspresu. Wszyscy byli lekko poruszeni, bo w pokoju obok siedział podejrzany.

– Ja go przesłucham – oznajmił Kaptera. – A wy będziecie się przyglądać. Zobaczycie, jak to się robi.

Stojący w drzwiach aspirant przytaknął.

– Prokuratorka Monika Warecka się zapowiedziała. Też chce go przesłuchać.

Komisarz wypiął szeroką pierś, jak gdyby za chwilę ktoś miał mu przypiąć order.

– Widocznie Warecka wie, że ja tu jestem, dlatego ruszyła tyłek z prokuratury. Inaczej kazałaby go przywieźć do siebie. Jest niezła. Tylko za bardzo chce się pokazać.

Kosma pomyślał, że to samo można powiedzieć o Piotrze Kapterze. Na pewno był niezły. Te wszystkie rozwiązane sprawy nie wzięły się znikąd. Jednocześnie zachowywał się jak celebryta szukający poklasku.

– Ty, młody – zwrócił się komisarz do Jaskóły – wracaj do Anglit. Będziesz tam czekał na Dorotę Nowak. Wprawdzie

moglibyśmy zadzwonić do niej i powiedzieć, aby od razu przyznała na komisariat. No ale sami rozumiecie, to by było jak przywalenie bezbronnemu młotkiem w palec.

Karol wyciągnął rękę w stronę parapetu, gdzie stała jego kawa.

– Ruszaj się! – ponaglił go Kaptera. – Z Gdańska nie jest daleko. Ta kobieta zaraz będzie w domu.

Skłonny do konfrontacji starszy posterunkowy teraz posłusznie odstawił kubek i wstał z krzesła. Może przeziębienie odebrało mu chęci do stawiania się, a może po prostu wiedział, że komisarz ma rację. Lepiej, żeby Nowakowa nie dowiedziała się o śmierci córki od sąsiadów.

Kaptera przechylił kubek i wypił kawę do końca.

– Dobra, idziemy pogadać z Malikiem.

Aspirant Bielewicz ruszył za nim.

Igor Malik siedział przy otwartych drzwiach. Z korytarza widać było jego przygarbioną sylwetkę i spuszczoną głowę. Wyglądał na zdruzgotanego. Powinien się od razu przyznać do winy. Uniósł wzrok na komisarza, gdy ten wszedł do pokoju. Widok nieznanego funkcjonariusza, który emanował pewnością siebie, jeszcze bardziej go przybił, bo zasłonił twarz dłońmi i zaczął się kiwać jak dziecięca zabawka.

Komisarz nie usiadł. Stał jedynie za biurkiem i pochylił się lekko do przodu, opierając dłonie na blacie. Koszula policyjna napięła się na jego muskularnych ramionach. Wyglądał jak tylko trochę gorsza kopia nowojorskiego gliniarza z amerykańskiego serialu. Przedstawił się mocnym głosem z lekką chrypką, której wcześniej nie miał. Teraz jednak ją przywołał, bo rzeczywiście robiła wrażenie. Wskazał głową na aspiranta i poinformował, że będzie on obecny przy przesłuchaniu. Kosma zajął miejsce przy drugim biurku.

Zobaczył zielone światełko w kamerze znajdującej się w rogu pokoju. Sam ją uruchomił przed wprowadzeniem tu świadka. Teraz tylko chciał się upewnić, czy działa. Działała.

– No, Malik, masz kłopoty – odezwał się Piotr Kaptera, wzdychając ciężko. – Co masz nam do powiedzenia?

Mężczyzna odsunął dłonie z twarzy. Był blady, przez co jego zarost wydawał się ciemniejszy. Milczał.

– Może na początek się nam przedstawisz, bo chyba by wypadało.

– Nazywam się Igor Malik.

– No super, początek mamy całkiem dobry. A mógłbyś dodać coś więcej? Wiek? Wykonywany zawód? Wykształcenie?

– Mam dwadzieścia siedem lat. Teraz akurat nie pracuję. To znaczy trochę sobie dorabiam przy samochodach. Znam się na tym, bo skończyłem technikum mechaniczne w Elblągu.

– Twoje ostatnie zatrudnienie?

– Byłem ratownikiem na basenie w Elblągu.

– No to Malik, pamiętaj, że tu jak w konfesjonale, przyznajesz się do wszystkich grzechów i mówisz samą prawdę, bo w innym razie grozi ci trzy lata odsiadki za składanie fałszywych zeznań. Jasne?

– Tak.

– No to powiedz, jak to było z Wioletą Nowak? Jak do tego doszło?

Mężczyzna potarł czoło niczym uczestnik teleturnieju.

– Ja myślałem, że ona nie wraca do domu, bo chce mi zrobić na złość. Byłem pewien, że siedzi u jakiejś koleżanki. Wiola taka była. Robiła, co chciała. Nawet tatuaż sobie zrobiła. Jedenastoletnie dziecko i tatuaż. Swojej córce bym nie pozwolił. Dorota ją za bardzo rozpuściła. Pozwalała jej na wszystko.

Kaptera z niecierpliwością zabębnił palcami o biurko.

– Ja jestem prosty glina. Nie interesują mnie kwestie wychowawcze. Może gdybym miał dzieci... Ale nie mam. Mnie obchodzi tylko jedno. Jak doszło do śmierci Wiolety Nowak i kto jest sprawcą?

– Ja tego nie wiem. Niestety, nie pomogę wam.

– Ty tego nie wiesz? Ja mam uwierzyć, że ty nie wiesz. Nie żyje dziecko, które miałeś pod opieką, a ty nie masz pojęcia, co się stało?

– Nie wiem. Nie rozumiem. To jest chore. Cały świat jest pojebany.

– A może to ty jesteś chory? Pedofilia znajduje się w międzynarodowej klasyfikacji chorób. Może o tym słyszałeś? Niektórzy nawet próbują to leczyć.

Igor Malik wyglądał na człowieka, który zobaczył własną śmierć. Przerazenie powiększyło mu źrenice do niewyobrażalnej wielkości.

– Nie. Przysięgam, to nie ja. Przysięgam.

– Wszystko wskazuje na ciebie.

– Dlaczego na mnie? To niemożliwe. Weźcie moje DNA, moje odciski palców. Dowody na pewno mnie wykluczą.

Komisarz się zaśmiał.

– DNA? O czym ty, człowieku, mówisz? Za dużo filmów się naoglądałeś. Ty wiesz, ile kosztuje DNA? Nikt ci nie będzie robił takiego badania. Poza tym DNA nie jest potrzebne. Wszystko inne wskazuje na ciebie. Okoliczności cię obciążają. Najbardziej to, że nie szukałeś dziecka, gdy nie wróciło do domu.

– Ja naprawdę myślałem, że ona nocuje u koleżanki.

– Aż trzy noce? Nie było jej trzy noce. I nie wzięła ze sobą komórki. Nie wzięła też żadnych ubrań i książek do szkoły.

A ty cały czas myślałeś, że ona jest u koleżanki?

Łzy zebrały się w oczach mężczyzny i nagle pociekły po zarośniętych policzkach.

– Strasznie się pokłóciliśmy wtedy w sobotę. Poszło nam o patelnię. Powiedziałem, żeby ją umyła, a ona nie chciała. Oboje wrzeszczeliśmy na siebie. Sąsiedzi to na pewno potwierdzą. Musieli słyszeć nasze krzyki i wulgaryzmy. Wiola klęła bardziej niż ja. Zabrałem jej telefon i oznajmiłem, że oddam go dopiero wtedy, gdy umyje patelnię. Rzuciła się na mnie, żeby mi go odebrać. Nie chciałem jej uderzyć, ale ona była taka agresywna. Przywaliłem jej, żeby się uspokoiła. Wtedy wypadła z mieszkania. Gdy nie wróciła na noc, to nawet się nie zdziwiłem. Też bym po czymś takim nie wrócił.

Komisarz dopiero teraz usiadł na krześle, przysuwając je bliżej biurka.

– Rozumiem, że nie szukałeś jej przez dwadzieścia cztery godziny. Ale później? Jedenastoletni dzieciak musi wrócić do domu. Jej komórka została w mieszkaniu, a to jest poważny powód, aby się pojawić mimo kłótni z tobą. Po upływie doby wypadało się zaniepokoić, zareagować, choćby poinformować partnerkę, że jej córka nocowała poza domem i nadal nie wróciła.

Malik grzbietem dłoni wytarł łzy.

– Dorota miała wrócić w środę. Długo myślałem, że Wiola czeka, aż matka przyjedzie, i że wtedy też wróci do domu. W poniedziałek rano poczułem, że coś jest nie tak. To chyba przez zaginięcie tej pięciolatki. Skoro ta cała Matylda przepadła, to przyszło mi do głowy, że Wiola też.

– Dlaczego wtedy nas nie zawiadomiłeś o zaginięciu Wiolety?

– Bałem się. Przeczuwałem, że coś się złego stało i będę odpowiadał za to, że nie dopilnowałem dzieciaka. Dziś rano

sąsiedzi powiedzieli mi, że policja znalazła u nas w Anglitach zwłoki dziewczynki. Modliłem się, żeby to była ta pięciolatka, a nie nasza Wiola. Do końca wierzyłem, że to tamta dziewczynka. Ale gdy dzisiaj przyjechaliście do mnie, wiedziałem już, że to Wiola. Kurwa mać, gdybym dorwał tego zwyrodnialca, nie skrzywdziłby już żadnego dziecka. Sąsiedzi mówili mi, że to musi być ktoś od nas albo z okolic, może z Pasłęka. Bydlak zabił dwie dziewczynki. Tacy nie mają prawa żyć.

– Jakim samochodem jeździsz? – zapytał uprzejmie komisarz.

Mężczyzna patrzył lekko zdezorientowany. Zaskoczyła go ta zmiana tematu.

– Starą beemką.

– Jaki kolor karoserii?

– Czarny.

– Gdzie ukryłeś ciało pięcioletniej Matyldy Piątek?

– Co pan?

Malik wydawał się szczerze oburzony. Wyprostował się na krześle i nawet podniósł głowę.

– Powiedziałeś, że obie dziewczynki zostały zabite, to pytam, gdzie jest ciało tej drugiej.

– Głupi psie. Zamiast mnie maglować, wzięłbyś się za szukanie tego pedofila.

Kaptera wstał i pochylił się nad biurkiem.

– Skąd wiesz, że Matylda Kowalik nie żyje?

Mówił głośno, sylabizując całe zdanie. Mężczyzna wcisnął plecy w oparcie krzesła. Chciał znaleźć się jak najdalej od policjanta.

– Przecież to oczywiste. Skoro Wiola, to i tamta też.

– Dla mnie to nie jest oczywiste. Co robiłeś w niedzielę koło dziewiętnastej? No mów, czy masz alibi na czas zaginięcia Matyldy Kowalik?

Mężczyzna objął dłońmi głowę i zaczął się kiwać jak wtedy, gdy policjanci weszli do pokoju.

– Wy jesteście pojebani. Was wszystkich powinno się stąd wypierdolić, bo wy nic nie robicie. Szukacie jedynie kozła ofiarnego.

Kosma dyskretnie wyszedł na korytarz. Wszedł do pokoju, w którym wcześniej pili kawę. Na parapecie wciąż stał pełny kubek starszego posterunkowego Jaskóły. Usiadł przy biurku i przysunął sobie klawiaturę. Postanowił coś sprawdzić. Przyszło mu to nagle do głowy, a mogło się okazać istotnym tropem. Igor Malik pracował w Elblągu na basenie, tak powiedział na początku przesłuchania, a teraz był bezrobotny. Ratownik na pływalni to niezła robota, przyzwoicie płatna. Chyba nie rezygnuje się z niej bez powodu. Aspirant znalazł kontakt do Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Po chwili wahania wybrał numer samego dyrektora.

– Chyba pan nie myśli, że udzielię panu informacji o moich pracownikach przez telefon? Jaką w ogóle mam pewność, że rozmawiam z policją?

Dyrektor przyjął słuszną postawę. Kosma nie zamierzał jednak dać się tak szybko spławić.

– Rozłączę się teraz, a pan zadzwoni do komisariatu w Pasłęku i poprosi o rozmowę z aspirantem Bielewiczem. Numer do nas znajdzie pan oczywiście w internecie.

– Nie będę z panem rozmawiał przez telefon. Chce się pan czegoś dowiedzieć o pracownikach, proszę przyjechać.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy zwolniliście pracownika, bo molestował dzieci. Nie pytam o nazwisko. Chcę jedynie

wiedzieć, czy coś takiego miało u was miejsce. Chyba takiej informacji może mi pan udzielić?

W słuchawce zapadła cisza. Kosma nawet pomyślał, że połączenie się zerwało. Dyrektor nagle odchrząknął i oznajmił:

– Nie przypominam sobie takiego zdarzenia.

To jedno zdanie zabrzmiało jak nieudolna próba uniknięcia odpowiedzi.

– Na pewno pan słyszał o zaginięciu pięcioletniej Matyldy Kowalik i o znalezieniu w okolicach Pasłęka ciała jedenastolatki.

– Oczywiście, że słyszałem.

– Pytam pana o to molestowanie na basenie w związku z tymi sprawami.

– Domyśliłem się. Dzwoni pan przecież z Pasłęka.

– Mamy tu podejrzanego. Pracował na pływalni w Elblągu, może u was.

Mężczyzna po drugiej stronie linii westchnął z rezygnacją.

– Nie zgłosiliśmy tego na policję, bo ta dziewczynka ma rodziców. No i to oni powinni się tym zająć. Nie zrobili tego, może nie chcieli dodatkowo dziecka stresować.

– Czyli mieliście molestowanie.

– No niestety. Gdybym wiedział, że ten człowiek jest tak niebezpieczny...

Dyrektor Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji najwyraźniej obawiał się konsekwencji swojej bierności. A miał się o co niepokoić, bo zgodnie z Kodeksem karnym każdy, kto posiada wiarygodną wiedzę o dokonaniu czynu o charakterze pedofilskim, ma obowiązek niezwłocznego powiadomienia o tym fakcie organów ścigania. Jeśli tego nie zrobi, może trafić za kraty na trzy lata.

– Jak się nazywa ten ratownik? – zapytał Kosma.

– Nie pamiętam. Muszę poprosić sekretarkę, żeby zajrzała do umowy.

– Igor Malik, tak się nazywał?

– Wydaje mi się, że bardzo podobnie – oznajmił dyrektor z wahaniem.

Rozdział 17

JULIAN SIEDZIAŁ NA BRZEGU kanapy. Łokcie opierał na kolanach i wpatrywał się w córkę. Ania rysowała kredkami świecowymi ptaka. Każde skrzydełko było innego koloru, a dziób nieproporcjonalnie duży w stosunku do głowy. Kredki leżały rozrzucone na stoliku, dwie spadły na podłogę. Świadczyło to o wielkim zaangażowaniu w malarską pracę. Ania kręciła się na krześle, w końcu uklękła na nim, przyjmując najwygodniejszą pozycję do rysowania. Wyglądała uroczo w bluzce z wizerunkiem uśmiechniętego misia i blond włoskami spadającymi na czoło i uszy.

Śliczną miał córkę. Za piętnaście lat będzie z niej piękna kobieta. A Matylda? Czy ona też dostanie szansę, aby dorosnąć? Ogarnął go ogromny żal na myśl, że Ania zostanie pozbawiona siostrzanego towarzystwa, tej jedynej w swoim rodzaju więzi wspólnego doświadczania życia. Sama pójdzie do szkoły, sama zdmuchnie świeczki na torcie. Siostra nie będzie już jej partnerować u fryzjera i na zakupach. Nie będą się dzielić ubraniami i kosmetykami. Nie będą się sobie zwierzać z marzeń ani opowiadać o swoich pierwszych miłościach.

Julian poruszył ustami, aby zaprotestować przeciwko tej niesprawiedliwości. Był jednak w stanie wypowiedzieć tylko jedno słowo:

– Matyldo!

Choć jego struny głosowe nie nadały imieniu córki dźwięczności, to jednak Ania go usłyszała, bo uniosła głowę i spojrzała na niego zielonymi oczami, z których wyzierało

dziecięce zdumienie. Jej kochany tatuś przywoływał Matyldę, której przecież tutaj nie było.

– Matylda się schowała – wyjaśniła, celując w niego kredką.

– Gdzie się schowała? – zapytał nagle przekonany, że tylko Ania zna prawdę.

– Do szafy.

Ania wskazała na mebel w rogu pokoju. Julian podszedł i rozsunął drzwi szafy. Rozległ się cichy zgrzyt wózka przesuwanego po prowadnicy, po czym ukazały się kolorowe ubrania. Cała gama barw, każdy artysta malarz byłby zachwycony ich bogactwem. Niestety, Matyldy nie było. Jasna główka nie wyglądała spomiędzy tęczy sukienek. Serce mu stanęło na całą długą sekundę. Ponownie doświadczył śmierci. W ten sposób umierał po kilka razy na dzień. Naprawdę uwierzył, że córka ukryła się w szafie. Czy to znaczy, że zwariował?

Zbliżył się do Ani i pocałował ją w czoło. Skrzywiła się.

– Do jutra, słoneczko. Jutro do ciebie przyjdę.

Wyszedł z pokoju córek i krokiem starca zszedł po schodach. Przygrybiał go ten wielki i nowocześnie urządzonej dom doktora Kowalika. Lubił myśleć, że Weronika i dziewczynki czuły się lepiej w ich małym mieszkaniu, bo tam było przytulniej, a tutaj jak w muzeum, mnóstwo nieciekawych obrazów i bardzo pusto, czyli chłodny minimalizm. Skręcił do kuchni. Chciał powiedzieć Weronice, że wychodzi. Chciał też ją ponownie zobaczyć, przytulić do serca i rozplakać się w jej ramionach.

Nie spodziewał się tego, co zobaczył. Nie zdążył się przygotować na ten sielankowy obrazek. Pięć osób przy stole, Weronika z matką po jednej stronie, a jej ojciec z nowym zięciem po drugiej i ten nastolatek, syn doktora, siedzący na

szczyt, ale mocno odsunięty od blatu. Wspaniała rodzinka przy obiedzie, jak gdyby nic się nie stało. Ogarnęła go złość.

– Wychodzę – oznajmił.

Usłyszał w swoim głosie smutek i irytację. Weronika od razu wstała.

– Może zjesz z nami?

– Tak, zapraszamy – wtrącił Kowalik uprzejmie, ale bez grama życzliwości.

Julian napotkał nieprzyjazne spojrzenie byłego teścia. Bogdan go nigdy nie lubił i często otwarcie krytykował.

– Dziękuję. Mam obiad w lodówce, ale Ania na pewno by coś zjadła.

– Zaraz po nią pójde – zapewniła Weronika.

Julian ruszył do drzwi wyjściowych. Słyszał za sobą pospieszne kroki byłej żony. Gdy sięgał po kurtkę, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Julek, my wszyscy cierpimy. Oskar i moi rodzice też.

– Tak, rozumiem – mruknął.

– Może zapakuję ci kilka schabowych.

– Nie trzeba. Mówiłem, że mam obiad w lodówce.

– Jaki obiad? Nie wierzę, że teraz gotujesz.

– Justyna mi przyniosła jakąś zapiekankę.

– Tylko nie zapomnij jej zjeść.

Zielone oczy Weroniki błyszczały od nadmiaru łez. Wciąż trzymała dłoń na jego ramieniu.

– Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? Taka dobra? Powinnaś mieć do mnie pretensję. Powinnaś mnie nienawidzić. Przecież zgubiłem naszą córkę. To wszystko przeze mnie. No powiedz! Dlaczego taka jesteś?

Cofnęła rękę, pozwalając mu włożyć kurtkę.

– Bo to nie twoja wina. To moja wina. To przeze mnie nie ma teraz z nami naszej dziewczynki.

– Co ty mówisz? Oszalałaś?

Objęła się ramionami. Drżała.

– Bo Matylda była niegrzeczna kilka dni temu. Nie mogłam sobie z nią poradzić. Pomyślałam, że jak ją nastraszę, to przestanie wariować. Powiedziałam, że ją oddam innej rodzinie. Powiedziałam, że nigdy się już nie zobaczymy.

Szloch uwiązał jej w gardle. Julian z czułością pogłaskał ją po policzku.

– I co? Przestraszyła się?

– Nie, w ogóle. Ale to nie ma znaczenia. Powiedziałam, że nigdy się nie zobaczymy. Ja to zapowiedziałam. Zapowiedziałam zniknięcie naszej córki.

Objął dłońmi twarz byłej żony.

– Głuptasie, gdyby słowa miały moc sprawczą, to nasz aniołeczek już dawno by do nas wrócił, bo ja codziennie o to błagam.

– Nie mogę sobie darować, że to powiedziałam.

Wionęła na niego gorącym oddechem i musnęła palcami jego nadgarstek.

– Kochana moja, proszę, chodź ze mną.

– Gdzie?

Szczere zdumienie pojawiło się w jej tęczówkach.

– Do naszego mieszkania. Weź Anię i spakuj parę rzeczy. Będziemy razem czekać na Matyldę.

Odsunęła się i pokręciła przecząco głową.

– Tu jest mój dom. Idź już!

– Co cię tu trzyma? – zapytał z pretensją.

Przez chwilę uwierzył, że Weronika chce tego samego co on.

– Mój mąż, Oskar – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– A jaką masz pewność, że on nie jest zamieszany w zniknięcie naszej córki?

– Mam pewność.

– A mi się wydaje, że to on za tym stoi.

Gniew i żal napędzały słowa wypadające z jego ust.

– To, co mówisz, jest niedorzeczne, po prostu głupie – oznajmiła, otwierając mu drzwi na całą szerokość.

Wypraszała go tym gestem. Wyszedł z ogromnym ciężarem smutku i rozczarowania w sercu. Do samochodu wsiadł z uczuciem coraz większego oderwania od rzeczywistości.

Rozdział 18

WERONIKA WRÓCIŁA DO STOŁU. Uniosła widelec i wbiła go w kawałek schabu. Nie potrafiła powstrzymać łez. Spływały po policzkach, skapując na krawędź talerza. Oskar westchnął. Miała wrażenie, że z niecierpliwością.

Duże zielone oczy matki patrzyły na nią ze współczuciem. Alina Szulc od trzech dni starała się być wsparciem dla swojej zrozpaczonej córki, ale tak naprawdę sama wymagała podpory w postaci drugiego człowieka. Zaginięcie wnuczki wytrąciło ją z równowagi. Przypomniało o wydarzeniu sprzed czterdziestu lat, kiedy to jej brat poszedł poślizgać się na rzece i nigdy już nie wrócił do domu. To też był styczeń, cały Karsin szukał chłopca przez dwa dni. Długo się łudzili, że uciekł z domu albo że ktoś go porwał. Stracili nadzieję, gdy policja znalazła miejsce, gdzie zarwał się lód. Dwóch nurków wyciągnęło jej dziesięcioletniego brata spod tafli. Bała się, że z wnuczką będzie podobnie, że ją znajdą martwą.

Alina nachyliła się do córki.

– Jedz, kochanie, bo jak nie będziesz jadła, to się rozchorujesz.

Co za banalne słowa wsparcia. Kultura nie stworzyła stosownych zachowań będących odpowiedzią na wielkie nieszczęście, na rozpacz drugiego człowieka. Weronika włożyła kawałek schabu do ust i zaczęła żuć. Próbowwała go połknąć, ale nie dawała rady. Popiła wodą. Pożywienie precyzyjnie przeszło przez gardło. Nagle żołądek uniósł się. Zacisnęła zęby, ale był

to daremny wysiłek. Spomiędzy jej ust wytrysnął strumień wymiocin.

– Kurwa! – rzucił Michał.

Syn Oskara z hałasem odsunął krzesło i wybiegł z kuchni. Zrobiło się zamieszanie. Matka złapała ją za ramiona i usiłowała odsunąć od stołu. Oskar położył dłoń na jej głowie i powtarzał jak w transie:

– Spokojnie, spokojnie.

Nie wymiotowała długo, ale to bez znaczenia. Po czymś takim nikt nie miał już ochoty kończyć obiadu. Tym bardziej że jej wymiociny rozprysnęły się wokół jak fontanna, trafiając do innych talerzy. Wytarła grzbietem dłoni usta i wstała.

– Przepraszam. Zaraz posprzątam.

– Ja posprzątam – zapewniła Alina.

Weronika spojrzała na nią z wdzięcznością. Matka wyglądała na przejętą, ale na pewno była w stanie ogarnąć ten bałagań. Ona sama nie miała na to sił. Powłokła się do łazienki. Umyła zęby i wrzuciła do kosza bluzkę. Zajrzał do niej Oskar. Jego przystojna twarz wyrażała stosowne zatroskanie. Przyszło jej do głowy, że przekazując swoim pacjentom złą diagnozę, przybiera podobną maskę.

– Kochanie, może weźmiesz relanium i się położysz?

Wspaniały mąż, profesjonalny lekarz, dwa w jednym. Powinna czuć się wzruszona jego opiekuńczością. Dlaczego więc ją irytował? Dobrze wiedziała dlaczego. Bo nie czuł tego bólu, co ona. Nie był w stanie wspiać się na poziom tego cierpienia, bo nie był ojcem Matyldy.

– Muszę dać Ani obiad. Mam dla niej ziemniaki i marchewkę z groszkiem.

– My się nią zajmiemy. Przypilnujemy, żeby zjadła.

– Dzięki, ale jestem matką, chcę się nią zająć.

Weszła na piętro. Najpierw udała się do sypialni. Z szafy wyjęła pierwszą z brzegu bluzkę i ją włożyła. Przeszkadzała jej cisza. Ten brak dziecięcych odgłosów był wręcz niepokojący, złowieszczy. Gdyby Matylda była w domu, to biegałaby i rozrzucała wszędzie zabawki. Oskara denerwowało to, że bez pukania wpadała do ich sypialni. Często zamykali się na klucz, ale wtedy Matylda waliła w drzwi rękami i krzyczała, żeby ją wpuścić. Weronika wyszła na korytarz. Pokój dziewczynek znajdował się naprzeciwko ich sypialni. Drzwi były uchylone, a zza nich dobiegała cisza. To niemożliwe, żeby Ania bawiła się, nie robiąc nawet minimalnego hałasu.

– Aniu! – zawołała, próbując stłumić niepokój.

Rozchwiana podświadomość wytworzyła obraz córki, która zadławiła się cukierkiem i teraz nieprzytomna leży na podłodze. Przekroczyła próg. W pokoju było pusto. To stąd ta cisza. Co za ulga. Ania żyje i na pewno już w kuchni je obiad pod czujnym okiem babci.

Weronika zeszła na parter. Najpierw zajrzała do salonu. Jej ojciec siedział po ciemku przed telewizorem. Jego siwa bujna czupryna górowała nad przygarbionymi plecami. Trzy dni temu Bogdan był wyprostowanym jak struna pięćdziesięcioletkiem. Zmartwienie odcisnęło się na jego sylwetce, jak gdyby emocje miały kilogramy.

Bezszelestnie wycofała się z salonu. Dostrzegła zamknięte drzwi na końcu korytarza. Za nimi znajdował się gabinet jej męża. Zapewne Oskar wrócił do pisania artykułu, nad którym pracował od kilku tygodni. Znowu ogarnęła ją złość. Nie potrafiła znieść tego, że był w stanie robić cokolwiek, co nie było związane z poszukiwaniem Matyldy. Poczłapała do kuchni.

Spodziewała się zobaczyć córkę jedzącą gotowaną marchewkę z groszkiem i układającą z tego groszku kółka i serduszka na blacie. Ani jednak tutaj nie było. Weronika oparła się o futrynę, bo nogi zaczęły jej dygotać.

– Gdzie jest Ania?

Alina klęczała przy stole i papierowym ręcznikiem wycierała podłogę z wymiocin. Wyprostowała się.

– Ania? No przecież u siebie. Miałaś ją zawołać, żeby coś zjadła.

Weronika ruszyła na piętro. Nogi miała ciężkie, jak gdyby ktoś przywiązał jej do kostek odważniki. Weszła do pokoju córki. Kredki świecowe rozrzucone na stoliku i dywanie, i niedomknięte drzwi szafy.

– Aniu? – zawołała niemal bezgłośnie, bo struny głosowe znalazły się poza zasięgiem jej woli.

Córka nie wyskoczyła z szafy z okrzykiem: „Jestem!”.

Rozsunęła drzwi i przykucnęła, zaglądając do wnętrza mebla. Nikt się tu nie ukrywał. Wybiegła z pokoju i wpadła do łazienki. Tu też było pusto. Zajrzała do sypialni. Pusto. Otworzyła drzwi pokoju Michała. Syn Oskara czasami u nich nocował i trzymał tutaj trochę swoich rzeczy. Zakazał dziewczynkom do siebie wchodzić. Matylda notorycznie łamała ten zakaz. Tutaj Ani też nie było. Weronika miała wrażenie, że lodowata dłoń złapała ją za serce i mocno ścisnęła.

Zbiegła na parter. Wołała córkę, a w jej głosie dźwięczała panika. Biegała z kuchni do salonu i z powrotem. Nagle złapały ją silne ręce. Zobaczyła przed sobą twarz ojca.

– Co się dzieje? Dlaczego tak krzyczysz?

– Nie ma Ani! Ania zniknęła!

Alina podeszła i przesunęła dłonią po jej plecach.

– Spokojnie, zaraz ją znajdziemy.

– Nie ma jej. Nie ma.

Weronika osunęła się na kolana. Tego strachu było za dużo. Przygniatał ją do ziemi, wręcz wciskał w podłogę. Nie da już rady, nie uniesie ani grama więcej lęku. Miała przed sobą drzwi do gabinetu męża, znajdowały się na drugim końcu korytarza, w odległości zaledwie pięciu metrów. Musi się tam doczołgać i je otworzyć, bo za nimi na pewno jest Ania. Oskar musiał ją zabrać do siebie i teraz pokazywał jej coś fajnego w internecie. Chciał ją czymś zająć, rozbawić.

Bogdan podniósł Weronikę z podłogi.

– Mama już szuka Ani. Zaraz ją znajdzie. Nie denerwuj się tak.

Wyminęła ojca i podeszła pod drzwi gabinetu. Nacisnęła klamkę. Oskar siedział przy biurku tyłem do niej. Miał na uszach słuchawki, a przy ustach mikrofon. Rozmawiał z zaprzyjaźnionym chirurgiem z Hagi, z profesorem Rubenem Van Dijkiem. Obaj się śmieli. Nie wiedziała z czego, bo gawędzili po angielsku. Gdy weszła w kadr kamery, Ruben zauważył jej obecność. Zamachał z ekranu i chyba wypowiedział słowa powitania. Oskar natychmiast zdjął słuchawki i obrócił się do niej.

– Kochanie, coś się stało?

– Ania zniknęła.

– Co ty mówisz?

– Nie ma jej nigdzie. Proszę, znajdź ją.

Oskar rzucił do mikrofonu kilka pospiesznych słów i przerwał połączenie, nie dając Rubenowi skończyć formułowanego pytania.

– Na pewno gdzieś się schowała – oznajmił, wychodząc z gabinetu.

Weronika szła za nim. Po schodach schodziła Alina. Przypominała spłoszone zwierzątko, które rozgląda się za kryjówką.

– Na piętrze jej nie ma. Nie rozumiem tego.

Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Może wyszła na zewnątrz? – zasugerował Bogdan.

To było bardzo prawdopodobne. Ania mogła pójść szukać siostry. Przecież musiało dotrzeć do niej, że wszyscy poszukują Matyldy. Zapewne chciała pomóc. Weronika dopadła do drzwi wyjściowych. Otworzyła je i znalazła się na zewnątrz. Przeszyło ją wielkie zimno, które wchodziło do ciała przez stopy osłonięte jedynie cienką bawełną. Czuła szum w głowie. Upadnę, pomyślała z trwogą. Nigdzie nie widziała Ani, choć wyteżęła wzrok, aby zobaczyć wszystko to, co znajdowało się poza zasięgiem ulicznych lamp. Zaczęła krzyczeć, wołać córkę. Nagle w ciemnościach po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie ciągnęła się otwarta przestrzeń, dojrzała ruch. Ania poszła na łąkę ciągnącą się wzdłuż Partyzantów. Tam ostatniego lata puszczały latawiec. Ktoś ją złapał za ramię.

– Kochanie, wejdź do środka. Jesteś w samych skarpetkach. Zaraz zadzwonię na policję. Nie martw się, znajdziemy ją.

Wyrwała się z uścisku męża i pobiegła przed siebie na łąkę pokrytą śnieżną breją. Nie odrywała wzroku od poruszającego się kształtu, który zaczął się od niej oddalać. Wykrzykiwała imię córki. Ta nie chciała się zatrzymać.

– Kochanie, to nie Ania. To pies.

Goniła psa, a nie córkę. Niewyobrażalna rozpacz rozerwała jej serce na drobne cząstki. Oskar objął ją wpół i podniósł w górę.

– Proszę, nie wyrywaj się. Zaniosę cię do domu.

Rozdział 19

ZAJĘLI NAJCIAŚNIEJSZE POMIESZCZENIE w pasłęckim komisariacie, bo tylko tutaj stała kanapa, a prokuratorka poprosiła o coś wygodnego do siedzenia. Butelka wody mineralnej i trzy kawy miały pomóc im w omówieniu sprawy. Każde z nich trzymało w dłoniach jakiś rekwizyt, jak gdyby pozwali do zdjęcia: Bielewicz dokumenty, Kaptera tablet, a Warecka długopis.

– Wypuszczamy Malika – oznajmiła prokuratorka. – Nie ma podstaw, żeby go zatrzymać. W tej chwili możemy go tylko oskarżyć o nienależyte sprawowanie opieki nad nieletnią. I przypominam, że nieodpowiedzialni opiekunowie nie trafiają do aresztu, bo gdyby tak było, to mury budynku przy Dwunastego Lutego musiałyby być z gumy.

Warecka rytmicznie ruszała długopisem, jak gdyby coś zapisywała w powietrzu. Ten ruch zwracał uwagę na jej dłoń, niezwykle piękne, ze smukłymi palcami i wąskimi nadgarstkami. Ozdabiał je jeden pierścionek w kształcie obrączki z dwoma czerwonymi kamyczkami. Kamyczki pasowały do czerwonego żakietu, a ten doskonale harmonizował z czarnymi długimi włosami. Prokuratorka była bardzo atrakcyjną kobietą, choć jej twarzy nie dałoby się uznać za klasycznie piękną. Miała wąskie usta i dość grube rysy, ale oczy ładne, bo duże i ciemne. Robiła wrażenie nie tylko urodą. Biło od niej opanowanie i pewność siebie, jak gdyby raz w miesiącu rozwiązywała sprawę zaginionych i zamordowanych dzieci. A z niczym takim wcześniej się nie

spotkała, bo jej kariera w elbląskiej prokuraturze rejonowej nie trwała więcej niż kilka lat.

Aspirant czuł się nieco onieśmielony obecnością Wareckiej. Komisarz, przeciwnie, wypinał okazałą klatkę piersiową i starał się popisać zmysłem śledczym.

Kawa stygła, ale żadne z nich po nią nie sięgnęło. Byli pochłonięci rozmową.

– Obciąża go telefon tej małej – oznajmił Kaptera.

Prokuratorka zamyśliła się.

– Nie wydaje mi się – skonstatowała w końcu.

– A mi się nie wydaje, żeby Wioleta Nowak wyszła z domu bez aparatu. Te dzieciaki się urodziły z telefonami. To część ich anatomii.

– Przecież Malik powiedział, że zabrał jej telefon, bo nie chciała umyć patelni. Ona się na niego rzuciła, a on ją uderzył. Potem wybiegła z domu. To brzmi wiarygodnie.

– Tak, brzmi wiarygodnie, ale czy to prawda? Malik mógł wybrać się z Wiolą na spacer do lasu. Po zamordowaniu dziewczynki zabrał jej aparat i przyniósł go do domu.

Warecka wskazała długopisem na Bielewicza.

– Aspirancie, proszę, przypomnij mi, co nam mówi logowanie się aparatu.

Kosma czuł się jak na egzaminie. Musi wyrażać się zwięźle, całą treść przekazać za pomocą jak najmniejszej liczby słów.

– Tam nie ma zbyt wielu stacji bazowych. Dlatego określenie miejsca logowania telefonu nie jest zbyt precyzyjne – oznajmił, przekładając papiery. Robił to odruchowo. Chyba jego podświadomość sugerowała mu, że wspieranie się dokumentami dodaje mu profesjonalizmu. – Miejsce znalezienia zwłok i mieszkanie Wiolety Nowak znajdują się w zasięgu tylko jednej stacji GSM. Nie da się dokładnie

określić, jak przemieszczał się ten telefon i czy w ogóle się przemieszczał w obrębie wsi.

Prokuratorka patrzyła na niego ciemnymi oczami. Odetchnął, gdy czujne spojrzenie przesunęło się na Kapterę.

– Załóżmy więc, że ofiara wyszła z mieszkania z telefonem, a Malik po morderstwie przyniósł go do domu. Tylko, komisarzu, powiedz mi, po co miałyby to robić? Chyba nie po to, żeby go zastawić w lombardzie?

– Nie sądzę, aby chęć zysku nim kierowała. – Kaptera mówił z wyraźną przekorą. – Może obawiał się, że odnajdziemy zwłoki właśnie po logowaniu się telefonu? Mogło mu zależeć, aby ciało Wiolety nie odnalazło się od razu. On nie jest głupi. Dobrze wie, że im więcej czasu mija, tym śladów mniej. I tak o odciskach butów sprawcy możemy zapomnieć, o odciskach palców na ciele ofiary też.

Kosma przytaknął. Komisarz miał rację. Szukali na miejscu zdarzenia śladów po butach sprawcy, ale padający od trzech dni śnieg zamienił ściółkę leśną w jednolitą gąbczastą materię. Rewelacyjnym dowodem byłyby odciski linii papilarnych na skórze zwłok w okolicach bioder i ud, bo ręce Malika nie miały prawa tam zawędrować. Takie ślady zabezpieczało się przy pomocy specjalnego proszku magnetycznego i typowej foli daktyloskopijnej, ale można było je ujawnić do trzech dni od momentu śmierci. Późne znalezienie Wiolety bardzo utrudniło im zebranie dowodów.

Monika przełożyła długopis do lewej ręki. Już nie próbowała kreślić nim słów w powietrzu.

– Muszę mieć coś więcej na Malika, dużo więcej, żeby go zatrzymać. Jeśli nawet znajdziemy jego naskórek na szaliku Wiolety Nowak, którym ją uduszono, albo włókna z tego szalika znajdą się na rękawiczkach naszego podejrzanego, to

i tak będzie za mało. Oni razem mieszkali, on miał okazję i przede wszystkim miał prawo dotknąć szalika ofiary nie raz. Dajcie mi prezerwatywę, której użył do gwałtu. Musiał ją gdzieś wyrzucić.

– Szukaliśmy jej w pobliżu zwłok, no i w mieszkaniu Doroty Nowak – zakomunikował Kosma. – Przejrzeliśmy też wszystkie kontenery na śmieci w Anglitach i samochód Malika. Niestety, bez rezultatu.

W niewielkim pomieszczeniu zapadła cisza.

– A to molestowanie na basenie? To go nie obciąża? – zagadnął komisarz Kaptera, patrząc na aspiranta.

Kosma przed godziną wrócił z Elbląga. Niestety, z niczym.

– To tylko przez telefon wyglądało na poważne przestępstwo – mruknął.

– Jakie molestowanie? – zainteresowała się Warecka. – W żadnym protokole nic na ten temat nie było.

– Malik został wyrzucony z posady ratownika na pływalni, bo rzekomo molestował dziewczynkę – wyjaśnił aspirant.

– A co? Nie molestował?

– Trudno byłoby to nazwać molestowaniem. Wykonał gest, jak gdyby chciał ją klepnąć w tyłek, ale tego nie zrobił. Tłumaczył potem, że to dla żartu.

– A ta dziewczynka, ile miała lat?

– Piętnaście. Widziałem się dzisiaj z nią i z jej matką. Próbowaly mnie przekonać, że do molestowania doszło, ale świadkowie i kamery nic więcej nie potwierdzają, poza tym pozorowanym klepnięciem w tyłek.

Monika zacisnęła wąskie usta. Dodało to jej rysom stanowczości.

– Wypuszczamy go, ale nadal mamy na niego oko. To nasz główny podejrzany.

Kosma znowu przekładał papiery trzymane w ręku. W tej chwili nie mieli nic na Malika. Nawet próba powiązania go z zaginięciem Matyldy Piątek nie przyniosła efektu. Starali się ustalić, czy należące do niego czarne BMW pojawiło się w niedzielę na ulicach Pasłęka. Ale automatyczny system rozpoznawania tablic nie znalazł w zapisie monitoringu rejestracji Malika. Aspirant zastanawiał się nad skutecznością tego systemu. Ten działał przecież wyłącznie wtedy, gdy czytelny był cały numer. Może jednak warto byłoby obejrzeć te kilkadziesiąt godzin nagrań z monitoringu i poszukać na nich czarnego BMW. Nie ma to jak ludzkie oko. Wystarczyłyby im już trzy cyfry z wozu Malika, żeby mieć dowód, że w dniu zaginięcia Matyldy był w Pasłęku.

Drzwi się uchylily i ukazała się twarz Jaskóły. Zakatarzony, z czerwonym nosem i świszczącym oddechem, wyglądał jak potrzebujący natychmiastowej pomocy lekarza.

– Mamy zgłoszenie – wychrypiał.

– A my mamy teraz naradę z panią prokurator – rzucił Piotr Kaptera, posyłając Karolowi potępiające spojrzenie.

Starszy posterunkowy zatrzymał wzrok na nogach Wareckiej.

– Dzień dobry, pani prokurator.

Odpowiedziała chłodno na powitanie.

– A teraz starszy posterunkowy grzecznie zamknie drzwi i nie będzie przeszkadzał – mówiąc to, komisarz przesunął się wraz z krzesłem w taki sposób, aby pokazać Jaskóle swoje plecy.

Ten wciąż stał w uchylonych drzwiach.

– Mamy zgłoszenie – wychrypiał ponownie.

Kosma podniósł się.

– Co jest? – zapytał z nagłym niepokojem.

W pierwszej chwili myślał, że Karol swoim zachowaniem drażni się z Kapterą. To jednak nie o to chodziło. To zgłoszenie

naprawdę musiało być ważne.

– Doktor Oskar Kowalik zgłosił zaginięcie swojej drugiej pasierbicy, Anny Piątek – oznajmił młody policjant. To zdanie było zbyt długie na jego nadwyreżone przeziębieniem płuca. Rozkastał się.

Kosma miał wrażenie, że myśli w głowie rozbiegły mu się w przeciwnych kierunkach. Ta jedna informacja spowodowała nagły chaos podszyty niedowierzaniem. Zaginęła bliźniacza siostra Matyldy.

– Co to, kurwa, pandemia jakaś? – mruknął pod nosem Kaptera.

Też był zaskoczony. Warecka pierwsza wyciągnęła sensowny wniosek.

– Na pewno nie uprowadził jej Igor Malik.

Miała rację, bo Malik wciąż przebywał na komisariacie. Pił kawę po przeciwnej stronie korytarza. Kosma zbliżył się do starszego posterunkowego.

– Co dokładnie powiedział Kowalik?

– Ta mała zniknęła z domu. Przeszukali wszystkie pomieszczenia. Nigdzie jej nie ma.

– Schowała się – skonstatowała prokuratorka.

Aspirantowi przyszła do głowy ta sama konkluzja. Jednocześnie przypomniał sobie minimalistyczny wystrój domu doktora. No cóż, dzieci podczas zabawy potrafią wykazać się dużą pomysłowością. Od strażaka z Iławy słyszał, że musiał wyciągać trzylatka z bębna w pralce.

– Jedziemy jej szukać! – zakomunikował Kosma. – Mam nadzieję, że znajdziemy ją w domu – dodał optymistycznym tonem, jak gdyby chciał samego siebie przekonać, że wcale nie spadnie im na głowę kolejne zaginięcie.

Rozdział 20

DIZEL OD GODZINY CZYTAŁ posty na profilu „Gdzie jesteś, Matyldo?”. Wyjątkowo dużo było tych mówiących o czarnym tajemniczym samochodzie. Luiza Kamińska pisała, że już dwukrotnie zgłaszała na policję, że po ulicy Kraszewskiego jeździ powoli czarny ford, bardzo powoli, jak gdyby kierowca kogoś wypatrywał. Dodawała, że w obecnych okolicznościach nie należy ignorować takich zjawisk, a policja to właśnie robi, bo żaden radiowóz się nie pojawił, aby skontrolować forda. Inny internauta Waldek Żukowski pisał, że też widział czarny wóz na ulicach Pasłęka jadący bardzo powoli i nagle przyspieszający. Nie był to ford, lecz peugeot. Uznał jednak, że młodzi ludzie robią sobie jaja. Żaden sprawca po zaginięciu jednej dziewczynki i śmierci drugiej nie jeździłby po mieście w taki sposób, aby zwracać na siebie uwagę. No chyba że byłby totalnym zjebem.

Bez wątpienia wracała legenda o czarnej wołdze, którą rzekomo jeździli starzy Niemcy przebrani za księży i porywający dzieci. Należałoby ustalić, czy w Pasłęku czarne auto było wyłącznie plotką, czy w dniu zaginięcia Matyldy ktoś naprawdę widział dziwnie poruszający się samochód. Górecki wrócił do początkowych wpisów na Facebooku, szukając pierwszej wzmianki na ten temat. Znalazł. Niejaka Królowa Nocy twierdziła, że widziała czarny tajemniczy wóz z okna swojego domu przy Spacerowej. Niepokojące było to, że poruszał się ze zgaszonymi światłami. Do zaobserwowania tego samochodu doszło dzień przed zaginięciem Matyldy. Dizel

napisał do Królowej Nocy: „Cześć. Jestem Dizel, prywatny detektyw. Chciałbym porozmawiać o tym czarnym aucie. Jeśli leży ci na sercu los Matyldy, to spotkaj się ze mną”.

Górecki odstawił laptop. Znajdował się w wynajętym mieszkaniu w samym centrum Pasłęka. Z okna widział ceglane mury zamku. Ten lokal znalazła mu Justyna Drabicz. Wczoraj przekazała mu klucz. Nie podał jej swoich wymagań, ale i tak było tu wszystko, czego potrzebował. Przede wszystkim telewizor. Stacje telewizyjne nadal wyprzedzały inne media w podawaniu sprawdzonych newsów. Co pół godziny przełączał się pomiędzy najbardziej popularnymi kanałami informacyjnymi. Teraz właśnie Polsat News nadawał z głównego placu w Pasłęku. Dziennikarz, stojąc na tle zamku, mówił o panującym w mieście strachu. Chwilę później głos zabrali sami mieszkańcy. Młoda kobieta w kraciastym szaliku wyznała, że się boi, nie o siebie, lecz o dzieci. Co prawda dzieci sama nie ma, ale koleżanki są matkami. Starszy pan zapewnił, że od dwóch dni prowadzi wnuczkę do szkoły, chociaż ona sobie tego nie życzy, ale przecież bezpieczeństwo najważniejsze. Mężczyzna z grubym wąsem wygłosił przemowę, w której oskarżył Kościół o sprzyjanie pedofilii. Standardowy zestaw przypadkowych przechodniów, wypowiedzi też mieszczące się w ramach ulicznej sondy, tylko emocje jakby wyższe, bardziej prawdziwe. Ci ludzie naprawdę się bali, bo ginęły nie jakieś tam dzieci, lecz dzieci z bardzo bliskiego sąsiedztwa.

Damian przyciszył telewizor, bo dobiegł go odgłos przekręcanego klucza. Ktoś wchodził do mieszkania. Nie spodobało mu się to. Ruszył do ciasnego przedpokoju. Drzwi wejściowe się otworzyły i do środka wpadła zmarznięta Justyna Drabicz. Dzisiaj zrezygnowała z niebieskiego szala na

rzecz niebieskiej puchowej kurtki. W dłoni trzymała papierową torebkę, z której unosiła się wyjątkowo przyjemna i znajoma woń.

– Przyniosłam ci placki ziemniaczane. Sama smażyłam. Z cebulką i pieprzem. Lubisz?

Weszła do kuchni. Z szafki wyjęła talerz, a z szuflady widelec. Poruszała się bardzo swobodnie. Znała ten lokal.

– Dlaczego masz klucze do mieszkania, które ja wynająłem?

– Bo to mieszkanie mojego chłopaka. Chciałeś coś małego i wygodnego w centrum, no to masz. Nie narzekaj!

– Na mieszkanie nie narzekam. Chciałbym mieć jednak tutaj spokój.

– A nie masz? Sąsiedzi hałasują?

– Wiesz, o co mi chodzi. Niespodziewani goście są fajni, jak się ma dla nich czas.

Podawała mu talerz z plackami.

– Chciałam pogadać.

– Masz na myśli wywiad?

– Nie. Chcę zwyczajnie pogadać. Mam pewne informacje.

Placki pachniały, a on był trochę głodny. Postanowił dać czas Justynie. Będzie jadł, a ona powie swoje. Może rzeczywiście czegoś się dowiedziała, to w końcu dziennikarka. Usiadł z talerzem na kanapie.

– Myślisz, że Matylda jeszcze żyje? – zapytała, siadając po turecku pod ścianą. Kurtkę rzuciła na fotel stojący przed biurkiem.

Bliscy zaginionej osoby często zadawali mu to pytanie. Zawsze dawał im nadzieję.

– Sądzę, że jest duża szansa na to, że żyje.

– Ale minęły już dwie doby. To długo – zauważyła smutno.

– Długo, ale znamy takie rodzaje zaginięć, że można mieć nadzieję.

– Jakże to zaginięcia?

– Często dzieci zabierane są z ulicy czy marketów przez osoby z problemami psychicznymi. Sześć lat temu w Innsbrucku belgijskie małżeństwo zostawiło w samochodzie swojego dwuletniego synka. Tylko na minutę, ale wystarczyło, żeby chłopiec zniknął. Kamery zarejestrowały, jak starsza pani otwiera drzwi do samochodu i zabiera dziecko. Okazało się, że ta kobieta miała problemy psychiczne i uznała tego chłopca za swojego wnuka. Takich przypadków jest całkiem sporo. Z Matyldą mogło stać się coś podobnego.

Justyna się zamyśliła. Niebieska grzywka przysłoniła jej oczy. Przesunęła ją na bok.

– To ja może popytam, czy tam w okolicy nie mieszka ktoś zaburzony.

– Tak, zrób to.

To był dobry pomysł. Justyna była lokalną dziennikarką. Wielu mieszkańców zapewne ją znało i jej ufało. Powinni chętnie z nią rozmawiać.

– Z jakimi newsami przychodzisz?

– Trochę poszperałam w sieci i znalazłam coś bardzo ciekawego na włoskiej stronie.

Zawiesiła głos, a jej ładne usta ułożyły się w tajemniczy uśmiech. Zaciekawiała go.

– Znasz włoski?

– Trochę.

– No to co znalazłaś?

– Szukałam informacji o nielegalnym handlu narzędziami do przeszczepu. Nie sądziłam, że to ma aż taki zasięg. Wiedziałeś,

że w Indiach można było sprzedać własną nerkę całkiem legalnie do dziewięćdziesiątego czwartego roku?

– Tak, wiedziałem o tym.

– No właśnie, potem indyjskie prawo zezwoliło na oddanie nerki jedynie krewnym, no i osobie, z którą dawca czuł się związany emocjonalnie, choćby przyjacielowi. No i się wtedy okazało, że tysiące biednych Hindusów ma bogatych przyjaciół w Indiach i na całym świecie, którym przekazało swoją nerkę. Skala tego jest przerażająca.

Justyna przedstawiała ogólnodostępne fakty. Damian starał się nie okazywać zniechęcenia.

– Powiedz lepiej, czego się dowiedziałas z tej włoskiej strony.

– Dwa miesiące temu sąd w Tiranie skazał na dziesięć lat pozbawienia wolności dwóch lekarzy, Albańczyka i Nigeryjczyka, za to, że w prywatnej klinice w Tiranie pobierali organy, a następnie przekazywali je handlarzom. Ten Nigeryjczyk to anestezjolog. Zgadnij, gdzie wcześniej pracował.

– No gdzie?

– W Orłowie, w prywatnej klinice Vitalmed. Coś ci to mówi?

– Kowalik tam pracuje?

Justyna klasnęła w dłoń.

– Brawo! Znakomita odpowiedź.

Patrzyła z dziennikarską satysfakcją, bo we własnym mniemaniu odkryła sensacyjną sprawę. Dizel skończył konsumować ostatni placek.

– Masz jeszcze coś ciekawego? – zapytał chłodno.

– A to mało, że nasz pan doktor zna ludzi zajmujących się nielegalnym handlem narządami do przeszczepu?

– Raczej znał. Sama powiedziałaś, że tego nigeryjskiego lekarza już skazano.

Justyna podniosła się z podłogi. Teraz stała przed nim z wysuniętą do przodu lewą nogą. Wyglądała jak serialowa wojowniczką gotowa do fizycznej konfrontacji.

– Jego skazano, ale kontakty zostały – rzuciła wyzywająco.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że doktor Kowalik porwał córkę swojej drugiej żony, aby sprzedać jej narządy?

Grzywka znowu spadła jej na oczy. Odrzuciła ją ruchem głowy.

– Ten trop trzeba sprawdzić.

– To zgłoś to na policję.

Patrzyła na niego z oburzeniem rysującym się na ładnej twarzy.

– Kurde, panie detektywie, odwałam za ciebie kawał roboty. A ty to olewasz?

– Dobrze, że zauważyłaś, że jestem detektywem, a nie dziennikarzem śledczym. Gdybym był dziennikarzem, poszedłbym tym tropem i wysmażył sensacyjny artykuł. Mnie jednak wynajęto do znalezienia dziecka i muszę się trzymać sensownych wskazówek.

– Nie rozumiem, dlaczego udział Kowalika w handlu organami twoim zdaniem jest czymś bezsensownym. Przecież istnieje czarny rynek ludzkich narządów.

– Tak, istnieje i rządzi się ściśle określonymi regułami. Te wszystkie historie, że gdzieś porwano dwoje studentów, a potem znaleziono ich na jakimś parkingu i mieli szwy po usunięciu nerek, to legenda.

Dziennikarka znowu usiadła po turecku na podłodze. Dłonie oparła na kolanach. W tej pozycji było coś dziewczęcego. Odbite światło telewizora tańczyło na ścianie za jej plecami.

– Mam nadzieję, że moja spiskowa teoria nie jest nic warta – wyszeptała. – Bo to by znaczyło, że Matylda jeszcze żyje, że

ojczym jej nie pokroił na podroby.

Dizel przesunął widelcem po pustym talerzu. Nieprzyjemnie zazgrzytało. Zadzwoił telefon. Odebrał i usłyszał zaniepokojony głos Oskara Kowalika.

– Detektywie, stało się coś dziwnego.

– Co takiego?

– Ania zniknęła z domu.

Damian wstał, gotów do działania. Całe jego ciało wypełniło się niespokojną czujnością.

– Zawiadomiliście policję?

– Tak. Już tu są. Razem przeszukaliśmy cały dom. Na pewno się nigdzie nie schowała.

– Zaraz przyjadę.

Rozłączył się.

– Ania zniknęła – rzucił do Justyny.

– Zniknęła? Niemożliwe.

Dizel też miał takie odczucie, że to niemożliwe, aby zaginęła druga córka Weroniki. Z takim przypadkiem jeszcze się nie zetknął. Nawet o podobnych zaginięciach rodzeństwa nie słyszał.

– Jadę do nich.

– Ja też – rzuciła Justyna. Złapała kurtkę i zaczęła ją wkładać.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

Rozdział XV

WILLIAM DRZEMAŁ NA KANAPIE. Nie było mu wygodnie. Kark zgięty pod nieciekawym kątem i nogi zwisające na podłogę. Może to sprawiło, że miał płytki sen i docierało do niego cykanie świerszczy. Czuł nawet na twarzy delikatny powiew, gdy przelatywała nad nim duża ćma. Nagle usłyszał skrzypnięcie schodów. Uniósł powieki i w smudze księżyca zobaczył stopnie. Nikt się po nich nie wspinał. Znowu pogrążył się w półśnie. Cichy jęk wyrwał się z jego ust, gdy przekręcił głowę. Jak gdyby ktoś wbił mu rozżarzony pręt w kark. Otworzył oczy i podniósł się do pozycji siedzącej. Zaczął masować sobie szyję. Zegarek na jego nadgarstku pokazywał dwudziestą drugą dwadzieścia. Spał prawie trzy godziny. Tyle czasu powinno wystarczyć Werze do przeczytania tych kilku rozdziałów. Zerknął w stronę tarasu oświetlonego blaskiem księżyca. Wydało mu się, że leżak jest pusty. A może nie? Wstał, żeby podejść bliżej. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na nikłe smugi światła, kładące się na drewnianą podłogę i na schody. Nie wszystkich źródłem był księżyc. Bardzo delikatny blask o niebieskawym zabarwieniu nie był naturalny.

Kruger podszedł do schodów i spojrzał w górę. Już nie miał wątpliwości. Ten blask brał się z monitora. Wszedł na górę i zobaczył plecy Wery pochylonej nad jego laptopem. Słyszała kroki, mimo to nie odwróciła się, a już na pewno nie próbowała ukryć faktu, że przekroczyła granicę gościnności.

– Droga pani, nie powiem, żeby mi się to podobało – oznajmił chłodno.

– Mnie również wiele rzeczy się nie podoba i nie narzekam.
Nie okazała nawet grama zakłopotania. Dalej przeglądała folder z jego zdjęciami. Na ekranie przesuwały się fotki z pobytu w Japonii.

– Ile lat ma ta Japoneczka? Jest pełnoletnia?

Wera zatrzymała się na jego zdjęciu z Keiko.

– To studentka UW. Oczywiście jest pełnoletnia.

– Aha? Studentka? Czyli jest bardzo młoda. Czy nie za młoda dla ciebie?

– A czy to jest twoja sprawa?

Nie dowierzał. Wera zachowywała się jak zazdrosna żona. Takie postępowanie byłoby do przyjęcia, gdyby w jej głosie pojawił się cień żartu, na jaki pozwalają sobie dobrzy znajomi. Ale ona wcale nie żartowała. Wypowiadała się na serio i z dużą dawką zjadliwości.

– Wyłącz laptop – polecił stanowczym tonem.

Dopiero teraz odwróciła się w jego stronę. W półmroku pokoju prezentowała się fatalnie. Blade powieki opadały na zmęczone źrenice, skóra świeciła się od potu, wyschnięte usta oblizywała czubkiem języka.

– Powinnaś wrócić do siebie. Jest późno.

– Do siebie?

Zaskoczenie nieładnie pomarszczyło jej czoło.

– Tak. Powinnaś wrócić do gospodarstwa, w którym wynajęłaś pokój.

– Aha, do gospodarstwa. A już myślałam, że mnie wysyłasz do Warszawy.

Przymknęła klapę laptopa. Teraz oświetlał ich wyłącznie księżyc. Wyminęła go, kierując się do schodów. Złapał ją za ramię, trochę zbyt mocno. Krzyknęła wystraszona.

– Przepraszam. – Puścił ją. – Chciałem, żebyś poczekała. Włączę światło. Te schody są zbyt strome, żeby schodzić po ciemku.

– Są też krzywe. Skąd je wzięłeś? Masz stare schody w nowym domu?

– Kupiłem od jednego gospodarza z Dawid. Wydawało mi się, że to fajny pomysł. Taki smaczek w wystroju wnętrza.

– To nie jest smaczek. To tor przeszkód.

– Zgadza się z tobą.

Stopnie skrzypiały i ugiwały się pod ich stopami. Wera zbliżyła się do lodówki i wyjęła z niej wodę mineralną.

– William to nie jest twoje prawdziwe imię?

– Nie. Gdy zacząłem zarabiać na życie początkami powieści, to sobie przybrałem to imię na cześć Szekspira.

– Że niby jesteś tak płodny jak on?

– Myślę, że bardziej.

– A ile początków powieści już napisałeś?

– Dużo.

Uśmiechnął się w duchu. Wera nie była pierwszą osobą, która próbowała dowiedzieć się, ile już zarobił na tej nietypowej profesji. Nieprzyjemne napięcie pomiędzy nimi malało.

Ze szklanką w dłoni podeszła do otwartych drzwi tarasu i wpatrzyła się w mrok sadu. Gdzieś z lasu dobiegło pohukiwanie puszczyka.

– Jak masz naprawdę na imię?

– Zostańmy przy Williamie.

– Dlaczego nie chcesz mi wyjawić swojego imienia?

– Wszyscy nazywają mnie Williamem, no poza moimi rodzicami. Oni na mnie mówią Kruger.

Parsknęła śmiechem, opluwając się wodą.

- Czy to znaczy, że jesteś ich największym koszmarem?
- Mam nadzieję, że nie.

Wera odstawiła szklankę i zaczęła się krzątać po części kuchennej. Wyjęła chleb, masło, żółty ser i pomidory. Przystąpiła do robienia kanapek, oczywiście w rękawiczkach. Nie zapytała, czy może skorzystać z produktów z jego lodówki. Nie spodobało mu się to. Postanowił jednak nie okazywać irytacji.

Usiadła przy wyspie kuchennej i zaczęła jeść.

- Kto zabił Wiołę Nowak? – zapytała z pełnymi ustami.
- A kogo byś widziała w roli sprawcy?

Zamyśliła się.

- Poza Igorem Malikiem nie dałeś innych kandydatów na sprawcę.

- Mylisz się. Każdy może być sprawcą, nawet policjant prowadzący śledztwo. To fikcja, a w fikcji wszystko jest możliwe, byle to dobrze umotywować.

- A w rzeczywistości też wszystko jest możliwe?

- Nie wiem. Jestem specem od fikcji.

Popatrzyła na niego zmęczonymi oczami.

- A mi się wydaje, że w rzeczywistości wydarzają się bardziej nieprawdopodobne rzeczy niż w literaturze i wcale nie muszą być umotywowane.

Wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Ale jeśli myślisz o zdradzie swojego męża, to muszę sprowadzić cię na ziemię. Romans z dziewiętnastolatką to nic takiego niemożliwego. Wielu żonatych i dojrzałych facetów to robi.

Kiwnęła głową, jak gdyby się z nim zgadzała. Palcem przytrzymała pomidora zsuwającego się z kanapki.

– A to, że jakaś baba zwała się na głowę spokojnemu profesorowi i nęka go, aby coś dla niej zrobił, to jest prawdopodobne zdarzenie?

Uśmiechnął się.

– Cieszę się, że właściwie oceniłaś swoje postępowanie. A skoro się to dzieje, to znaczy, że zdarzenie jest prawdopodobne, no i dobrze umotywowane. Bo przecież masz powód, żeby tu być i prosić mnie o kolejne rozdziały?

Zaskoczyła go zmiana w twarzy Wery. Oczy szeroko otwarte, a w nich zdumienie. A może strach? Nie był pewien, co w nich widzi. Zareagowała, jak gdyby powiedział jedno słowo za dużo. A przecież nie powiedział nic takiego. Tylko tyle, że ona ma powód, aby tu być i domagać się kolejnych fragmentów książki.

– Znakomicie ci idzie pisanie powieści – oznajmiła, gryząc chleb. – Może nie powinieneś ograniczać się do samych początków? Myślałeś o książce?

– Może i myślałem, ale ekonomia wygrywa.

– Aha, rozumiem, kasa.

Przez kilka minut milczeli. Wera przełknęła ostatni kęs kanapki i wytarła palcami okruszki z ust.

– Gdzie jest Matylda? – zapytała nagle.

Zaskoczyła go powaga tego pytania.

– Los Matyldy może zależeć od ciebie – oznajmił.

Tęczęwki Wery niespodziewanie zalsniły od nagromadzonych łez. Nie rozumiał tego. Skąd to wzruszenie?

– Moja córka ma na imię Matylda.

Łamiący się szept kobiety zabrzmiał wyjątkowo mocno. Teraz jej emocjonalna reakcja stała się bardziej zrozumiała. Jego stwierdzenie, że los Matyldy może zależeć od niej, musiało przywołać jakieś trudne matczyne wspomnienia, zapewne

związane z rozwodem, przecież to dzieci najbardziej cierpią, gdy rozpada się rodzina.

Wera wyszła na taras. Wróciła z kopertą. Położyła ją na wyspie kuchennej.

– Przyjdę jutro o dwunastej w południe. Do tego czasu powinieneś napisać kolejny fragment. Zrób sobie mocną kawę i pisz całą noc.

William nie mógł powstrzymać drwiącego uśmiechu. Do tej pory prosiła go o ciąg dalszy, uciekając się do kobiecych chwytów: łez w oczach i współczucia. Teraz wydawała mu polecenia stanowczym tonem.

– A jak nic nie napiszę, to co? Wymierzysz mi karę?

– Tak. Poinformuję media i kogo się da, że nie jesteś uczciwym sprzedawcą początków powieści.

– Bo w pewien upalny dzień uległem kobiecie, która mnie osaczyła w moim własnym domu, i napisałem dla niej więcej niż tylko początek?

– To też, ale ponadto masz na sumieniu inne rzeczy, drogi Szekspirze.

Szczera złośliwość i pewność siebie zabrzmiały w głosie Wery. Szantażowała go na serio.

Rozdział XVI

WILLIAM WYTARŁ BLAT z okruchów, które pozostawiła Wera. Opuściła jego dom kilka minut temu, życząc mu owocnej pracy. Ta kobieta coraz bardziej go irytowała i niepokoiła. Posunęła się do szantażu. To właściwie był ten moment, w którym powinien zerwać z nią wszelkie kontakty.

Bardzo go ciekawiło, czy coś wiedziała o jego nieco naciąganej uczciwości. Czy to był tylko blef? Zdarzyło mu się parę razy sprzedać ten sam początek, ale czekał parę lat, aby pozwolić sobie na powtórną sprzedaż. Czy to możliwe, że to się wydało? Jeśli tak, to w jaki sposób Wera się o tym dowiedziała? Najlepszym źródłem wiedzy jest internet i to tam powinien szukać odpowiedzi.

Sprawdził, czy drzwi na taras są zamknięte, wziął kopertę z kasą i udał się na piętro. Usiadł przed laptopem. Wszedł na najbardziej popularne forum dla początkujących autorów i przez kilkanaście minut czytał. Znajdował się tutaj temat poświęcony Williamowi Krigerowi i sprzedawanym przez niego początkom powieści. W nowych wpisach ktoś pytał, czy warto kupić, ktoś inny informował, że niedawno kupił początek powieści i otrzymał jakieś grafomańskie wypociny. Niepochlebne opinie pojawiały się zawsze, od samego początku jego działalności. Nie przejmował się nimi, bo nie odstraszały potencjalnych klientów. Nie znalazł żadnego wpisu mówiącego o tym, że ten sam tekst sprzedał dwa razy. Szukał dalej. W końcu na Facebooku trafił na profil zatytułowany: „Wymiana początków powieści”. Jeden z jego klientów, student

z Gdańska, niezadowolony z tego, co otrzymał, wpadł na pomysł, aby zorganizować wymianę niezrealizowanych początków powieści. To było do przewidzenia, że z czasem do powstania czegoś takiego dojdzie. Powinien zweryfikować swoją umowę i dopisać punkt, że kupujący nie może nikomu odsprzedać ani odstąpić nabytego tekstu. A na razie musi zaprzestać ponownego sprzedawania tego samego początku powieści. Przejrzał wszystkie wpisy na profilu poświęconym wymianie i także nie znalazł wzmianki, że jakiś początek się powtórzył. O tym jego procederze Wera nie miała więc większej szansy się dowiedzieć. Parę lat temu zrobił jeszcze jeden numer. Otóż klientce ze Szwecji sprzedał początek pewnej polskiej powieści. Nie sądził, że to się wyda, ale jednak dziewczyna się dowiedziała. Zażądała zwrotu pieniędzy. Oczywiście oddał kasę i przeprosił, tłumacząc się oględnie, że doszło do pomyłki. O tym jego przewinieniu nikt nie wiedział, a więc Wera także nie mogła posiadać tej wiedzy.

Przycisnął dwa palce do nasady nosa i wysilił umysł. Usiłował przypomnieć sobie, jakie nazwisko podała mu Wera pierwszego dnia. Nie pamiętał. Otworzył szufladę, gdzie wrzucał wszystkie umowy. Tę ostatnią, podpisaną z Werą też tu położył. Ale tej akurat nie było. To niemożliwe. Nie mógł się pomylić i schować jej w inne miejsce. Otwierał kolejne szuflady. Nigdzie nie znalazł umowy. Godzinę temu przyłapał Werę przy tym biurku, przeglądając zdjęcia w jego laptopie. Czy to znaczy, że przeszukała szuflady i zabrała umowę? Ale po co to robiła? Odpowiedź była prosta. Nie chciała, aby pozostał ślad po ich współpracy. Dostanie od niego całą powieść i nie będzie żadnego dowodu, że ją kupiła, nawet początku książki. Nie ma umowy, nie ma też przelewu

bankowego, nie zgodziła się nawet na to, żeby wysłał jej tekst mailem, zawsze chciała wydruk.

Pozamykał wszystkie szuflady i przysunął plecy do oparcia. Jakim nazwiskiem ona się wtedy przedstawiła? Zdziwił się, że ma na imię Wera. Ale jakie nazwisko podała? Jakieś proste i znane. Przymknął oczy i niemal cofnął się o kilkadziesiąt godzin do tamtej chwili przed jego domem. Widział poruszające się usta kobiety i spoconą twarz. Wera Kwiatkowska, tak się przedstawiła. Wpisał w wyszukiwarkę: Weronika Kwiatkowska. Uważnie przeglądał wyniki, ale żadna z kobiet nie mogła być Werą. Ani studentka z Wrocławia, ani fotografka z Pabianic, ani pracownica banku z Warszawy. Przyjrzał się kilkunastu kobietom o tych personaliach, ale żadnej nie rozpoznał. Może zamiast Weroniki powinien wpisać Werę? Na Facebooku znalazł dwie Wery Kwiatkowskie, jednak obie były zbyt młode. Co jeszcze wiedział o tej kobiecie? Miała córkę Matyldę. Wpisał w wyszukiwarkę: Weronika Kwiatkowska i Matylda Kwiatkowska. Żaden wynik nie pokazał mu kobiety, która od trzech dni kręciła się po jego domu.

To może znaczyć, że Wera podała mu fałszywe imię i nazwisko. Przez chwilę zastanawiał się, co robić. Oddać jej jutro ostatnią kopertę i zażądać, aby zwróciła mu skradzioną umowę? A może napisać ciąg dalszy powieści? Kusiła go kontynuacja. Wciągnął się w fabułę *Czarnej wołgi* i chciał też dowiedzieć się, kim naprawdę jest Wera. Raczej nie dziennikarką, szukającą sensacyjnego tematu. Dziennikarka nie kradłaby mu umowy. Werze bardzo zależało, aby nie zostawić po sobie śladu w postaci podpisu na dokumencie.

CZEŚĆ DZIESIĄTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 21

WIESZ, ŻE KAŻDE DZIECKO może zaginać, ale zakładasz, że nie twoje. Tobie to nie może się przydarzyć.

Na Partyzantów przed domem Kowalików stały dwa radiowozy. Funkcjonariusze krążyli pomiędzy budynkiem a samochodami. Czuło się nerwową atmosferę. Na chodniku po drugiej stronie ulicy zatrzymało się kilkanaście osób. Okutani w szale, czapki i płaszcze stali w zimowej przestrzeni i patrzyli na policję. Unosiły się nad nimi kłęby pary wydobywające się z ust.

– Ciekawe, co się stało? – padło z tłumu pytanie wypowiedziane zaniepokojonym głosem.

– Chyba nic dobrego. Aż dwa radiowozy przyjechały – zauważył ktoś ponurym tonem.

– Na pewno znowu jakaś tragedia. Tak to już jest.

Świst wiatru wypełnił ulicę. Ludzie się skulili. Ściągnięte lękami i mrozem twarze bieleły się w zimowym mroku.

– To już było, to już się raz wydarzyło w sześćdziesiątym piątym. Ona wróciła, ta wołga wróciła.

Głos starszej kobiety wibrował strachem. Ten strach udzielał się innym. Wchodził do kości wraz z chłodem.

– Niech pani nie straszy tą wołgą, bo będę się bała z dziećmi wyjść.

Przy zgromadzonych zatrzymał się mężczyzna z rottweilerem i zapytał, czyj to dom. Ktoś odpowiedział, że doktora Oskara Kowalika.

– Może znaleźli zwłoki tej małej Matyldy, dlatego tylu się tu ich zjechało.

Tym słowom towarzyszyło głębokie westchnięcie i obłok pary wypadający z ust. Jakaś kobieta rozplakała się. Męskie głosy zaczęły pomstować na tego, kto gwałci i zabija dzieci. Rozległo się trzeszczenie gródek lodu pod podszewkami, gdy przemarznięty tłum przestępował z nogi na nogę.

– Ludzie, pilnujcie swoje dzieci! To się tak szybko nie skończy! – Kobieta podniosła chrapliwy od mrozu głos. Jej ostrzeżenie zawisło w mroźnym powietrzu jak ciężkie sople lodu. – W sześćdziesiątym piątym przepadły dwie dziewczynki i jeden chłopiec. Chłopca znaleziono, dziewczynek nigdy już nikt nie widział.

– Co pani opowiada. Ja nic takiego nie pamiętam, a w sześćdziesiątym piątym miałem już czternaście lat.

– To nie było tu. To w Legnicy te dzieci zaginęły. Ja wiem, co wy sobie myślicie, że ta czarna wołga to wymyślona, ale ona nie jest wymyślona. Wtedy też byli pedofile, a nie tylko teraz. Władza zaprzeczała, ale ludzie wiedzieli swoje, bo widzieli ten samochód. Widzieli go.

Rottweiler zaczął warczeć. Zgrzytnęła zapalniczka i błysnął ogień, oświetlając zmarzniętą twarz niemłodego mężczyzny. Para wystrzeliła z jego ust, gdy się odezwał:

– Tacy to mają ochronę. Swoi zawsze chronią swoich.

– Co pan mówi? Jacy swoi?

– No swoi. Kościół zawsze chroni swoich. Księża dobierają się do dupy ministrantom, ale księżom do dupy nikt się nie może dobrać.

Z domu Kowalików wyszedł policjant. Od razu wcisnął głowę w ramiona, chroniąc się przed zimnem. Zatrzymał się przy radiowozie, w którym siedział funkcjonariusz. Porozmawiał

z nim chwilę, po czym wsiadł do drugiego samochodu, zajmując miejsce kierowcy. Nikt nie odjeżdżał.

Jakaś kobieta pociągnęła mocno nosem i przesunęła butem po zmrożonym chodniku.

– A mój syn powiedział, że tym pedofilem jest ojczym tamtej dziewczynki z Anglit. Tego nie zrobił żaden ksiądz, to tamten człowiek. Podobno policja już go zamknęła.

– Zrobili z niego kozła ofiarnego. Mówię pani.

Tłum zadygotał, gdy lodowaty wiatr powiał od łąki. Ktoś zaczął zgrzytać zębami, może z zimna, może z silnego niepokoju. W mroźną przestrzeń znowu wdarł się chrapliwy głos starszej kobiety:

– Zobaczycie, przekonacie się, że to czarna wołga. Znowu jeździ i porywa dzieci.

Inna, dużo młodsza odchrząknęła i nieśmiało oznajmiła:

– Coś z tym samochodem musi być na rzeczy. W sobotę moja siostra widziała czarny wóz. Wsiadł z niego gościu w garniturze i zagadywał dwie dziewczynki na chodniku. One uciekły, a on wsiadł do samochodu i odjechał. To było właśnie na Ogrodowej.

Zapadła cisza, a wraz z nią pojawiła się trwoga. Zgromadzeni zrozumieli, że to jeszcze nie koniec. Dwie dziewczynki już stały się ofiarami, ale zaginę też kolejne dzieci. Mężczyzna trzymający psa oddychał ciężko, a z jego ust unosiły się duże obłoki pary. Szarpnął smycz, przyciągając rottweilera bliżej siebie.

– To właściwie ma sens, że ten pedofil jeździ samochodem. Do wozu najłatwiej porwać dziecko. Sześćdziesiąt lat temu to było najprostsze i dzisiaj też.

Do zgromadzonych zbliżała się grupka młodych ludzi. Szli ściśnięci niczym jeden organizm, uderzając głośno

podeszwami o zmrożony chodnik. Milczeli. Z ich zmarzniętych twarzy wyzierała wściekłość, a z nozdrzy strzelały białe obłoki. Byli gotowi do działania. Stanęli opodal i patrzyli na dom Kowalików. Mężczyzna z tego grona zapytał po chwili:

– Wiadomo, co z Matyldą? Znaleźli ją?

– Nic nie wiemy – padło z tłumu. – Ale tylu ich tu się zjechało, że na pewno nie jest dobrze.

Ludzie stali nieruchomo w zimowym mrozie. Już nikt nie dreptał w miejscu, aby się rozgrzać. Nikt nie poklepywał się po ramionach, choć od łąki coraz mocniej zawiewało lodowatym powietrzem. Nawet rottweiler znieruchomiał z łbem obróconym w kierunku radiowozów.

– Coś się u nich dzisiaj stało – odezwała się kobieta w czarnym płaszczu. – Z okna widziałam, jak żona doktora biegła łąką, a on ją gonił.

Przez tłum przebiegł pomruk zdumienia podszyty niepokojem.

– Poważnie pani mówi?

– Tak. Złapał ją i zaciągnął do domu.

– Myśli pani, że coś jej zrobił?

– Nie. Wydaje mi się, że powstrzymał ją przed samobójstwem.

Kilka westchnień rozległo się pośród zgromadzonych. Ludzie patrzyli na duży, piękny dom i czekali. Nie wiadomo na co, ale czuli, że muszą tu być, dla Matyldy, dla tej dotkniętej tragedią rodziny i dla siebie samych. Powinni dopilnować, aby ta makabra już się nie powtórzyła w Pasłęku ani w żadnej z okolicznych wsi.

Nadjechały dwa cywilne samochody. Z seata wysiadł mężczyzna w kurtce z orłem na plecach. Ktoś z młodych zakomunikował, że to prywatny detektyw: Dizel. Kierowcą

drugiego wozu była kobieta. W świetle ulicznej lampy widać było jej niebieską grzywkę. Odwróciła się do zgromadzonych i zrobiła im zdjęcie. Wiele osób rozpoznało w niej dziennikarkę „Głosu Pasłęka”. Ludzie nagle przypomnieli sobie, że też mają telefony. Wyjęli je. Jedni zaczęli fotografować detektywa i przedstawicielkę lokalnych mediów oraz radiowozy. Inni dzwoniли do znajomych i na żywo relacjonowali, co się dzieje pod domem zaginionej Matyldy.

Dizel i Justyna Drabicz weszli do domu Kowalików. Tłum po przeciwnej stronie ulicy rozrastał się, ciemny i niepewny jak pogoda. Ten tłum mógł się zamienić w huragan, mógł też rozejść się jak ciemne chmury na niebie.

Rozdział 22

WERONIKA KOWALIK CIERPIAŁA. Dosłownie krztusiła się bólem i strachem. Zaciskała dłonie na własnej szyi, jak gdyby chciała odebrać sobie życie i ukrócić tę niewyobrażalną mękę. Mąż usiłował jej pomóc. Obejmował ją i uspokajał zapewnieniami, że Ania zaraz się znajdzie. Niewiele to pomagało. Weronika otwierała usta tylko po to, żeby wykrzyczeć imię córki. Momentami wyglądała jak obłąkana, gdy wodziła wokół nieprzytomnym spojrzeniem. Może nawet nie słyszała, co do nich mówi aspirant Kosma Bielewicz. Raczej nie zauważyła Damiana Góreckiego, który wsunął się do salonu i stanął pod ścianą. Rodzice Weroniki również płakali. Bogdan cicho, a Alina szlochała, trzymając dłonie przy twarzy. Zbliżyła się do nich Justyna i objęła panią Szulc.

– Drodzy państwo, funkcjonariusze przeszukali cały dom – oznajmił po raz drugi Bielewicz. Często powtarzał te same zdania, bo nie miał pewności, czy wszystko dociera do tych zrozpaczonych ludzi. – Ani na pewno tu nie ma – powiedział ciszej. – Teraz ustalimy, co się wydarzyło. Muszą mi państwo w tym pomóc. Kto z was po raz ostatni ją widział?

Bogdan i Alina popatrzyli na siebie. Kowalik wzruszył ramionami. Żadne z nich nie potrafiło udzielić odpowiedzi na to pytanie. W momentach wielkiego stresu odtworzenie najprostszych faktów bywa niewykonalne. Kosma zaczął od osoby, od której oczekiwał największego opanowania.

– Panie doktorze, kiedy pan widział Anię?

– Wydaje mi się, że dzisiaj nie widziałem jej w ogóle. Śniadanie zjadłem z żoną w sypialni. Potem pracowałem w gabinecie.

– Nie jeździ pan do pracy?

– Nie. Wziąłem kilka dni wolnego, żeby być z żoną.

Spojrzał z troską na Weronikę. Nie puszczał jej ramienia. Gdyby to zrobił, zapewne zsunęłaby się z kanapy.

– Kto nam to robi? – zaszlochała Alina.

Justyna mocniej ją objęła. Aspirant Bielewicz zwrócił się do ojca Weroniki:

– Panie Bogdanie, rozumiem, że zjedliście obiad, a potem Weronika poszła po Anię, żeby też zjadła, ale jej już nie było w pokoju na piętrze. Proszę mi powiedzieć, kiedy pan widział ostatni raz wnuczkę?

– Panie aspirancie, to Julian ją widział jako ostatni.

Bielewicz spojrzał w notes, jak gdyby chciał się upewnić, że tę informację już zanotował.

– Julian Piątek tu był i wyszedł stąd sam bez Ani. Tak mi powiedzieliście. O której to było?

– W trakcie obiadu – odpowiedział Bogdan.

– Siedzieliście wszyscy w kuchni przy stole, a on w tym czasie wyszedł?

– Tak.

– Ale ktoś z was widział, że wychodzi? Skoro wiecie, że wyszedł sam, bez Ani.

– Weronika odprowadziła go do drzwi.

Aspirant spojrzał na pogrążoną w rozpacz kobietę.

– Czy zamknęła pani za nim drzwi na klucz? Czy mógł wrócić i po cichu zabrać Anię?

Do Weroniki pytanie nie dotarło. Patrzyła przed siebie, a jej ciałem wstrząsało łkanie.

– Dałem żonie zastrzyk z relanium – wyjaśnił doktor. – A drzwi na pewno zamknęła za Julianem. Ona ma taki nawyk. Mnie się zdarza nie przekręcać zamka, ale ona robi to zawsze.

– Czy Ania mogłaby sama sobie otworzyć drzwi?

– Wątpię, żeby to zrobiła – oznajmił Bogdan. – Ona jest inna niż Matylda. Po Matyldzie można się czegoś takiego spodziewać, ale nie po Ani.

Alina splotła drżące dłonie i przycisnęła je do piersi.

– Ona nawet niezbyt często wychodzi ze swojego pokoju, a co dopiero z domu. Sama na pewno by nie wyszła na zewnątrz. To nie ma znaczenia, czy drzwi były zamknięte na klucz, czy nie.

Aspirant Bielewicz wstał.

– Zaraz tu wejdą nasi technicy. Zabezpieczą ślady. Ja teraz pojedę do Juliana Piątka. To może jednak on zabrał córkę.

– Niby jak? – zapytał Bogdan. – Przecież Weronika zamknęła za nim drzwi. Nie mógł wrócić i jej zabrać.

– Może jednak pana córka nie zamknęła tych drzwi.

Policjant wyszedł z salonu.

Dizel stał pod ścianą i przysłuchiwał się rozmowie, a właściwie przesłuchaniu. Surowo ocenił pracę aspiranta Bielewicza. Dawało się zauważyć brak doświadczenia. Kosma powinien zapytać, czy zniknęły buty Ani, jej płaszczyk, rękawiczki i czapka. Julian nie zabrałby nieubranej córki. Aspirant powinien też ustalić, ile osób znajdowało się w domu. Czy nie mieli dzisiaj jakiegoś nieoczekiwanego gościa. Czy nie odwiedził ich sąsiad albo chociaż kurier? Każdy człowiek, który pojawił się w progu tego domu, mógł zabrać dziewczynkę.

– Ja zwariuję – powtarzała Weronika jak w transie.

– Kochanie, zaraz policja ją znajdzie – szeptał Oskar.

Damian zbliżył się do rodziców Weroniki. Justyna mu ustąpiła miejsce obok Aliny. Usiadł.

– Proszę, powiedzcie mi, kto jeszcze był w domu, oprócz was.

– Nikt – oznajmił Bogdan.

Dizel spojrzał na Kowalika.

– A twój syn? Michał był na obiedzie?

– Tak, był.

Twarz lekarza spięła się w wyrazie niepokoju. Jego syn mógł zabrać Anię. Chłopiec, który był jeszcze dzieckiem, który potrzebował uwagi ze strony ojca, a jej nie dostawał, może w ten sposób zaprotestował przeciwko niesprawiedliwej rzeczywistości.

– Alino, proszę, sprawdź, czy jest płaszczyk Ani i jej buty – poprosił Damian.

Matka Weroniki wytarła łzy i ruszyła do holu. Justyna poszła za nią.

– Kiedy Michał wyszedł? Czy w ogóle ktoś z was widział jego wyjście z domu?

Bogdan przesunął dłonią po bujnych włosach. Ten gest wyrażał zakłopotanie.

– Mieliśmy taki mały incydent przy stole. Weronika zaczęła wymiotować. Wtedy Michał się zerwał i wybiegł z kuchni. Potem się już nie pokazał. Ale on nie mógł zabrać Ani.

– Dlaczego nie mógł? – zapytał Dizel.

– Bo to syn Oskara. On wie, co my tu wszyscy przeżywamy. Nie narażałby nas na jeszcze większy stres.

Do salonu wróciła Justyna.

– Nie ma płaszczyka, butów też nie ma. Pani Alina szuka jeszcze czapki i rękawiczek Ani.

Słowa te dotarły do odurzonej lekami i zmaltretowanej strachem Weroniki. Zerwała się z kanapy, odpychając męża.

– Ania poszła na spacer.

Oskar stanowczym ruchem posadził ją z powrotem.

– Pójdę po nią. Przyprawdę do domu – zapewnił łagodnie.

Weronika się rozszlochała. Bogdan zajął miejsce zięcia i objął córkę. Kołysał ją w ramionach jak małe dziecko.

W holu Alina stała przed otwartą szafą.

– Nie mogę znaleźć czapki i rękawiczek Ani. Chyba ich nie ma. Kozaczków też nie ma i płaszczyka. Trzeba powiedzieć policji, że nie ma tych rzeczy. Ten aspirant musi to wiedzieć, to przecież ważne. Oskar, zadzwoń do niego.

Kowalik podszedł do teściowej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Proszę, wróć do salonu. Ja z Dizelem zajmiemy się wszystkim.

– Czym chcecie się zająć? Nie rozumiem.

– Prawdopodobnie Michał zabrał Anię.

– Twój syn? Skąd wiesz, że to on?

– Nie wiem, ale to bardzo prawdopodobne.

– No to zadzwoń do niego i zapytaj, czy jest z nim Ania!

– Lepiej do niego pojedziemy z Dizelem. Michał to zbuntowany nastolatek. Musimy działać ostrożnie. – Lekarz podprowadził kobietę do drzwi salonu. – Proszę, nie mówcie na razie policji o Michale. Nie chciałbym, żeby zwałili się do mieszkania Laury i żeby mój syn miał kłopoty. Sam to załatwię.

Rozdział 23

DIZELA ZDUMIAŁ TŁUM rozrastający się po drugiej stronie ulicy. Gdy wchodził do domu Kowalika, stało tam około dwudziestu osób, teraz było ich dwa razy więcej. Przypomniało mu się ludzkie zbiorowisko z Ogrodowej, które wczoraj zgromadziło się przed mieszkaniem pierwszej żony Kowalika. Tamten tłum skandował, wymachiwał transparentami, było jak na manifestacji, a tutaj pełna cisza i bezruch.

Wsiedli do seata Damiana.

– Jeśli Michał zabrał Anię do mieszkania, to czy matka nie kazałaby mu jej odprowadzić? – zapytał Dizel.

– Laura najpierw zadzwoniłaby do mnie.

– To dlaczego do tej pory nie zadzwoniła?

– Też się nad tym zastanawiam. Może nie ma jej w domu. A może Michał poszedł gdzieś z Anią, do jakiegoś kolegi.

– Czy mógłby coś jej zrobić? Na przykład samą zostawić w parku?

– Nie, nigdy. To dobry chłopak, bardzo wrażliwy.

Doktor znakomicie ukrywał zdenerwowanie. Panował nad dłońmi, które wsparł na kolanach. Kontrolował też oddech, nie pozwalając sobie nawet na minimalne westchnięcie. Zdradzało go jedynie napięcie w głosie. Tylko ono dowodziło, że martwił się o syna.

– Moja była żona czasami bywa dziwna.

– Wiem.

– Skąd wiesz? Kto ci powiedział?

– Nikt. Byłem u niej.

– Byłeś? Kiedy? Po co?

Znowu to napięcie, jak gdyby doktor stał przy stole operacyjnym i zadawał pytania anestezjologowi.

– Twoja była żona mieszka bardzo blisko miejsca, w którym zaginęła Matylda.

– I z tego powodu jest podejrzana?

– Nie z tego. Znalazła się na mojej liście osób do sprawdzenia, bo jest twoją byłą żoną. Porzucone kobiety są zdolne do wielu rzeczy.

– Mogłeś do mnie zadzwonić, uprzedzić, że chcesz ją odwiedzić. Odradziłbym ci to. Tylko zmarnowałeś czas i niepotrzebnie zdenerwowałeś Laurę. Ona nie zrobiłaby nic dziecku. Sama jest matką.

Zaparkowali pod kamienicą, w której mieszkała Laura Kowalik. Wyszli i jednocześnie unieśli głowy, aby spojrzeć w okna. W mieszkaniu się świeciło. Ktoś tam był.

– Idziemy! – rzucił Oskar i ruszył do przodu.

Długo dzwonili i pukali, zanim drzwi się otworzyły. Stała w nich biała kobieta. Dizel widział ją wczoraj, ale i tak jej białosc go oszołomiła, jak gdyby dzisiaj biel stała się bielsza, czystsza, bardziej porcelanowa. To może przez ten fiolet bluzki, a może mocno odsłonięta szyja i częściowo widoczne ramiona potęgowały wrażenie bieli. Nie odezwała się, patrzyła jedynie na nich z dziwnym wyrazem twarzy. Nie wiedział, czy to niepokój, czy niechęć.

– Przepraszamy, Lauro, że cię nachodzimy – odezwał się Kowalik z napięciem w głosie, które teraz przechodziło w drżenie. – My do Michała. Jest w domu?

– Myślałam, że jest u ciebie. Tak powiedział, gdy wychodził.

– Był u mnie, ale po obiedzie wyszedł.

Białe palce kobiety zacisnęły się na futrynie.

– Dlaczego go szukacie? Coś mogło mu się stać?

– Nie.

To jedno słowo wypowiedziane przez byłego męża nie przekonało Laury. Jasnoniebieskie oczy wbiła w twarz detektywa.

– O co chodzi? Czego chcecie od Michała?

Damian nie zdążył się odezwać. Doktor go wyprzedził.

– Dzisiaj zniknęła z domu druga córka Weroniki, Ania. Podejrzewam, że nasz syn mógł ją zabrać.

Kobieta cofnęła się w głąb mieszkania. Teraz jej biała twarz ujęta w ramy szarości przywodziła na myśl upiora.

– Zwariowałeś? Chcesz z niego zrobić pedofila?

– Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli. Michał mógł zabrać Anię, żeby zwrócić na siebie uwagę. Może mieć przez to duże kłopoty. Policja już szuka Ani.

– Kłopoty to powinna mieć ta twoja Weronika, bo nie umie upilnować własnych dzieci. Co rusz jej któreś ginie.

Chłodne okrucieństwo biło ze słów Laury.

– Domyślasz się, dokąd mógł pójść Michał?

– Dajcie mu spokój. On nie musi płacić za to, że jakaś matka nie potrafi przypilnować swoich dzieciaków.

– Jeśli przyjdzie tu z Anią, zadzwoń do mnie.

Laura bez słowa zatrzasnęła przed nimi drzwi, a oni zbiegli na parter.

– Może jednak zadzwonisz do Michała? – odezwał się Górecki.

– Mam taki zamiar.

Oskar wyjął telefon. Stali w świetle lampy ulicznej. Po obu stronach ulicy znajdowały się trzykondygnacyjne budynki mieszkalne i zatoczki z zaparkowanymi samochodami. Dalej trochę punktów usługowo-handlowych, między innymi sklep,

w którym Julian kupował żelki dla córek, a w tym czasie Matylda zniknęła. To było nie więcej jak sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym teraz się znajdowali. Aż dziwne, że nie było żadnych świadków tego zdarzenia, nawet jak na niedzielę. W tej chwili ulicą przejechały trzy samochody. W zasięgu wzroku Górecki miał też pięciu przechodniów. Niewielu, ale to jednak pięć par oczu, które rejestrują otoczenie i zapisują w pamięci niecodzienne zjawiska. Do uprowadzenia dziewczynki musiało dojść błyskawicznie, w innym razie ktoś by coś zauważył, choćby ta kobieta w kolorowym szaliku, która wychodziła ze sklepu, gdy Julian tam wchodził.

Kowalik schował aparat do kieszeni.

– Michał powiedział, że jest u Kamili, i się rozłączył. Po raz drugi nie odebrał. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka ta Kamila. Wrócę do Laury. Może ona będzie wiedziała.

– Ja wiem, gdzie mieszka Kamila. Byłem wczoraj u niej i jej matki.

Oskar dał wyraz swojemu zdumieniu, wypuszczając duży obłok pary z ust.

– Byłeś u mojej byłej żony i to jestem w stanie zrozumieć. Ale dlaczego poszedłeś do koleżanki mojego syna? Tego nie ogarniam.

Dizel wskazał w stronę, gdzie zaginęła Matylda.

– Ona mieszka tam. Szukałem świadków zaginięcia i zapukałem do mieszkania, którego okna wychodzą na miejsce, gdzie Julian zaparkował samochód. Akurat tak wypadło, że tam mieszka koleżanka Michała.

Rozdział 24

PAPUGA SKRZECZAŁA i trzepotała skrzydłami. Sfrunęła z szafy i usiłowała usiąść Kowalikowi na głowę. Ten zasłaniał się rękami.

– Przepraszam, doktorze.

Matka Kamili odganiała ptaka, machając szalikiem. Niewiele to dawało. W końcu wyciągnęła ramię, na które papuga usiadła. Zapanował spokój.

– Jeszcze raz panów przepraszam. Lolo jest bardzo towarzyski. Lubi zaznajamiać się z osobami, których jeszcze nie zna. Zapraszam do salonu. Zaraz zrobię kawę.

– My nie na kawę. Szukam mojego syna. Podobno jest u pani córki.

– Tak, siedzą razem u niej w pokoju.

Barbara wskazała na drzwi, na których widniał ozdobny napis: „Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tu”. Doktor zapukał, po czym nacisnął klamkę. W pokoju panował półmrok. Świeciła jedynie lampka na biurku. Dwoje młodych ludzi leżało na rozłożonej kanapie. Pierwsza poderwała się Kamila. Usiadła raptownie i wyciągnęła słuchawki z uszu.

– Co wy? Co tu robicie?

Michał zamrugał. Też miał w uszach słuchawki, a na brzuchu trzymał telefon.

– Tato, co tu robisz?

Wyjął słuchawki z uszu i usiadł na brzegu kanapy, spuszczać nogi.

– Synu, Ania zniknęła. Czy wiesz, gdzie ona jest?

– Tato, co ty? Skąd ja mam to wiedzieć?

– Nie zabrałeś jej ze sobą?

– Nie.

– Druga bliźniaczka zaginęła? – zapytała Kamila.

Dziewczyna klęczała na kanapie za plecami Michała. Wyglądała na przejętą, a nawet lekko przestraszoną. Przyciskała swoją komórkę do piersi i poruszała drżącymi wargami.

– Nie wiesz, gdzie ona może być? Gdzie mamy jej szukać? – zapytał Kowalik.

– Może jej ojciec ją zabrał – oznajmił Michał, przecierając palcami oczy.

Dizel zbliżył się do chłopaka.

– Dlaczego uważasz, że to Julian ją zabrał?

– No bo niby po co się wracał?

– Widziałeś, że wraca do domu?

– Tak. No właściwie nie. Ale widziałem, że wysiadł z samochodu. Pomyślałem, że czegoś zapomniał, coś zostawił podczas odwiedzin u Ani.

– Dzięki, Michał, pomogłeś nam.

Chłopak uśmiechnął się, ale trochę sztucznie, jak gdyby pozował do rodzinnej fotografii.

– Nie siedź tu zbyt długo. Mama na ciebie czeka – oznajmił Oskar wyjątkowo łagodnym tonem.

– Dobrze, tato.

Wycofali się do przedpokoju i zamknęli za sobą drzwi. Czekala tutaj na nich Barbara z papugą na ramieniu. Ptak kręcił głową, jak gdyby czemuś się dziwił.

– Jezu! Panie doktorze, naprawdę zaginęła panu druga dziewczynka? Dobrze, że Kamila ma siedemnaście lat. Chyba nikt jej nie porwie, bo to już nie dziecko. Dzisiaj u mnie

w kwiaciarni dwie kobiety mówiły, że jutro nie puszczą swoich dzieciaków do szkoły. Wydawało mi się, że przesadzają, ale teraz widzę, że nie.

Dizel otworzył drzwi na klatkę schodową. Ptak na ramieniu kobiety zatrzepotał skrzydłami, jak gdyby dostrzegł okazję do wyrwania się na zewnątrz.

– Musimy już iść – oznajmił doktor. – Bardzo pani dziękujemy.

Napięcie znikło z głosu Kowalika. Wyraźnie mu ulżyło, że to nie jego syn zamieszany jest w zniknięcie pasierbicy.

– Podwiozę cię na Partyzantów– zaproponował Damian. – A potem pojedę do Juliana. Myślę, że Bielewicz już u niego jest i Ania zaraz wróci do domu.

– Nie trzeba, pójdę pieszo. Chętnie się przewietrzę.

Ruszyli w stronę mieszkania Laury i zaparkowanego seata. Szli niespiesznie, trzymając dłonie w kieszeniach, jak kumple, którzy szukają miejsca w jakimś przytulnym barze.

– Wydaje mi się, że w tej całej sprawie kluczowe będzie pytanie: dlaczego? – oznajmił Dizel. – Muszę ustalić, dlaczego Matylda została uprowadzona. Znajdę motyw, to znajdę sprawcę i dziecko też. Daj mi hasła i loginy do swojej poczty, do służbowej także, i do kont społecznościowych. Chciałbym też hasła i loginy Weroniki. Muszę sprawdzić, z kim mieliście kontakt. Muszę znaleźć motyw.

Doktor przytaknął. Zatrzymali się przed kamienicą Laury. Zaczynało prószyć. Płatki śniegu wirowały w świetle ulicznej lampy.

Rozdział 25

JULIAN PROMIENIAŁ RADOŚCIĄ, jak gdyby doświadczył objawienia albo chociaż wysokiej wygranej w grach hazardowych. Jego twarz nabrała niezwyklej jasności, wyjątkowego ciepła. W oczach lśniło podniecenie, a usta rozciągały się w szczerym uśmiechu. Na widok Góreckiego wyciągnął ręce do uścisku. Dizel nie bronił się przed tym, żeby wpaść w ramiona tego uszczęśliwionego człowieka. Jeszcze nie wiedział, skąd się wzięła ta radość, ale już się domyślał.

– Znalazła się. Matylda się znalazła.

– Gdzie się znalazła?

– Przyszła do mnie do mieszkania. Wyobrażasz sobie? Trafiła. Sama trafiła. Mądra dziewczynka.

Julian poklepał Damiana po plecach, jak gdyby to detektyw potrzebował teraz wsparcia. Z kuchni wyszedł starszy posterunkowy Jaskóła.

– Panie Piątek, może wypije pan do końca kawę. Ja dotrzymam panu towarzystwa.

– Tak, już idę, ale pan powinien wrócić do domu i położyć się do łóżka. Jest pan chory, a tego nie wolno lekceważyć. Gorączkę trzeba wypocić.

– Ma pan rację. Powiniennem się położyć.

Jaskóła wzrokiem pokazał Dizelowi, że powinien wejść do pokoju obok. Sam wziął pod rękę Piątka i poprowadził go do kuchni.

Dziewczynka w kraciastym płaszczyku siedziała na krześle. Na dłoniach miała rękawiczki. Czapka leżała na stoliku

kawowym. Poznała Damiana, bo się uśmiechnęła. To nie mogła być Matylda, ta nie uśmiechałaby się do niego, bo go nigdy nie widziała. Aspirant Bielewicz przeglądał jakieś kartki, stojąc przy biurku. Górecki podszedł do niego.

– To jest Ania? – zapytał szeptem, kierując wzrok na dziewczynkę.

– Tak.

– Piątek, uważa, że to Matylda?

Kosma przytaknął.

– Wygląda na to, że mu psyche siadła. Zadzwoiłem już po pogotowie. Zaraz powinna przyjechać też Weronika ze swoim ojcem.

– Mama przyjedzie?

Szeptali, ale Ania i tak ich słyszała. Dizel przykucnął przy niej.

– Co mi powiesz? – zagadnął.

Najgorsze to zadać dziecku pytanie sugerujące odpowiedź. Jeśli chciał się czegoś dowiedzieć, powinien dać jej mówić. Dziewczynka skrzywiła buzię jak do płaczu.

– Tatuś mnie zostawił.

– Aha? – zdziwił się z nadzieją, że to zachęci ją do wypowiedzenia kolejnego szczerego zdania.

– No, na schodach mnie zostawił. Ale znalazłam tatusia. Zapukałam do drzwi i on otworzył. Tatuś się ucieszył. Podniósł mnie do góry, o tam.

Wskazała palcem na sufit. Dizel był w stanie wyobrazić sobie całą sytuację. Julian w silnych emocjach zabiera córkę z domu byłej żony. Jest tak rozemocjonowany, że zostawia ją na klatce schodowej. Potem słyszy ciche pukanie, otwiera drzwi i widzi Anię w tym samym płaszczyku, w którym zaginęła Matylda. Dla nadwyreżonej psychiki musiał to być

szok. Nic dziwnego, że uznał ją za Matyldę. Oby parę dni na oddziale psychiatrycznym pomogło mu wrócić do względnej równowagi.

W przedpokoju trzasnęły drzwi. Chwilę później do pokoju wszedł Bogdan Szulc.

– Dziadek! – zawołała Ania i zeskoczyła z krzesła.

– Kochanie, zabieram cię do mamy.

Dziewczynka chwyciła wyciągniętą rękę. Gdy rozanielony Julian wszedł do pokoju, Dizel wiedział, że będzie źle.

– Ty gnoju – warknął Bogdan.

Odsunął Anię i zamachnął się, uderzając byłego zięcia pięścią w twarz. Trafił w nos. Krew zachlapała koszulę Juliana. Ten chwiał się na nogach i chichotał jak wariat. Ania wybuchnęła przeraźliwym płaczem.

– Zabiję cię, gnoju!

Szulc nie odpuszczał, mimo że Kosma trzymał go, uniemożliwiając wyprowadzenie kolejnego ciosu.

– Panie Bogdanie, proszę się uspokoić.

– On porwał Anię. Matyldę może też.

– Niech pan tylko na niego spojrzy. On potrzebuje psychiatry.

Starszy posterunkowy Jaskóła wyprowadzał właśnie z pokoju krwawiącego Juliana. Dizel wziął na ręce Anię i usiłował ją uspokoić. Bez powodzenia. Dziewczynka nadal zanosila się histerycznym szlochem. Przycichła trochę, gdy trafiła w ramiona dziadka.

– Przyjechał pan sam? – zapytał Kosma.

– Tak. Córka ledwo trzyma się na nogach. Obiecałem jej, że zaraz przywiozę Anię.

– To proszę już jechać.

Szulc założył wnuczce czapkę i trzymając ją na rękach, opuścił mieszkanie. Dizel też chciał wyjść, ale aspirant go

zatrzymał. Podał mu kartkę.

– To Julian pisał i to chyba jest dla ciebie.

Drobne równe pismo, wyraźne litery kreślone ołówkiem na papierze do drukarki. Nagłówek głosił: „Relacja ze zniknięcia Matyldy dla Damiana Góreckiego”. Dizel zaczął czytać: „Pusty fotelik. Nie ma Matyldy. Nie ma jej w lusterku wstecznym. Patrzą w lusterko boczne. Nie ma jej. Fotelik jest pusty. Odwracam się i widzę obie dziewczynki, śmieją się. Co za ulga. Wiem, że gdy znowu spojrzę w lusterko, to nie będzie Matyldy. Nie patrzę więc w lusterka. Ale w samochodzie jest cicho, zbyt cicho. Matylda zawsze gada. Teraz siedzi jak trusia. A może jej nie ma. Patrzą w lusterko wsteczne i widzę pusty fotelik. Pytam Ani, gdzie jest Matylda, a ona mówi: Ona jest obok mnie, tutaj, tatusiu, obok mnie. Nie widzę własnego dziecka. To straszne. Dlaczego to się dzieje?”.

– Wczoraj poprosiłem Juliana, żeby przygotował pisemną relację z zaginięcia Matyldy – wyjaśnił Damian. – Nie było mi to jakoś specjalnie potrzebne. Raczej chciałem go czymś zająć.

Kosma wskazał palcem na kartkę, którą trzymał Górecki.

– To nie wygląda na relację ze zdarzenia. Nawet nie wiem, jak to nazwać. Emocje zrozpaczonego ojca? Wynurzenia szaleńca?

– Ja bym powiedział, że to wygląda na relację z koszmaru sennego. Kiedyś szukałem piętnastoletniej dziewczyny z Wuppertalu. Jej ciotka powiedziała mi, że od czasu zaginięcia ma koszmary. Śni się jej, że sprawdza, czy drzwi i okna są pozamykane. I zawsze któreś jest otwarte. Ona je zamyka i dalej sprawdza. I znowu się okazuje, że któreś okno jest otwarte. No to ona wtedy idzie do sypialni dzieci, aby sprawdzić, czy śpią. I zanim otworzy drzwi do sypialni, to już wie, że jednego dziecka nie będzie. Ta relacja Juliana brzmi podobnie jak ten koszmar.

Aspirant Bielewicz wyciągnął z kieszeni niewielką zieloną rzecz zawiniętą w foliowy woreczek. Podsunął to detektywowi pod oczy.

– Co to jest? – zapytał Damian.

Policjant wyciągnął to coś z woreczka. Teraz trzymał w palcach małą zieloną rękawiczkę z żółtą obwódką.

– W takich rękawiczkach zaginęła Matylda. Tę rękawiczkę znalazłem tutaj, w tym mieszkaniu. Leżała na parapecie. Nie jest to rękawiczka Ani, bo ona miała swoje na dłoniach. Co o tym sądzisz?

Dizel usiłował zatrzymać swoje myśli, które gnały do przodu w procesie analizy. Zanim wyciągnie jakieś wnioski, musi sobie przypomnieć, co wczoraj o rękawiczkach mówił mu Julian. Bo na pewno coś mówił i to było ważne, związane z zaginięciem Matyldy. Dizel usłyszał w głowie słowa Piątka mówiącego, że Matylda nie chciała włożyć rękawiczek, bo to nie jej. Że niby Ania założyła jej rękawiczki.

– Może Matylda wyszła stąd tylko w jednej rękawiczce?

W tej chwili wydało mu się to najbardziej sensowne. Bielewicz był innego zdania.

– Córka wychodzi w jednej rękawiczce, a Piątek nie reaguje?

– Ona nie chciała w ogóle ich włożyć. Julian wczoraj mi o tym mówił. Może przed samym wyjściem zdążyła jedną zdjąć i zostawić. On mógł tego nie zauważyć i zabrał ją tylko w jednej.

– Może masz rację. Może dziewczynki miały więcej par takich rękawiczek. W tym mieszkaniu jest trochę rzeczy należących do córek Piątka. Nie tylko zabawki, ubrania też znalazłem. Dla pewności przyślę tu techników. Może zabezpieczą coś jeszcze.

– Jaką masz hipotezę? – zapytał Dizel.

Kosma przysiadł na brzegu biurka. Wciąż trzymał w palcach małą zieloną rękawiczkę.

– Może Julian zabrał z mieszkania tylko jedną córkę, tylko Anię. Tylko z jedną zatrzymał się przy sklepie. Matylda nie zniknęła z samochodu, bo jej tam nie było.

Górecki przytaknął na znak, że rozumie. To by było jakieś wyjaśnienie tego, że nie było żadnych świadków zaginięcia dziewczynki. Nikt tego zdarzenia nie widział, bo do niego nie doszło.

– Co według ciebie stało się z Matyldą?

– Stawiam na nieszczęśliwy wypadek. Nie sądzę, aby świadomie zrobił coś dziecku. Gdyby Julian był przemocowcem albo chociaż porywczym facetem, to Weronika by nam o tym powiedziała.

Dizel wsłuchał się w swoją intuicję. Na samym początku też wytypował Piątka na sprawcę. Założył jednak działanie z premedytacją, rozważał zemstę porzuconego i upokorzonego męża. Kosma zasugerował nieszczęśliwy wypadek i działanie na adrenalinie, na wysokim poziomie emocjonalności. W momencie wypadku rodzic powinien dzwonić po pogotowie, a skoro Julian tego nie zrobił, to wskazuje, że zwyczajnie stracił głowę. Górę wzięły emocje, stąd upozorowanie zniknięcia Matyldy. Ta wersja miała znamiona prawdopodobieństwa. Nie pasowało tylko jedno. Wyraźna szczerść w zachowaniu Juliana. Aż trudno uwierzyć, że grał. Wprawdzie nie musiał udawać rozpacz, ale musiał kłamać w pozostałych kwestiach.

– Wczoraj widziałem Juliana nad jeziorkiem. Szukał tam córki.

– Nad jeziorkiem? – Aspirant zmarszczył brwi. – Gdzieś musiał pozbyć się ciała. Może właśnie tam? Przeszukaliśmy

okolice jeziora, ale dno było poza naszym zasięgiem. Do tego trzeba sprowadzić nurków.

– Ja mu uwierzyłem, że szuka córki. Wtedy nad jeziorem odrzuciłem moją hipotezę, że to on stoi za zniknięciem Matyldy. Był taki szczery w swoim zachowaniu.

Kosma udał wielkie zdumienie, unosząc brwi.

– No, Dizel, co z twoim zmysłem detektywistycznym, którym się tak chwalisz na swoim profilu?

– Myślę, że intuicja w tej sprawie też mnie nie zawodzi.

– Nie wierzysz, że to Piątek? – Tym razem Bielewicz naprawdę się zdziwił.

– Wierzę, że mogło dojść do nieszczęśliwego wypadku tutaj, w tym mieszkaniu. Julian nie byłby jednak w stanie tak udawać. Naprawdę wtedy nad jeziorem szukał Matyldy. Był przekonany, że zaginęła. Nadal uważa, że zniknęła z jego samochodu, gdy poszedł kupić żelki. A dzisiaj cudownie się odnalazła.

Kosma zakręcił palcem przy swojej skroni.

– Myślisz, że go szurnęło już wcześniej?

– To, jak się zachowuje teraz, chyba daje nam prawo tak myśleć.

– Rzeczywiście dzisiaj odjechał totalnie. Próbowałem mu uświadomić, że się pomylił, że wziął Anię za Matyldę. Równie dobrze mógłbym powiedzieć schizofrenikowi, że nie słyszy głosów, które słyszy.

Za ścianą rozległ się ciężki kaszel, a potem przytłumiony głos Juliana. Nie było słychać poszczególnych słów, ale intonacja wskazywała, że mówiący jest w dobrym humorze.

Ludzka głowa jest najbardziej przewrotnym i nieobliczalnym organem na kuli ziemskiej. Dizel przypuszczał, że u Piątka zadziałał jakiś mechanizm obronny. Przypadkowa śmierć

Matyldy była dla niego tak straszna, że wyparł to ze swojego umysłu. Uciekł w alternatywną rzeczywistość, w której odwoził dwie córki do byłej żony. Gdy wrócił ze sklepiku do samochodu, naprawdę musiał być w szoku, że Matyldy nie ma.

Rozdział 26

KROPLA KRWI, KTÓRA LECI W powietrzu, ma kształt kuli. Zmienia swoją formę dopiero po zderzeniu z powierzchnią i od kąta uderzenia zależy, jaki kształt przybierze: okrągły, elipsoidalny czy podłużny. Kosma przyglądał się kafelkom w łazience Juliana Piątka, wypatrując na ciemnej mozaice plam krwi. To mogły być niewielkie ślady, wielkości główki od szpilki, dlatego wyteżał wzrok. Śladów krwi szukał też w dwóch pokojach i kuchni. Tam niczego nie znalazł, tu również nie. Oczywiście Julian mógł usunąć krew za pomocą najzwyczajniejszych środków czyszczących i dostrzeżenie jej gołym okiem stawało się niemożliwe.

Bielewicz zastanawiał się, jak w tak niewielkim i tradycyjnie urządzonym mieszkaniu mogła ponieść śmierć pięcioletnia dziewczynka. Jakiemu nieszczęśliwemu wypadkowi mogła tu ulec? Najprawdopodobniejsze wydawało mu się zakrztuszenie – cukierkiem bądź czymś innym. Założył też, że mogła dorwać się do jakichś leków, połknąć kilka pastylek, a jej serce tego nie wytrzymało i stanęło. Wpisał do protokołu wszystkie medykamenty znalezione w apteczce Piątka. Niewiele tego było i żaden lek nie wyglądał na wyjątkowo groźny, ale to lekarz powinien się wypowiedzieć, czy mogłyby zaszkodzić dziecku. Jeśli to jednak nie zakrztuszenie i leki, to może śmiertelne uszkodzenie ciała? Matylda była ruchliwa, niepokorna, być może wspinała się na wannę. Ześliznęła się i uderzyła głową w róg pralki. Przy takim zdarzeniu mogłaby pojawić się krew.

Kosma wyszedł z łazienki. W ciasnym przedpokoju starszy posterunkowy Jaskóła stał na drabince i sprawdzał pawlacz. Dałoby się tam ukryć zwłoki pięciolatki. Wcześniej już zajrzeli do dwóch szaf i wersalki.

– I co? Masz coś? – zagadnął Kosma.

– Trzy koce i dwa pudełka z zabawkami.

Karol zszedł z drabiny. Ciężko oddychał, pot lał mu się z twarzy, białka oczu miał zaczerwienione. Złapał się futryny i ciężko zakaszał.

– Wyglądasz jak zombie – mruknął Kosma.

– Dzięki, zawsze marzyłem, żeby się prezentować jak postać z amerykańskiego filmu. Co teraz robimy?

– Została nam jeszcze piwnica.

– No to idziemy.

Zgarnęli wszystkie klucze, jakie znaleźli w mieszkaniu Piątka, i zbiegli po schodach. Karol uruchomił służbową kamerę. Tę czynność należało dokumentować, bo prawdopodobieństwo znalezienia tu zwłok było wysokie. Kosma przekręcił klucz w kłódce i otworzył drzwi. Piwnica była nieduża, jakieś trzy metry kwadratowe, bez okna. Stały tu dwa dziecięce rowery, niewielki balon na wino i stara szafa. Jej drzwi skrzypnęły, gdy je uchylał. We wnętrzu znajdowało się wszystko, począwszy od naczyń kuchennych po sprzęt sportowy, jak choćby dwie pary małych łyżew. Aspirant przykucnął i z wrażenia zatrzymał powietrze w płucach. Na samym dole leżał śpiwór, w jednym miejscu wyraźnie się uwypukłał. Ten kształt przypominał główkę kilkuletniego dziecka.

– Kurwa, chyba ją znaleźliśmy.

Za późno przypomniał sobie, że Karol trzyma kamerę. No trudno, przekleństwo z jego ust już padło i zostało

zarejestrowane. Pociągnął śpiwór za róg, wysuwając go na piwniczną posadzkę. Był trochę za lekki. Raczej nie znajdowało się w nim piętnaście kilogramów, a tyle ważyła Matylda. Rozpiął zamek. Pierwsza wysunęła się gumowa piłka. To ona imitowała kształt głowy. Potem zobaczyli kilkadziesiąt książek. Ciało nie było. Odetchnęli.

– Wracamy do mieszkania – oznajmił Kosma.

Jaskółka wyłączył kamerę.

– Po co? Przecież tam przeszukaliśmy każdy kąt.

– Nie chcę czegoś zaniedbać. Poszukamy jeszcze śladów krwi.

Starszy posterunkowy zaniósł się ciężkim kaszlem. Zachwiał się i oparł o ścianę.

– Kurwa, ja już dzisiaj nie dam rady.

– Okej, wracaj do domu.

– Dzięki, Kosma. Obiecuję, że jutro będę w lepszej formie. Wystarczy, że się wygrzeję pod kołdrą i wyśpię.

– Mam nadzieję, bo jutro będziemy mieli od chuja roboty.

Wyszli przed blok. Aspirant poklepał kolegę po plecach i przejął od niego kamerę. Dał czas technikom, aby przygotowali się do użycia luminolu. Jako pierwsze miejsce poszukiwania śladów krwi wskazał łazienkę. Gdy wszedł do mieszkania, funkcjonariusze byli już gotowi. Stali w białych kombinezonach i maskach, trzymając w dłoniach pojemniki z roztworem. Zaczęli go rozpryskiwać na kafelki i na sanitariaty. Działali szybko, bo luminol miał krótki termin przydatności.

– Zrobione – rzucił jeden z techników.

Wycofali się z łazienki, a Kosma stanął w progu z przygotowaną kamerą.

– Zgaś światło – poleciał aspirant.

Technik przycisnął włącznik. Zapadła ciemność typowa dla pomieszczeń mieszkalnych. Trwała nie dłużej jak pół sekundy, bo zaraz pojawiło się światło o niebieskawym zabarwieniu. Świeciły się wanna i umywalka. Niewiele świetlnych śladów znajdowało się na kafelkach, ale te na sanitariatach układały się w smugi, przywodząc na myśl przerażający obraz krwi spływającej ku odpływowom.

Kosma relacjonował, co widzi. Głos mu drżał. Ręka z kamerą również. A umysł planował już kolejną czynność. Trzeba poszukać krwi na nożach kuchennych. Wyglądało na to, że Piątek zaszlachtował własne dziecko. Musiało mu totalnie odbić. Nikt normalny czegoś takiego by nie zrobił.

CZEŚĆ JEDENASTA

Rozdział XVII

ZROBIŁO SIĘ PARNO. Powietrze obklejało ciało Williama wilgotną folią i zdawało się zatykać mu usta. Osy krążyły leniwie. Ptaki zupełnie ucichły. Pogoda osiągnęła swoje apogeum.

William chodził po posesji i szukał Wery. Zdawało mu się, że bawi się z nim w chowanego. Pojawiła się o dwunastej w południe i od razu zaczęła czytać. Jakiś czas siedziała na leżaku. Potem przeniosła się do domu na kanapę. Widział ją też, jak szła z wydrukiem do lasu. Wróciła po półgodzinie. Teraz znowu gdzieś zniknęła.

Okrażył dom. Wszedł do środka. Zajrzał do łazienek. Na piętrze podszedł do okna, aby rzucić okiem na sad. Zobaczył ją siedzącą pod gruszą. Przed chwilą jej tam nie było.

Zbiegł na dół. Chciał jej powiedzieć, że zrywa współpracę. Bosymi stopami kruszył suchą trawę. Cienkie strużki spływały mu po plecach i klatce piersiowej. Pot zbierał mu się też na brwiach. Duszne powietrze spowalniało jego ruchy, a rozświetlony krajobraz falował przed oczami. Piekło. Nie do zniesienia.

Wera trzymała na kolanach kartki. Nie czytała, bo głowę miała odrzuconą do tyłu. Na pewno słyszała jego kroki, ale nie zwróciła ku niemu oczu. Stał nad nią, rzucając cień na jej twarz.

– Wero, chcę, żebyś się stąd wyniosła. Nic więcej dla ciebie nie napiszę.

Podniosła powieki i spojrzała na niego lodowatymi tęczówkami.

– Już to mówiłeś, że ciągu dalszego nie napiszesz. A jednak piszesz. Daruj sobie więc te puste gadki.

– Tym razem moja decyzja jest ostateczna. Nie chcę kończyć *Czarnej wołgi* i nie chcę ciebie tutaj. Idź sobie.

– Pójdę, kiedy będę chciała. I ty przestaniesz dla mnie pisać, kiedy ja tego zechcę.

William zacisnął pięści. Wściekłość wystrzeliła w nim, jak gdyby ktoś podał mu ją w zastrzyku.

– Pójdiesz teraz, w tej chwili.

Roześmiała się, a każdy dźwięk wypadający z jej ust wibrował pogardą. Nie cierpiał jej. Nie było w niej nic sympatycznego, nic pozytywnego. Jawiła mu się jako kompilacja nielubianych osobowości. Koleżanka z klasy, która donosi, pokojówka, która grzebie w osobistych rzeczach, i sąsiadka plotkująca i zmyślająca niestworzone rzeczy. Wera była każdą z nich. A mogła być jeszcze kimś gorszym. Instynktownie czuł, że ta kobieta jest niebezpieczna, bo zdolna do moralnie wątpliwych zachowań.

Wilgotną dłonią wytarł pot z brwi.

– Wero, proszę cię po raz ostatni. Wypierdalaj stąd! – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

– Najpierw skończę czytać. – Położyła dłoń na wydruku. – Przynies mi wody i zrób kanapkę. No co tak stoisz? Rusz się!

Teraz on się roześmiał, ale bez tej pogardy co ona. Rozbawiła go absurdalność obecnej sytuacji. Przecież to nie musi się dziać. Jest u siebie. Od niego zależy, co zaraz się stanie. Pochylił się i mocno chwycił kobietę za przedramię. Szarpnął w górę, chcąc postawić ją na nogi. Zawlecze ją na drogę i tam zostawi. Jasne, że nie miał ogrodzenia i Wera mogła wrócić. Trudno, wtedy wyrzuci ją jeszcze raz, a potem następny. Aż ona zrozumie, że nie ma czego tu szukać.

Jej reakcja go zaskoczyła. Zaczęła się bronić. Wyrывała się i kopała go. Puścił ją, gdy wbiła mu zęby w dłoń.

– Kurwa, ty jesteś nienormalna.

– A ty to nie?

Oboje sapali. Kilkadziesiąt kartek rozsypało się na wysuszony trawnik. Wera zaczęła je zbierać.

– Jeśli nie wyniesiesz się stąd, to zadzwonię na policję – zagroził William.

Uniosła głowę, pokazując złośliwy uśmiech.

– Nie zadzwonisz. Ty się boisz policji bardziej niż ja. Prawda? Gdyby tu przyjechali, mogliby coś znaleźć.

Kruger miał wrażenie, że słońce uderza go w potylicę swoim żarem. To było to samo słońce co wczoraj, a jednak promienie przypominały teraz płynny metal raniący mu ciało. Zachwiał się. Tętno waliło mu pod skórą, jak gdyby zaraz miało eksplodować. Kim jest ta kobieta? Co ona wie? I od kiedy przebywa w Dawidach? Czy to możliwe, żeby obserwowała go przez parę dni, zanim przyszła na jego podwórko? Czy mogła widzieć, jak zakopywał zwłoki? Czy mogła widzieć coś jeszcze?

Odwrócił się do niej plecami i powoli się oddalał. Musi to sobie przemyśleć. Ustalić, co dalej robić. Wszedł do domu przez taras i dokładnie zamknął drzwi, żeby Wera nie weszła do środka. Jak ma się pozbyć tej kobiety? Po policję nie może zadzwonić, ale może oddać jej wszystkie koperty z kasą i tym przekonać do opuszczenia Dawid. Wszedł na piętro i z szafki nocnej wyjął koperty z pieniędzmi. Niech Wera je zabiera i się stąd wynosi. Niech da mu spokój. Ogarnęły go wątpliwości. A co, jeśli jej nie zależy na pieniądzach? Jeśli bez skończonej książki nie zgodzi się opuścić jego domu?

Podszedł do okna. Ponownie spojrzął na Werę z góry. Czytała, siedząc na trawie i opierając się o pień gruszy. Nagle

zgniotła kartkę, potem kolejną. Nie spodobało się jej to, co napisał. Była rozgniewana. Z przerażeniem pomyślał, że będzie musiał poprawiać ostatnie rozdziały, aby ją zadowolić.

Przetarł oczy. Zapiekły go. Piekła go też skóra na karku. Gorąc i duchota gniotły mu umysł, wywołując potworne myśli. Temperatura zaraz go wykończy. Musi podjąć jakieś sensowne kroki. Zdrowy rozsądek to jedyny ratunek przed Wera i tym piekielnym upałem. Najważniejsze, to ustalić, kim jest ta kobieta. Jak naprawdę się nazywa. Nie miał wątpliwości, że podała mu fałszywe nazwisko. Uruchomił laptop i znalazł kontakty do czterech gospodarstw agroturystycznych w Dawidach. Zadzwoił pod pierwszy numer. Odebrał gospodarz. William go nie znał, ale tamten zapewne słyszał o profesorze z Warszawy mieszkającym we wsi.

– Dzień dobry, nazywam się William Kriger – zaczął dość niepewnie, bo sam nie wiedział, jak poprowadzić tę rozmowę. – Chciałbym się dowiedzieć, czy moja znajoma zatrzymała się u pana? Prosiła, żebym odebrał jej rzeczy, bo chce się przenieść do mnie. Teraz pojechała do Gdańska, no i nie powiadomiła mnie, w którym w gospodarstwie się zatrzymała.

– To nie u mnie. U mnie jest małżeństwo.

William przeprosił i się rozłączył. Zadzwoił do trzech kolejnych gospodarstw agroturystycznych. W żadnym jednak nie mieszkała Wera. Pozostał jeszcze pałac. Wspomniała, że na pałac jej nie stać, a on uwierzył jak przedszkolak. Jak mógł dać temu wiarę? Przecież ona szasta kasą, płacąc za książkę, a na komfortowe warunki noclegowe jej nie stać? Zadzwoił do pałacu i zapytał o okołoczterdziestoletnią kobietę w rękawiczkach z ciemnoblond włosami upiętymi w ciasny kok. Na początku nie chcieli mu udzielić informacji, ale po kilku minutach zdołał ustalić, że nikt taki u nich nie

wynajmuje pokoju. Rozłączył się. Przecież ona musi gdzieś spać. Jedną noc na pewno spędziła na jego tarasie, ale pozostałe to niby gdzie?

Telefon lekko drgnął w jego dłoni, gdy przyszedł esemes. To Rajmund pytał: „Chcesz tego labradora? Będę niebawem jechał do Sopotu, mógłbym ci go podrzucić”.

Pies to doskonałe rozwiązanie. Gdyby teraz miał groźnego psa, to ten nie pozwoliłby Werze panoszyć się po posesji. Co prawda labrador to nie pit bull czy buldog, ale i tak napisał do Rajmunda, że go bierze. Po chwili wahania wysłał kolejnego esemesa z pytaniem: „Kiedy jedziesz do Sopotu?”.

W wielkim napięciu czekał na odpowiedź. Przyszła już po kilku sekundach.

„Dzisiaj jadę. Bankiet jest w niedzielę, ale ja muszę się przygotować, dlatego już dzisiaj wyruszam”.

William dostrzegł koło ratunkowe. Rajmund jest w stanie mu pomóc. Jeśli się tu pojawi, to Wera może się zniechęcić do dalszego wymuszania kolejnych fragmentów książki. Obecność obcej osoby powinna osłabić jej zapał, a może nawet ją stąd przegonić.

Pospiesznie napisał wiadomość:

„W takim razie zapraszam cię dzisiaj na wiejską kolację i na winko własnej roboty. Możesz też u mnie przenocować”.

„Wiejski poczęstunek, marzyłem o tym. Zamiast wina może być woda”.

Rajmund przyjął zaproszenie. Znakomicie. Optymizm wypełnił zmęczone ciało Williama.

Rozdział XVIII

PO JEGO SADZIE WALAŁY SIĘ pogniecione kartki. Zaczął je zbierać. Wera je jedynie pogmiotła, a nie porwała. To dało mu do myślenia. Ona z tej książki jeszcze nie zrezygnowała. Nie ma zamiaru się stąd wynieść. Usłyszał kroki na suchej trawie. Zbliżała się jego prześladowczyni.

Wera nie miała na sobie bluzki. Stała przed nim w samym staniku i rękawiczkach. Krople potu spływały między jej piersiami i wzdłuż ramion. Oddychała otwartymi ustami.

– To było obrzydliwe – rzuciła ze złością.

– Co takiego? – zapytał machinalnie.

– Sugerowanie, że to ojciec Matyldy przyczynił się do jej śmierci.

– Świetnie, że nie odpowiada ci moja wersja. Sama sobie napiszesz lepszą.

– Nie. Ty mi napiszesz.

– Nie napiszę.

– A właśnie, że napiszesz. Matylda ma się znaleźć cała i zdrowa.

Roześmiał się.

– Zamówienie na książkę z happy endem.

– Tak, chcę happy endu, po to tu przyjechałam. – Łzy zebrały się w oczach Wery. Jej broda zaczęła drżeć jak u płaczącego dziecka. – Matyldzie nie może spaść włos z głowy. Rozumiesz? Ona musi bezpiecznie wrócić do swojej mamy.

William patrzył ze zdumieniem na wzruszoną Werę. Miał wrażenie, że uczestniczy w grze, której zasad nie zna.

– Kim ty jesteś? – zapytał z nadzieją, że roztrzęsiona kobieta poda prawdziwe nazwisko.

– Jestem matką Matyldy – oznajmiła łamiącym się głosem.

Łzy płynęły po jej policzkach. Ramiona drżały od powstrzymanego szlochu. Ta kobieta potrzebowała pomocy psychiatry. Była tak rozchwiana emocjonalnie, że odnosiła fikcję literacką do własnego życia. Wyglądało na to, że miała problemy z własną córką. Może po rozwodzie nie dostała nad nią opieki, właśnie ze względu na zdrowie psychiczne. On ten stan podkreślił, wymyślając fabułę o zaginionej małej Matyldzie i jej matce Weronice. Przypadkowo dobrane imiona zadziałały jak zapalnik. Uruchomiły falę emocji zbyt trudnych dla nadwyrężonego umysłu Wery.

– Ile lat ma twoja córka?

– Osiemnaście.

Zdziwił się, że aż tyle.

– Wero, powinnaś wracać do Warszawy, do swojej córki.

– To ona powinna wrócić do mnie.

Było tak, jak przypuszczał. Córka Wery nie mieszkała z nią, prawdopodobnie z własnego wyboru, bo to przecież pełnoletnia osoba.

William odruchowo prostował pogniecione kartki i składał je w jeden plik. Osy skupione wokół korony drzewa buczały nad ich głowami. Pachniało gruszkami i suchą trawą. Słońce świeciło zbyt mocno. Niebo było zbyt jasne, powietrze niemożliwie parne.

– Dzisiaj mam gościa. Znajomy do mnie przyjeżdża. Przywozi mi psa. Chciałbym zostać sam. Wero, proszę, idź stąd i nie przychodź tu więcej. Ta współpraca robi źle nam obojemu.

Wyrwała mu kartki i bez słowa się oddaliła. Nie weszła przez taras do domu, lecz okrążyła budynek. Prawdopodobnie

kierowała się w stronę drogi. Chciał iść za nią, aby się upewnić, że opuściła jego posesję. Obawiał się jednak, że ją tym sprowokuje do powrotu. Ruszył w stronę szklarni. Promienie słońca odbite od szkła oślepiły go. Zanim wszedł do parującego wilgocią wnętrza, już wiedział, że nie jest dobrze. Chwilę później stał jak sparaliżowany i patrzył na poprzewracane krzaki pomidorów. Wera poprzecinała wszystkie sznurki podtrzymujące ciężar owoców. Zaklął. Wściekłość zalewała go obfitą falą. Ta kobieta była pierdolnięta. Gdyby ją teraz dorwał, chyba by jej przywalił.

Rozdział XIX

WILLIAM OTWORZYŁ PIWO. Był wykończony. Ostatnią godzinę spędził w piekielnej szklarnianej temperaturze. Ponownie podwiązał krzaki, które miały szansę dalej rosnać. Z tych połamanych zerwał pomidory. Nie mógł się pozbyć napięcia w karku i plecach. Dobrze wiedział, skąd się ono wzięło. To był niepokój, obawa, że Wera wróci. Bał się spojrzeć w stronę tarasu, bo wydawało mu się, że zaraz zobaczy jej sylwetkę.

Siedział na kanapie i popijał chłodny browar. Nagle serce mu stanęło, a piwo wystrzeliło z otwartych ust wraz z kaszlem. To odgłosu dzwonka do drzwi tak się wystraszył. Wstał. Jeśli to Wera, to nie będzie przebierał w słowach. Usłyszy od niego takie rzeczy, jakie przekraczają jej wyobraźnię. Gdy kładł dłoń na klamce, pomyślał, że to policja, że to Wera ich zawiadomiła. Pójdzie siedzieć. Już się z tego nie wymiga. Nikt mu nie uwierzy. Otworzył drzwi i patrzył zdezorientowany. Przed progiem stał Rajmund z młodym labradorem na rękach.

– Co taki zaskoczony?

– Myślałem, że będziesz później, pod wieczór.

– To wtedy w Sopocie musiałbym być po północy, bo liczę na to, że chwilę pogadamy.

– Wchodź! Zapraszam.

William poznał Rajmunda dwa miesiące temu na targach kulinarnych w Warszawie. Przypasowało im wzajemne towarzystwo. Podtrzymywali więc znajomość esemesami.

– Ładnie masz tutaj – oznajmił Rajmund, rozglądając się po domu. – Skromnie i przestrzennie, w moim stylu. Tylko

powinieneś otworzyć drzwi na taras, żeby powietrze się ruszyło.

Kruger rozsunął drzwi, a Rajmund postawił psa na podłodze. Ten przyłożył nos do desek i zaczął je obwąchiwać.

– Nie mam jedzenia dla psa.

– Przewidziałem to i przywiozłem ci kilka puszek.

Labrador był piękny. Jego sierść lśniła czekoladową barwą, a brązowe oczy wydawały się mądre i łagodne. Dobrze zrobił, biorąc tego psa.

– Wabi się Torres – oznajmił Rajmund.

William zagwizdał cicho, przywołując do siebie labradora. Ten natychmiast podszedł i oparł pysk o jego łydkę.

– Myślałem, że to będzie szczeniak.

– To młody pies, ma osiem miesięcy. Kobieta, która go zamówiła, ostatecznie go nie wzięła. Przedłużyli jej kontrakt w Holandii, no i nie wróciła do kraju.

Kruger położył dłoń na głowie Torresa.

– Dobrze, że go nie wzięła. Teraz jest mój.

Rajmund uśmiechnął się szeroko, prezentując znakomite użębienie. Mimo kilkugodzinnej podróży z Warszawy wyglądał świeżo i czysto. Błękitna koszula z krótkim rękawem z rozpiętym kołnierzem była wyprasowana i bez widocznych plam potu. Patrząc na gościa, William wyjątkowo mocno odczuł, że prezentuje się nieestetycznie. Efekt czasu spędzonego w szklarni.

– Rozgość się. W lodówce mam mineralną, soki i piwo. Ja tylko wskoczę na moment pod prysznic, a potem zrobię coś do jedzenia.

– Okej. Planowałem posiedzieć u ciebie dwie godziny, a potem jadę dalej.

William ustawił pod prysznicem chłodną wodę. Nie delektował się długo kąpielą. Pięć minut później stał już przed szafą i wciągał swój najlepszy T-shirt. Pierwszy raz od trzech dni czuł się zrelaksowany. Za dużo stresu było w jego życiu. Dobrze, że Rajmund przyjechał. Mógłby nawet zostać do jutra. William zszedł na parter. Gościa nigdzie nie było, psa też nie. Z tarasu dobiegł odgłos pazurów uderzających o deski. Najpierw labrador wpadł do domu, a za nim wszedł Rajmund.

Kruger poczuł nagły przyptyw trwogi. To, co zobaczył, było kompletnie niezrozumiałe i przypominało widok spadającej lawiny. Rajmund miał na sobie białe bawełniane rękawiczki. Skąd? Dlaczego? Po co? Mętlik w głowie Williama przechodził w chaos, z którego wyłaniało się tylko jedno skojarzenie. Dwoje ludzi, Wera i Rajmund, w identycznych rękawiczkach przywołali pewien obraz filmowy, w którym dwoje niespodziewanych gości w białych rękawiczkach odwiedza dom nad jeziorem zamieszkały przez małżeństwo z dzieckiem. Goście w rękawiczkach zabijają tę rodzinę, bez powodu, dla samego okrucieństwa.

– Ale parno. W nocy będzie burza – oznajmił Rajmund. – To może być bardzo gwałtowna burza. Jutro już będzie czym oddychać.

Kruger wciąż stał jak słup soli.

– Dlaczego włożyłeś rękawiczki? – zapytał przez ściśnięte gardło.

– Twoja znajoma mi je dała. Powiedziała, żebym nie zostawiał odcisków palców, bo ty masz na tym punkcie jakąś obsesję.

William puścił poręcz, którą ścisnął tak mocno, że bolały go palce. Czyli Rajmund nie był w zмовie z Werą, ta dwójka wcale nie stanowiła morderczego duetu.

– Gdzie ona jest?

- Kto?
- Moja znajoma, Wera.
- Poszła urwać szczypior.

Chwilę później zobaczył ją wchodzącą na taras, ubraną w ładną zieloną sukienkę na ramiączkach i w rękawiczkach na dłoniach. Niosła pęczek szczypioru i uśmiechała się z jakimś dziwnym wyrazem przewrotności i wyższości.

- Co zrobimy naszemu gościowi na kolację?

- Wero, nie obraż się, ale chcielibyśmy z Rajmundem zostać sami. Mamy parę spraw do obgadania. Ciebie może to zanudzić.

Opuściła głowę i ramiona jak ktoś przegrany. Dobrze zagrała smutek i rozczarowanie, bo Rajmund zareagował natychmiast i bardzo wylewnie.

- Ależ nie! Zostań z nami! - zawołał. - Będzie nam miło.

Podziękowała mu uśmiechem.

- Oczywiście, że zostanę. - Przeszła do części kuchennej. - Zrobię twarożek ze szczypiorkiem. W taką parnotę lekkie posiłki są najlepsze.

William nie chciał się z nią szarpać. Nie chciał jej wyrzucać stąd siłą w obecności Rajmunda. Dobrze z tego tyle, że przy gościu będzie się zachowywała normalnie. Ale co potem? Co ma z nią zrobić, gdy Rajmund już pojedzie?

Kroił pomidory w plastry. Postanowił przygotować je z mozzarellą. Wera stała przy wyspie kuchennej i kroila szczypior. Rajmund krążył po domu ze szklanką wody. Za nim podążał Torres.

William powrócił myślą do słów Rajmunda, że rękawiczki są po to, aby nie zostawiać odcisków palców. Że wcześniej o tym nie pomyślał. Wera nie miała żadnej alergii. Pokazała mu trzy plamki na dłoni, którym nawet nie zdążył się przyjrzeć. Gdyby

cierpiała na skórne problemy, to byłyby też widoczne na innych częściach ciała. Teraz ramiona miała odsłonięte, a skóra na nich była gładka. Ponadto widział ją dzisiaj w staniku i żadnych alergicznych zmian też nie zauważył. Wera nosiła rękawiczki, bo nie chciała zostawić u niego linii papilarnych. Czy ona była aż tak walnięta? A może ma powód, aby zachować całkowitą anonimowość? To mogłoby oznaczać, że znajdowała się w kartotekach policyjnych, bo kto inny ukrywałby swoje odciski palców, jak nie przestępca? Zaczął się zastanawiać, czy już wcześniej nie miał do czynienia z tą kobietą. Może kiedyś sprzedał jej początek powieści, który jej nie zadowolił i nie zapewnił wielkiego sukcesu literackiego? I teraz chciała się za to zemścić. Prawie się zaśmiał w duchu na tę myśl.

Torres usiadł przy nogach Wery i patrzył w górę łagodnymi oczami. Czekał na kęs czegoś smacznego albo na pieszczotę.

– Gdzie zjemy? – zapytała chłodno.

– Na tarasie – odpowiedział, nie patrząc na nią.

Świerszcze cykały z niezwykłą siłą, zdając się wprawiać parne powietrze w lekkie drganie. Pobliski las zagarniał swoim cieniem coraz większą przestrzeń. W wilgotnym powietrzu już pachniało burzą, choć niebo po horyzont było błękitne.

– Możesz tu robić, co chcesz. Żadnych sąsiadów – zauważył Rajmund.

Labrador podszedł do mężczyzny i oparł się przednimi łapami o jego udo. Ten poklepał go po grzbiecie.

– Zwykle mam tu spokój – oznajmił William, zerkając na Werę.

Ta wyjmowała sztucce z szuflady. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do Krigera.

– Siadajcie! – rzuciła zapraszająco.

Na stole znalazła się sałatka z pomidorów i mozzarelli, twarożek ze szczypiorkiem oraz pieczywo z masłem czosnkowym. Zaczęli jeść. Goście pozostali w rękawiczkach.

– Rajmund, zdejmij te rękawiczki. Wera zażartowała z ciebie. Nie mam żadnej obsesji na punkcie odcisków palców.

– Podobno gdybym zostawił jeden odcisk na szybie, to przed wyjazdem musiałbym umyć całe okno. Wera mnie o tym uprzedziła.

– Obiecuję ci, że nie będziesz musiał myć okien. Ty, Wero, też zdejmij rękawiczki. Nie męcz się w tej parnoci.

– Nie męczę się.

Dalej jadła twarożek. William złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie jej rękę. Usiłował zdjąć jej rękawiczkę. Zacisnęła dłoń w pięść, nie pozwalając mu na to. Rajmund patrzył na nich z pełnym zakłopotania uśmiechem.

– To nie ja mam obsesję na punkcie linii papilarnych. To Wera ma obsesję. Boi się zostawić swoje odciski palców. Prawda, Wero?

– Tak, to prawda – przyznała spokojnie. – Nie lubię też, gdy ktoś inny zostawia wszędzie swoje palce.

– To tym bardziej zostanę w rękawiczkach – oznajmił Rajmund. – Próbowowałaś kiedyś leczyć tę obsesję? – zapytał po chwili.

– Nauczyłam się z nią żyć. Chociaż nie jest łatwo. Zwykle mówię ludziom, że mam alergię i dlatego zasłaniam dłonie.

William nie wierzył Wera. Kłamała. Jasne tęczęwki wyraźnie szydziły. Rajmund jednak jej uwierzył. Przez kolejny kwadrans rozmawiali o obsesjach i terapiach. William głównie się przysłuchiwał. Jego goście nawiązali cię porozumienia.

– Rozpytywałem o rzeźby betonowe do twojego sadu – oznajmił Rajmund.

– I co?

– Mam namiary na artystę z Wrocławia. Robi ciekawe rzeczy. Możesz sobie obejrzeć na Instagramie. Wrzucił parę fotek tego, co akurat ma do sprzedania.

Wera już trzymała swój telefon w dłoni.

– Jak się nazywa ten artysta?

– Artur Leo Kosecki.

– Wow, to jest niezłe! – zawołała i podsunęła Williamowi ekran pod oczy.

Zobaczył betonową głowę o dziwnych, trochę ludzkich, trochę zwierzęcych rysach. Była ogromna. Dla oceny wielkości artysta ustawił koło głowy krzesło. Wera miała rację. Rzeźba była naprawdę niezła, a co najważniejsze w jego sadzie spełniały swoją funkcję. Zasłoniłyby grób.

Przyniósł z domu swój telefon i zaczął przeglądać kolejne rzeźby na profilu artysty. Żadna nie była tak imponująca jak wielka głowa, ale też robiły wrażenie.

– Ile planujesz postawić tych rzeźb? – zapytał Rajmund.

William spojrzał na swojego gościa. Tamten pochylał się nad Wera, zaglądając w ekran jej aparatu. Zdawał się przy tym przekraczać granice fizycznej bliskości, jaką wyznaczają kulturowe normy. Kolano wręcz wciskał w jej udo. Werze to nie przeszkadzało, bo się nie odsunęła.

– Myślałem o pięciu rzeźbach. Wziąłbym tę głowę i jeszcze cztery mniejsze.

Rajmund obrócił się w stronę sadu.

– Gdzie postawisz głowę?

Wera też spojrzała na sad. William wstał.

– Chodźcie! Pokażę wam.

Poprowadził gości pomiędzy tuje. Labrador szedł wraz z nimi. Gdy stanęli na grobie, przycisnął nos do ziemi.

Obwąchiwał grób, ale na szczęście nie zaczął go rozkopywać. William obserwował twarz Wery, próbując odczytać, ile ta kobieta wie. Przed paroma godzinami powiedziała mu, że powinien obawiać się policji. Wyraźnie zasugerowała, że ma coś na niego. Ale teraz nie wskazywało na to, że wie o zakopanych tu zwłokach. Rozglądała się po krzakach. Poprawiła wygiętą gałązkę.

– Będziesz musiał wyciąć te tuje, żeby postawić rzeźbę – zauważyła chłodno.

– Wytnę.

Wera nie była aż tak niebezpieczna, jak mu się w pewnym momencie wydawało. Po wyjeździe Rajmunda nadal będzie go nękać, domagać się kolejnych rozdziałów, ale najważniejsze, że o niczym nie wiedziała.

– Co tu zakopałeś? – zapytał Rajmund, udeptując nierówną ziemię.

William był przygotowany na to pytanie. Dziwne byłoby, gdyby Rajmund nie zauważył śladów po łopacie.

– Odpadki z gotowania – odpowiedział spokojnie.

Wrócili na taras, uciekając w cień przed słonecznym żarem. Wszyscy oddychali otwartymi ustami. Parne powietrze wydawało się gęstnieć.

– Przyniosę z samochodu jedzenie dla Torresa – oznajmił Rajmund.

Wera odprowadziła go wzrokiem, a potem podeszła do plecaka opartego o ścianę.

– Miły ten twój kolega. Sympatyczniejszy od ciebie.

– Skoro sympatyczniejszy, to może zabierzesz się z nim do Sopotu.

Wyjęła z plecaka plik kartek.

- Ja mam tutaj sprawę do załatwienia. Muszę pilnować, żebyś pisał. - Usiadła na leżaku. - A teraz wybacz, muszę skończyć czytać to, co już napisałeś.

CZEŚĆ DWUNASTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 27

GDY ZAGINIE TWOJE DZIECKO, najpierw pomyślisz o pedofilu, później o policji. Potem w ogóle przestaniesz myśleć.

Pasłek wydawał się opustoszały. Małe miasto, przyciśnięte do ziemi, jak gdyby wystraszone, przytłoczone nieciekawą zimą, bo brudną i ciemną. Kamienna brama, średniowieczne mury, nowoczesne domy i liczne zakamarki, z których wзираł cień, chłód i jeszcze coś groźnego i nieznanego. Nikt nie spacerował po zmrożonych i zawalonych piachem ulicach. Brakowało grupek młodych ludzi stojących przy fasadach starych kamienic, nie było matek pchających wózki z dziećmi, nawet właściciele psów nie raczyli wyprowadzić swoich pupili na zadymione i nieprzyjemnie zimne powietrze. Dizel był pewien, że to nie aura zatrzymała ludzi w domach, lecz strach przed złem czającym się za rogiem. Typowe miasteczko w północno-wschodniej Polsce z prostokątnym rynkiem, odrestaurowanymi kamieniczkami, zabytkowym ratuszem i krzyżackim zamkiem zamieniło się w najbardziej niebezpieczne miejsce dla rodzin z dziećmi. Zamurowane otwory strzelnicze, gotycki podcień i zamknięte wrota świątyń wydawały się elementami mrocznej scenerii.

Górecki szedł pustą ulicą i rozglądał się za jakimkolwiek lokalem, w którym mógłby posiedzieć. Przez okna wystawowe widział ludzi opromienionych elektrycznym światłem. Kryli się za szybami i ścianami, tam byli bezpieczniejsi niż na chodniku. Przy Chrobrego trafił na kawiarnię. Wszedł do środka i zajął stolik przy oknie. Było tu cicho. Z głośników nie

sączyła się typowa dla takich miejsc przyjemna muzyka, jak gdyby właściciel chciał się wpisać w nastrój przygnębienia panujący w całym mieście.

Damian wyciągnął telefon i przeczytał esemesa od Oskara. Ten przysłał mu swoje hasła i loginy.

Nie powinien rezygnować z przejrzenia profili i skrzynek Kowalika. Przypadkowa śmierć Matyldy w mieszkaniu ojca była na razie wyłącznie hipotezą i dopóki się nie potwierdzi, musi szukać dziewczynki. Przyszła kolejna wiadomość, tym razem z hasłem i loginem Weroniki. To jej profil na Instagramie postanowił przejrzeć w pierwszej kolejności. Znajdowało się tam całkiem sporo zdjęć dziewczynek. Na wszystkich wyglądały słodko, jak najukochańsze córeczki. Te uśmiechnięte buzie, te pozy, kiedy przytulały się do ogromnych pluszaków. Jeśli ktoś marzył o dzieciach, to Ania i Matylda spełniały wizualne wymogi. Miały też w sobie coś zalotnego, jak gdyby wysyłały sygnał mówiący: Kochajcie nas, podziwiajcie nas, śnijcie o nas, zabierzcie nas do siebie, do swoich domów, bo my jesteśmy wspaniałe.

Jeśli chciał znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Matylda zaginęła, to profil Weroniki mógł mu w tym pomóc. Pod zdjęciami było całe mnóstwo komentarzy, w których obce osoby z całego świata zachwycaly się urodą dziewczynek. Nie raz pojawiał się zwrot: „Też bym chciała mieć takie córeczki”. Góreckiego interesowały prywatne wiadomości na instagramowym koncie Weroniki. Czy informowała kogoś o swoim życiu? Czy dzieliła się z kimś swoimi problemami? Czy przede wszystkim pisała komuś o córkach?

Postawił na stoliku laptop. Zanim go uruchomił, zamówił kawę i dużą porcję lodów z bakaliami i sosem czekoladowym. Kurtkę zwinął w rulon i położył na sąsiednim krześle. Nie

chciał, żeby klienci widzieli białego orła i za jego sprawą rozpoznali w nim prywatnego detektywa. Mogliby wtedy go zagadywać, a jemu zależało na spokoju.

Wprowadził login i hasło Weroniki. Zamrugął oczami na widok liczby obserwujących ją instagramerów. Sam stał się obserwatorem tego konta w niedzielę, zaraz po tym, jak skontaktował się z nim Kowalik. Wówczas Weronika miała półtora tysiąca obserwujących, teraz było ich trzydzieści tysięcy. Tragedia przyciąga widzów. Zaczął przeglądać prywatne wiadomości. Było tego trochę. Przeważnie do Weroniki pisały kobiety, które też miały dzieci. Większość wypowiedzi nie budziła jakichkolwiek wątpliwości. Karolina z Legnicy wyraziła chęć odkupienia od Weroniki sukieneczek, gdy dziewczynki z nich wyrosną. Maria z Zielonej Góry polecała jakiś pensjonat w Karpaczu. Jakaś Sara pisała, że też ma bliźniaczki i sprawiają jej mnóstwo problemów wychowawczych. Zrobiło się ciekawie, gdy trafił na rozmowę z niejaką Panną Zuzanną. Przewinął na początek tej konwersacji i zaczął czytać.

Panna Zuzanna: „Hej. Chciałam się tylko przywitać. Cudne zdjęcie profilowe. Kto ci je pstryknął? Wygląda na profesjonalną robotę. Masz fajne konto, bo widać na nim nie tylko ludzi, ale też miłość. Pozdrawiam”.

Weronika: „Hej. Dzięki. Twój profil też jest super. A moje zdjęcie pochodzi z profesjonalnej sesji fotograficznej. Jeśli jesteś zainteresowana, to podam namiary na fotografa”.

Panna Zuzanna: „Kiedyś myślałam, żeby zafundować sobie sesję fotograficzną, ale koszty mnie przerosły. Daj mi te namiary. Podrzucę je mojemu mężowi. Może domyśli się, jaki prezent urodzinowy ma mi sprawić”.

Miesiąc później kobiety wymieniały już kilka zdań prawie każdego dnia.

Panna Zuzanna: „Mam dzisiaj babski wyjazd. Ja i trzy kumpele w SPA nad morzem. Wykosztowałam się niemiłosiernie na ten pobyt tutaj, a teraz umieram z nudów. Szkoda kasy, aż serce boli. Wolałabym pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło: Malaga, Sewilla albo Porto. Żeby ktoś mi jeszcze zostawił mały spadek albo żeby mój mąż zechciał zarabiać w euro. Och! Ty nie wiesz, o czym ja mówię. Ty nie musisz liczyć każdego grosza”.

Weronika: „Moja kochana, wiem, o czym mówisz. Były czasy, że nie miałam na pampersy dla dziewczynek, a mój ówczesny mąż przekonywał mnie, że pieluszki tetrowe są bardziej ekologiczne i zdrowsze dla dzieci. Miałam ochotę go zabić”.

Panna Zuzanna: „Mam nadzieję, że go nie zabiłaś”.

Weronika: „Nie. Zostawiłam go i radzę ci, jeśli twój mąż nie zacznie zarabiać, to go kopnij w tyłek”.

Panna Zuzanna: „Nie mogę tego zrobić, bo dwie pensje to więcej niż jedna”.

Weronika: „Znajdź sobie nowego męża z wyższymi dochodami i to z takimi, które się zaraz nie skończą. Ja tak zrobiłam i to była dobra decyzja. Mój obecny mąż zarabia w prywatnej klinice znakomicie i będzie jeszcze zarabiał co najmniej przez trzy dekady”.

Panna Zuzanna: „Ej, kochana, to znaczy, że ty i on to nie była wielka miłość? Tak wspaniale wyglądacie razem na zdjęciach. Wasza ślubna fotka emanuje wielkim uczuciem”.

Weronika: „Oczywiście, że się kochamy i szanujemy”.

We wrześniu obie panie rozmawiały kilka razy podczas połączenia wideo. Za każdym razem taka sesja trwała ponad godzinę. W październiku Weronika pisała: „Oskar ma dziś

nocny dyżur. Lubię, gdy go nie ma w domu, gdy mam wieczór tylko dla siebie. Mogę jeść ciastka w łóżku i czytać do woli. No i mogę zająć się dziewczynkami. Czuję, że on kradnie mi czas, który powinnam poświęcać dzieciom”.

Panna Zuzanna: „Nie boisz się, że jakaś pielęgniarzka zajmie się twoim mężem podczas tego nocnego dyżuru? Ty go upolowałaś, to inna też może to zrobić”.

Weronika: „Nie boję się. Nie mamy podpisanej intercyzy. Pół majątku będzie moje”.

Dizel wylogował się z profilu Weroniki. Znalazł jedynie pęknięcie na idealnym małżeństwie Kowalików. Więcej w nim było wyrachowania niż miłości, przynajmniej ze strony pani Kowalik. To jednak nie miało żadnego wpływu na zaginięcie Matyldy. Żaden z instagramerów w prywatnej korespondencji nie wykazywał podejrzanego zainteresowania dziewczynkami.

Do uszu Dizela dobiegło wymowne chrząknięcie. Ktoś za nim stanął i chyba chciał pogadać. Obejrzał się i zobaczył chłopaka. Miał może ze dwadzieścia lat.

– Lody ci się topią – zagadnął tamten.

Rzeczywiście, ostatnia gałka przyjęła płynną konsystencję.

– Lubię roztopione.

– A małe dziewczynki też lubisz?

– Wolę dorosłe.

– To dlaczego na monitorze miałaś zdjęcie tej małej, co zaginęła?

Chłopak powiedział to bardzo głośno, aby usłyszeli go pozostali goście w kawiarni. Patrzyło teraz na Damiana siedem osób. Kobieta z czerwonymi wargami wydawała się lekko wystraszona. Uciekła wzrokiem, gdy Dizel zatrzymał na niej spojrzenie.

– Tak, oglądałem zdjęcia bliźniaczek na profilu ich matki – zwrócił się do wszystkich obecnych w lokalu. Słuchali go w idealnej ciszy. – Sądzę, że pod tym względem nie jestem wyjątkiem. Myślę, że wy też obejrzelście te zdjęcia.

– Ty nie jesteś stąd. Nie znamy cię.

Te słowa chłopaka zabrzmiały jak oskarżenie.

– To prawda, nie jestem stąd.

Mężczyzna towarzyszący kobiecie o czerwonych ustach podniósł się.

– Trzeba zadzwonić na policję. Niech go przesłuchają. – Wskazał na chłopaka. – Ty stań przy drzwiach, żeby nam ten gość nie zwał.

Spokojna kawiarniana atmosfera zamieniła się w swoje przeciwieństwo, jak gdyby ktoś zakomunikował, że pod budynek podłożono dynamit. W oczach klientów tliła się pełna niepokoju czujność, jak gdyby liczyli się z tym, że Dizel zaraz wyjmie z kieszeni nóż i rzuci się na nich z zamiarem mordy. Nie powinien się temu dziwić. Był w Pasłęku, a nie w Monachium. Tutaj wszyscy się znali, jeśli nie osobiście, to z widzenia. Zwykły stadny instynkt nakazywał im widzieć zagrożenie w obcym.

– Dajcie spokój policji – oznajmił Damian. – Oni i tak mają teraz dużo roboty. Poza tym wczoraj odwiedziłem wasz komisariat i poinformowałem funkcjonariuszy, że jestem prywatnym detektywem i poszukuję Matyldy Piątek.

Kobieta z czerwonymi ustami wyciągnęła w jego stronę palec.

– Ty jesteś ten Dizel?

– Tak.

– A gdzie masz orła?

Górecki podniósł swoją kurtkę i rozwinął ją, pokazując rozpostarte skrzydła ptaka. Niemal słyszał oddechy ulgi. Z kawiarnianych gości schodziło napięcie. Większość klientów posłała mu uśmiech i przychylne spojrzenie. Wciąż stojący przy nim chłopak skinął głową, po czym oddalił się na swoje miejsce. Łyżeczki znowu zadźwięczały o szklane naczynia z lodami.

Górecki powrócił do pracy. Teraz postanowił zajrzeć do służbowej poczty Oskara Kowalika. Jeśli to nie zdjęcia dziewczynek skłoniły kogoś do porwania jednej z nich, to może lekarska praktyka ich ojczyma. Nie podzielał teorii Justyny Drabicz, że doktor sprzedał nerki, serce i płuca Matyldy, ale warto się upewnić, czy w grę nie wchodzi szantaż albo zemsta. Środowisko wybitnych chirurgów to nie musi być klub dżentelmenów. Każdy ma swoje ambicje i wielkie plany, a Kowalik mógł komuś stanąć na drodze.

Przystąpił do czytania maili. Na niektóre tylko rzucił okiem, bo pierwsze zdanie wskazywało, że nie znajdzie w nich nic sensacyjnego. Sporo wiadomości było po niemiecku i z tymi sobie doskonale radził. Z angielską korespondencją miał trochę problemów. Było też kilka maili po hiszpańsku. Zignorował je. W końcu trafił na wiadomość, której szukał. Siódmego lipca do Kowalika napisała Magdalena Zajac.

„Panie Doktorze, zniszczył pan moje życie, odebrał mi Pan to, co miałam najcenniejszego, moją ukochaną dziecinę, moją maleńką córeczkę. Oddałam ją panu z pełną wiarą i ufnością, że jej pan pomoże. Zapewniał pan, że wszystko będzie dobrze. To miała być prosta operacja, przy znieczuleniu ogólnym. Pielęgniarki mówiły, że operacja przepukliny to dla doktora Kowalika chleb powszedni. A potem plotkowały między sobą, że pan był tego dnia zmęczony, przepracowany. Gdy

zaczęliśmy z mężem dopytywać, te same pielęgniarki milczały jak grób. Nikt nie chciał z nami rozmawiać. Pan poświęcił nam zaledwie trzy minuty. Nie miał pan prawa narażać mojej córeczki na takie niebezpieczeństwo. Jej serduszko przestało bić, bo chirurg był zmęczony. Nie czekam na sprawiedliwość w sądzie, ale czekam na sprawiedliwość boską. Mam nadzieję, że wkrótce zapłaci pan życiem kogoś bliskiego. Ktoś z pana bliskich zginie, bo ktoś inny, choćby jakiś kierowca, będzie zmęczony”.

Magdalena Zając więcej nie napisała do Kowalika, ale i tak tę wiadomość można było uznać za groźbę. Matka, której uśmiercono potomstwo, zdolna jest do wielkiej zemsty. Zdolna jest nawet odebrać dziecko innemu człowiekowi. Zgrzytem było tylko to, że Matylda nie była córką doktora, co łatwo było ustalić, przeglądając profile na portalach społecznościowych.

Ponownie przeczytał mail Magdaleny. Napisała o sprawiedliwości boskiej. To by znaczyło, że nie planowała osobistej zemsty. Jeśli w sprawie śmierci małej pacjentki rozpoczęto śledztwo, to zapewne jeszcze trwa, bo minęło dopiero siedem miesięcy. Górecki postanowił to sprawdzić. Szybko znalazł na jednym z serwisów Trójmiasta artykuł o śmierci dwumiesięcznej dziewczynki w prywatnej gdańskiej klinice. Prokuratura informowała, że prowadzi czynności w celu ustalenia, czy do tego zdarzenia nie doszło w wyniku zaniedbania bądź błędu w sztuce lekarskiej. Zdecydować o tym miały wyniki sekcji zwłok, a na razie zabezpieczono dokumentację medyczną.

Damian postanowił jeszcze odnaleźć w internecie Magdalenę Zając. Facebook pokazał mu dziewięć wyników. Przy oglądaniu piątego profilu zaklął. Kobieta nie żyła. O śmierci informował jej brat, pisząc, że nie pogodziła się z odejściem

swojej córeczki. Była w tym wyraźna sugestia, że popełniła samobójstwo. Dizel nie wiedział, czy to zamyka sprawę, czy ją dopiero otwiera.

W głowie kotłowały mu się rozmaite hipotezy, powracały zdania przeczytane na profilu Weroniki i w poczcie Kowalika. Miał wrażenie, że kopie za głęboko, że rozwiązanie jest prostsze i znajduje się tuż pod powierzchnią, ma je prawie na wyciągnięcie ręki.

Rozdział 28

IGOR MALIK WYSZEDŁ przed budynek. Było zimno i ciemno. Zapiął kurtkę pod brodą i zapalił papierosa. Pięć lat temu rzucił fajki, ale teraz musiał zajarać. Wczoraj radiowóz odwiózł go pod sam dom. Widział sąsiadów w oknach. Prawie wszyscy przyglądali się, jak pedofil i morderca wysiada z suki i zmyka do swojego mieszkania. Miał ciężki wieczór. Wypił cztery piwa i pół butelki łyskacza, bo tyle miał w kredensie. Gdy alkohol się skończył, zapukał naprzeciwko, do Mariusza Leśniaka. Ten zawsze trzymał jakąś zachomikowaną flaszkę. Nikt mu nie otworzył, a byli w domu, bo słyszał dochodzące z wewnątrz odgłosy. Na pewno żona Mariusza nie pozwoliła mu się wynurzyć. Nie chciała widzieć kogoś takiego jak Igor.

Powinni mu współczuć, bo stracił dziecko i to w tak tragicznych okolicznościach, a oni się od niego odwrócili.

Zaklął i wypuścił dym z ust. Daleko w ciemnościach zobaczył jakiś ruch. Wyteżył wzrok. Nic, tylko półmrok rozpraszany zimową bielą. Światło z okien padało na zwały brudnego śniegu zalegającego przed budynkiem. Usłyszał kroki na zmrożonym podłożu. Ostrożne skrzypnięcia i podstępny terkot podeszwy przesuwanej po drobnych grudkach lodu. Rozejrzał się. Nikogo nie dojrzał. Nagle huknęło, jak gdyby ktoś strzelił mu tuż przy uchu. Dopiero po chwili zorientował się, co się stało. Ktoś rzucił w niego pustą butelką. Ta roztrzaskała się przy jego stopach. Ogarnęła go złość. Dlaczego do niego nie podejda i nie spojrzą mu prosto w oczy. Dlaczego atakują z ukrycia jak tchórze. Zamachał

pięścią w mroźnym powietrzu, grożąc niewidocznym osobnikom.

– No, kurwa, podejdź tutaj! Pokaż się!

Odpowiedziała mu wieczorna nieprzyjemna cisza. Zaciągnął się dymkiem i ponownie zaklął. Wczoraj rano był normalnym gościem, prowadził zwyczajne życie. Miał kobietę i dwoje dzieci i tylko trochę za uszami, jak typowy facet. Teraz stał nad przepaścią. Tak się właśnie czuł, że grunt usuwa mu się spod stóp. Fundament, czyli związek z Dorotą się skruszył, a może nawet załamał. Czy ona mu wybaczy, że nie dopilnował Wioli? Raczej nie wybaczy. A może nawet uzna, że to jego sprawka, że to on zrobił tę potworną rzecz. Zadrżał ze strachu i z zimna. W tej chwili najbardziej bał się powrotu swojej kobiety z oddziału psychiatrycznego, gdzie od dwudziestu godzin faszerowano ją środkami uspokajającymi.

Rzucił papierosa na zmrożony chodnik i przydeptał. Stuknęły drzwi i z budynku wyszedł Mariusz Leśniak. Na głowie miał jak zwykle czapkę z daszkiem. Nie zasłaniała mu uszu, ale to mu nie przeszkadzało. Igor pomyślał, że sąsiad go minie i pójdzie dalej, ale ten podszedł.

– Wypuścili cię.

To nie było pytanie, ale Igor odpowiedział.

– Tak, wypuścili mnie.

– Nie znaleźli nic na ciebie?

– Nie. Nawet nie byłem podejrzany. Przesłuchali mnie jako świadka.

– Aha!

Milczeli przez chwilę. W końcu Mariusz się odezwał:

– Pomyśleliśmy, że to ty, bo ta wasza Wiola leżała w lesie trzy dni. Ona w lesie, a ty w domu, jak gdyby nic.

Igor usłyszał wyraźne oskarżenie. W opinii sąsiadów był winny. W tej chwili nie wzbudziło to w nim złości. Mieli prawo tak o nim pomyśleć. Mocno go obciążało to, że nie szukał pasierbicy, gdy ta nie wróciła do domu. Musi się z tego wytłumaczyć. Położył dłoń na sercu.

– Przysięgam na życie mojego syna, że nic nie zrobiłem Wioli.

Z zimowego mroku wynurzyła się jakaś postać i zbliżała się do nich. Za chwilę trzy kolejne męskie sylwetki zmaterializowały się w mroźnym powietrzu i też sunęły ku nim. Od ściany sąsiedniego budynku oderwało się dwóch osobników i podążało w tym samym kierunku co reszta. Mężczyźni z Anglit otoczyli Igora. Machinalnie ich policzył. Dwunastu. Od wszystkich biła lodowata wrogość. Co go teraz czeka? Lincz? Ogarnął go silny lęk. Ale poczuł coś jeszcze. Jedność z tymi ludźmi. Gdyby ktoś inny stał teraz na jego miejscu, choćby Mariusz, to on na pewno znalazłby się po tej drugiej stronie. Też byłby w grupie, która pragnie wymierzyć sprawiedliwość. Jak dobrze byłoby dać krok i znaleźć się tam, gdzie oni, i wziąć odwet na tym człowieku, który tak potwornie potraktował Wiołę.

Do przodu wysunął się Mikołaj, kierowca tira i ojciec dwóch chłopców. Z szyi zwisał mu niedbale zawiązany szalik.

– Lubisz jeszcze młodsze? Takie jak mała Matylda? Ją też bzyknąłeś? – wysyczał, tryskając śliną na twarz Igora.

Ten nie zastanawiał się długo. Złapał mówiącego za szalik i gwałtownie szarpnął. Sąsiad z jękiem padł na kolana. Malik pomyślał, że teraz wszyscy się na niego rzucą i zatłuką go pięściami, skopią na śmierć. Odruchowo cofnął się o krok. Żaden z mężczyzn nie zaatakował. Mikołaj podniósł się i poprawił szalik. Kipiał wściekłością.

– Ty szmato, zajebię cię...

Igor nie pozwolił mu kontynuować.

– Wiola była moją córką. Kochałem ją. Jeśli się dowiem, kto jej to zrobił, to go własnymi rękami uduszę.

Mówił z siłą, o jaką sam siebie nie posądział. Każde jego słowo było prawdą, bo wypływało z serca. Zabiłby tego bydlaka, gdyby go dorwał. Ktoś taki nie ma prawa żyć. Ktoś taki nie zasługuje na uczciwy sąd. Bo czy bestia może być traktowana jak człowiek? W wyobraźni zobaczył dziecinną buzię Wioli z ustami otwartymi w krzyku przerażenia. Jak bardzo musiała się bać, gdy ten potwór ją gwałcił i dusił.

– My mamy dzieci – odezwał się Jarek Piecuch, najstarszy z grupy. Kłęby pary wypadały z jego ust. – Boimy się o nie. Nasze kobiety się trzęsą ze strachu. Dzisiaj moja Renata nie chciała wypuścić z domu Zibiego, a przecież on ma dziewiętnaście lat. Z trudem jej wytłumaczyłem, że to już nie dziecko, a poza tym chłopak, a nie dziewczyna.

Malik dostrzegł okazję powrotu do społeczności. Sąsiedzi muszą tylko zrozumieć, że oni wszyscy chcą tego samego. Musi wskazać im cel.

– Powinniśmy go znaleźć. My, a nie gliniarze. To musi być ktoś stąd. Nie mówię, że z Anglit, ale na pewno ten bydlak mieszka blisko. Dopadł dwie dziewczynki. Ktoś przyjezdny zająłby się tylko jedną, a drugą upolowałby gdzieś indziej, a on wziął dwie stąd.

Patrzyli na niego podejrzliwie spod czapek mocno naciągniętych na uszy.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie ty? – zapytał Jarek.

– Przecież mnie znacie. Mieszkam tu sześć lat. Nie raz wspólnie piliśmy. – Wskazał palcem na mężczyznę z czerwoną od mrozu twarzą. – Tobie pomogłem zbijać kafelki w łazience.

– Przesunął palec na innego mieszkańca Anglit. – Ciebie holowałem przez pięć kilometrów. Pamiętasz?

– Mieszkasz tu dopiero sześć lat. Nie znamy cię – ciągnął najstarszy z mężczyzn, roztaczając w chłodnym mroku wilgoć swojego oddechu. – Nikt z nas nie chodził z tobą do podstawówki. Nie wiemy, kim są twoi rodzice. Nic nie wiemy o twoich krewnych.

– Ale znacie moją kobietę. Znacie Dorotę. Ona jest w porządku i cała jej rodzina. Nie związałyby się z kimś porąbanym.

– To gdzie ona teraz jest? Dlaczego nie z tobą?

– Zabrali ją na oddział psychiatryczny do Elbląga. Załamała się po tym, co spotkało Wiołę.

– To prawda – wtrącił Mariusz, a jego oddech podsycony piwem przybrał kształt balonu i zawisł w mroźnym powietrzu.

– Siostra Doroty powiedziała to samo mojej żonie.

Igor pokornie spuścił głowę.

– Nie wiem, czy Dorota mi wybaczy, że nie dopilnowałem Wioli. Może nie wybaczy? Może będę musiał się stąd wyprowadzić na zawsze. Zanim to się jednak stanie, to najpierw muszę go znaleźć. Może przesadziłem z tym, że zabiję go własnymi rękami. Wystarczy, że go odstawimy na komisariat. Byle już nie zginęło żadne dziecko.

– Nie wierzcie mu. Jutro go już tu nie będzie. Spierdoli stąd na drugi koniec Europy.

Mikołaj znowu syczał, a wokół jego ust unosiły się krople śliny. Zaczął iść na Malika. Napierał na niego lekko otyłą sylwetką. Ten się nie cofnął.

– Gdybym, kurwa, był podejrzany, to psiarze by mnie nie wypuścili.

Nagle poczuł coś ciepłego na twarzy. To Mikołaj na niego splunął. Igora ogarnęła niewyobrażalna wściekłość. Naprężył mięśnie do ataku. Uderzył czaszką w podbródek sąsiada, mocno i z dołu. Tamten padł na plecy. Sekundę później Igor też leżał. Policzką dotykał ostrych gródek lodu. Nawet nie zauważył, kto go powalił. Może Mariusz? Stał przecież najbliżej. Czy teraz zaczną go kopać?

– Zostawcie go! – rozległ się mocny kobiecy głos.

– Iza, wracaj do domu! To nie twoja sprawa.

– Nie moja? Nie śpię od trzech dni, bo się boję o naszą córkę, a ty mi mówisz, że to nie moja sprawa?

– Zaraz to załatwimy. Nie będziesz musiała się więcej martwić.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Wy to załatwicie? Okładając niewinnego człowieka? A tamten gad niedługo zabije kolejne dziecko. – Rozległy się ostrożne kroki. Iza przybliżyła się do mężczyzn. Teraz mówiła ciszej: – To nie on zabił Wioletkę. To nie on porwał Matyldę.

– Skąd wiesz? – zapytał Jarek.

– Od córki. Wróćcie do domu i porozmawiajcie z własnymi dziećmi. One wiedzą więcej niż my i policja.

Igor leżał wciąż na ziemi. Zimno przenikało do jego ciała. Drżał. Nie podnosił się jednak, bo obawiał się, że ten ruch uciszy kobietę, a chciał się dowiedzieć więcej.

– Izka, co ty pierdolisz? – odezwał się Mikołaj. – Co dzieciaki mogą wiedzieć? Gówna wiedzą i tyle.

– Żebyś się nie zdziwił.

– Kim jest ten pedofil? – zapytał Jarek Piecuch, wypuszczając z ust w mroźne powietrze kolejny obłok pary.

Kobieta odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

– Jeszcze nie wiem, ale moja córka już wie. Muszę ją przekonać, żeby mi wyjawiała jego nazwisko. Na razie tylko wiem, że ma czarny samochód. Podśluchałam to. Dzieciaki mówią, że ma czarną wołgę, ale rzadko nią jeździ, tylko wtedy, gdy chce upolować jakąś małą dziewczynkę.

– Iza, twoja córka zrobiła sobie z ciebie jaja – oznajmił spokojnie Jarek. – Nie ma wozu o takiej marce w Pasłuku ani w okolicy. W Polsce można policzyć wołgi na palcach jednej ręki.

– Przecież wiem. Dzieciaki tylko tak mówią na ten samochód. Czarna wołga albo czarny karawan.

Malik uniósł głowę. Dotknął bolącego policzka. Spojrzał na palce, były ciemne od krwi. Kobieta miała rację. Dzieciaki coś musiały wiedzieć. Wiola też zdawała sobie sprawę, że w jej pobliżu jest ktoś bardzo niebezpieczny. Kilka dni temu usłyszał zza drzwi jej pokoju, jak mówi: „To świr. To prawdziwy świr. Zrobił mi zdjęcie”. Pomyślał, że mówi o jakimś koledze. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że w głosie Wioli dźwięczał strach. Podniósł się na kolana. Trząśł się z zimna i nadmiaru emocji.

– Wracajcie do domu i porozmawiajcie z własnymi dziećmi – zaapelowała ponownie Iza. – A najlepiej poczytajcie wpisy na ich profilach. Tam sobie wszystko piszą.

– Akurat mój syn pozwoli mi tam zajrzeć – odezwał się jeden z mężczyzn.

– To trzeba ich przekonać, żeby zaczęli mówić, jeśli nie nam, to policji.

Iza wydawała się coraz bardziej zirytowana i zmarznięta. Dłonią ścisnęła kaptur pod brodą, żeby mroźne powietrze nie dostawało się pod kurtkę. Igor się podniósł. Kręciło mu się

w głowie. Szeroko rozstawił nogi, aby nie stracić równowagi na śliskim podłożu.

– Gliniarze mają laptop Wioli i telefon też. Jeśli moja córka pisała o tym bydlaku, to powinni to znaleźć.

– Jeśli w ogóle będą tego szukać – oznajmiła kobieta, zgrzytając zębami z zimna i zniecierpliwienia. – Obawiam się, że wcisnęli ten jej komputer i telefon do szafy i zajęli się szukaniem małej Matyldy. Podobno chcą być pierwsi przed tym detektywem z Niemiec. Potem sobie przypomną, że mają te sprzęty, ale może być już za późno. Bo my stracimy kolejne dziecko.

Stali w grupie w lodowatym powietrzu. Już się nie popychali i nie zerkali na siebie podejrzliwie. Byli jednym organizmem, mieli jeden cel, chronić własne rodziny. Gotowi byli na wszystko, żeby to uczynić. Malik znajdował się pośrodku zbiorowiska. Wszyscy na niego spojrzeli, gdy uniósł zakrwawioną dłoń.

– Gdy się tylko czegoś dowiecie, to mi mówcie. Wiola już mi nic nie powie. Liczę jedynie na was i wasze dzieciaki.

Wszyscy przytaknęli, stojąc w kłębach pary z własnych oddechów.

Rozdział 29

ŚLADY KRWI NA UMYWALCE i wannie nie należały do Matyldy Piątek. Była to krew jej ojca, Juliana. Gdyby starszy posterunkowy Jaskóła znajdował się w mieszkaniu, gdy użyli luminolu, wyjaśniłby im, że Piątek, jak dostał z pięści od byłego teścia, doprowadzał się do porządku w łazience i zachlapał sanitariaty dokładnie tak, jak to widać na nagraniu. Niestety, Bielewicz odesłał młodego policjanta do domu, żeby ten się trochę podkurował.

– Nie rozumiem, kiedy on zdążył zmyć tę krew z wanny i umywalki – zagadnął Kosma. – Przecież zaraz przyjechało pogotowie i go zabrali.

– Nie tak zaraz. Czekaliśmy dwadzieścia minut. Zdążyłem zrobić Piątkowi okład z lodu. No i pomogłem mu zmyć tę krew w łazience. Powiedział, że tego tak nie zostawi, bo gdy przyjdą jego córki, to się przestraszą.

– Karolina, tylko nie przyznawaj się nikomu, że to zrobiłeś, bo jeszcze nasz nowy kolega, komisarz Piotr Kaptera zawiadomi wewnętrznych, że wraz ze sprawcą zacierałeś ślady.

Jaskóła się zaśmiał, a jego śmiech szybko przeszedł w urywany kaszel.

– Oprócz tej zielonej rękawiczki co jeszcze mamy na niego? – zapytał, gdy już płuca mu na to pozwoliły.

– Niewiele, a właściwie nic. Rzuciłem okiem na monitoring.

– I co?

– Sam zobacz.

Kosma obrócił monitor w stronę kolegi i uruchomił nagranie. Młody policjant przysunął się wraz z krzesłem, żeby lepiej widzieć.

– To kamera z Polnej?

– Tak.

– Dobry obraz. Przy takim oświetleniu naprawdę rewelacja.

Kosma musiał się z tym zgodzić. Po modernizacji miejskiego monitoringu mieli w Pasłęku dwadzieścia jeden kamer o bardzo dobrej rozdzielczości. Dobrze spełniały swoją funkcję, głównie przy ustalaniu sprawców kolizji drogowej. Na nagraniu pojawił się opel Juliana Piątka. Kosma spowolnił odtwarzanie. Kierowca był doskonale widoczny.

– I co? Widzisz dziewczynki? – zapytał Bielewicz.

– Nie.

– No, ja też nie widzę. Są za małe. Nie da się stwierdzić, czy Piątek odwoził dwie córki, czy tylko jedną.

Karol przetarł zaczerwienione oczy. Twarz miał rozpaloną, nie wiadomo, czy z powodu emocji, czy przeziębienia.

– Możesz przybliżyć samochód?

Kosma wykonał polecenie. Teraz widzieli głównie okna opla. Obraz nieco stracił na ostrości.

– Kurwa, nie widać dzieciaków – wymamrotał Jaskóła.

Bielewicz zatrzymał nagranie.

– Kaptera przesłał ten zapis jakiemuś specowi z Warszawy. Może on coś wypatrzy, czego nasze gminne oko nie widzi.

Starszy posterunkowy skrzywił się w złośliwym uśmiechu.

– No to komisarz w końcu do czegoś się przydał. Powiedz jeszcze, czy tego opla nie złapała jakaś inna kamera.

– Niby gdzie? Piątek zdążył przejechać tylko siedemset metrów.

– Co teraz planujesz w sprawie zaginięcia Matyldy?

Kosma się zamyślił. Kwadrans temu dokonał korekty planu śledztwa. Dwukrotnie podkreślił punkt dotyczący kobiety kryjącej twarz za kolorowym szalikiem.

– Gdybyśmy znaleźli kobietę, która wychodziła ze sklepu, gdy Piątek tam wchodził... Ona mogła zauważyć, czy w samochodzie siedziała jedna dziewczynka, czy dwie. Jeśli jedna, toby znaczyło, że Julian nie zabrał z domu Matyldy.

– A ekspedientka nie wie, kim jest ta klientka?

Aspirant pokręcił przecząco głową.

– Ona dopiero tam pracuje od miesiąca. Z zapisu w kasie wiemy, że klientka kupiła paczkę kawy i zapłaciła gotówką.

– Nie wydaje ci się to dziwne, że ta kobieta się sama do nas jeszcze nie zgłosiła?

– Może uważa, że nic ważnego nie wie, że i tak nam w niczym nie pomoże.

– Może i tak.

– Musimy też szukać ciała Matyldy. Jeśli uległa wypadkowi w mieszkaniu Piątka, to musiał gdzieś ją wywieźć.

– Myślisz, że za miasto?

– Nie sądzę. Stawiałbym na jezioro. Dizel go tam widział następnego dnia.

– No to trzeba ściągnąć nurków.

– Już o nich zawnioskowałem. Przyjadą dzisiaj.

– Szybko.

– Tak, szybko, ale to dlatego, że nie mają zbyt wiele roboty, bo rzeki i jeziora niezamarznięte. Nie trzeba ludzi wyciągać spod lodu. Gdy przyjadą, będziesz im towarzyszył.

Karol się wzdrygnął.

– Dzięki. Kilka godzin nad jeziorkiem na pewno mnie uleczy. Od razu gorączka mi minie.

– Mówiłem, żebyś szedł na zwolnienie. Nie chciałeś. Jak zostałeś, to masz robić.

– Dobra, ubiorę się ciepło. Jakoś dam radę. A ty czym planujesz się zająć?

– Pojadę do Anglit. Chcę pogadać z ludźmi. Może jednak ktoś widział Wioletę Nowak w sobotę. Gotów jestem chodzić od domu do domu i wypytywać. Ktoś musiał ją wtedy zobaczyć. Może nie była sama.

Karol ze zrozumieniem pokiwał głową.

– To nie jest zły pomysł. Nie liczyłbym na to, że tamtejsi ludzie sami się zgłoszą. Mam rodzinę na wsi i wiem, jak oni myślą. Lepiej nie chodzić na komisariat, bo jeszcze zamkną.

Rozdział 30

W PASŁĘKU MOŻNA BYŁO WSZĘDZIE dojść w ciągu dwudziestu minut, ruszając z rynku. Był to czas osiągalny dla każdego sprawnego mieszkańca obeznanego ze skrótami. Czasami nie opłacało się wsiadać do samochodu, bo na piechotkę mogło być szybciej. Aspirant Kosma Bielewicz lubił chodzić po mieście i lubił mierzyć sobie czas. Z domu do Biedronki miał minutę i czterdzieści pięć sekund, a do szkoły Agatki cztery minuty i piętnaście sekund. Teraz też postanowił się przejść do pierwszej osoby z listy. Był to Bartosz Dolny, pasłęczanin, którego telefon w sobotę logował się w Anglitach. Należało ustalić, co tam robił i kogo widział. Był już prawie na miejscu, gdy poczuł krótką wibrację telefonu w kieszeni. Otrzymał esemes od wychowawczynie córki. Nauczycielka informowała, że Agatka nie pojawiła się dzisiaj w szkole. Zdziwił się. Nie poszła na sprawdzian z matematyki? Bała się złej oceny? Trudno było mu w to uwierzyć. To nie w jej stylu. Zadzwoił do córki. Długo wsłuchiwał się w przerywany sygnał. Wybrał ponownie numer. Potem zadzwonił po raz trzeci. Gdy tego połączenia też nie odebrała, wysłał esemesa z krótkim komunikatem: „Odbierz albo oddzwoń”. Patrzył na aparat z nadzieją, że ten zaraz da sygnał, wyświetlając zdjęcie Agaty.

Ogarnął go niepokój, gdy tak stał i patrzył w ciemny telefon. Jego wyobraźnia stworzyła obraz dwunastoletniej dziewczynki w zielonej kurtce, która zmierza pospiesznym krokiem do szkoły. Gdy po raz kolejny poprawia czapkę, bo Agatka miała w zwyczaju ciągle poprawianie nakrycia głowy, hamuje przy

niej czarny wóz. Wysiada z niego dwóch mężczyzn i wciągają jego córkę do środka albo wrzucają ją do bagażnika. A ona jest tak wystraszona, że nawet nie otwiera ust, aby zawołać o pomoc.

Ten obraz przytłoczył go swoim realizmem, choć zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że to mało prawdopodobne, aby Agata została porwana. Zaczął biec w stronę domu. Osiemset metrów pokonał w niespełna sześć minut. Włożył klucz do zamka i przekręcił. W mieszkaniu panowała cisza. Krew tętniła mu w uszach. W kuchni kapiała woda z kranu, Agata nigdy jej nie dokręcała. Skierował się do pokoju córki. Otworzył drzwi i z wrażenia aż wsparł się o futrynę. Głowa z ciemnymi rozczochranymi włosami oderwała się od poduszki.

– Tato, co tu robisz?

– Dlaczego nie jesteś w szkole?

– Bo śpię.

Usiadła na łóżku i przetarła oczy. Zrobiła to z wyjątkowym wdziękiem, w jaki wyposażone są tylko dzieci. Nie potrafił się na nią złościć. Najważniejsze, że jest cała i zdrowa. Wizja, że porywają mu córkę, wydała mu się objawem nieuzasadnionej paniki.

– Gdy wychodziłem do pracy, ty już wstawałaś. Szłaś do łazienki. Potem miałaś zjeść jajka na miękko, które ci zostawiłem na stole.

– Zjadłam. Były mało miękkie. Gesslerowa chyba by stwierdziła, że były na twardo.

Kosma wszedł do pokoju i usiadł obok córki. Też kiedyś wagarował. Był wtedy starszy od Agaty. Gdy jednak urwał się z lekcji, to wracał do domu pełen obaw, a ona nie wykazywała

żadnej skruchy. Nie poszła do szkoły i według niej nic się nie stało.

– Ten sprawdzian cię nie minie. To nie było mądre, nie iść do szkoły.

– Ja już tam nie pójdę nigdy więcej. To, czego się do tej pory nauczyłam, wystarczy mi.

– Obawiam się, że po pięciu klasach podstawówki nie przyjmą cię na żadne studia, a za kilka lat na pewno będziesz chciała studiować.

– Nie będę chciała.

– Ubieraj się. Zdażysz jeszcze na trzy lekcje.

– Nigdzie nie idę.

Gdyby nie to, że patrzył na znękaną twarz córki, zapewne straciłby cierpliwość.

– Za parę dni będą ferie – oznajmił, chcąc wprawić ją w lepszy nastrój. – A potem pomyślimy o korepetycjach z matematyki. Może poszłabyś na parę lekcji do Markowskiej.

Zerwała się, odrzucając kołdrę.

– Nie! Tylko nie korepetycje z matmy. Błagam. Nie u niej.

Agata patrzyła na niego załzawionymi oczami. Rozumiał ją. Kiedyś też nie chciał spędzać więcej czasu nad przedmiotem, którego nie znosił.

– Jeśli będziesz sobie lepiej radziła z cyferkami, to i na matematykę będziesz chodziła chętniej.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i stanęła naprzeciw niego.

– To nie chodzi o cyferki.

– A o co?

– O Pitagorasa. On się na mnie uwziął. Chce mnie zniszczyć. Rozbawiło go poruszenie, z jakim to mówiła.

– Markowski chce cię zniszczyć? A wiesz, że ja podobnie myślałem dwadzieścia lat temu o jego matce? Uważałem, że

Markowska chce mnie wykończyć tymi równaniami. Dzisiaj wiem, że się myliłem.

Agata padła na łóżko. Leżała teraz na plecach z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Udawała martwą.

– Pójdiesz do szkoły czy mam cię przekupić?

Otworzyła jedno oko.

– Tato, jesteś policjantem, a tak mało wiesz.

– A co powinienem wiedzieć?

Agata ciężko przełknęła ślinę.

– My się go boimy, na palcach chodzimy – zaczęła nucić.

– Kogo się boicie?

– Pitagorasa. On jest okropny. Chyba powinieneś sprawdzić, co się o nim pisze w necie.

– Sprawdzę. A teraz się ubieraj! Idziesz do szkoły.

Uniosła się na łokciach.

– Tato, ale to ważne. Musisz wiedzieć, co o nim piszą. Sprawdź ostatnie wpisy na profilu: „Gdzie jesteś, Matyldo?”.

Patrzył na własne dziecko z ogromnym zaskoczeniem. Zupełnie się nie spodziewał, że odeśle go do tego właśnie konta po wcześniejszej rozmowie na temat szkoły. Przecież to dwie zupełnie odrębne sprawy.

Rozdział 31

KOSMA WRÓCIŁ NA KOMISARIAT. Uruchomił komputer i wszedł na profil: „Gdzie jesteś, Matylde?”. Nie miał czasu, aby dokładnie przeglądać wpisy. Pospiesznie przeskakiwał wzrokiem z jednego postu na kolejny. W końcu trafił na interesującą wymianę zdań. Pierwsza wypowiedziała się Karina, blondynka o okrągłej buzi. To była koleżanka jego Agaty. Starsza o rok, ale dziewczyny się przyjaźniły, bo mieszkały blisko siebie.

„Matylda miała pięć lat, a Wioletka jedenaście. Pięć i jedenaście, kto lubi najbardziej te liczby? Czy ktoś rozwiąże tę zagadkę?”

Odpowiedzi udzielił Jasiek, kolega z klasy Agaty: „Wszyscy znają rozwiązanie tej zagadki”.

„Skoro wszyscy znają, to dlaczego nikt jeszcze nie podał, kto lubi pięć i jedenaście?” – pytała Natalia.

„Ja podam. Te liczby lubi pan P” – ten wpis umieścił Marcel.

Cztery kolejne młode osoby pisały: „Potwierdzam”, „Zgadzam się”. Następnie swój post wrzuciła Roma: „Przestańcie. Nie macie prawa. Może pan P ślini się na widok dziewczynek, ale to nie znaczy, że je gwałci i morduje. Obrzucacie błotem dobrego nauczyciela. Nie róbcie tego więcej”.

Aspirant Bielewicz nie kojarzył Romy. Wyglądała na starszą od pozostałych dzieci biorących udział w wymianie komentarzy. Do Romy zwróciła się Karina: „A kiedy będzie wolno nam mówić, kogo podejrzewamy? Kiedy? Gdy zginie Agata albo Marysia?”.

Roma znowu zabrała głos: „Niech Agata pogada ze swoim ojcem. Ma policjanta obok, to niech to załatwi, jak trzeba. A wy wszyscy pomyślcie, gdyby to was ktoś obrzucał błotem na Insta albo waszych rodziców. Byłoby fajnie?”.

Na to zareagowała Natalia: „Moi rodzice nie sugerują moim koleżankom, żeby pokazały cipkę, a pan P podobno tak mówi do uczennic”.

Roma w kolejnym wpisie umieściła tylko jedno słowo: „PODOBNO”. Wielkimi literami.

Kosma przestał czytać. Dowiedział się tego, co powinien. Pan P to Pitagoras, czyli Rafał Markowski, matematyk, syn dyrektorki. Spotkał go we wtorek w gabinecie Markowskiej, gdy przyszedł tam ustalać tożsamość ofiary z Anglit. Dobrze pamiętał tego młodego mężczyznę o sympatycznej twarzy i gibkim ciele, które nieustannie się poruszało z dużym wdziękiem, jak gdyby nauczyciel wykonywał taneczne ruchy. Uczniowie oskarżali go o zainteresowania pedofilskie, no i o zaginięcie Matyldy oraz śmierć Wioletki.

Bielewicz wierzył w szczerłość przeczytanych postów. To nie była zwykła nagonka na wymagającego nauczyciela. Poza tym Agata miała wypisaną na twarzy autentyczną odrazę, gdy mówiła o matematyku. Zastanawiał się jednak, na ile wpływ na wypowiedzi dzieciaków miały ostatnie wydarzenia z Pasłęka i Anglit. Wyobrażnia mogła ich ponieść.

Rafała Markowskiego nie było w rejestrze pedofilów. Co prawda nie przesądzało to o jego niewinności, bo znajdowały się tam wyłącznie nazwiska karanych przestępców seksualnych na dzieciach. Nie było go też w ten weekend w Anglitach, bo nie logował się tam jego telefon. Chociaż to też żaden dowód, bo mógł się do nich wybrać bez aparatu.

Należało Markowskiego przesłuchać i wyjaśnić kwestię oskarżeń wysuwanych przez uczniów.

Rozdział 32

– Gdzie jest teraz Markowski? – zapytał Kaptera.

Zmęczona mimika i mocne spojrzenie dominowały w twarzy komisarza.

– W szkole – odpowiedział Kosma.

– Skąd wiesz?

– Od córki. Widziała go tam, nawet z nim rozmawiała. Zatrzymał ją na korytarzu i wypytywał, dlaczego nie przyszła na sprawdzian.

– Czyli on nie ma świadomości, że uczniowie oskarżyli go w sieci o pedofilię i zamordowanie ich koleżanki?

– Tego nie wiem.

Kaptera podniósł się z krzesła tak energicznie, że to przesunęło się pod samą ścianę.

– No to jedziemy po niego.

– To nie jest dobry pomysł, żebyśmy wyprowadzali go ze szkoły.

Komisarz teatralnie przewrócił oczami.

– A co, chcesz mu wysłać zaproszenie na komisariat?

– Zadzwonię do niego i powiem, żeby tu przyszedł.

Zniecierpliwienie przemknęło przez twarz komisarza.

– To daj mu jeszcze kilka godzin, żeby zdążył się spakować i wsiąść do samolotu.

Aspirant wyciągnął telefon i zaczął wybierać numer Markowskiego. Nie miał zamiaru ulec presji komisarza i organizować wjazdu policji na placówkę edukacyjną

i wyprowadzać podejrzanego w kajdankach. To nie było potrzebne.

– Jeśli on ucieknie, to ty za tydzień będziesz przesuwiał skrzynki w Biedronce – warknął Kaptera.

– Markowski nie będzie uciekał – oznajmił spokojnie Kosma, przykładając słuchawkę do ucha.

Chwilę później przedstawił się, podając stopień policyjny, po czym służbowym tonem poprosił:

– Panie Rafale, proszę przyjechać na komisariat. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

– Ze mną?

Cień zaskoczenia położył się na tych dwóch słowach.

– Tak, z panem.

– Za dwie godziny kończę pracę. Wtedy przyjdę.

– Proszę być na komisariacie za dziesięć minut.

Policjant usłyszał na drugim końcu linii lekkie kroki, potem stuknęły drzwi.

– Aspirancie, wyszedłem z klasy. Proszę powiedzieć, po co mam przyjść na komisariat.

– Wzywamy pana w związku z oskarżeniami, jakie się pojawiły pod pana adresem w sieci.

– Ktoś mnie o coś oskarża? – zdziwił się matematyk.

– Są to poważne zarzuty. Musimy z panem wyjaśnić pewne kwestie.

– Okej. Myślę, że pani dyrektor będzie mogła zastąpić mnie teraz w klasie. Za piętnaście minut powinienem być u pana.

Czekali na matematyka, chodząc po pokojach. Nikt nie mógł usiedzieć w miejscu. Napięcie związane z niepewnością wisiało w powietrzu. Kosma bał się, że Kaptera mógł mieć rację i Markowski właśnie ucieka. Lepiej ukrywać się całe życie niż spędzić ćwierć wieku za kratami za przestępstwo na dzieciach.

Rozległ się huk, gdy komisarz uderzył pięścią w drukarkę. Zatrzymała się w połowie wydruku. Aspirant nie odważył się zwrócić mu uwagi, że to nie pomoże w naprawieniu urządzenia.

Pół godziny czekali na Rafała Markowskiego. Nauczyciel wbiegł do komisariatu lekkim krokiem, jak gdyby wkraczał na parkiet do tańca. Wyważony uśmiech wskazywał, że niczego się nie obawia. Rozglądał się z zainteresowaniem, gdy aspirant prowadził go na piętro.

– Nawet przytulnie tu macie – skonstatował.

– Nie narzekamy na estetykę – rzucił Kosma.

Weszli do pokoju, który służył im do przesłuchań. Jedno biurko, trzy krzesła i nic więcej, na czym przesłuchiwany mógłby zatrzymać spojrzenie. Czekał tu na nich Kaptera, opierając dłonie o blat i swoim zwyczajem prezentując szerokie barki. W minimalistycznie urządzonej wnętrze jego sylwetka wydawała się jeszcze większa, a męskie rysy wyjątkowo surowe.

– Jestem komisarz Piotr Kaptera. Będę pana przesłuchiwał wraz z aspirantem Bielewiczem.

Markowski przywołał na twarz powagę.

– Chyba nie będę mówił, że mi miło, bo okoliczności nie te.

Kosma wskazał mu krzesło. Nauczyciel usiadł. Nadal w jego ruchach dominowały lekkość i płynność tancerza. Zupełnie nie wyglądał na spiętego.

Komisarz przysunął do siebie klawiaturę.

– Proszę podać wiek, wykształcenie i miejsce pracy.

– Mam dwadzieścia siedem lat. Skończyłem matematykę na uniwersytecie w Białymstoku. Od dwóch lat uczę w szkole podstawowej imienia Władysława Jagiełły w Pasłęku.

– Był pan kiedykolwiek oficjalnie oskarżony z artykułu dwieście Kodeksu karnego? Pytam, czy był pan oskarżony z tego artykułu, a nie skazany. Bo to, że nie był pan skazany, to wiemy.

Matematyk lekko uniósł brwi.

– Nigdy o nic mnie nie oskarżano, czyli z tego artykułu też nie. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, jakiego przestępstwa dotyczy artykuł dwieście?

– Seksualnego wykorzystywania małoletnich.

– Aha! To jeszcze raz oznajmiam, że nie wnoszono przeciwko mnie żadnych oskarżeń z artykułu dwieście.

Aspirant Kosma Bielewicz zajął miejsce na szczycie biurka, oddalając się trochę z krzesłem, aby swoją obecnością nie rozpraszać żadnego z mężczyzn. Skoncentrował się na obserwowaniu Rafała Markowskiego. Ten nie okazał jakiegoś wyjątkowego zaskoczenia tym, że przesłuchanie będzie dotyczyło molestowania dzieci.

– Zna pan profil na Instagramie: „Gdzie jesteś, Matyldo?”? – zapytał Kaptera.

– Tak. Umieściłem tam nawet wpis. Wyraziłem nadzieję, że dziewczynka wkrótce się znajdzie.

– Wczoraj koło północy na tym profilu wypowiedzieli się pana uczniowie. Widział pan te wpisy?

– Nie.

Komisarz podał matematykowi wydruk komputerowy.

– Proszę się zapoznać, to kluczowa część tych komentarzy.

Markowski przez chwilę czytał, pocierając brodę i kiwając głową, jak gdyby przytakiwał swoim własnym myślom. Gdy skończył, odłożył kartki na blat.

– Pana uczniowie oskarżają pana o zachowania pedofilskie, ponadto o porwanie Matyldy Piątek oraz o wykorzystanie

seksualne Wiolety Nowak i pozbawienie jej życia.

– Mnie? – Pedagog wskazał palcem na swoją pierś. Uczynił to z naturalnym zdumieniem. – Tam nie ma mojego nazwiska. Ci instagramerzy pisali o jakimś nauczycielu i nazywali go panem P.

Kaptera posłał spojrzenie Bielewiczowi. Ten zrozumiał, że ma tę kwestię wyłożyć Markowskiemu.

– Moja córka jest pana uczennicą. To od niej wiem, że te komentarze dotyczą pana. Jest pan nazywany w szkole Pitagorasem. Pan P to Pitagoras.

– Uznajmy więc na razie, że pan P to ja – oznajmił spokojnie matematyk. – Domyślam się, że oczekują panowie ode mnie, że jakoś się wytłumaczę z tych zarzutów.

– Chodzi nam głównie o seksualne zachowania wobec małoletnich – potwierdził Kaptera, zerkając na monitor i przebierając palcami po klawiaturze.

Cały czas protokołował przesłuchanie. Sprawiał wrażenie, że sama czynność bardziej go zajmuje niż to, co ma do powiedzenia Markowski. Była to wyrachowana zmyłka policyjnego wygi. Nauczyciel miał uwierzyć, że wcale go nie podejrzewają o zamordowanie Wiolety Nowak. Chcą się tylko upewnić, czy zarzuty o pedofilię są prawdziwe.

– Nigdy nie molestowałem moich uczniów. Nigdy też wcześniej żaden uczeń nie sformułował wobec mnie takich oskarżeń. I właściwie tyle mam w tej sprawie do powiedzenia.

– Jak pan myśli, dlaczego uczniowie to napisali?

– Sądzę, że te ostatnie zdarzenia mają na to wpływ. Rodzice zapewne o tym mówią w domach, zastanawiają się, kto. No i dzieci też znalazły swojego sprawcę.

– A dlaczego pana? Przecież w szkole jest więcej mężczyzn. Dlaczego nie ksiądz albo wuefista? Aż tak pana nie lubią?

– Chyba nie w tym rzecz.

– A w czym? Proszę to nam wyjaśnić.

– Bardzo mi zależało na tym, żeby być innym nauczycielem, nie takim sztywniakiem. Jednocześnie lubię wymagać od uczniów. Musiałem pogodzić jedno z drugim, a nie było łatwo. Uznałem, że najlepszym sposobem będzie wypracowanie sobie kumpelskich relacji z dziećmi. Oglądam te same seriale, co oni, żeby potem mógł o nich pogadać. Gram w to, co oni. Mam konto na TikToku. Ostatnio wrzuciłem filmik, jak sprzątam po moim jamniku. Na Instagramie umieszczam fotki ubrań, które planuję sobie kupić, i proszę o opinie. Myślę, że mogłem przekroczyć granicę w tych relacjach. To mogło zachęcić uczniów, aby tak o mnie pisali.

Aspirant zdążył rzucić okiem na konta społecznościowe Markowskiego. Rzeczywiście bardzo przypominały profile nastolatków. Posty pisane językiem ocierającym się o slang, a zdjęcia robione z pomysłem. Nie brakowało też żartów z matematyki i grona pedagogicznego. Markowski naprawdę się starał. Nawet teraz prezentował się jak fajny gość, w tej granatowo-białej bluzie z designerskimi zamkami i kieszeniami i z ciekawym zegarkiem, który przyciągał wzrok fioletową połyskującą tarczą. Kosma dwadzieścia lat temu byłby zachwycony takim nauczycielem. Dlaczego więc matematyk nie odniósł sukcesu w zjednaniu sobie młodzieży?

– Posiada pan w domu treści pornograficzne z udziałem dzieci? – pytał dalej komisarz.

– Nie.

– Zgodzi się pan na przeszukanie mieszkania oraz komputera w celu ustalenia, czy jest pan w posiadaniu pornografii dziecięcej? Jeśli się pan nie zgodzi, to postaramy się o postanowienie prokuratorskie.

– Zgadzam się. Na pewno nic nie znajdziecie, bo nic takiego nie mam.

Komisarz zadawał kolejne pytania, jak gdyby odczytywał je z listy.

– Czy jest pan pedofilem? – rzucił lekko zniechęconym tonem, dając do zrozumienia, że jest to jedno z tych pytań, które musi paść, choć on wolałby go nie stawiać.

Markowski przełknął ślinę i poprawił się na krześle.

– Jestem na to chory – wymamrotał niewyraźnie.

Kosma w pierwszej chwili pomyślał, że nauczyciel ich informuje o przeziębieniu bądź czymś podobnym. Że zaraz poprosi o przełożenie przesłuchania na inny dzień, bo źle się czuje.

Kaptera oderwał dłonie od klawiatury.

– Czy mógłby pan powtórzyć?

Nauczyciel odchrząknął.

– Powiedziałem, że jestem chory na pedofilię.

W pokoju zapadła cisza. Nie przypuszczali, że Markowski się przyzna tak szybko. Liczyli się z tym, że potrwa to kilka dni. Że bez dowodów rzeczowych niczego nie osiągną, nie złamią go.

– Damy panu czas na znalezienie adwokata – oznajmił komisarz Kaptera. – Jutro rano będziemy kontynuować przesłuchanie. Może pan wrócić do siebie. Proszę też nie opuszczać Pasłęka.

Nauczyciel uśmiechał się nerwowo.

– Nie potrzebuję adwokata. Niczego złego nie zrobiłem. To nie ja zabiłem Wioletkę Nowak. To nie ja. Kontroluję swoją chorobę. Chodzę na terapię do profesora Markiewicza z Torunia. Spotykamy się raz na miesiąc. To bardzo dobry seksuolog. Profesor pomaga mi panować nad moim popędem.

Nikt mnie do tej terapii nie zmuszał. Ja sam chciałem. Do tej pory mi się udawało. Nigdy nie skrzywdziłem żadnego dziecka. Mówię wam o tym wszystkim, bo i tak byście się z czasem dowiedzieli.

Z zatroskanej twarzy pedagoga wyzierała prostolinijność. Wyglądał na dużego nieszczęśliwego chłopca, którego dotknęła poważna choroba, ale on z nią walczy, aby konsekwencje nie dotknęły nikogo więcej, a zwłaszcza bezbronnych dzieci.

Kosma powtarzał sobie w myślach, że to starannie wypracowany wizerunek dobrego pedofila, że nie może mu ulec. Niestety, zmartwiona i zarazem sympatyczna fizys nauczyciela robiła swoje.

Piotr Kaptera był bardziej odporny.

– A praca w podstawówce to w ramach terapii? – rzucił ostro.

– Profesor bardzo mi to odradzał. Tłumaczył mi, że to moje kumplostwo z uczniami to jest zachowanie pedofilskie. Ale ja przecież nie krzywdzę dzieci. Ja tylko uczę ich matematyki i jestem otwarty na rozmowy z nimi. W tym nie ma nic niewłaściwego.

Kosma przypomniał sobie twarz córki wypełnioną niechęcią i odrazą. A jednak musiało być coś niewłaściwego w zachowaniu matematyka.

– Czy dyrektorka wie o pana skłonnościach? – zapytał Bielewicz.

– Nie mogłem jej powiedzieć, to moja matka. Nikt nie wie o mojej chorobie poza profesorem Markiewiczem i teraz wami. Przysięgam, że nigdy nie złamałem prawa. Pracując w szkole, też nie łamię prawa, bo tylko pedofilom z wyrokiem nie wolno pracować z dziećmi. Naprawdę się kontroluję. Brałem nawet przez pewien czas leki hormonalne na obniżenie popędu, ale

musiałem je odstawić, bo źle się czułem. Byłem ciągle senny i zmęczony. Nie pozwalało mi to studiować.

Komisarz miał już dosyć tego podbijania wizerunku dobrego pedofila. Mocno uderzał opuszkami palców w klawisze, jak gdyby w tej części ciała koncentrowała się jego złość.

– Kiedy pan był ostatni raz w Anglitach? – zapytał ostro.

– W grudniu.

– A w ten weekend?

– Nie byłem.

– A gdzie pan był w sobotę?

– W domu i u mamy na obiedzie. W niedzielę też byłem u niej na obiedzie.

– A w niedzielę o dziewiętnastej? Gdy zaginęła Matylda Piątek, gdzie pan był?

– U siebie.

– Zna pan Weronikę Kowalik albo Juliana Piątka?

– Nie znam.

– Obserwował pan profile społecznościowe Weroniki Kowalik?

– Zajrzałem na jej konto na Instagramie po zaginięciu dziewczynki.

– I co pan sobie pomyślał?

– Że mógł ją porwać jakiś pedofil, bo taka słodka. Pomyślałem sobie też, że matka jest sama sobie winna. Po co umieszczała te wszystkie fotki?

Kolejne pytania komisarza były jak ciosy. Wydawało się, że nauczyciel zaraz się podda, padnie na deski i powie: Mam tego dosyć. Ten jednak dalej udzielał odpowiedzi.

– Kiedy pan widział ostatni raz Wioletę Nowak?

– W piątek w szkole, a może w czwartek, nie pamiętam dokładnie.

- Spotykał się pan z tą uczennicą poza szkołą?
- Nie.
- To po co był pan w grudniu w Anglitach?
- Żeby porozmawiać z panią Nowak. Wioleta miała złe relacje z ojczymem. Chciałem pomóc.
- Wioleta pana o to poprosiła?
- Nie. Ja sam.
- Czyli rozmawiał pan z tą uczennicą o jej prywatnych sprawach?
- Niezupełnie.
- Co to znaczy niezupełnie?
- Trochę ją wypytywałem. I usłyszałem, jak rozmawiała z koleżankami. Skarżyła się na partnera matki. Mówiła, że on jej nie toleruje w domu.
- Podśluchiwał pan uczennice?
- Nie podśluchiwałem. Po prostu coś tam usłyszałem.
- Dlaczego poświęcał pan tyle czasu Wiolecie Nowak?
- Nie poświęcałem jej więcej czasu niż innym swoim uczniom.
- Zabił ją pan?
- Nie.

Komisarz Kaptera nagle wstał.

- Aspirant Bielewicz będzie kontynuował przesłuchanie – oznajmił tym samym chłodnym tonem, którym zadawał pytania.

- To jeszcze nie koniec? – zdziwił się Markowski. – Przecież zapytaliście już o wszystko.

- Jeszcze wszystkiego nie wiemy. Proszę dać mi klucze do swojego mieszkania i samochodu.

Nauczyciel się zawahał. Wyjął jednak klucze z kieszeni kurtki przewieszanej przez oparcie krzesła i położył je na

brzegu biurka.

– Kluczyki od auta leżą w kuchni na kredensie. Rzadko jeżdżę samochodem. A moje audi stoi przed blokiem. Mam podać numer rejestracyjny i adres?

– Nie trzeba. Te dane już mamy. Kolega spisze później protokół przekazania kluczy.

Kaptera wyszedł, trzaskając drzwiami. Aspirant Bielewicz zajął jego miejsce i spojrzał na monitor. W protokole została już odnotowana zmiana przesłuchującego. Kosma przeniósł wzrok na zmęczoną twarz matematyka. Zada mu zaraz te same pytania, które postawił już Kaptera, tylko inaczej je sformułuje. Chodziło o to, żeby przyłapać nauczyciela na kłamstwie. Jeśli choć raz udzieli innej odpowiedzi, to będą go mieli. Będą mogli drażnić dalej, sugerując, że w tej kluczowej kwestii też mija się z prawdą.

Kosma uśmiechnął się. Postanowił być trochę miłszy niż komisarz, bardziej przyjacielski.

– Panie Rafale, czy utrzymuje pan kontakt z innymi osobami o takich samych co pan preferencjach seksualnych?

– Nie. Już mówiłem, że nikt o tym nie wie.

– Chodziło mi o znajomość internetową. Z naszego policyjnego doświadczenia wiemy, że pedofile łączą się w grupy, aby wymieniać się treściami pornograficznymi z udziałem dzieci. Może ma pan takich przyjaciół w sieci? Może wyjawiał pan komuś, że mieszka w Pasłęku i pracuje w podstawówce i któryś ze znajomych pomyślał, że wpadnie i skorzysta.

Markowski spojrzał wielkimi ze zdumienia oczami.

– Ja nie jestem taki – oznajmił z oburzeniem. – Panie aspirancie, proszę porozmawiać z córką. Ona przyzna, że

wobec niej nigdy nie zachowałem się źle. Inni uczniowie też to powiedzą. I Wioleta, gdyby żyła, też stanęłaby w mojej obronie.

Bielewicz nic nie powiedział, wskazał jedynie palcem na leżący na biurku wydruk komputerowy, pisemne zapewnienie uczniów Markowskiego, że ten lubi dzieci.

CZEŚĆ TRZYNASTA

Rozdział XX

DWULITROWE WIADERKO do połowy było zapełnione śliwkami.

- Zrobię śliwki marynowane z imbirem – oznajmił Rajmund.
- Do piezzonego mięsa będą rewelacyjne.

William wytarł pot z czoła.

- Ja je mrozę albo suszę.

Od kilku minut rwali śliwki dla Rajmunda. Wera się do nich nie przyłączyła, bo pogoda zbyt duszna. Siedziała na tarasie, a przy jej nogach leżał labrador. Powietrze rzeczywiście zdawało się dusić. Słońce przysłoniły już chmury, żar przestał się lać z nieba, ale wcale nie było lżej. Brakowało tlenu. Płuca pracowały jak miech kowalski, pozbawiając ciało sił fizycznych.

- Mogłaby już przyjść ta burza – sapnął William.
- Myślę, że będzie dopiero w nocy, ale to dobrze, zdążę dojechać do Sopotu.

Kruger wrzucił kilka śliwek do wiaderka.

- Słuchaj, Rajmund, mam do ciebie prośbę.
- No?
- Zabrałbyś Werę do Sopotu?
- Nie ma sprawy. Może ze mną jechać. Mam miejsce. Ty oczywiście będziesz w niedzielę na bankiecie?
- A nie wolałbyś, aby to Wera pojawiła się na tym bankiecie zamiast mnie?

Rajmund ugryzł śliwkę. Na moment przymknął oczy, jak gdyby się zastanawiał i na ten czas potrzebował symbolicznego odcięcia od rzeczywistości.

– Powiesz mi, o co chodzi? – zapytał po dłuższej pauzie.

– Wera jest rozwódką. Czuje się samotna. Pomyślałem, że może ty... Wydawało mi się, że ci się spodobała.

Rajmund zerwał kilka śliwek i wrzucił do wiaderka.

– Myślisz, że będzie wolała moje towarzystwo od twojego?

– Sądzę, że tak. Jeśli zaproponujesz jej wspólny pobyt w Sopocie, może się zgodzić.

Rajmund zagwizdał jakąś znaną melodię. W parnym powietrzu, przed burzą, brzmiała dziwnie, a nawet zatrważająco. Jak gdyby ktoś zanucił dziecięcą wyliczankę na cmentarzu. Wziął wiaderko do ręki.

– Wystarczy tych śliwek – oznajmił. – Idę pogadać z Werą.

Ruszył w stronę domu. Kriger patrzył za nim z uczuciem narastającego niepokoju. Tak naprawdę nic nie wiedział o tym człowieku. Poznał go zaledwie dwa miesiące temu. Od tamtej pory widzieli się tylko trzy razy. Pod swoim dachem miał teraz dwie obce osoby, po których mógł się spodziewać wszystkiego.

Rozdział XXI

WILLIAM OTWIERAŁ KOLEJNE SZAFKI i szukał naczynia, które mogłoby posłużyć za miskę dla psa. Potrzebne były dwie. Jedna na wodę, druga na pożywienie. Wszystkie wydawały mu się za małe. W końcu zdecydował się na plastikową i ceramiczną. Włożył jedną w drugą i wyszedł na taras.

Rajmund i Wera od razu umilkli. Nie chcieli, aby był świadkiem ich pogawędki. Kriger poczuł się jak intruz. Zalała go fala gniewu. Był w swoim domu. Miał prawo czuć się tu dobrze.

– Mogą być takie miski? – zapytał uprzejmie.

– Z tej plastikowej Torres zrobi sobie gryzak – oznajmiła Wera.

– Na razie mogą być – odezwał się Rajmund. – Ale pamiętaj, żeby kupić miskę ze stali nierdzewnej z gumową podstawą, żeby nie suwała się po podłodze.

William wrócił do kuchni i nalał wodę do ceramicznego naczynia. Coś tu się nie zgadzało. Jego podświadomość zarejestrowała jakąś sprzeczność, wyraźny dysonans. Odtwarzał w głowie wymianę zdań na temat misek i próbował uchwycić brak logiki. Gdy po raz kolejny wyszedł na taras, jego goście znowu umilkli. Postawił miskę z wodą i zagwizdał na labradora. Ten od razu podszedł i zaczął pić, głośno mlaskając.

Cykanie świerszczy nagle ucichło, powietrze zgęstniało, jakieś owady zawisły nad lasem. Kriger po chwili zrozumiał, że to tylko mroczyki, zaburzenie widzenia wywołane wysiłkiem.

Przy tej pogodzie każdy ruch wymagał zwielokrotnionego nakładu sił. Czuł się wyczerpany. I jeszcze ten niepokój i uczucie, że coś tu nie gra.

Wera powiedziała, że Torres z plastikowej miski zrobi sobie gryzak. Czy miała prawo tak powiedzieć? Zabrzmiało to, jak gdyby dobrze znała charakter tego psa. A może wszystkie psiaki traktują plastikowe miski jak gryzaki? Labrador przestał chłeptać wodę i podszedł do Wery. Wcześniej siedział przy nogach Rajmunda. Torres krążył między tą dwójką. Do Krigera podchodził dopiero wtedy, gdy ten go przyzywał. Ten pies ich znał. Z wielką ufnością kładł łeb na ich kolanach i patrzył na nich z psim oddaniem.

William usiadł przy swoich gościach. Może mu się zdawało, ale ci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Dobra, wystarczy tej zabawy. Mówcie, kim jesteście i co ode mnie chcecie.

Znowu wymienili spojrzenia. I milczeli.

– Chcę wiedzieć, kim jesteście i co tu robicie.

Rajmund parsknął krótkim śmiechem.

– William, co jest?

– To ja pytam, co jest?

Mężczyzna rzucił zaniepokojone spojrzenie Werze.

– Rozumiesz, o co on nas pyta?

Przytaknęła.

– Myślę, że William uważa, iż my nie jesteśmy tymi osobami, za które się podajemy, i nie przyjechaliśmy tutaj po to, o czym oficjalnie mówimy. Czyli ja nie przyjechałam po początek powieści, a ty wcale nie przywiozłeś Torresa.

– Ale ja go przywiozłem.

– Możesz zabrać psa – odezwał się Kriger. Miał napięte wszystkie mięśnie, mokry T-shirt i wilgotne dłonie. – Zabierz

też swoją współpracowniczkę.

– Współniczkę? Że niby Wera jest moją współpracowniczką?

Rajmund dobrze grał zdumienie. William był pewien, że to gra. Podniósł się i wolnym krokiem wszedł do domu. Starał się zachować spokój. Grunt to być pewnym siebie. Jego telefon leżał na wyspie kuchennej. Podniósł go i stanął w drzwiach na taras, wymierzając obiektyw w swoich gości. Tej dwójce bardzo zależało na anonimowości, dlatego nie chcieli pozostawić linii papilarnych i dlatego Wera ukradła mu podpisaną przez siebie umowę. Będzie od nich sprytniejszy. Zrobi im zdjęcie i upubliczni ich wizerunek na swoim profilu. To będzie jego zabezpieczenie na wypadek, gdyby mieli wobec niego złe zamiary. Nie zdążył pstryknąć fotki. Rajmund gwizdnął i wskazał na niego ręką. Wtedy spokojny dotąd labrador rzucił się na nogi Williama z takim impetem, że ten się zachwiał. Rajmund był już przy nim i wyrwał mu aparat. Wera odstawiła szklanę na stół.

– I po co to? – zapytała ostro.

– Ludzie, czego wy ode mnie chcecie? Kim wy, kurwa, jesteście?

Wera była blada. Krople potu zebrały się jej nad górną wargą.

– Jesteśmy rodzicami Matyldy.

– Co? Rodzicami Matyldy? Tej osiemnastoletniej? Chcesz powiedzieć, że jesteście małżeństwem?

– Tak.

William ścisnął dłońmi głowę, jak gdyby chciał ją powstrzymać przed rychłym rozpadnięciem się na kawałki. Spojrzał na stojącego obok Rajmunda. Ten facet na pewno nie miał więcej jak trzydzieści lat.

– Mam uwierzyć, że jesteś ojcem osiemnastolatki?

– Tak.

Krigerowi wydawało się, że pojmuje wszystko, ale za chwilę nie rozumiał już nic. Jego wyczerpany umysł wpadał w chaos dziwności i absurdu, a jednocześnie domagał się sensownych wyjaśnień.

– Dobra, jesteście rodzicami jakiejś Matyldy, i co z tego?

Wera wstała zza stołu.

– Nasza córka zaginęła.

– Aha, zaginęła – oznajmił z uczuciem, że zaginięcie brzmi bardzo znajomo.

– Tak, zaginęła, a ty coś o tym wiesz.

William czuł, jak ze zdumienia wychodzą mu oczy z orbit.

– Ja? Powariowaliście? Co ja mogę o tym wiedzieć?

– Powiedz nam, gdzie jest nasze dziecko, a sobie pójdziemy – odezwał się Rajmund.

– Boże! Ludzie! Dlaczego uważacie, że ja mogę coś wiedzieć?

– Bo tropy prowadzą do ciebie – odpowiedziała Wera.

– Jakie tropy?

– Jej telefon logował się właśnie tutaj, w Dawidach. A ty się z nią znałeś. Jesteś jedyną osobą tutaj, którą ona знаła, czyli przyjechała do ciebie. To było dwa miesiące temu.

Głos Wery drżał, wargi również. Torresowi udzieliły się emocje, bo zaskomlał żałośnie. Świerszcze ponownie zaczęły cykać, ale na jakiejś dziwnej zwielokrotnionej skali. Parne powietrze dusiło.

– Skąd miałbym znać waszą córkę?

– Z warsztatów literackich na Uniwersytecie Warszawskim. – Rajmund wyjął z kieszeni na piersi zdjęcie i podsunął je Williamowi pod oczy. – To ona.

Kriger wzdrygnął się. Wszędzie rozpoznałby te duże ciemne oczy i tę drobną nieco trójkątną twarz. Nie wiedział, że ma na

imię Matylda. Po prostu tego nie zapamiętał, a może przedstawiła mu się innym imieniem? Miał w pamięci delikatny dotyk jej dłoni i ruch pełnych warg, gdy do niego mówiła. Cudowny był ten moment, gdy pili kawę z jednego papierowego kubka. Przyszło mu wtedy do głowy, że to jak w komedii romantycznej. Wykładowca i kursantka w niecodziennej sytuacji.

– Nie znam jej – oznajmił. – Nigdy jej nie widziałem.

Zaprzeczył automatycznie. Nie mógł się przyznać do znajomości z piękną brunetką. Jeśli to zrobi, to jej rodzice nie dadzą mu spokoju. Niestety, mimika go zdradziła. Jego twarz powiedziała im prawdę.

– Kłamiesz! – krzyknęła Wera. – Przecież widzę, że ją pamiętasz.

– Może była na moich warsztatach, może nawet z nią rozmawiałem, ale tam było ponad czterdziestu uczestników, przeważnie młode kobiety. Nie pamiętam waszej córki.

– Gdzie jest Matylda? – zapytał Rajmund.

– Nie wiem. Nie pomogę wam. Przykro mi.

– Gdzie jest Matylda? – Teraz pytanie zadała Wera.

– Jeśli tropy, jak mówicie, prowadzą do mnie, to dlaczego nie było u mnie policji?

– Policja. – Rajmund prawie wypluł to słowo. – Oni nic nie robią. Tylko czekają, aż zaginiony się sam znajdzie.

– Przemawia przez ciebie strach o córkę – oznajmił William. – A w ogóle to po co to całe przedstawienie, te podchody, to zamawianie początku powieści i przywożenie psa? Nie lepiej było przyjechać, przedstawić się prawdziwym nazwiskiem i zapytać, czy wiem, gdzie jest wasza córka?

Wera przybliżyła się do niego.

– Nie byłoby lepiej, bo przecież nie powiedziałbyś prawdy, do niczego byś się nie przyznał. Wymyśliliśmy więc, że się z tobą zapoznamy, zaprzyjaźnimy. Może cię sprowokujemy, może coś zaobserwujemy.

– I co, udało się wam? – rzucił Kriger z wyraźnym sarkazmem.

– Tak. Przyznałeś się, że rozpoznałeś we mnie matkę Matyldy i że wiesz o jej zaginięciu.

– Ja się do tego przyznałem? Chyba coś ci się pomieszało.

Stanowczym ruchem odsunął od siebie Werę, bo stała już zbyt blisko.

– Tak, przyznałeś się w powieści, którą piszesz na moje zlecenie. Niby dlaczego piszesz o zaginięciu Matyldy? I te imiona, Weronika i Matylda, matka i córka. To przecież informacja dla mnie, że wiesz, kim jestem i po co tu przyjechałam.

William nie dowierzał temu, co usłyszał. Trwogą napawało go nienawistne i zdecydowane spojrzenie Wery. Niepokoiła go też milcząca postawa Rajmunda. Ten facet powinien powiedzieć swojej żonie, że przesadza w ocenie faktów.

– To tylko fikcja literacka – oznajmił bez przekonania.

Tracił siły, parne powietrze go dusiło. Ta dwójka przytłoczyła go swoją desperacją w działaniu. Nie potrafił się im postawić. Cokolwiek powie, cokolwiek zrobi, oni nie odpuszczą, nie odejdą.

– Gdzie jest Matylda? – zapytał Rajmund.

– Nie wiem – odpowiedział William.

Cykanie świerszczy oddalało się i przybliżało. Powietrze gęstniało. Torres skomlał.

– Jeśli nie chcesz powiedzieć, to może nam to napiszesz? – odezwała się Wera. – Pisanie dobrze ci idzie. Napisz w końcu,

że Matylda się odnalazła i gdzie.

Kruger przytaknął. Potrzebował czasu, aby przemyśleć swoją sytuację. Musi wymyślić, jak pozbyć się tych ludzi i przy tym nie pogrążyć samego siebie. Na pewno nie chciał wzywać policji. Obawiał się, że może trafić na zbyt dociekliwego funkcjonariusza. Na razie zgodzi się na napisanie ciągu dalszego książki, a potem coś zaplanuje.

CZEŚĆ CZTERNASTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 33

GDY TWOJE DZIECKO ZAGINIE, zastanawiasz się, czy można było uniknąć tej tragedii. Co zrobiłeś źle? I dochodzisz do wniosku, że wszystko zrobiłeś źle. Nawet narodziny potomka były błędem.

Aspirant Kosma Bielewicz przeglądał protokół z przesłuchania Rafała Markowskiego, jak gdyby miał nadzieję, że wyczyta z niego coś więcej niż to, co zapisało się w jego pamięci. Może jednak nauczyciel czymś się zdradził, a im to umknęło. Zza ściany dobiegał ciężki kaszel. Kosma przeszedł do sąsiedniego pokoju. Ścisnęło mu się serce na widok kolegi. Karol miał zaczerwienione białka oczu i posiniałe wargi. Każdy miesiąc mimiczny informował o wyczerpującej chorobie.

– Może jednak pójdziesz na zwolnienie?

– Pójdę, jak dorwiemy sprawcę. – Zakaszłał. – Rozmawiałem z lekarzem Piątka.

– No i co?

– Na razie nie ma żadnych szans na przesłuchanie Juliana. Faszcerują go lekami, to niby na wyciszenie, żeby emocje z niego zeszły. Powiedz lepiej, co z Markowskim.

– Markowski jest pedofilem.

W zmęczonym spojrzeniu Karola pojawiło się ożywienie.

– A jednak. I co teraz?

– Szukamy dowodów, że zabił Wioletę Nowak. No i musimy sprawdzić, czy ma coś wspólnego z zaginięciem Matyldy Piątek. Kaptera jest teraz w jego mieszkaniu. Zaraz powinien

wrócić z komputerem i telefonem Markowskiego. Może coś nam da zabezpieczenie śladów w jego samochodzie. Jeśli to on uprowadził Matyldę, to musiał posłużyć się autem.

Zadzwoił telefon na biurku. Jaskółka odebrał i przez chwilę słuchał.

– Igor Malik na ciebie czeka w portierni – oznajmił, odkładając słuchawkę.

Kosma nie był zaskoczony. Świadkowie i nawet podejrzani często przychodzili po raz kolejny na komisariat, bo coś im się przypomniało, że czegoś nie powiedzieli albo powiedzieli nie tak, jak było i uważali, że muszą to natychmiast sprostować.

Zszedł do portierni i zobaczył Igora w towarzystwie dwóch mężczyzn. To było dziwne, że ten kogoś przyprowadził.

– To moi sąsiedzi, Mariusz Leśniak i Jarek Piecuch – oznajmił Malik.

– W jakiej sprawie przychodzicie?

– Mamy bardzo ważne informacje – oznajmił Igor.

Towarzyszący mu mężczyźni przytaknęli.

– Mówcie! Słucham.

Malik się rozejrzał. Wyraźnie nie pasowało mu, że nie zaprowadzono ich do osobnego pomieszczenia.

– Wiemy, kto zrobił to Wioli – powiedział szeptem.

Do komisariatu wszedł Piotr Kaptera. Podszedł do nich.

– Co tu robisz? – zwrócił się do Igora.

Ten obrócił się w stronę komisarza.

– To nauczyciel z jedyńki zabił moją Wiołę. Nazywa się Rafał Markowski.

Igor uważnie przesuwiał wzrokiem po twarzach policjantów. Jego towarzysze robili to samo. Spodziewali się, że ich słowa wywołają wielką reakcję, tymczasem komisarz i aspirant zachowali spokój.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Kaptera.

– Dzieciaki we wsi o tym mówią.

– Znamy sprawę – wtrącił Bielewicz. – Sprawdzimy ten trop. Właściwie już to robimy. Rozmawialiśmy z Markowskim. Złożył wyjaśnienia. Śledztwo trwa. Zbieramy dowody. Dziękuję panom za informację. Możecie wracać do domu.

– A czy dzieci są bezpieczne? – zapytał najstarszy z mężczyzn.

– Tak, są bezpieczne. Wracajcie do siebie.

Mężczyźni wymienili niepewne spojrzenia, po czym opuścili komisariat.

Rozdział 34

W ZLEWIE ZALEGAŁY brudne talerze. Pudełka po pizzy i paczki po fajkach przewalały się po kuchni, a puste butelki po alkoholu turlały się po całym mieszkaniu. Igor Malik patrzył na to i czuł się jak świnia w chlewie. Nie miał siły, żeby posprzątać. Nawet nie otworzył okna, aby wywietrzyć dym papierosowy. Wiedział, że zaraz przyjedzie Dorota wraz z ich synem. Powinien ułatwić jej znalezienie się w mieszkaniu, w którym nie ma już Wioli. Nie był jednak w stanie nic zrobić. Intuicyjnie przeczuwał, że gdyby nawet wysprzątał kuchnię na błysk, to i tak nie pocieszy to jego kobiety. Ona i tak mu nie wybaczy. Po co się więc starać? Głowa mu pękała od wypitej wódki i wypalonych fajek. Ścisnął dłońmi skronie i jęknął.

Przekręcił się klucz w zamku. Towarzyszący temu zgrzyt był jak cięcie nożem po obnażonym układzie nerwowym. Zatrząsał się i skulił.

Do kuchni weszła szwagierka, Magda. To ona pojechała do szpitala po Dorotę. To ona opiekowała się Maćkiem przez ostatnie trzy dni.

– Cześć – rzuciła, stawiając torbę na taborecie. – Obrzuciła pomieszczenie szybkim spojrzeniem. – Trzeba tu posprzątać – skonstatowała.

– Ano trzeba – zgodził się.

Chciał już zapewnić, że zaraz się tym zajmie, że wypoleruje każdy fragment blatu i nawet wytrze tłuszcz z kratki wentylacyjnej, o co od wielu tygodni prosiła go Dorota. Milczał

jednak, bo żadne słowo nie miało sensu. Żadnym zapewnieniem nie naprawi świata, nie cofnie czasu.

– Jesteś pijany? – zapytała szwagierka.

– Nie. Dzisiaj nie piłem.

– To dobrze. Zaraz wam posprzątam. Jeśli będziecie chcieli, to zostanę na noc.

– Nie musisz zostawać – oznajmiła Dorota, wchodząc do kuchni.

Trzymała w ramionach zaspanego Maćka. Posadziła go na brzegu stołu i zaczęła zdejmować mu puchowy kombinezon.

Malik poszukał wzrokiem jej oczu. Przymknęła powieki i odwróciła się do niego plecami. Maciek zaczął płakać.

– Daj mi go! – Magda wyciągnęła ręce po siostrzeńca. – Zajmę się nim, położę do łóżka, a wy porozmawiajcie. To was nie minie. Załatwcie to dzisiaj, póki ja tu jestem.

Wyszła z kuchni, tuląc chłopca.

Świat się zatrzymał, kadr znieruchomiał, plecy Doroty nie drgnęły. Igor chciał, aby ta pauza trwała całe wieki, żeby nie musiał zderzać się z rozpaczą swojej kobiety, jej żalem i gniewem. Niestety, życie toczyło się dalej. Dorota obróciła się i stanęła naprzeciw niego. Jej szczupła twarz z zadartym nosem wyglądała jak odbita w brudnym i popękkanym lustrze. Oczy dziwne, zamglone zapadły się w głąb czaszki. To była już inna kobieta. Cierpienie zmieniło ją na zawsze, pozbawiło pewnej łagodności w rysach i zapewne w osobowości. Igor najchętniej wybiłby sobie wszystkie zęby jednym mocnym ciosem, żeby tylko poczuć coś innego niż ogromne wyrzuty sumienia.

– Wybacz mi. Proszę – wyszeptał nieśmiało i bez przekonania, że jego prośba spotka się z pozytywną reakcją.

Westchnęła i nic nie powiedziała, choć wydawało mu się, że zaraz wykrzyczy mu swój ból i żal.

– Jestem śmieciem. Nie dopilnowałem jej. Jeśli powiesz, że mam się spakować i wypierdalać, to zrobię to. Błagam, powiedz coś.

– Dostałam skierowanie na terapię. Podobno ma mi pomóc.

Patrzyła na niego zapadniętymi i smutnymi oczami.

– Żadna terapia ci nie pomoże – oznajmił ze współczuciem.

Zgodziła się z nim ruchem głowy.

– Mam się pogodzić z tym, że Wiola nie żyje. Mam się poświęcić synowi i pamiętać, ile radości dała mi córka. Tak powiedział lekarz. Taki dał mi przepis na dalsze życie. Według nich to proste, według mnie nie.

Zacisnęła dłonie w pięści i przysunęła je do twarzy. Igor zbliżył się do niej.

– Zrobię wszystko, żeby ci ulżyć. – Rozpłakał się. Gorące łzy lały mu się po policzkach. – To też była moja córka. Kochałem ją.

– Jest we mnie tyle złości – wyszeptała Dorota. – Na ciebie, na cały świat, na tego zwyrodnialca. Ja cierpię, a on sobie chodzi po ziemi. Dlaczego Wiola? Dlaczego akurat ją musiał napaść? Dlaczego nie zadowolili się tą małą Matyldą? Proszę, Igor, zrób coś, żebym nie zwariowała z rozpaczy.

Oparła głowę na jego ramieniu i się rozszlochała. Nie miał odwagi jej objąć.

– Zrobię wszystko – zapewnił. – Potrzebuję tylko trochę czasu. Dorwę tego zwyrodnialca.

– Tak, zrób to! Chcę, żeby on umierał ze strachu, żeby czuł to, co moja córeczka.

Rozdział 35

MALIK WALIŁ PIĘŚCIAMI W drzwi Mariusza Leśniaka. Tamten w końcu otworzył.

– Co jest, Igor? Upiłeś się?

– Nie. Jestem trzeźwy jak niemowlę w żłobku. Potrzebuję twojej pomocy.

Sąsiad popatrzył nieufnie.

– Jeśli szukasz kumpla do kieliszka, to ja nie mogę. Do roboty jutro idę.

– Nie o to chodzi. Wpuścisz mnie?

Mariusz obejrzał się za siebie. Był pantoflarzem. Robił głównie to, na co pozwalała mu żona.

– Wchodź! Tylko zachowuj się cicho.

– Kto przyszedł? – dobiegło kobiece wołanie z pokoju.

– To Igor. Pogadamy chwilę i zaraz do ciebie wracam.

– Zrób mu kawę!

– Dobrze, zrobię. – Weszli do mikroskopijnej kuchni. Mariusz wydzielił z tego pomieszczenia pokój dla syna. To, co zostało, pomieściło dwupalnikową kuchenkę, jednokomorowy zlew i niedużą lodówkę. – Chcesz kawy? – zapytał, zerkając na elektryczny czajnik wciśnięty pod parapet.

– Nie.

– No to mów, z czym przychodzisz.

– Dorota dzisiaj wróciła.

Niedokładnie ogolona twarz Mariusza skurczyła się w wyrazie współczucia.

– Trzyma się jakoś?

– Jest załamana.

Sąsiad westchnął.

– Przyjdziemy na pogrzeb. Już wiecie, gdzie ją pochowacie i kiedy?

– Nie mam pojęcia. Tym zajmie się Magda, siostra Doroty.

– Dobrze, że macie Magdę. Wspaniała dziewczyna. A mówiłem ci, że kiedyś się w niej kochałem?

– Mówiłeś. Gdybyś się z nią ożenił, byłibyśmy rodziną. Wtedy na pewno byś mi pomógł. Ale mam nadzieję, że sąsiadowi też nie odmówisz.

– Czego?

Mariusz uciekł wzrokiem w stronę słoików na półce. Najwyraźniej obawiał się, że Igor wciągnie go w kłopoty.

– Muszę ulżyć Dorocie. Zrobić coś, żeby się jej łatwiej cierpiało.

– A to się da?

– Tak. Już wiem, co mam zrobić.

– Co takiego?

– Zmuszę tego zwyrodnialca, żeby się przyznał.

Sąsiad poprawił rozciągnięte dresy i potarł nasadę nosa.

– Niegłupi pomysł. Nie mogę sobie darować, że go nie zamknęli. Wiesz, co powiedział mi syn?

– Co?

– Że ten matematyk dzisiaj przyszedł do szkoły. To tak jakby wpuścili lwa do klatki z jagniętami. Coś tu, kurwa, jest nie tak.

Malik przytaknął. To rzeczywiście było nienormalne. Uczniowie głośno alarmowali, że uczy ich pedofil, a policja to olała.

– Czy Dorota wie, że to ten nauczyciel zabił Wioletę? – zapytał Mariusz.

- Nic jej nie powiedziałem.
 - Dlaczego?
 - Bo musiałbym też powiedzieć, że gliniarze go przesłuchali i wypuścili, bo się, kurwa, łaskawie nie przyznał.
- Sąsiad pokiwał głową ze zrozumieniem.
- Jak chcesz go zmusić do przyznania się?
 - Po prostu każę mu zrelacjonować, co zrobił. Nagram to telefonem i potem przekażę policji.
 - Każesz mu i on to zrobi? Przyzna się?
 - Jeśli będzie trzeba, to mu nakreślę niezbyt ciekawą przyszłość. Ale muszę mieć pomocnika. Sam go nie zdołam nastraszyć. Pomożesz mi?
- Mariusz schował dłonie do kieszeni dresów. Przez tkaninę widać było, że nerwowo przebiera palcami, jak gdyby coś ugniatał.
- Igor, zastanów się jeszcze. Takie wymuszone zeznania nie będą ważne. Może niech lepiej policja się nim zajmie.
 - Oni go już mieli w swoich rękach. I wypuścili. Poza tym to nie ma znaczenia, że wymuszone przyznanie się do winy będzie głównie warte w sądzie. Chodzi o to, żeby on pękł. Jeśli nam wyśpiewa ze szczegółami, co zrobił Wioli, to potem powtórzy wszystko psom i to zeznanie będzie ważne. My musimy go złamać. Muszę to zrobić dla Doroty i dla Wioli. Ty na moim miejscu też byś dopadł tego zwyrodnialca. To co? Idziesz ze mną?
 - Teraz?
 - A na co mamy czekać?
 - Nie powinniście czekać – padło z ciasnego przedpokoju.
- Chwilę później o futrynę oparła się Gosia, żona Mariusza. Zdawała się nie pasować do tandetnego mieszkania i do męża w spranym dresie. Zadbane włosy lśniły zdrową czernią, skóra

pod oczami była napięta od kosmetyków, a biała bluza z podwiniętymi niedbale rękawami wyglądała na drogą i nową.

– Dobrze, że chcesz Dorocie ulżyć w taki sposób. Powinno jej to pomóc. Poza tym powinieneś jakoś się zrehabilitować.

Igor widział w Gosi sprzymierzeńca dla swojego planu.

– Zgadzasz się, aby Mariusz mi pomógł? – zapytał, wiedząc, że sąsiad robi to, co zaakceptuje jego żona.

– Zgadzam się. – Spojrzała na męża. – Kochanie, prawda, że nie zostawisz Igora samego w tak trudnej sytuacji?

– Oczywiście, że mu pomogę, ale tak sobie myślę, że nas dwóch to za mało. Ten bydlak musi czuć naszą siłę, żeby od razu się przyznał. Nawet nic nie będziemy musieli mówić. Zobaczy nas i pęknie. Myślę, że Jarek Piecuch też powinien wziąć w tym udział.

Igor już wcześniej o tym pomyślał. Jarek był dwa razy starszy od nich. Biła od niego powaga i zwykle kierował się zdrowym rozsądkiem. Ktoś taki był potrzebny w tej akcji. Wczoraj do nich dołączył i pojechał z nimi na komisariat. We trzech też powinni zająć się tym degeneratem.

Rozdział 36

JAREK PIECUCH HODOWAŁ ALPAKI. Wielu pasłęczan znało jego alpakarnię, w której znajdowało się około dwudziestu zwierząt. Za parę złotych można było wypożyczyć alpakę i iść z nią na spacer. I przy okazji zrobić sobie sesję fotograficzną z wełniastym zwierzakiem. Dlatego najczęściej przyjeżdżali tu ludzie z dziećmi. Igor Malik też znał alpakarnię. Przychodził tu z Dorotą i Maćkiem, czasami dołączała do nich Wiola. Chociaż ona wolała przytulać się do alpak w towarzystwie swoich koleżanek.

Igor i Mariusz stanęli przed ogrodzeniem. Podeszły do nich dwie czarne alpaki. Malik pochylił się i pogłaskał miękką i długą sierść jednej z nich. Z murowanego budynku wyszedł chłopak w czarnej bluzie. Uwagę zwracały jego młodzieńcze wąsy.

– Jest Jarek? – zapytał Mariusz.

Chłopak się odwrócił i zawołał w głąb alpakarni:

– Ojciec, to do ciebie.

W drzwiach budynku stanął Jarek w zimowej czapce mocno naciągniętej na uszy.

– Wchodźcie! Zapraszam. Zibi, wpuść panów!

Chłopak otworzył furtkę. Alpaki nauczone towarzystwa ludzi, od razu się do nich zbliżyły. Pozostałe unosiły głowy i przyglądały się spokojnymi oczami.

– Właśnie ważymy maluchy – oznajmił Jarek, wskazując na wagę.

– My na krótko. Nie będziemy przeszkadzać – zakomunikował Malik.

– Nie przeszkadzacie. Mówcie, z czym przychodzicie! Bo chyba nie po to, żeby sobie strzelić fotkę z alpaką.

– Już mamy takie zdjęcia – odezwał się Mariusz.

Weszli do pomieszczenia, gdzie stała waga z drewnianą platformą. Igor przysiadł na belce, wystającej ze ściany.

– Chcę przesłuchać tego zwyrodnialca. Nagram to przesłuchanie na telefon i dostarczę je policji.

Jarek ściągnął czapkę i wcisnął ją do kieszeni. Czuło się w tej czynności rozdrażnienie i obawę.

– Czyli chcesz się zabawić w organy ścigania?

– Skoro psy sobie nie radzą... Nie mam wyboru.

Do alpakarni wszedł Zibi. Prowadził młodą alpakę. Poklepując ją po grzbiecie, skłonił do wejścia na platformę wagi.

– Czterdzieści pięć kilogramów – zawołał. – Ta chyba przybrała najwięcej.

– Synku, zapisz wagę. Ja teraz rozmawiam z panami.

Chłopak wziął od ojca tablet.

– Zakładasz, że on się przyzna? – Jarek powrócił do tematu.

– Tak.

– I chcesz, żebym wziął w tym udział?

– Tak. Sam tego nie przeprowadzę. Mariusz zgodził się mi pomóc. Ale jeśli będzie nas więcej, łatwiej będzie całość zorganizować.

– A jeśli się nie przyzna?

– Zrobi to. Nie będzie miał wyjścia.

– Chodzi mi o to, że może to jednak nie on. Nie mamy stuprocentowej pewności. Policja go przesłuchała i wypuściła.

Ciebie też wypuścili, bo nic na ciebie nie mieli. Może on ma mocne alibi, może to nie on.

Zibi przysłuchiwał się, uderzając butem o betonową posadzkę. Młoda alpaka przeszła do pomieszczenia obok i dobrała się do siana w żłobie.

– Ojciec, to on. To na pewno on, ten nauczyciel. Ja go wtedy widziałem.

Chłopak spuścił głowę, jak gdyby zawstydził się swoich wypieków na policzkach.

– Gdzie go widziałeś?

– Tutaj w Anglitach. To było w sobotę. Wtedy, gdy Wiola... No to wtedy obczaiłem, jak biegł przy lesie. Sorki, że nie powiedziałem tego wcześniej, ale nie chciałem się mieszać.

Ta informacja zelektryzowała Mariusza, jak gdyby cały czas czekał na jakiś mocny dowód na winę nauczyciela i teraz go otrzymał.

– Wybiegał z lasu? Widziałeś to? Naprawdę?

– Nie z lasu. Biegł skrajem. I nie wyglądało na to, że ucieka. Pomyślałem, że to jogging. Miał sportowe buty, dlatego pomyślałem, że trenuje biegi. No i się nie spieszył. Dawał równym tempem.

Chłopak denerwował się. Spoglądał na ojca, ale częściej wbijał wzrok we własne stopy. Nie mógł ustać w miejscu. Pstrykał też palcami prawej dłoni. Od momentu, gdy zaczął mówić o nauczycielu, przeistoczył się w kłębek nerwów.

Mariusz znowu poprawił czapkę.

– No to mamy świadka. Ten bydlak będzie musiał się przyznać, gdy mu powiemy, że był widziany, jak biegał koło naszego lasu. No to co, Jarek? Idziesz z nami na tę akcję?

Mężczyzna przytaknął.

– Ale pamiętajcie, bez przemocy. To nie ma być zemsta. Tylko z nim porozmawiamy.

Malik zgodził się ruchem głowy, bo to do niego skierowane były te słowa.

– Zibi, na razie nie mów nikomu, na co się z panami umówiłem – zwrócił się do syna.

– Jasne, nic nikomu, ale potem pokażecie mi to nagranie? Co nie?

– Pokażemy – zapewnił Mariusz.

Chłopak chciał kopnąć drobny kamyk, ale nie trafił. Machnął jedynie nogą w powietrzu.

– Pójdę po następnego malucha.

Wyszedł z pomieszczenia. Mariusz odprowadził go wzrokiem.

– Wszystkie dzieciaki są takie poddenerwowane. Moje też – mruknął.

– Zibi nie jest już dzieciakiem. Ma dziewiętnaście lat. Moich synów ten matematyk na szczęście nie uczył.

Igor przymrużył oczy. Coś mu tu nie grało. Skoro Zibi nie był uczniem Markowskiego, to czy mógł rozpoznać pedagoga z daleka i w dodatku biegnącego? Może tak, może nie. Nie chciał się nad tym w tej chwili zastanawiać. Będą mieli matematyka w swoich rękach, to się wszystkiego dowie.

Jarek przegonił dorosłą alpaka, która weszła do pomieszczenia z wagą. Ta wycofała się niespiesznym krokiem.

– No dobra, chciałbym poznać wasz plan co do nauczyciela. Jak to zamierzacie zrobić?

Rozdział 37

KRÓLOWĄ NOCY OKAZAŁA SIĘ okołoczterdziestoletnia kobieta ze zmęczoną twarzą i wychudzoną sylwetką. Nie chciała się spotkać z Dizelem. Napisała mu, że wszystko, co ma do powiedzenia na temat tajemniczego czarnego auta, zrelacjonowała w sieci. Długo ją namawiał, a ostatecznie przekonał wyrazem wdzięczności w postaci kilku banknotów. Umówili się w parku, przy pierwszej ławce. Przyszła z koleżanką, ale ta trzymała się z dala. Górecki podszedł do kobiety i podał jej pieniądze. Przeliczyła i schowała do torebki.

- Co pan chce wiedzieć?
- Kiedy widziała pani ten czarny samochód?
- Dzień przed zaginięciem Matyldy, koło szesnastej.
- Jechał bez świateł?
- Tego nie napisałam. Napisałam, że jechał powoli.
- Napisała pani, że jechał powoli i bez świateł.
- Nieprawda.

Zaczerwieniona od mrozu twarz kobiety wyrażała oburzenie.

– Powinna pani przed spotkaniem ze mną przeczytać swój wpis. Mogę go teraz znaleźć. Na pewno było w nim o tym, że samochód jechał bez włączonych świateł.

Wyciągnął telefon, jak gdyby zamierzał szukać rzezonego postu.

– Może faktycznie tak napisałam po to, żeby zwrócić uwagę na ten wóz. Ostrzec przed nim matki z dziećmi. Tak naprawdę poruszał się z włączonymi światłami, ale bardzo powoli.

Królowa Nocy zerkała na przekrzywionego bałwana, któremu tradycyjnie zrobiono nos z marchewki a ręce z gałązek. Unikała patrzenia na detektywa. Może krępowało ją to, że wzięła kasę za tę rozmowę. A może nie mówiła prawdy. Damian obserwował ją bez żadnego skrępowania. Zauważył, że się wystroiła: popielaty płaszcz, kremowy szal, skórzane rękawiczki. Rzeczy te wyglądały jednak na znoszone.

– Czarne auto jechało wolno ulicą, przy której pani mieszka, i to było takie niezwykle, że aż zwróciła pani na to uwagę?

– Tak.

– To znaczy, że inne samochody na tej ulicy nigdy nie zwalniają? To naprawdę jest takie niesamowite, że jakiś wóz jedzie powoli? I trzeba przed nim ostrzegać cały Pasłęk?

– Ale ten był czarny.

– A co to za różnica, że czarny, a nie zielony?

– Przecież czarnym wozem poruszał się porywacz Matyldy.

– Skąd pani o tym wie?

Kobieta cofnęła się o krok i skrzyżowała ramiona na piersiach. Z jej nosa wydobywały się obłoki pary. Nie czuła się komfortowo zarzucona pytaniami kwestionującymi jej zdrowy rozsądek.

– Przecież na tych kontach o zaginięciu Matyldy wszyscy piszą o tym czarnym aucie. Nie czytał pan?

– Czytałem. I to pani pierwsza wspomniała o tajemniczym czarnym wozie. Potem inni to podchwycili i też zaczęli o nim wspominać. Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani o tym napisała. Powodem nie mogło być to, że ten wóz jechał wolno. Wiele samochodów przemusza się po mieście w takim tempie. Co takiego zwróciło pani uwagę, że umieściła pani tę informację w internecie?

Królowa Nocy drżała z zimna. Stado wron poderwało się z ziemi za jej plecami. Drgnęła i obejrzała się nerwowo.

– Czego się pani boi?

– Niczego – rzuciła ostro zmarzniętymi ustami. – I niech pan nie będzie śmieszny i nie zadaje mi pytań z paradokumentu.

– Powie mi pani, skąd się wziął ten wpis o czarnym aucie?

Znowu utkwiała wzrok w ponurym parkowym krajobrazie, w przekrzywionym bałwanie, otoczonym zdeptanym śniegiem i szarym niebem. Na sam widok robiło się zimno. Kobieta skuliła się.

– Napisałam, że go widziałam z okna mojego mieszkania, ale to nieprawda. Stałam wtedy na chodniku i nagle się odwróciłam, jak gdybym coś przeczuwała. No i zobaczyłam twarz tej dziewczynki w oknie samochodu. Płakała i uderzała pięściami w szybę. Nie wiem, ile miała lat, ale była mała. Następnego dnia, gdy doszło do zaginięcia Matyldy, to sobie to przypomniałam i przyszło mi do głowy, że tamtą dziewczynkę ktoś też porwał. Dlatego to napisałam, żeby zwrócić uwagę policji na to, że porywacz może poruszać się czarnym autem, no bo taki kolor miał tamten samochód.

– Nadal pani uważa, że tamta płacząca dziewczynka została porwana?

Stali w miejscu, a mróz zagarniał ich stopy i piął się wyżej. Kobieta zaczęła rozcierać dłonie w rękawiczkach, próbując się rozgrzać.

– Pan nie zna tego miasta. Pan nie wie, co tu się działo zaraz po zaginięciu Matyldy. Wszyscy się zastanawiali, gdzie ona się podziała. Każdy o tym mówił, każdy jej szukał. Chciałam pomóc. Ta moja wersja z porywaczem w samochodzie była bardzo prawdopodobna. Musi pan to przyznać. Ja tę płaczącą dziewczynkę naprawdę widziałam. Uderzała dłońmi w szybę,

jak gdyby wzywała ratunku, jak gdyby prosiła mnie o pomoc. Dzisiaj wiem, że nikt jej nie porwał. Prawdopodobnie za kierownicą siedziało jedno z rodziców, a ona beczała, bo coś chciała, może nową zabawkę.

Górecki wcisnął głowę w ramiona. Co za nieprzyjemne zimno. Ale dobrze, że tu przyszedł. Zdołał wyjaśnić genezę czarnej wołgi. Zawsze to krok do przodu w poszukiwaniach.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać. Nie będę pani dłużej zatrzymywał.

Odwrócił się, aby odejść.

– Mimo wszystko trochę pomogłam tym wpisem w internecie – odezwała się, gdy oddalił się o kilka kroków.

Usłyszał w jej głosie drzenie wywołane przenikliwym zimnem i jeszcze ten charakterystyczny ton, świadczący o chełpieniu się.

– Przede wszystkim przywróciła pani do życia legendę o czarnej wołdze. Gratuluję – rzucił z sarkazmem w mroźną przestrzeń.

– No i niewykluczone, że naprowadziłam też policję na tego nauczyciela. On jeździ czarnym audi. Już został przesłuchany i to podobno tylko kwestia czasu, aż go zamkną.

Damian zawrócił, szorując butami po grudkach lodu.

– O czym pani mówi?

Kobieta wskazała głową na skuloną koleżankę, która niezbyt umiejętnie udawała, że zajęta jest swoim telefonem, a tak naprawdę nie odrywała od nich oczu.

– To nauczycielka historii z jedyńki. Uczniowie z tej szkoły napisali w internecie, że ich matematyk jest pedofilem. To on prawdopodobnie zabił tę dziewczynkę z Anglit, bo ona chodziła do tej szkoły. Nie słyszał pan o tym?

– Nie.

Królowa Nocy prychnęła, rozsiewając wokół małe kłęby pary.

– To co z pana za detektyw? Pół Pasłęka o tym mówi i całe Anglity, a pan o niczym nie słyszał.

– Mnie interesuje Matylda Piątek, a nie dziewczynka z Anglit.

Kobieta spojrzała na niego jak na kretyna.

– Wystarczy nam jeden pedofil. Niech pan nie szuka drugiego. Żeby go tylko szybko zamknęli, tego matematyka.

Odwróciła się i odeszła w stronę koleżanki tupiącej w miejscu dla rozgrzewki. Chwilę później szły razem zaśnieżoną alejką.

CZEŚĆ PIĘTNASTA

Rozdział XXII

WERA WYMACHIWAŁA WYDRUKIEM komputerowym, jak gdyby zamierzała nim uderzyć Williama w twarz. W końcu rzuciła plik kartek na podłogę, a te rozsypały się, sunąc po gładkich deskach.

– Co to, kurwa, jest? Miałeś napisać, gdzie jest Matyllda.

Kruger skrzyżował ręce na piersiach. Tym gestem informował, że postąpił zgodnie z regułami i nie ma nic sobie do zarzucenia.

– W powieści fabuła rządzi się swoimi prawami – wyjaśnił. – Nie można zbyt szybko wyjawiać finału.

– O czym ty pierdolisz? Tu chodzi o moje dziecko. Gdzie jest moja córeczka? Mów! – Wera podeszła do Williama i uderzyła go pięścią w brzuch, raz, potem kolejny. Była silna. Uderzenia bolały i zapierały oddech. Odsuwał się, usiłując złapać ją za rękę. – Mów! Co jej zrobiłeś? Gdzie ona jest?

– Zabierz ją ode mnie! – rzucił Kriger do stojącego przy schodach Rajmunda.

– Zostaw go – poprosił tamten.

Wera odsunęła się i zaniósła się szlochem.

– Ja już nie wytrzymam. Nie dam dłużej rady. Nie wytrzymam tej niepewności. Błagam, powiedz, gdzie ona jest.

– Już wam mówiłem. Nie pamiętam waszej córki. Może była na tych warsztatach, ale ja jej nie pamiętam. I na pewno nigdy nie była tutaj, w moim domu w Dawidach. Czasami odwiedzają mnie znajomi i przywożą ze sobą różnych ludzi, ale nie waszą Matylde.

Znajdowali się na piętrze domu. Teraz Wera otworzyła drzwi do łazienki i weszła do środka. Po minucie była z powrotem. Rzuciła na łóżko zieloną bluzkę w różyczki i dwie czerwone gumki ozdobione cyrkonią.

– Co to jest?

– To są rzeczy mojej siostrzenicy, trzynastoletniej dziewczynki. Była niedawno u mnie ze swoją matką. Ale jeśli uważasz, że to należy do twojej zaginionej córki, to zanieś to na policję.

Wypatrywał z niepokojem reakcji Wery. Ta sprawa musi się zakończyć bez udziału gliniarzy. Musi przekonać tę dwójkę, że nie ma nic wspólnego z zaginięciem ich dziecka.

– Powinieneś zrozumieć jedną rzecz – odezwał się Rajmund.

– My stąd nie wyjedziemy, dopóki nie powiesz nam, gdzie jest Matylda.

– No to macie problem, bo ja tego nie wiem.

– To ty masz problem, bo my jesteśmy gotowi posunąć się do wielu rzeczy, aby odnaleźć nasze dziecko. Możemy podpalić ten dom albo obciąć ci palec. Możemy też założyć ci pętlę na szyję i przywiązać jej koniec do gałęzi, a ciebie postawilibyśmy na stołku. Ciekawe, ile dałbyś radę stać w tym upale.

William z przerażeniem pomyślał, że tamten nie blefuje.

– Rozumiem, że jesteście w trudnej sytuacji, ale strasząc mnie, nie pomożecie swojemu dziecku. Proponuję, żebyśmy spokojnie porozmawiali. Może opowiecie mi, w jakich okolicznościach ona zaginęła. Może zauważę coś, czego wy i policja nie widzicie. Chłodna głowa w dramatycznych sytuacjach bywa najbardziej pomocna, a ja chcę wam pomóc. Porozmawiajmy.

Wera i Rajmund przez moment stali bez ruchu, jak gdyby jego słowa do nich trafiły, jak gdyby brali pod uwagę, że jest

niewinny, a oni popełnili błąd, przyjeżdżając tu. Nagle kobieta uderzyła pięścią w drzwi szafy.

– Powiesz mi, co zrobiłeś z moim dzieckiem. Wyduszę to z ciebie.

Z parteru dobiegło szczekanie Torresa.

– Wydaje mi się, że nam wszystkim potrzebna jest szklanka zimnej wody – oznajmił William.

Dopiero gdy zobaczył nienawiść rysującą się na twarzy Wery, pojął, że jego słowa zabrzmiały sarkastycznie. Zrozpaczonym rodzicom zaproponował szklankę zimnej wody. Bezduszny kretyn.

Kruger zbliżył się do schodów. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko się napić. Może w ten sposób przekona ich, że wcale nie drwił. Rajmund podążał za nim. Wera została na górze.

– Bardzo wam współczuję – powiedział William, gdy stanęli na dole. – Chciałem w nocy coś znaleźć o tym w internecie, ale nie znam waszego nazwiska, dlatego na nic nie trafiłem. Opowiesz mi o okolicznościach zaginięcia waszej córki?

Rajmund wydawał mu się bardziej zrównoważony, dlatego to na nim postanowił się skupić. Jego chciał przekonać, że nie mają czego tu szukać.

– Matylda jest naszym jedynym dzieckiem. Trzy miesiące temu po prostu wyszła z mieszkania i już nie wróciła. Zabrała trochę rzeczy. Ubrania, kosmetyki, telefon, laptop, wzięła też dowód osobisty, no i wszystkie pieniądze, jakie były w domu. Zawsze trzymamy trochę gotówki.

– I nie powiedziała wam, że wyjeżdża?

– Nie.

– A nie wydaje ci się, że gdyby jechała do mnie, toby was o tym poinformowała? Napisałaby esemesa: „Mamo, tato, jadę

do Williama Krigera. Zostanę sławną pisarką”.

– Wtedy pojechalibyśmy za nią i przywieźli ją do domu.

– A co policja mówi? Co ustalili?

– Oni naprawdę nic nie robią. Przyjęli zgłoszenie. Sprawdzili logowanie jej telefonu i czy nie trafiła do jakiegoś szpitala i nic więcej. Chyba sądzą, że z własnej woli się z nami nie kontaktuje. A ma do tego prawo, bo jest pełnoletnia.

– Jeśli tak sądzą, to muszą mieć do tego jakiś powód.

Rajmund poprawił rękawiczkę.

– Telefon Matyldy logował się przez osiem dni w różnych miejscowościach, głównie na Mazurach. Uznali więc, że sobie podróżuje. Ostatnie logowania były tutaj w Dawidach, ale to im nie dało do myślenia.

– Czyli Matylda nie przyjechała od razu do Dawid?

– Nie.

– A więc nie opuściła domu po to, aby przyjechać do mnie. Gdybym ja był jej celem, to przyjechałaby tu od razu. Sam widzisz, że wasze myślenie jest błędne.

– Nie jest błędne. Koleżanki Matyldy powiedziały nam, że przez ostatnie dni mówiła tylko o tobie. Była tobą zafascynowana. Przyznaj chociaż, że przyjechała tutaj do ciebie. I powiedz nam, o czym rozmawialiście. Chcemy mieć jakiś trop. Chcemy punktu zaczepienia.

Kruger rozłożył ręce.

– Nie było jej u mnie.

– Ale ją pamiętasz z tych warsztatów? Prawda?

William przymrużył oczy i przywołał na twarz cień zamyślenia. Dobrze pamiętał to najgłębsze na świecie spojrzenie ciemnych tęczęwek i lekko orli nos, który nadawał pięknej twarzy wyrazistości. Pamiętał też sylwetkę. Ta cudna

brunetka przypominała trzcinę na wietrze. Smukła i wiotka, delikatna i sprężysta.

– Nie pamiętam jej.

Cios był tak niespodziewany, że nie zdążył unieść ręki, aby się zasłonić. Był też piekielnie mocny. Rajmund wymierzył mu uderzenie w podbródek. Głowa Williama odskoczyła do tyłu, a on poczuł chrupnięcie w karku, po czym czarna otchłań wciągnęła go w siebie. Resztkami świadomości próbował się trzymać rzeczywistości, ale szybko musiał się poddać. Gdy się ocknął, zobaczył drewniane belki sufitu. Leżał na podłodze, w miejscu, gdzie padł. Słyszał kroki, jakieś szepty. To na pewno jego prześladowcy. Przed paroma minutami myślał, że kontroluje sytuację. Pomylił się jednak. Usiłował się podnieść, ale ciało nie słuchało sygnałów wysyłanych z mózgu. Miał ręce splątane plastikową opaską. Tylko ręce, a wrażenie, jak gdyby go całego spętano.

– Uwolnijcie mnie! – wyjęczał, ze strachem w głosie.

Bał się. Ci ludzie byli nieobliczalni, bardzo niebezpieczni. Mieli powód, żeby go nienawidzić, a raczej wydawało im się, że taki powód mają. Zdesperowani rodzice mogą zamienić się w psychopatów, jeśli mogłoby to pomóc ich dziecku.

W zasięgu jego wzroku znalazł się labrador. Trzymał swój pysk pół metra od twarzy Krigera i patrzył na niego ze współczuciem. Nagle rozległ się pomruk, głośny i przeciągły, jak gdyby nie z tego świata. William dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to burza. Wreszcie nadchodziła nawałnica, żeby przerwać ten piekielny upał. Przekręcił się na bok. Z tej pozycji będzie mu wygodniej wstać, mimo skutych rąk. Poczuł uderzenie w splot słoneczny. To Rajmund kopnięciem z powrotem przekręcił go na plecy.

– Jesteś kłamcą – wysyczał.

William bał się odezwać. Milczał więc, patrząc na wściekłość zastygłą w rysach mężczyzny.

– Znałeś Matyldę. Obiecywałeś jej literacką karierę, zapewniałeś, że ma potencjał. No co? Wyprzesz się tego?

Kruger oblizał wyschnięte wargi. Chciał odpowiedzieć na ten zarzut, chciał się usprawiedliwić.

– Ja wielu osobom mówię, że mają potencjał, i wróżę im sukces. To moja praca. Może twojej córce powiedziałem coś podobnego. Nie pamiętam.

– Wyróżniłeś ją z całej grupy. Miałeś uruchomić swoje znajomości, żeby tylko jej powieść została zauważona w wydawnictwie. Uwierzyła we wszystko, co jej obiecywałeś. Tak bardzo uwierzyła, że postanowiła zrezygnować z ukończenia liceum, bo do bycia pisarką wystarczy talent.

Błysnęło, jak gdyby ktoś stał na tarasie z olbrzymim aparatem fotograficznym. Chwilę później rozległ się grzmot. Z zewnątrz dochodził też narastający huk wiatru. Do Krigera podeszła Wera. Trzymała w dłoni worek na śmieci.

– Gdzie jest Matylda? – zapytała cicho. Ten z pozoru spokojny głos przerażał. Jeszcze większe przerażenie budziła twarz kobiety. Jak gdyby nałożyła maskę szaleńca. – Gdzie jest Matylda? – powtórzyła pytanie.

William nie odpowiedział. Strach ścisnął mu krtań. Domyślał się, co zaraz nastąpi, co go czeka. W odruchu paniki obrócił się, wymierzając kopniak Rajmundowi. Trafił. Tamten aż się zgiał wpół. Kruger przeturlał się po podłodze i wykorzystując rozpęd własnego ciała, poderwał się w górę. Ze skutymi dłońmi nie miał szansy uciec daleko. Rzucił się jednak w stronę uchylonych drzwi na taras. Wypadł na zewnątrz. Na ułamek sekundy zatrzymał go mocny podmuch niosący pył i suche liście. Rozhuśtane wiatrem gałęzie szumiały. W oddali

groźnie huczał las. Zbiegł po schodach. Zachwiał się. Dopadli go i powalili. Leżał twarzą do ziemi. Ktoś na nim usiadł, chyba Wera. Sekundę później jego głowę owijał worek na śmieci. William otworzył usta najszerzej, jak mógł i wciągał powietrze. Folia przykleiła mu się do twarzy, do warg. Dusił go. Panika napędzała mu serce, organizm domagał się tlenu. Raptowny ból w płucach kazał mu podjąć próbę ratunku. Wygiął się, ale w niczym to mu nie pomogło. Mięśnie zaczynały drgać, tracił świadomość. Zobaczył siebie z góry, jak ciągnie koc ze zwłokami, jak wrzuca je do wykopanego dołu. Łopata, zwłoki, śmierć i huk rozrywający niebo. Nagle do jego płuc wpłynęła odrobina tlenu i zaraz worek zacisnął się ponownie. Nie chciał tak umierać, w męczarniach, na raty. Niech go zabiją szybko. Gdy folia uchyliła się po raz drugi, zachłysnął się powietrzem i wychrypiał:

– Zakopałem ją.

Jego słowa odniosły skutek. Worek zjechał z głowy Krigera, a on wcisnął twarz w suchą trawę i płakał.

Rozdział XXIII

WERA PADŁA NA KOLANA między iglakami. Macała ziemię. Tu trawy nie było, a w grudkach gleby czuło się lekką wilgoć. To miejsce wskazał im William Kriger. Tu zaplanował postawić betonową rzeźbę. Tu mają kopać. Zaczęła histerycznie szlochać. Klęczała na grobie swojego dziecka.

– Nie! Nie! Nie! – wykrzykiwała, nie godząc się ze śmiercią córki.

Jeszcze tliła się w niej resztką nadziei. Dopóki jej nie zobaczy, nie uwierzy. Dłońmi w rękawiczkach rozkopywała grób. Dopadł do niej Torres i też kopał, wbijając pazury w ziemię. Skamlał przy tym żałośnie, jak gdyby przeczuwał, że znajdzie tam swoją panią. W Werę uderzył podmuch wiatru niosący grudki ziemi i szczątki suchej trawy. W oczach i gardle miała pył. Zakrztusiła się. Łzy popłynęły spod powiek.

– Odsuń się! – rzucił Rajmund i wbił łopatę w ziemię.

Kopał, dysząc ciężko. Pot lał mu się po twarzy. Podmuchy gorącego wiatru zapowiadały nadchodzącą nawałnicę. Błyskawica znowu rozświetliła ciemne niebo. Piorun wdarł się w ciszę dnia głośnym i ostrym hukiem. Burza była tuż obok. Wystraszony labrador skulił się, podwijając ogon. Wera położyła drżącą dłoń na jego grzbiecie. Wpatrywała się w pogłębiany dół. Łopata na coś trafiła, bo Rajmund nagle zmarł. Po chwili padł na kolana i rękami odgarniał ziemię. Wera do niego dołączyła. Z jej rozchylnych warg wypadł rozpaczliwy okrzyk, gdy wyłonił się koc. To było straszne. Nie ma większej potworności, jak rozkopywanie grobu własnego

dziecka. Przerażliwy ból przeszył jej klatkę piersiową. Chwiała się i zawodziła jak obłąkana. Rajmund dalej odgarniał ziemię. Sekundy zamieniły się w minuty, gdy czekała, aby zobaczyć martwą twarz córki. Błyskawica rozświetliła grób, a potężny huk na moment zagłuszył szloch. Rajmund szarpnął za koc, odsłaniając trupa. Wera zaniósła się szlochem i zamarła. Rajmund również znieruchomiał. Widok był szokujący i zupełnie niespodziewany. Patrzyli i nie dowierzali. Oślepiająca jasność znowu strzeliła z nieba, oświetlając twarz trupa. Podmuch wiatru przyniósł pierwsze ciężkie krople deszczu.

– Kto to jest? – zapytała Wera schrypniętym głosem.

– Na pewno nie nasza Matylda – oznajmił Rajmund, a z jego oczu pociekły łzy. – Na szczęście to nie ona. Boże! Co za szczęście.

Patrzyli na zwłoki z przerażeniem i nadzieją. Chwilowa ulga, jaką poczuli, ustępowała miejsca rozpacz. Przeczucie podpowiadało im makabryczny scenariusz. Skoro Kriger zabił tę osobę leżącą w grobie, to zapewne zabił też ich Matyldę. Seryjny morderca młodych kobiet.

Rozdział XXIV

WILLIAM KRIGER LEŻAŁ na brzuchu ze skutymi trytytką dłońmi i związanymi w kostkach nogami. Jego prześladowcy przeciągnęli też sznurek od plastikowej opaski na nadgarstkach do wiązania w nogach, przez co miał ciało wygięte w łuk. Przyprawiało go to o niesamowity ból w stawach. Potwornie bolał go też kark. Zapewne doznał kontuzji kręgów szyjnych, po tym jak Rajmund wymierzył mu cios w podbródek.

Przeraźliwie się bał. Paniczny lęk wywoływał u niego niepożądane reakcje fizjologiczne. Odruchy wymiotne targały jego wygiętym ciałem. Jelita domagały się natychmiastowego opróżnienia. Niedługo Wera i Rajmund wejdą do domu. I co wtedy zrobią? Oby zadzwonili na policję. Gorzej będzie, jeśli przystąpią do dalszych tortur, aby dowiedzieć się, gdzie jest ich córka. William już się nie obawiał organów ścigania. Będzie miał kłopoty z powodu ciała zakopanego w sadzie, ale lepsze takie kłopoty niż konfrontacja z ludźmi, których rozpacz zamieniła w psychopatów.

Przymknął oczy, gdy jasność błyskawicy zalała pomieszczenie. Leżał przy samych drzwiach na taras. Słyszał narastający huk wiatru i pierwsze krople deszczu uderzające o szybę. Niestety, nie miał możliwości dojrzenia, na jakim etapie odkopywania grobu są jego prześladowcy. Z niewyobrażalną trwogą pomyślał, że już skończyli i odjechali, zostawiając go związanego na pewną śmierć. Wsłuchiwał się w nawałnicę i dławił się własnym strachem.

Lęk nie pozwalał mu poszukać jakiegoś sensownego wyjścia z obecnej sytuacji. Nie przygotował się na moment, gdy Wera i Rajmund weszli do domu. Powinien już mieć w głowie jakieś słowa, jakieś zdania, którymi przekonałby ich choćby do uwolnienia go z więzów. Zobaczył nogi Wery. Stała przy nim.

– Gdzie jest nasza córka? Mamy przekopać cały sad, żeby ją znaleźć? Czy może powinniśmy kopać w lesie?

Do Williama zbliżył się labrador i maznął go językiem.

– Co to za trup? Kogo zabiłeś? – zapytał Rajmund.

– Rozwiążcie mnie! Błagam. Jest mi niewygodnie.

Wera przy nim przykucnęła.

– Oj, jaki biedaczek. Niewygodnie mu. Dlaczego kazałeś nam odkopać te zwłoki? Dlaczego? Przecież to nie Matyllda.

– Bo chcieliście, żebym wam coś dał, jakąś zbrodnię, to wam dałem, co miałem. Innych zwłok nie posiadam. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Kobieta ze świstem wciągnęła powietrze w płuca.

– Mam ochotę cię udusić workiem od śmieci i chyba to zrobię.

– Ale wtedy nie dowiesz się, jak się skończy nasza powieść. Nie dowiesz się, czy Weronika odzyskała swoją małą Matylldę.

Kolejny błysk rozerwał niebo, a ostry grzmot wdarł się do domu wraz z kroplami deszczu. William zadrżał. Zadrzały też szyby w oknach.

– Ostatniej nocy miałeś napisać, gdzie jest Matyllda, co się z nią stało. Nie napisałeś. Jaką mam pewność, że teraz napiszesz?

– Napiszę – zapewnił natychmiast. – Książka musi się już zbliżać do finału. Zagadka musi zostać rozwiązana – dodał pośpiesznie.

Myślał tylko o tym, że ma szansę dostać laptop z dostępem do sieci. Będzie mógł wezwać pomoc. Wera byłaby w stanie ulec jego propozycji i zgodzić się na kontynuowanie powieści. Ona naprawdę uwierzyła, że to książka o niej i jej córce. Ale był jeszcze Rajmund.

Stuknęły drzwi od lodówki. Chwilę później rozległ się dźwięk wody nalewanej do szklanki. Mijały sekundy i minuty. Burza przetaczała się przez Dawidy, tłukąc deszczem i wiatrem. Kriger czekał i modlił się w duchu o ratunek.

– Dam ci jeszcze jedną szansę. Ostatnią – oznajmiła wreszcie Wera. – Pozwolę ci skończyć tę książkę.

CZEŚĆ SZESNASTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 38

GDY ZAGINIE TWOJE DZIECKO, to z czasem masz pretensje do dziecka. Jak mogło ci to zrobić? I to jest najgorszy moment.

Na brzegu jeziora stało kilkanaście osób. Zbici w jedną grupę obserwowali pracę nurków. Kilkunastu innych pasłęczan zajęło sąsiedni pomost, skąd mieli znakomity widok na nurkujących funkcjonariuszy. Chcieli być świadkami znalezienia zwłok Matyldy. To było coś więcej niż uczestniczenie w sensacyjnym wydarzeniu. Ta śliczna blondyneczka utkwiała w sercach tutejszych ludzi. Każdy w Pasłęku znał zadziorne spojrzenie jej zielonych oczu. To nie była jakaś tam dziewczynka, to było miejscowe dziecko, a przez to bliskie i kochane. Cała społeczność współczuła matce i ojcu. Wszyscy trzymali kciuki za szczęśliwy powrót dziewczynki do domu. Modlono się w tej intencji każdego dnia o osiemnastej w kościele Świętego Bartłomieja. Los Matyldy Piątek bardziej zaprzął uwagę pasłęczan niż tragiczna śmierć Wiolety Nowak. Może dlatego, że ta pierwsza była młodsza i taka rozkosznie urocza. A może przyczyniło się do tego rozpowszechnienie wizerunku pięciolatki. Każdy znał jej śliczną buzię, a przez to była ludziom bliższa. Ponadto wciąż można było mieć nadzieję, że się odnajdzie. Teraz ta nadzieja została zachwiana. Gdy funkcjonariusze włożyli kombinezony nurków, dali sygnał, że w jeziorze mogą znajdować się zwłoki dziecka.

Karol Jaskóła stał na pomoście. Wspierał się siłą woli, bo siły fizyczne go zawodziły. Dzisiaj rano połała mu się krew

z nosa. Przed wyjściem z domu wziął dwie tabletki paracetamolu, choć wiedział, że go osłabiają. Najważniejsze jednak było zabicie gorączki i zniwelowanie bólu w kościach. Gdy patrzył, jak koledzy z Ostródy zanurzają się w gęstej od mrozu wodzie, ogarnął go wewnętrzny dygot. Okropne uczucie, jak gdyby wibrowały mu wątroba i trzustka. Próbował nad tym zapanować, ale bezskutecznie. Może pomogłaby gorąca herbata i godzina spokoju. Niestety, skazany był na przeszywające, wilgotne zimno i sporą dawkę emocji.

Gapiów przybywało z każdą minutą. Ludzie ściągali nad jezioro całymi rodzinami, nawet z dziećmi i psami. Dziwne było to, że stali w ciszy. Nie wdawali się w gorące dyskusje między sobą ani nie rozmawiali przez telefony. Nawet dzieciaki trzymały się blisko rodziców, jak gdyby rozumiały, że ta cała sytuacja pośrednio dotyczy ich bezpieczeństwa. Na brzegu stało już około dwustu osób. Starszy posterunkowy zastanawiał się, czy nie wezwać patrolu. W takim tłumie zawsze może coś się wydarzyć. Zaraz kogoś ugryzie pies albo ktoś kogoś popchnie i dojdzie do bójki. Dojrzał Justynę Drabicz. Stała blisko pomostu, przy którym trwały poszukiwania. W pogotowiu trzymała aparat fotograficzny. Dobrze chociaż, że duże stacje telewizyjne, nie doczekawszy się kolejnego zaginięcia, wyniosły się z Pasłęka. Nagle przez tłum przebiegł szmer, który do uszu Jaskóły dotarł jako wielofoniczny okrzyk. Tak zwykle reagują dzieci na widok czegoś niesamowitego. Dziennikarka uniosła wyżej aparat. Oczy tłumy skierowane w jedną i tę samą stronę sprawiły, że starszy posterunkowy też tam spojrział. Nurkowie wypłynęli i unosili się teraz na wodzie jak dwa czarne splawiki. Między nimi coś się znajdowało. Może to tylko złudzenie, jakiś cień na szarej tafli wody. Naraz ten cień przybrał bardzo wyraźny kolor

i wzór. To była krata o zielonej barwie. Znał tę tkaninę. Cała Polska ją znała. W taki płaszczyk ubrana była Matylda Piątek w dniu zaginięcia.

Łzy napłynęły mu do oczu. To przez tę chorobę. Przeziębienie go rozbiło. Z resztkami nadziei pomyślał, że to tylko płaszczyk, bez ciała. Może porywacz pozbył się jedynie ubrania Matyldy. Za swoimi plecami usłyszał narastający harmider. Nie był to przyjemny hałas jak na festynie. Ludzie byli wściekli i teraz dawali upust swoim emocjom. Tłum się zbił w kilka grup, a każda z nich była jak rozedrgany organizm, bliski eksplozji. Jaskółka miał wrażenie, że ten tłum go wciąga siłą swoich negatywnych emocji, zaraża go swoją złością.

Rozdział 39

POJECHALI DO PASŁĘKA czarną beemką Malika. Igor prowadził, obok siedział Mariusz, a Jarek zajął miejsce na tylnej kanapie. Było już po szesnastej. Szarość nadchodzącego wieczoru stawała się coraz głębsza. Zaparkowali na Dworcowej. Tutaj w czterokondygnacyjnym bloku mieszkał nauczyciel. Zajmował dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. W oknach jego lokalu paliło się światło.

Igor uchylił szybę i zapalił papierosa. Denerwował się. Irytowało go, że Mariusz pochłonięty jest swoim telefonem. Też powinien obserwować drzwi klatki schodowej. Z profili społecznościowych dowiedzieli się, że matematyk ma psa. Czyli będzie musiał wyjść z nim na spacer. A gdy już się pojawi na ulicy, oni zaczną działać.

O szesnastej rozświeciły się lampy uliczne. Mieli więc idealny widok. Sami pozostawali niemal niewidzialni, bo szyby w beemce były przyciemniane. Istniało jednak ryzyko, że ktoś zwróci uwagę na czarne auto, które zwykle tutaj nie stało. Tego Malik obawiał się najbardziej, że zaraz zatrzyma się obok radiowóz i policja każe im się tłumaczyć z siedzenia w samochodzie.

Po godzinie czekania odezwał się telefon Mariusza. Odebrał.

– Nie, jeszcze go nie mamy. Tak, czekamy. Tak, panujemy nad sytuacją. – Rozłączył się i wyjaśnił: – To Gośka. Martwi się.

Igor zacisnął zęby ze złości. Wyglądało na to, że Leśniakowa zna ich plan w szczegółach. Żeby tylko nie rozpaplała o tym po

wsi.

Pół godziny później znowu zadzwoniła. Mariusz przez chwilę słuchał, kręcił się przy tym w fotelu, jak gdyby owsiki dobrały mu się do tyłka. Parę razy przeklął pod nosem.

– Gosia chce wam coś powiedzieć – oznajmił.

Igor chciał już warknąć, że gównu go obchodzi, co do powiedzenia ma Gosia, ale sąsiad zdążył włączyć tryb głośnomówiący.

– Chłopaki, mam niefajne wieści. – W słuchawce rozległo się głośne westchnięcie. – Hej, słyszycie mnie?

– Tak, słyszymy – odezwał się Igor niespecjalnie zainteresowany czy zaniepokojony.

To nie mogło być nic ważnego. Gdyby naprawdę coś się stało, to Dorota dałaby mu znać.

– Policja znalazła Matyldę – oznajmiła Gosia. – Nurkowie wyłowili ją z jeziora. – To na pewno ona. Miała na sobie ten płaszcz, w którym zaginęła. Na stronie „Głosu Pasłęka” są już zdjęcia, no i piszą o tym. – W słuchawce na moment zapadła cisza. – Jak będziecie przesłuchiwać tego matematyka, to zapytajcie też o Matyldę.

– Zapytamy, na pewno – rzucił Malik, zapalając kolejnego papierosa.

Mariusz przyłożył słuchawkę do ucha.

– Dzięki, kochanie, że zadzwoniłaś i nam o tym powiedziałaś.

Rozłączył się. Siedzieli w milczeniu. Igor czuł, że koledzy czekają na jego komentarz. To przecież on stracił pasierbicę, miał prawo jako pierwszy skomentować znalezienie zwłok Matyldy.

– Współczuję matce tej dziewczynki – mruknął. – Na pewno rozpacza jak moja Dorota. Może też poczuje ulgę, gdy się dowie, że ten bydlak się przyznał. Musimy się przyłożyć.

– Kurwa, jak można takie małe dzieci? Co trzeba mieć we łbie? Nie ogarniam tego – szeptał Mariusz, a jego głos dźwięczał we wnętrzu auta jak uderzanie młotkiem o blachę.

– Też tego nie rozumiem – oznajmił Jarek. – Ale tak sobie pomyślałem, że jeśli znaleźli Matyldę, to zaraz powinna być tu policja. Na pewno będą chcieli ponownie przesłuchać tego nauczyciela. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wrócić do Anglit i zostawić tej sprawy gliniarzom.

– Nie – rzucił krótko Malik. – Gdyby chcieli go przesłuchać, to już by tu byli. Prawdopodobnie najpierw będą na niego szukać mocnych dowodów, a jak już je znajdą, wtedy go zgarną. Coś takiego nam powiedział aspirant Bielewicz. Pamiętacie?

Wspólnicy przytaknęli.

– Musimy złamać tego bydlaka – oznajmił twardo Igor.

Mariusz i Jarek znowu pokiwali głowami.

Po osiemnastej zaczęli marznąć na serio. Wcześniej było im tylko zimno, a teraz dzwonili zębami. Drętwiały im czubki palców u rąk i stóp. Nie pomagały zimowe buty i grube rękawiczki. Bezruch robił swoje. Mariusz zaproponował, żeby uruchomić silnik na pięć minut. Igor i Jarek sprzeciwili się. Obawiali się, że warkot silnika przyciągnie uwagę nie tylko przechodniów, ale też ludzi w mieszkaniach.

Wreszcie o dziewiętnastej szesnaście wyszedł z bloku Rafał Markowski. Trzymał na smyczy jamnika.

– To on, poznaję, i pies ten sam co na zdjęciach w internecie – zakomunikował Jarek.

Igor też znał te fotki i też mógł potwierdzić tożsamość człowieka stojącego przed klatką. Nauczyciel się rozglądał, jak gdyby przeczuwał, że ktoś może się na niego przyczaić. Pies

się szarpał, próbując nakłonić swojego pana do ruszenia się z miejsca.

Trzy przyspieszone oddechy unosiły się w beemce. Napięcie było tak gęste, że aż ich dusiło. Mariusz rozluźnił szalik pod szyją.

– Jebany pedofil – szepnął z nienawiścią.

Matematyk podszedł do audi i otworzył bagażnik. Czegoś w nim szukał.

– Ma czarny wóz. To też pasuje – zauważył Jarek.

Igor nie miał pewności, czy to jest czarny. Raczej stawiałby na grafitowy. Nie skomentował jednak słów kolegi, bo dla wielu ludzi między tymi dwoma kolorami nie ma większej różnicy. Niepokoił się tym, że matematyk wsiedzie do wozu i odjedzie. Zastanawiał się, czy już nie dać sygnału do rozpoczęcia akcji.

– Może podjedź do niego? – zaproponował Mariusz.

Igor uderzał palcami o kierownicę. To nie był zły pomysł. Chciał już uruchomić silnik, ale nauczyciel zamknął bagażnik i zaczął iść w ich stronę. Poruszał się z dziwną miękkością, jak gdyby chodnikowe płyty zrobiono z gąbki. Jamnik rwał do przodu, napinając smycz. Gdy już zrównywał się z ich samochodem, Mariusz i Jarek wysiedli, a Igor przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozległ się warkot silnika.

Nauczyciel się zatrzymał. Typowa reakcja na to, że ktoś zastąpił mu drogę.

– Proszę wsiąść do wozu – odezwał się Jarek.

Ustalili, że to on zwróci się do Markowskiego, bo jako pięćdziesięciolatek o pocziwej twarzy nie powinien zbyt mocno wystraszyć nauczyciela, a może nawet zdoła go przekonać, żeby z nimi pojechał.

– Dlaczego mam wsiąść? Kim pan jest?

W głosie matematyka wibrował niepokój.

– Chcemy z panem porozmawiać. Proszę wsiąść.

Jarek starał się mówić spokojnie, ale napięcie ścisnęło mu krtań, nadając każdemu słowu ciemną otoczkę.

Markowski przyciągnął do siebie jamnika. Schylił się i wziął go na ręce. Igor pomyślał, że się udało, że matematyk zaraz wsiądzie.

– Nie znam panów. I nie mam ochotę na rozmowę z nieznanymi.

Markowski silił się na opanowanie, ale marnie mu to wychodziło. Mariusz pchnął go w stronę otwartych drzwi beemki.

– Wsiadaj! No już! Nie mamy czasu na zabawę.

Nauczyciel wykonał obrót, jak gdyby zamierzał rzucić się do ucieczki. Kolejnego ruchu już nie było dane mu zrobić. Jarek i Mariusz złapali go pod ramiona i zaczęli wpychać do wozu. Szło im nieudolnie, jak gdyby chcieli włożyć olbrzymiego manekina do zbyt małego pudełka. Jamnik piszczał, a Markowski się bronił. Usiłował się wyrwać. Na szczęście nie krzyczał, nie wzywał pomocy. Igor zaciskał dłonie na kierownicy i w panice wodził wzrokiem wokół. Bał się, że zaraz ktoś zauważy niecodzienne zdarzenie i rzuci się nauczycielowi na ratunek albo wezwie policję. Zbliżał się samochód. Nie zwolnił, nie zatrzymał się, pojechał dalej.

– Kurwa, człowieku, wsiadaj! – wrzasnął Malik. – Chcemy z tobą tylko pogadać.

Podziałało. Matematyk przestał się szarpać. Chwilę później siedział na tylnej kanapie z psem na kolanach. Po jednej jego stronie miejsce zajął Jarek, po drugiej Mariusz. Igor ruszył.

Rozdział 40

TAFLA JEZIORA BYŁA GŁADKA i lśniąca. Nie było na niej żadnej skazy, jak gdyby natura już zapomniała o tragicznym znalezisku, do którego tu doszło przed kilkoma godzinami. Księżyc kładł się na wodzie odbitym światłem, ale to nie on dominował w tutejszym pejzażu. Wzrok przyciągały światełka zniczy poustawianych na pomostach i brzegu jeziora. Setki światełek rozpraszały zimową ciemność i wprowadzały w podniosły i hipnotyczny nastrój.

Damian Dizel Górecki stał w pewnym oddaleniu i zastanawiał się, skąd pasłęcka społeczność wzięła tyle zniczy. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy przyszedli tu upamiętnić Matyldę Piątek. Zabrali ze sobą swoje dzieci, a te przyniosły zabawki, przeważnie pluszaki i kładły je na pomostach i wzdłuż jeziora. Kilkadziesiąt maskotek już się tu znajdowało, a kolejni ludzie nadchodzili. Jutro służby sprzątające będą miały mnóstwo roboty, pomyślał racjonalnie.

Ta sprawa zakończyła się porażką. Nie odnalazł żywego dziecka, a tylko wtedy mógł mówić o sukcesie. Gdy dotarła do niego wieść o znalezieniu zwłok Matyldy, pojechał do Kowalików. Chciał złożyć im kondolencje. Nie planował jeszcze wyjeżdżać i o tym też chciał ich poinformować. Nie wpuścili go jednak do domu. Dziadek dziewczynki rzucił mu nienawistne spojrzenie, a doktor zapewnił, że jeszcze dzisiaj ureguluje zapłatę, po czym pożegnał się krótko i zatrzasnął drzwi.

Damian dojrzał Justynę. Szła ku niemu owinięta niebieskim szalikiem i w identycznej barwy płaszczu do kolan. Już się

przyzwyczał, że ten kolor to jej znak rozpoznawczy, podobnie jak jego orzeł na plecach. Zbierała komentarze od pasłęczan i robiła im zdjęcia. Ludzie chętnie z nią rozmawiali, bo była stąd. Nad jeziorem znajdowali się też inni dziennikarze. Odnalezienie zwłok pięcioletniej dziewczynki, której twarzą poznała cała Polska, ściągnęło ponownie do miasta wielu przedstawicieli mediów.

Justyna zsunęła szalik z ust. Dopiero teraz zauważył, że rękawiczki też ma niebieskie, tylko o dużo ciemniejszym odcieniu.

– Jeśli masz coś do jedzenia, to uratujesz mnie od śmierci głodowej. – Uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. Zmęczenie i przepracowanie dodawały jej lat. Wyciągnął z kieszeni sezamki i jej podał. Zaczęła jeść, chrupała przy tym głośno.

– Już na dzisiaj skończyłaś?

– Nie. Dopóki ludzie nie zaczną się rozchodzić, zostanę tutaj.

– Masz jakiś ciekawy materiał?

– Tak. Mam tyle, żeby pokazać, jak ewoluują emocje ludzi, a właściwie tłum. Ten tłum to jak jeden człowiek. Wszyscy mówią to samo i czują to samo.

Oblizwała usta, na których zatrzymały się ziarna sezamu, i wskazała głową na mieszkańców Pasłęka i okolicznych wsi. Zbiorowisko liczyło około trzystu osób, może trochę więcej. Grupka kilku kobiet odmawiała różaniec, większość ludzi stała w milczeniu. Coś się jednak zmieniło w ogólnym nastroju. Już nie było tak ceremonialnie, uciekła gdzieś podniosła atmosfera, w zamian pojawiło się napięcie. Ktoś rzucił kamieniem w jezioro, ktoś inny kopnął znicz, z męskich gardeł padło kilka przekleństw,

– Gdy wydobyli ciało Matyldy, w ludziach wybuchła złość, prawie agresja, ale to trwało tylko kilka minut – ciągnęła Justyna. – Potem zapanował smutek. Kobiety płakały. Wszyscy ubolewali nad losem Matyldy. To trwało dość długo.

– Wiem, bo gdy tu przyszedłem, to jeszcze się to czuło.

– W końcu zaczęli narzekać na policję, że nic nie robi, że zaraz kolejne dzieci zginą, że Matylda i Wioleta nie są jedyne. A teraz znowu pojawiła się złość. – Justyna zapaliła elektronicznego papierosa i to nim wskazała na tłum. – Gdyby tu pojawił się sprawca, to ci ludzie rozerwaliby go gołymi rękami.

Dizel słuchał i patrzył na zbiorowisko. Widział potwierdzenie tego, co mówiła dziennikarka. Zaciśnięte pięści skierowane w stronę ciemnej wody, jak gdyby to jezioru grożono. Ponadto energiczne gestykulacje w zimowym mroku, na tle setek rozświetlonych zniczy i momentami podniesione głosy.

– Najgorsze jest to, że oni już mają winnego – oznajmiła Justyna, wydmuchując dym z ust. – Nie wiem, czy policja nie powinna mu dać ochrony.

– Mówisz o nauczycielu z jedyńki?

– Tak, mówię o Rafale Markowskim. Robiłam z nim wywiad w październiku, z okazji Dnia Nauczyciela. Fajny gościu. Ale widzę, że też już o nim słyszałeś.

– Słyszałem. Podobno jest pedofilem. Tak napisali jego uczniowie na profilu o zaginięciu Matyldy. Czytałem te wpisy. Wydają mi się trochę enigmatyczne, chyba że pisały to rzeczywiście dzieciaki, bo czternastolatki czy piętnastolatki waliliby prosto z mostu i mocniejszymi słowami.

Dziennikarka znowu się zaciągnęła.

– Jeszcze godzinę temu tłum mówił o nim bardzo nieśmiało, bez podawania nazwiska, nawet bez wspomnienia o tym, że jest matematykiem w jedynce. Teraz gadają o nim wszyscy. Dosłownie plują jego nazwiskiem. Nazywają go bestią. Ciekawe, czy rzeczywiście jest pedofilem i czy to jego sprawa. Dzwoniłam do niego, bo jeśli to tylko pomówienie i zwykła nagonka, to miałabym fajny temat na artykuł. Może by się zgodził pogadać, no ale nie odebrał. Jak myślisz? To on jest sprawcą?

– Nie wiem. Do tej pory stawiałem na dwóch sprawców. On może być jednym z nich.

– Byłeś u Kowalików? – zapytała po dłuższej pauzie.

– Byłem, ale nie wpuścili mnie.

– Ja też tam pojechałam. Siedziałam w samochodzie pod ich domem. Powinnam złożyć kondolencje, przecież Weronika to moja przyjaciółka. Nie mam jednak tyle odwagi, by zapukać do ich drzwi. A najbardziej gnębi mnie to, że nie lubiłam Matyldy.

Dizel był szczerze zaskoczony. Jak można nie lubić tak małego dziecka. Nawet niegrzeczne pięciolatki raczej nie wzbudzają takich uczuć u dorosłych.

Dziennikarka zgasiała papierosa.

– To dlatego boję się iść do Weroniki, bo ona chyba czuła, że ja nie lubię Matyldy. Ta mała naprawdę była nieznośna. Okropny, złośliwy bachor. Czasami dziewczynki spędzały kilka godzin w klubiku dla dzieci. Pracuje tam moja bratowa, dlatego wiem, co Matylda tam wyprawiała. Raz zrobiła kupę w majtki. Przedszkolanka zaprowadziła ją do łazienki i tylko na chwilę spuściła z oka, żeby zadzwonić po Weronikę. Przez ten czas Matylda wyjęła gówno z majtek i rozsmarowała je na kafelkach. – Justyna się wzdrygnęła. – Nie wiem, po kim ona

taka była, przecież rodzice normalni, dziadkowie też. Byś ją poznał, tobyś wiedział, o czym mówię. Ania jest jej przeciwieństwem. Aniołeczek, a tamta diablica.

Dizel słuchał uważnie. Dziennikarka podsuwała mu nowy trop, którego wcześniej nie brał pod uwagę, bo wydawał się nieprawdopodobny. Takie przypadki jednak miały miejsce, zabijano dzieci, bo komuś wydawały się zbyt niegrzeczne, niezdolne. Nie dokonywali tego rodzice, lecz dalsza rodzina, najczęściej nowy mąż matki. Zwykle były to zbrodnie w afekcie, gdy pijany ojczym kopnięciem albo uderzeniem pięścią zabijał kilkuletnie dziecko, bo mu przeszkadzało w drzemce. Bywały też bardziej wyrachowane zabójstwa, gdy partner matki przekręcał płaczące niemowlę twarzą do poduszki, z zamysłem jego uduszenia. A ile razy policja wyławiała z przydomowego oczka cztero-, pięcioletnie dziecko? Trudno było nawet udowodnić, że zostało wrzucone do wody, chyba że ślady na ciele wskazywały na wielotygodniowe maltretowanie. I w takich przypadkach zazwyczaj się okazywało, że ofiara była wychowywana przez matkę i ojczyma. Matylda też miała ojczyma. Dizel wykluczył możliwość, że Oskar Kowalik mógł być sprawcą. Gdyby nawet Matylda mu przeszkadzała, to załatwiłby to inaczej. Postarałby się, aby dziewczynki spędzały więcej czasu u ojca i dziadków, żeby tam jak najczęściej nocowały. Wynająłby nianię na całą dobę, która miałaby za zadanie trzymać dzieci z dala od niego. A gdyby jednak nie poradził sobie z obecnością Matyldy, to rozstałby się z Weroniką.

– Kto jeszcze nie lubił Matyldy? – zapytał, łapiąc dziennikarkę za ramię i stanowczo obracając ku sobie, czym uniemożliwił jej obserwowanie tłumu.

– Hej, kolego, ja tu jestem w pracy – oznajmiła chłodno.

– Ja też.

– Ty też? A ja myślałam, że już nie masz nic do roboty, bo Matylda się odnalazła.

– Mam robotę, tylko teraz nikt mi nie płaci. Powiedz mi, kto jeszcze Matyldy nie lubił.

Uśmiechnęła się zaczepnie.

– Co? Myślisz, że ktoś ją zabił, bo jej nie lubił?

Dizel milczał.

– Kurczę, nie mów, że o tym pomyślałeś. Może jeszcze zaczniesz mnie podejrzewać?

Obróciła się z powrotem, aby obserwować tłum. A ten zaczynał się zmieniać, bo ludzkie zbiorowisko nie było już monolitem, wyraźnie podzieliło się na grupy. Mężczyźni zebrali się, aby dyskutować. Kobiety w swoim gronie płakały albo milczały. Te starsze nieśmiało podejmowały próbę śpiewu jakiejś kościelnej pieśni. W niektórych grupach widoczny był płynny ruch, jakby dreptanie w miejscu. To byli nastolatki, zapewne chcieli już się oddalić, ale nie wiedzieli, czy wypada.

Górecki uznał, że czas na niego. Teraz musi się rozejrzeć w innym miejscu.

Rozdział 41

– Dokąd mnie wieziecie? – pytał Markowski. – Nie macie prawa robić takich rzeczy. Za to grozi wam kara, za porwanie człowieka, za pozbawienie mnie wolności.

Igor ścisnął mocniej kierownicę. Nie mógł słuchać tego bydlaka. Jakim prawem tak się oburzał. Sam zgwałcił i zamordował dziecko, a im grozi karą za to, że go wzięli na przejażdżkę.

– Zamknij się! – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Nauczyciel umilkł, ale teraz zaczął piszczeć jego pies.

– Ucisz tego kundla! – polecił Malik.

Jamnik szczerknął, jak gdyby chciał wyrazić protest w imieniu swojego pana. Igor zerkał w boczne lustro i widząc, że twarz matematyka bieleje kredowo w ciemnym wnętrzu auta, czuł ogromną satysfakcję. I dobrze, niech się boi, niech umiera z przerażenia. To i tak mało w porównaniu z tym, czego doświadczyła Wiola.

Jechał szybko. Światła samochodowe wydawały się gonić czarną drogę. Mijali budynki i pola. W ciągu dziesięciu minut dojechali do Anglit. Podjechał pod las i tam zaparkował. Wysiedli. Nauczyciel postawił psa na ziemi. Ten obwąchiwał wszystko wokół, ograniczany długością smyczy. Malik zaklął cicho. Planowali zabrać Markowskiego w to miejsce, gdzie znaleźli Wiolę. Teraz dopiero uświadomił sobie, że w lesie będzie zbyt ciemno, aby komórką rejestrować przesłuchanie. Jego wspólnicy pomyśleli o tym samym, bo obaj patrzyli w stronę czarnego wnętrza lasu.

– Zostaniemy tutaj – zdecydował Jarek. – Przydałoby nam się oświetlenie – dodał.

Igor wskazał na reflektory samochodowe.

– Mogę je włączyć.

– No nie wiem. Światła samochodowe mogą nam tu ściągnąć ludzi ze wsi.

Piecuch miał rację, ale Malik uznał, że jakość nagrania jest ważniejsza od ewentualnych nieproszonych świadków. Wsiadł do auta i włączył reflektory. Ostra jasność spłynęła na przyciśnięty do ziemi śnieg. Wszystko to, co znajdowało się poza snopem światła, pokryło się smolistą czernią.

Mariusz pchnął nauczyciela w stronę przodu auta. Jamnik, czując zagrożenie, zaczął ujadać. Markowski przyciągnął psa do siebie, schylił się i wziął go na ręce. Ten się natychmiast uspokoił. Nagle stało się coś niezaplanowanego. Mariusz rzucił się na matematyka, przewracając go na mokry śnieg.

– Kurwa, nie tak miało być! – wrzasnął Jarek.

Igor wyskoczył z wozu. Nie wiedział, skąd ta nagła agresja u sąsiada. Mariusz się podniósł. Trzymał w ręku telefon. Był to aparat matematyka.

– Chciał, kurwa, zadzwonić, dlatego wziął psa na ręce, żeby się nim zasłonić.

Malik przygryzł dolną wargę. Popełnili błąd, nie przeszukując tego bydlaka. Powinni zabrać mu aparat. Oby to był jedyny błąd dzisiejszego wieczoru. Markowski podniósł się i energicznie otrzepał śnieg ze swojej kurtki. Jamnik biegał wokół niego, ciągnąc za sobą smycz.

– Policja tu zaraz będzie. Zastanówcie się, co robicie. To może was zbyt dużo kosztować.

– Masz rację, że policja tu przyjedzie – oznajmił Malik. – Jeśli ty nie zdążyłeś do nich zadzwonić, to ja to zrobię, ale najpierw

pogadamy.

Nauczyciel przymrużył oczy, żeby lepiej widzieć stojącego poza snopem światła Igora.

– Kim ty jesteś? Dlaczego mam z tobą rozmawiać?

Malik przybliżył się do matematyka. Teraz też znajdował się w świetle reflektorów samochodowych.

– Jestem ojcem Wioli Nowak. Pamiętasz ją?

– Wiołę? Pamiętam. Bardzo mi przykro. To straszne, co się stało.

Smutek w głosie nauczyciela zabrzmiał jak drwina. Gwałciciel i morderca nie miał prawa okazywać współczucia, bo to było jak splunięcie w twarz. Igor zacisnął pięści. Krew gotowała mu się w żyłach i falami uderzała go w mózg. Musi zachować spokój. Ma przed sobą śmiecia. Z powodu kogoś takiego nie może przecież stracić głowy. Powinien zrobić to, co zaplanował, a potem wrócić do Doroty i Maćka. Kopnął psa, który nieostrożnie zbliżył się do jego nogi.

– Nagrywajcie – rzucił do współników.

Ci wyjęli telefony i ustawili się w taki sposób, żeby mieć jak najlepsze ujęcie.

– Co to ma być? – zapytał matematyk.

Policzki mu drgały jak galareta. Bał się. Nie panował nad swoim ciałem, bo kołysało się, jak gdyby stał na pokładzie rozbujanego statku.

– To będzie przesłuchanie.

– Jakie przesłuchanie? Zwariowaliście?

– Wiesz, gdzie jesteśmy? Poznajesz to miejsce?

– Przyjechaliśmy do Anglit.

Igor wskazał na las.

– To miejsce poznajesz?

– Nie.

– Tam, w lesie, zginęła moja córka. Została zgwałcona, a potem uduszona swoim własnym szalikiem. Co nam o tym powiesz?

– To nie ja. Pomyliliście się. To naprawdę nie ja. Proszę, uwierzcie mi. To nie ja.

Matematik złożył ręce jak do modlitwy i patrzył na nich wystraszonymi oczami.

– Twoi uczniowie mówią, że lubisz dzieci.

– Ja tylko uczę. Nic więcej. Przysięgam. Nigdy żadnemu dziecku nie zrobiłem krzywdy.

– Przytulasz dziewczynki. Wsadzasz im ręce w majtki. Namawiasz je na gołe zdjęcia.

– To nieprawda.

– W zamian za zostanie po lekcjach obiecywałeś im lepsze oceny.

Markowski zaprzeczał ruchem głowy. Ruszał nią raz w lewo, raz w prawo jak nakręcona zabawka. Jamnik dopadł do swojego pana i pazurami drapał po spodniach, domagając się wzięcia na ręce.

– Pamiętam, że Wiola też zostawała po lekcji, bo niby miała coś zaliczać. Wracała wtedy bardzo smutna.

– Człowieku, co ty mówisz? Co to za zarzuty? Robiłem uczniom poprawkowe kartkówki po lekcjach. To normalne. Szukasz winnego, to zrozumiałe, ale to nie ja. Dajcie mi spokój. Obiecuję, że nie powiem nic policji, tylko odwieźcie mnie do domu.

Igor myślał, że jeśli przywiozą nauczyciela na miejsce zbrodni, to ten się od razu przyzna. Tak się nie stało i to go wybiło ze względnej równowagi. Nie miał pomysłu, jak przekonać tego bydlaka do powiedzenia prawdy. Nie mógł mu

otwarcie grozić ani użyć przemocy, bo wtedy nagranie może obrócić się przeciwko nim.

– Zabiłeś Wiołę – oznajmił twardo.

– Nie zabiłem.

– Zabiłeś też małą Matyldę, a jej ciało wrzuciłeś do jeziora.

Matematyk w geście desperacji złapał się za głowę.

– Chryste! O co wy mnie jeszcze oskarżycie? Przecież z tamtą dziewczynką nic mnie nie łączyło. Nie znałem jej rodziców. Nie uczyłem jej. Nie wiedziałem, gdzie mieszka.

– Nie musiałeś jej znać, żeby ją porwać i zabić. Jesteś zwyrodnialcem.

– Ludzie, opamiętajcie się! Nie możecie robić takich rzeczy. Zostawcie to policji i sądom.

Malik szukał w głowie mocnego argumentu, którym mógłby złamać Markowskiego. To przesłuchanie niepotrzebnie się przedłużało.

– Jeździsz czarnym audi – rzucił ostro. – A ktoś w czarnym wozie porwał Matyldę. Tak mówią ludzie.

– Mój samochód jest grafitowy, a nie czarny.

W świetle reflektorów twarz Markowskiego wydawała się papierowa i dziwnie płaska, jak gdyby nosił maskę. Zły człowiek ukrywający swoje prawdziwe oblicze. Igora opuszczały siły i cierpliwość. Nie wiedział, jak złamać nauczyciela, jakich słów użyć.

Robiło się coraz zimniej. Ich oddechy zamieniały się w parę i rozmywały się w jasności reflektorów.

– Byłeś w sobotę w Anglitach – wtrącił Jarek. – Mój syn cię widział. Biegłeś skrajem lasu. Miałeś sportowe obuwie.

– Nie byłem tutaj w sobotę. Twój syn nie mógł mnie widzieć. Dzieciaki oszalały z tymi kłamstwami.

– Mój syn nie jest dzieciakiem. Ma dziewiętnaście lat.

– W takim razie nigdy go nie uczyłem. On mnie nie zna. Może kogoś widział, ale na pewno nie mnie.

Matematyk poczuł się pewniej. Odetchnął głęboko i otarł usta. Malik przeciwnie, stawał się coraz bardziej roztrzęsiony. To zadanie miało być takie proste, ale jemu jak zwykle wszystko się sypało. Przesunął się tak, aby stanąć między nauczycielem a reflektorami wozu, po czym powoli zaczął iść ku Markowskiemu. Śnieg nieprzyjemnie skrzypiał pod jego butami.

– Zabiłeś Wiołę – syknął przez zaciśnięte zęby.

Nauczyciel się nie cofnął, ale oglądał się na boki, jak gdyby analizował, w którą stronę rzucić się do ucieczki.

– Zgwałciłeś i zabiłeś dziecko. Przyznaj się!

Markowski dalej się oglądał. Igor odruchowo też spojrział w lewo i prawo. Stali w jasności samochodowych świateł i poza nią niewiele było widać, głównie nieożywione i rozmazane kontury oraz ciemność rozlewającą się w dali. Nagle w zimową ciszę zakłócaną jedynie przez poszczekiwanie wiejskich psów wkradł się jakiś dźwięk. Jak gdyby śnieg na polach i w lesie zaczął się ruszać, trochę skrzypieć, trochę chlupać. Odgłosy się zbliżały. Malik poczuł dreszcz niepokoju na kręgosłupie. Działo się coś dziwnego, jakby nadprzyrodzonego. Przesunął się nieco, odsłaniając reflektor. Światło samochodowe padło na rozwartą i przerażoną twarz nauczyciela. Jamnik biegał wokół nich i skowyczał. Mocne przekleństwo zawisło w zimowym powietrzu. Malik nie miał pewności, kto zaklął. Czy to Mariusz, czy Jarek? A może żaden z nich. Może był tu ktoś jeszcze. Wyczuwali obecność jakichś ludzi, choć ich nie dostrzegali. Wtem kilkanaście cieni wyłoniło się ze wszystkich stron. Zbliżały się i rosły na granicy ciemności i samochodowych świateł. Jak gdyby olbrzymy

wychodziły z mroku. Przeróżający i nierealny obraz. Nagle kilkanaście postaci zbudowanych z cienia rzuciło się ku nim. Groźne posapywania, ciężkie oddechy zagęściły przestrzeń, dając uczucie zamknięcia. Stąd już nie było ucieczki. Trzasnęło i zgasł jeden reflektor. Znowu trzasnęło i zapadła ciemność. Rozbili mu światła w aucie. Za chwilę coś świsnęło, jak gdyby jakiś przedmiot przeciął powietrze. I wtedy rozległ się przeraźliwy wrzask. Tylko człowiek obdzierany ze skóry może tak wyć. To była foniczna esencja fizycznego bólu. Igor drżał ogarnięty trwogą. Mignęło mu przed oczami coś podłużnego. To łom spadł tuż przed nim, miażdżąc kości nauczycielowi. Ten już nie wrzeszczał, bo nie był w stanie. Wydawał jedynie dźwięki przypominające jęk, stękanie i płacz. Kolejny zamach łodem bądź metalowym prętem trafił jamnika, bo nagle ucichło jazgotliwe ujadanie. Malik poczuł, że na twarz spadają mu ciepłe krople. Dziwne. Przecież styczniowa przyroda nie wytwarza obiektów o takiej temperaturze. Dotknął palcami policzka. Kleił się. To krew matematyka go zbryzgała. Igor zrozumiał, że dokonuje się lincz na pedofilu i mordercy. Kilkunastu ludzi okładało nauczyciela łomami, deskami i czym popadnie. Ani Mariusz, ani Jarek nie protestowali. On też milczał. Krtań ścisnęło mu autentyczne przerażenie.

Rozdział 42

O CZTERNASTEJ OFICER DYŻURNY dostał zgłoszenie, że w Anglitach pod lasem leży trup. Kwadrans później patrol potwierdził obecność zwłok. Pierwszy raport informował, że jest to mężczyzna martwy od wielu godzin. Tożsamość denata wstępnie ustalił aspirant Bielewicz. Na nadgarstku trupa dostrzegł zegarek z fioletową tarczą. Identyczny dwa dni wcześniej widział na ręku Rafała Markowskiego. Rozpoznania twarzy nie mógł dokonać, bo twarzy nie było.

– Powinniśmy to przewidzieć – mruknął Kosma. – Mogliśmy temu zapobiec. Wystarczyło postawić radiowóz pod jego blokiem.

Komisarz Kaptera stał w rozpiętej kurtce i bez czapki, jak gdyby pozował do okładki pisma o twardych gliniarzach. Stanowczym gestem włożył dłonie do kieszeni.

– Nie mieli dla niego litości – mruknął.

Patrzyli na zmasakrowane zwłoki nauczyciela rozciągnięte na śniegu. Makabry dopełniał martwy jamnik, pośmiertnie czuwający przy głowie swojego pana.

Jeden z techników nagrywał miejsce zdarzenia. Pozostali siedzieli w radiowozie. Czekali na medyka sądowego i prokuratorkę. Bez nich nie mogli zacząć oględzin.

– Kto to mógł zrobić? – zapytał Kosma.

Nie liczył na odpowiedź, ale Kaptera jej udzielił.

– Ci, których tu nie ma.

Aspirant miał wrażenie, że szare komórki mu się nieco przykurczyły, nie pozwalając na szybki proces myślowy. Może

ma gorączkę jak Jaskóła i stąd ta mgła na umyśle. Dotknął czoła, było zimne, no ale jakie miało być na mrozie.

– A kogo tu nie ma? – zapytał ze świadomością, że to głupie pytanie.

– Mieszkańców Anglit nie ma.

Kosma zrozumiał. Przy takich sytuacjach zwykle gromadzą się gapie, bo to przecież fascynujące, móc popatrzeć na czynności policjantów, no i na zwłoki. A tutaj zupełna pustka. Jasne, że mieszkańcy nie mogliby podejść blisko, bo prewencja rozciągnęła taśmy, ale z odległości kilkunastu metrów też mieliby doskonały widok. Nawet młodzież nie czaiła się w lesie z komórkami gotowymi do robienia zdjęć. Nie przyszli, bo dobrze wiedzieli, co tu zastaną.

Kaptera wskazał na stratowany śnieg wokół zwłok.

– Stawiam na piętnaście, dwadzieścia osób. Tam są koleiny po oponach. Przywieźli go tu samochodem. Zgarnęli go, gdy wyszedł z psem na spacer.

– Nie uważasz, że na lincz to trochę za wcześnie? Do samosądów dochodzi wtedy, gdy my olewamy sprawę.

– Ale według nich myśmy olali sprawę. Pamiętasz, jak Igor Malik z dwoma sąsiadami przyszedł na komisariat i zgłosił, że to nauczyciel zabił jego pasierbicę?

Kosma dobrze pamiętał tamtą sytuację. Zamienili parę zdań z Malikiem w dyżurce, nawet nie poprosili go do pokoju.

– Powiedziałem im, że mamy na oku Markowskiego, że już z nim rozmawialiśmy.

– No właśnie, przesłuchaliśmy go i puściliśmy wolno i z tym się nie mogli pogodzić. Uznali, że jesteśmy bezradni albo nie chce się nam robić. Wzięli więc sprawę w swoje ręce i ukatrupili pedofila. – Kaptera przymrużył oczy, chroniąc źrenice przed odbitymi od śniegu promieniami słońca.

Przyglądał się zwłokom. – Musimy wyciągnąć z tego linczu, ile się da.

– Co masz na myśli?

– Aspirancie, czy tobie trzeba wszystko tłumaczyć?

– Chyba trzeba, skoro pytam.

– No dobra, to ci wyjaśnię. Markowski będzie tym człowiekiem, którego szukamy. Znajdziemy dowody na to, że zamordował Wioletę Nowak. Może uda się też przypisać mu małą Matyldę. Wtedy będziemy mieli rozwiązane dwie sprawy.

– No nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– No bo jeśli to nie on, to prawdziwy sprawca zostanie na wolności i znowu może dopaść kolejne dziecko.

– To wtedy będziesz się martwił, a na razie docień, że masz finał.

– Może bym docenił, ale mam dwunastoletnią córkę, więc uwiera mnie myśl, że po Pasłęku może chodzić pedofil i morderca dzieci.

– No to pomyśl sobie, że to jednak Markowski.

Szła ku nim prokuratorka Monika Warecka. Obcasy jej kozaków grzęzły w śniegu. Potknęła się na nierówności. Z daleka prezentowała swoje niezadowolenie. Wysoko uniesiona broda i energiczne wymachiwanie rękami nie zapowiadało miłego spotkania.

– Komisarzu, co masz do powiedzenia?

– No cóż, mamy kolejne zdarzenie.

– Jak mogłeś dopuścić do linczu? Podobno od wczoraj cały Pasłek mówi, że nauczyciel z tutejszej podstawówki jest pedofilem i że to on zabił te dwie dziewczynki. – Obróciła się i wskazała na zmasakrowane zwłoki Markowskiego. – Przecież to można było przewidzieć. Najdalej za godzinę wszystkie

media będą na nas pluć. I to ja będę musiała się z tego tłumaczyć, choć to ty spartoliłeś robotę.

Kaptera stał jak skała. Słowa Wareckiej zdawały się odbijać od jego postawnej sylwetki, nie robiąc mu żadnej szkody.

– Wielu internautów będzie nas chwalić. Jednego pedofila mniej.

– Zaraz mi, kurwa, powiesz, że dobrze się stało z tym linczem, bo zapunktujemy w mediach społecznościowych.

– Tego nie powiem.

W dużych oczach prokuratorzki pojawił się niepokój.

– Boże, a jeśli ten człowiek był niewinny? Nic na niego nie mamy. Jedynie przyznanie się do tego, że cierpiał na pedofilię.

– Znajdziemy dowody – oświadczył komisarz.

– Mam taką nadzieję. Tylko się spieszcie. Media zaraz się dowiedzą o tym linczu i będziemy tu mieli stado dziennikarzy, a każdy będzie chciał mi wepchnąć mikrofon do gardła. Muszę im dać coś konkretnego, najlepiej mordercę dzieci.

Rozdział 43

PIOTR KAPTERA ZAŁOMOTAŁ PIĘŚCIĄ w drzwi, informując w ten sposób, że nie przychodzą na pogawędkę przy kawie. Nikt im nie otworzył.

– Malik, otwieraj, bo wyważymy drzwi! – wrzasnął komisarz.

Kosma usłyszał stuknięcie za kolejnymi drzwiami. Hałas przyciągnął sąsiadów do wizjerów. Kaptera znowu załomotał. Malik otworzył.

– Czego tak walicie? Syna mi wystraszyliście.

Stojący w progu człowiek przypominał pacjenta zakładu psychiatrycznego. Popękane żyłki w gałkach ocznych i rozbiegane źrenice kazały wątpić w jego zdrowie psychiczne. Ubrany w górę od piżamy i w spodnie dresowe, w trzęsącej się dłoni trzymał telefon. Zmierzwione, krótkie włosy wskazywały, że przed chwilą oderwał głowę od poduszki.

– Mamy do pogadania – rzucił komisarz.

Malik odwrócił się i szurając kapciami, poszedł w głąb niewielkiego mieszkania. Nie zamknął drzwi, weszli więc do środka. W kuchni na podłodze siedział chłopczyk. Rzucał klockami, celując w lodówkę.

– Maciek, biegnij do mamy – polecił dość ostro Igor.

Kolejny klocek zniknął w małej dłoni, która się gwałtownie zacisnęła. Chwilę później chłopca już nie było w kuchni.

– Z czym przychodzicie? – zapytał Malik, patrząc w okno.

– Dobrze wiesz z czym. – Kaptera przemieszczał się po niewielkim pomieszczeniu. Plastikowy klocek pękł pod jego butem. Zaklął. – Powinieneś kupić synowi drewniane klocki.

- Kupię.
- Obyś zdażył.
- Dlaczego mam nie zdażyć?
- Pod lasem znaleźliśmy zwłoki Rafała Markowskiego.

Igor się skulił i skrzyżował ręce na piersi.

- Wiesz coś o tym?

- Nie.

- A mi się wydaje, że wiesz. - Komisarz stanął naprzeciwko Malika. - Zatrzymujemy cię pod zarzutem porwania i pobicia ze skutkiem śmiertelnym Rafała Markowskiego. Zostaniesz przewieziony do komisariatu w Pasłęku. Tam złożysz wyjaśnienia. Możesz skontaktować się ze swoim adwokatem.

Malik nagle zaczął się śmiać. Nie mógł się opanować, aż się zatoczył i oparł o szafkę kuchenną.

- Mam się skontaktować ze swoim adwokatem. Dobrze.

- Będiesz przesłuchiwany jako podejrzany. Powinieneś poradzić się prawnika - odezwał się Kosma.

- Pierdolcie się. Ja go nie zabiłem.

- A kto to zrobił? Jeśli nie ty.

Malik złapał się za włosy i zaczął nimi szarpać.

- Nie wiem. Nie widziałem.

- Wczoraj na Dworcowej stało czarne audi. To twoje? - zapytał komisarz.

- Tak, moje.

- Pojechałeś się tylko przejechać?

- Nie. Pojechaliśmy po nauczyciela. Chcieliśmy z nim tylko pogadać, żeby się przyznał do tego, co zrobił Wioli. Mieliśmy to nagrać telefonem i wam dostarczyć.

- Kto był z tobą?

- Mariusz Leśniak i Jarek Piecuch. Ale to nie my zabiliśmy nauczyciela. To wszystko jest nagrane. Mamy dowód na to, że

to nie my.

– To kto? Dawaj nazwiska!

– Nie mam pojęcia. Zawieźliśmy nauczyciela pod las. No i rozmawialiśmy z nim, i wtedy pojawili się tamci. Najpierw rozbili światła w moim aucie. Zrobiło się zupełnie ciemno. Nikogo nie widziałem, nikogo nie rozpoznałem. Naprawdę. Przysięgam.

– A to nagranie? – zapytał Kosma.

– Mariusz ma je na swoim telefonie i Jarek. Obaj nagrywali. Obejrzałem oba filmiki i nic nie widać, tylko jakieś cienie.

Komisarz odsunął nogą dziecięcą zabawkę.

– Zbieraj się, Malik. Zabieramy cię. Podaj jeszcze adres Leśniaka i Piecucha. Ich też zgarniamy.

– Mariusz mieszka tutaj.

Igor wskazał na ścianę, za którą musiał znajdować się kolejny lokal mieszkalny. Podrapał się po głowie, następnie po klatce piersiowej. Wyglądał na niezdecydowanego.

– No już, wkładaj coś na siebie, bo zabierzemy cię w piżamie – warknął Kaptera.

Malik ruszył do pokoju. Gdy otworzył drzwi, ze środka wypadła Dorota Nowak. Miała czerwoną i spuchniętą od płaczu twarz.

– Wypierdalajcie z mojego mieszkania! Zostawcie nas! Nie macie prawa! – krzyczała, wymachując rękami, jak gdyby chciała uwolnić ramiona ze zbyt dużej męskiej koszuli.

– Pani Doroto, proszę się uspokoić – zaczął łagodnie Kosma. Ta kobieta kilka dni temu straciła córkę i to w dramatycznych okolicznościach. Należało obchodzić się z nią delikatnie. – Musimy przesłuchać pani konkubenta.

– Nie zgadzam się. Nie zabierzecie go. – Broda się jej trzęsała.
– Igor jest wspaniałym człowiekiem, jest bohaterem. Zrobił coś

wielkiego. Mam nadzieję, że ten zwyrodnialec umierał w mękach i że się bał tak bardzo jak moja Wiola. Należało mu się to. Żałuję tylko jednego, że mnie tam nie było z nimi. Też bym go tłukła, mocniej niż inni.

Malik wyszedł z pokoju. Miał na sobie sztruksową koszulę i rozpięty sweter. Podszedł do swojej kobiety i ją objął.

Aspirant Bielewicz miał już na ustach pytanie, którego jeszcze nie zadali, a które wydawało się kluczowe. Czekał na jego wypowiedzenie, aż Nowakowa się nieco uspokoi. Szloch przechodził w ciche chlipanie. W drzwiach pojawił się chłopiec. Patrzył na nich dużymi ze strachu oczami. Kosma się uśmiechnął do niego.

– Czy Markowski się przyznał? – zapytał, patrząc na dziecko.

Malik wciągnął głęboko powietrze.

– Nie przyznał się. Nie zdążył.

CZEŚĆ SIEDEMNASTA

Rozdział XXV

WILLIAM JADŁ POMIDORA i suchą bułkę. Tym go głównie karmili jego prześladowcy. W ciągu ostatnich trzydziestu godzin wypił też sześć kaw i łyknął kilka tabletek przeciwbólowych. Bolał go kark, pękała mu głowa. Żadna pozycja ciała nie przynosiła ulgi. Przymknął oczy. Zmęczenie pchało go w stan obezwładnienia umysłowego. Dobrze, że chociaż pogoda się poprawiła. Po przejściu burzy temperatura spadła do znośnych dwudziestu pięciu stopni. Oddychanie stało się znowu przyjemnością. Podszedł do uchylonego okna i wyjrzał na sad. Próbował zobaczyć grób pomiędzy iglakami. Niewiele widział. Na pewno nie dostrzegął zwłok. Prawdopodobnie Rajmund i Wera nie wyciągnęli ich z dołu, może nawet z powrotem przysypali je ziemią. Jego prześladowcy siedzieli w domu. Rzadko pokazywali się na zewnątrz, prawdopodobnie nie chcieli, żeby ktoś ich zauważył i zapamiętał ich twarze.

William wciąż nie miał pomysłu, jak wyjść z tego bagna z życiem. Zabrali mu telefon, a jego laptop został pozbawiony dostępu do sieci. Nie mógł więc wezwać pomocy. Zastanawiał się, czy nie wyskoczyć przez okno. Nie było wysoko, to tylko pięć metrów, może nawet mniej. W nocy zrezygnował z tego pomysłu. Powstrzymał go ból karku. Musiał doznać poważnej kontuzji po ciosie Rajmunda. Najmniejszy ruch głową przyprawiał go o ostry i piekący ból. Skok z pierwszego piętra prawdopodobnie pogłębiłby tę kontuzję i ostatecznie uniemożliwił ucieczkę. Filmowego zejścia po powiązanych prześcieradłach też nie brał pod uwagę. Poza tym Wera

i Rajmund go pilnowali. Wchodzili na piętro co jakiś czas i sprawdzali, czy pisze powieść. Pisał. Skończył przed godziną. Wydrukował całość i wręczył Werze. Teraz czekał, aż ona zapozna się z treścią.

Od godziny nikt do niego nie zajrzał. Ponownie zaczął się zastanawiać nad skokiem z okna. Kark go bolał, ale nie aż tak mocno jak w nocy. Mógłby spróbować. Może to jego jedyna szansa na ucieczkę. Usiadł na parapecie i przełożył nogi. Przez chwilę siedział, napinając mięśnie i szykując się do skoku, do bolesnego zderzenia z ziemią. Odepchnął się od parapetu. Jego ciało wygięło się w tył. Nie skoczył równo na obie nogi. Lewa stopa dziwnie mu się podwinęła. Zawył z bólu. Jego prześladowcy musieli go usłyszeć. Nie pomylił się. Drzwi na taras się otworzyły i stanął w nich Rajmund. Niespiesznie zszedł po schodkach i zbliżył się do Krigera.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał chłodno.

William łapał powietrze otwartymi ustami. Ból w kostce i karku był trudny do zniesienia. Odrobinę ulgi przynosił mu dotyk wilgotnej trawy.

– Wezwij pogotowie! – wyjęczał.

– I co jeszcze? Może zadzwonić po pizzę?

– Wystarczy pogotowie.

Rajmund przykucnął.

– Ty to, kurwa, potrafisz być bezczelny. Zabiłeś moją córkę i każesz mi wezwać dla siebie ratunek. Możesz zdychać w męczarniach, a ja palcem nie kiwnę.

– Rajmund, przecież ty jesteś normalnym gościem. Dlaczego to robisz? I dlaczego pozwalasz swojej żonie na to wszystko? Przecież powiedziałem, że nic nie wiem o waszej Matyldzie.

– I co, kurwa, oczekujesz, że ci uwierzymy? Człowieku, ja wykopałem trupa w twoim sadzie. Co mam sobie myśleć? Że

jesteś niewinny? Że Matyldę wywiozłeś w bezpieczne miejsce?

William usiadł i podciągnął się do ściany. Oparł się o nią.

– Naprawdę jestem niewinny. Waszej córki nigdy u mnie nie było.

Rajmund kiwnął głową w stronę grobu.

– A tamta kobieta sama się zakopała.

– Nie. Ja ją zakopałem i przeze mnie zginęła. Zbiegała po tych cholernych schodach i spadła. Wcześniej się pokłóciliśmy. Po co, kurwa, były mi te stare schody. Gdy je montowałem, czułem, że będę miał przez nie kłopoty. I się stało.

– Aha, wymyśliłeś sobie nieszczęśliwy wypadek. Tylko zapomniałeś, że w takich sytuacjach zwykle się dzwoni po pogotowie. A ty zakopałeś we własnym sadzie kobietę, która spadła z twoich schodów.

William trząsał się na wspomnienie tamtego wieczora. W pamięci miał martwe oczy dziewczyny, z którą połączyła go chwilowa namiętność, której urokowi nie mógł się oprzeć, choć powinien.

– Nie miałem wyjścia. Ona nie żyła, nie oddychała. Musiałem zakopać ją tutaj. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że się z nią spotykałem. Ta kobieta była żoną mojego ojca. I była moją kochanką. Tamtego dnia zabrałem ją z Ciechanowa. Robiła tam jakiś reportaż. Przywiozłem ją do Dawid i na drugi dzień miałem odwiedzić. Ale już nie odwiozłem. Ojciec do mnie dzwonił cztery dni temu. Powiedział, że zaginęła w czasie podróży służbowej i policja jej szuka. On mi tego nigdy nie wybaczy.

Rajmund wpatrywał się w pobliski las. Po burzy drzewa odzyskały swój kolor. Zieleniły się teraz na horyzoncie.

– Lubisz kobiety, Kriger? Prawda? Nie masz żadnych hamulców. Nieważne, czy to żona ojca, czy młoda kursantka.

To prawda, lubił kobiety, ale czy rzeczywiście nie miał hamulców? Urokowi macochy uległ. Matyllda swoją młodością i wdziękiem też na moment zawróciła mu w głowie.

Rajmund się wyprostował. Jego cień padł na zboląłą twarz Williama.

– A co się stało z moją córką? Jakiemu wypadkowi uległa? Powiesz mi?

Rozdział XXVI

WILLIAM LEŻAŁ NA ŁÓŻKU. Kark bolał go coraz mocniej. Tabletki przeciwbólowe nie pomagały. Przysypiał na kilka minut, potem się budził i leżał, patrząc w sufit. Gdy po raz kolejny otworzył oczy, zobaczył pysk labradora. Torres przednimi łapami opierał się o materac i obwąchiwał spoczywającego człowieka. Wera i Rajmund stanęli po obu stronach łóżka. Milczeli.

William podniósł się z cichym jękiem.

– Powiniennem jechać do szpitala. Kark mnie boli.

Dla podkreślenia swoich słów dotknął miejsca poniżej potylicy. Skrzywił się w grymasie wielkiego cierpienia. Nie bardzo liczył na pozytywną reakcję swoich prześladowców. Postanowił jednak nie rezygnować z prób wzbudzenia w nich empatii. Nigdy nie wiadomo, co do tych ludzi trafi.

Wera splotła dłonie na brzuchu. Musiała włożyć nowe rękawiczki, bo te lśniły bielą.

– A jednak Matylda nie żyje – oznajmiła, zachłystując się powietrzem.

William utkwiał wzrok w jej zapłakanej twarzy.

– Tak, Matylda z naszej powieści nie żyje – potwierdził.

– A moja Matylda? Moja córeczka?

Patrzyła z nadzieją w przekrwionych oczach. Kriger milczał, a jego milczenie było jak uderzenie młotkiem w serce zrozpaczonej matki. Broda Wery zadrgała.

– Gdzie ona jest? Co jej zrobisz? Mów!

William odsunął labradora i z niemałym trudem stanął na drżących nogach. Kostka go bolała po skoku z okna. Zapewne

ją zwichnął. Uśmiechnął się niepewnie. Od tego, co teraz powie, zależeć będzie jego życie.

– Wyjawię wszystko na policji – wyszeptał, przesuwając spojrzenie z zrozpaczonej twarzy Wery na zdruzgotaną fizys Rajmunda.

To był jego plan. Gorączkowo myślał, jak się wyrwać z rąk tych psychopatów. Zrozumiał, że nie zdoła ich przekonać, że nic nie zrobił ich córce. Postanowił więc się przyznać do spowodowania jej śmierci. Nie poda jednak żadnych szczegółów, nie powie, gdzie jest ciało. A rodzice będą chcieli to wiedzieć. Zawiozą więc go na komisariat. I to będzie jego ratunek. Uwolni się od nich i od bólu karku.

– Powiesz nam teraz, gdzie jest nasze dziecko – oznajmił Rajmund, wyjmując ręce z kieszeni spodni.

Też miał na dłoniach nieskazitelnie białe rękawiczki. Też wymienił swoją parę na czyste. Williama przerażały te rękawiczki. Były jak zapowiedź zła. Ci ludzie już coś zaplanowali, coś bardzo groźnego.

– Powiem wszystko na policji. Możemy jechać. Jestem gotowy.

– Nigdzie nie pojedziemy – rzucił Rajmund.

– No to się nie dowiecie, gdzie jest wasza Matylda.

William się uśmiechnął. Nie panował nad mięśniami twarzy. Niedobrze. Ci ludzie mogą źle odczytać jego grymasy.

– Matylda została wrzucona do jeziora – wyszeptała Wera pobladłymi i sztywnymi ustami. – Tak napisałeś w powieści.

– W Dawidach nie ma jeziora – zauważył Kriger.

Znowu się uśmiechnął. Natychmiast zacisnął zęby, aby powstrzymać nerwowe rozciąganie się warg.

Wera przycisnęła dłonie do piersi.

– Miałam nadzieję, że nurkowie wyłowili tylko płaszczyk, ale oni znaleźli ciało. To było zbyt okrutne. Dałeś mi nadzieję, ale na krótko, na bardzo krótko. Jesteś potworem.

William skulił się pod siłą nienawistnych spojrzeń. Przerażali go ci ludzie. Ich desperacja balansowała na granicy szaleństwa. Z postawy Rajmunda bił nienaturalny chłód, a Wera wyglądała na drapieżne zwierzę gotowe do ataku. Nagle rzuciła się na niego z pięściami i zaczęła go okładać.

– Zabierz ją ode mnie – rzucił Kriger do Rajmunda.

Tamten stał niewzruszony. William najpierw próbował się osłaniać od ciosów, ale w końcu uderzył Werę. Ta zawyła jak ranione zwierzę i opadła na kolana.

– Zabiłeś moje dziecko, moją córeczkę. Dlaczego ona? Dlaczego ją?

Labrador przypadł do kobiety i piszcząc, usiłował polizać ją po twarzy.

– Powiem wszystko na policji. Zawieźcie mnie do Pasłęka na komisariat – poprosił William po raz kolejny.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego plan zaczyna się walić.

– Ile osób zabiłeś? – zapytał chłodno Rajmund. – Ile trupów masz jeszcze w sadzie? Bo ten tam nie jest chyba jedyny?

Mężczyzna kiwnął głową w stronę okna.

– Powiem wszystko na policji.

– Na policji nie powiesz niczego. Twój adwokat ci nie pozwoli. A potem będziesz udawał wariata.

– Powiem wszystko. Powiem, co się stało z waszą Matyldą.

– Najpierw powiesz to mi. Jestem ojcem. Mam prawo wiedzieć.

Wera podniosła się z kolan. Desperacja zamieniła jej twarz w podrygującą autonomiczną materię.

– Gdzie ona jest? Co z nią zrobiłeś?

William poczuł uderzenie w głowę. Nawet nie wiedział, z której strony padło. Kto je wymierzył? Chyba Rajmund. Wera nie byłaby w stanie oddać tak mocnego ciosu. Kolejne uderzenie powaliło go na łóżko. Krzyczał z bólu przeszywającego kark. A może wcale nie krzyczał. Może ten krzyk był tylko w jego głowie. Chciał się podnieść, ale nie mógł. Coś go przygniatało. Zobaczył nad sobą Rajmunda, a potem wykrzywioną twarz Wery.

– Gdzie jest nasze dziecko? Gdzie Matylda?

To pytanie rozbrzmiało w jego uchu. Chciał odpowiedzieć, ale usta zakleiła mu folia. Założyli mu na głowę worek na śmieci. Ogarnął go przeraźliwy strach. Zaraz zginie. Uduszą go. Plan, aby zasugerować, iż ma coś wspólnego z zaginięciem Matyldy, a oni zawiozą go na policję, okazał się niewypałem. Jego plan był racjonalny, a ci ludzie to szaleńcy. Okropny ból rozrywał mu klatkę piersiową, a zimny strach spadł na jego umysł. Nie może tak skończyć, zamordowany przez dwójkę psychopatów. Nie zasłużył na taką śmierć. Kopał, rzucał się, walczył o oddech, o życie. Próbował dłonią sięgnąć własnej twarzy, aby zerwać z niej worek. Przesunął nawet paznokciami po folii, ale nie zdołał jej naderwać, zrobić choć milimetrowego otworu, przez który wpłynęłoby zbawienne powietrze. Nie dawał rady. Przegrywał. Trzymały go mocne ręce i przygniatały silne kolana. Całe jego ciało zamieniło się w ból. Tracił świadomość. Umierał.

Rozdział XXVII

WERA USIADŁA NA LEŻAKU. Na kolanach trzymała końcowe rozdziały powieści *Czarna wołga wraca*. Jeszcze jej nie skończyła czytać. Rozpacz nie pozwoliła jej kontynuować lektury, ale teraz musiała wrócić do książki. Wierzyła, że znajdzie na jej stronach odpowiedź na pytanie, co się stało z jej córką. Kriger zapewne umieścił gdzieś te informacje. Powinna tylko czytać bardzo uważnie.

Na taras wyszedł Rajmund.

– Schowaj się do domu! Lepiej, żeby nikt nas tu nie przyuważył.

Miał rację. Do tej pory zdołali uniknąć świadków swojej bytności u Krigera. Powinni się dalej tego trzymać. Wstała i weszła do środka. Rajmund zamknął drzwi na taras.

– Powstawiam do zmywarki wszystkie naczynia, których używaliśmy.

Przytaknęła. Odcisków palców na pewno tu nie zostawili, ale ślady biologiczne prawdopodobnie tak. Należało chociaż pousuwać ślinę ze szklanek i sztućców.

– Musimy zabrać i zniszczyć jego laptop – oznajmiła. – Mógł na twardym dysku zostawić informację o nas. Nie możemy ryzykować.

Teraz to Rajmund przytaknął. Wera usiadła na kanapie. Przy jej stopach położył się Torres.

– Będę czytać. Jeśli będziemy gotowi, aby jechać, to mów.

Położyła powieść na kolanach. Była spokojna, ale ten spokój był jak oko cyklonu. Każda komórka jej ciała krzyczała, że

Matylda nie żyje, że ukochanej córeczki już nie ma. Nigdy jej nie uściska, nigdy nie usłyszy jej głosu, nie poczuje tej najcudowniejszej woni unoszącej się z ciała własnego dziecka. Gdyby nie to, że musi skończyć lekturę i poznać prawdę, zaczęłaby walić głową w ścianę, aby pozbyć się bólu. Uniosła pierwszą kartkę i zaczęła czytać.

CZEŚĆ OSIEMNASTA
Czarna wołga wraca

Rozdział 44

MOŻNA SIĘ PRZYGOTOWAĆ na wojnę, nawet na trzęsienie ziemi, ale nie na zaginięcie własnego dziecka.

Starszy posterunkowy Jaskóła przeglądał analizę kryminalistyczną. Dotarła do nich dzisiaj i dotyczyła śladów znalezionych na ubraniu i zwłokach Wiolety Nowak. Te ślady to włókienka tekstylne, niezwykle ważna pozostałość po kontakcie. Dziewczynka została zgwałcona, a więc jej ubrania musiały mieć kontakt z tym, co na sobie miał sprawca.

Młody policjant zdawał sobie sprawę z wartości dowodowej włókien tekstylnych, dlatego w trakcie tamtych oględzin prowadzonych w lesie w trudnych warunkach, bo w zimnie i przy elektrycznym świetle, nakłaniał techników, aby zdjęli z ofiary jak najwięcej śladów. Teraz siedział i trzymał się za głowę, bo wyniki badań kryminalistycznych były tak nieprawdopodobne, że nie potrafił ich ogarnąć. Musi wziąć kolejny paracetamol. Czuł się już lepiej, bóle w kościach osłabły i gorączka była dużo niższa, tylko kaszel się nasilił. Wycisnął tabletkę z listka. Chwilę później popił ją kawą.

– Gdzie jest Kosma? – zapytał, powstrzymując odruch kaszlu.

Komisarz Piotr Kaptera nie usłyszał go, a może usłyszał, ale nie chciał przerywać czytania. Teraz to on zagłębił się w analizę kryminalistyczną śladów zabezpieczonych na ubraniu Wiolety Nowak.

– Co to jest? – warknął parę minut później. – Przecież to, kurwa, prawie brzmi jak amerykański horror klasy B.

– Ano, tak to brzmi – przyznał Karol. – Gdyby to dostało się do mediów, to internet oszalałby od spekulacji.

Kaptera przerzucał kartki, jak gdyby chciał znaleźć jakiś konkretny fragment.

– Z kim ta dziewczynka mogła mieć kontakt? Kto ją, kurwa, zgwałcił, skoro takie ślady zostawił?

– Może te ślady to nie podczas gwałtu? – zasugerował Jaskóła.

– Jak nie podczas gwałtu? – Komisarz podniósł głos. – Przecież ona ma je nawet w majtkach. Do kontaktu z tym kimś, z tym czymś musiało dojść podczas zdarzenia.

Starszy posterunkowy przytaknął. Analiza wykazała obecność włókienek tekstylnych, ale oprócz nich zabezpieczono jeszcze inny dziwny materiał. Znajdował się niemal wszędzie, ale najwięcej na szaliku i z przodu kurtki. Kluczowa jednak była jego obecność na bieliźnie dziewczynki.

Komisarz znalazł interesujący go fragment. Oparł się o parapet i zaczął czytać:

– W celu określenia substancji zastosowano metodę spektroskopii w podczerwieni z transformacją Fouriera. Wykazała ona, że zabezpieczony materiał B1 nie wykazuje morfologii typowej dla włókien tekstylnych używanych do produkcji odzieży. – Umilkł i przez chwilę przesuwał wzrokiem w poszukiwaniu kolejnego zdania. – Stwierdza się, że materiał B1 mierzy od dwudziestu pięciu do trzydziestu centymetrów, a jego właściwości morfologiczne są typowe dla zwierzęcej sierści. – Kaptera rzucił dokumenty na biurko. – Dlaczego nie napisali, o jakie zwierzę chodzi?

– Może nie byli w stanie tego ustalić? – mruknął Karol.

Komisarz nawet na niego nie spojrzał, jak gdyby nie interesowało go, co na ten temat ma do powiedzenia jakiś

posterunkowy z niewielkiego komisariatu.

– Ten nauczyciel miał psa, jamnika, ale za Chiny u żadnego jamnika nie da się wyhodować takiej sierści. Poza tym, jeśli chodziłoby o psią sierść, to analiza by o tym mówiła.

Jaskóła przytakiwał.

– Proponuję wysłać techników do mieszkania Markowskiego. Niech poszukają tam takiej sierści.

Dopiero teraz Kaptera wbił w niego wzrok.

– Kurwa, jakie zwierzę trzymane w bloku ma trzydziestocentymetrową sierść?

– Nie wiem, ale jakieś na pewno ma.

Przebiegłość ułożyła usta komisarza w zaczepny uśmiech.

– Zadzwoń teraz do matki Markowskiego i dopytasz o tego zwierzaka.

Jaskóła nie miał ochoty telefonować do kobiety, która godzinę temu dowiedziała się, że jej syn został zakatowany metalowymi prętami i sztachetami.

– No już, bierz telefon!

– Sam sobie dzwoń.

Męska twarz Kaptery wyrażała niezadowolenie. W elbląskiej komendzie jego polecenia były wykonywane migiem, zwłaszcza przez młodych funkcjonariuszy.

Karol sięgnął kubek z herbatą. Wziął kilka dużych łyków, aby stłumić odruch kaszlu.

– Do matki Markowskiego nie zadzwonię, ale do nadleśnictwa mogę. Dopytam, czy jakieś leśne zwierzę nie ma takiej sierści. Ofiara tam leżała dwa dni. To długo. Jakieś zwierzęta powinny się nią zainteresować.

Komisarz zdawał się spojrzeniem mówić: Głupi jesteś.

– To musiałyby być bardzo dziwne zwierzę. Takie z rękami, bo dusiło ofiarę szalikiem i zostawiło na nim sierść. I zdjęło jej

majtki i na nich też zostawiło sierść. Gdybyś trochę pomyślał, to zrozumiałbyś, że leśne zwierzę mogłoby zostawić sierść na zwłokach, ale w innych miejscach i przede wszystkim przy okazji zostawiłoby też inne ślady.

Rozdział 45

DAMIAN DIZEL GÓRECKI od dwóch godzin siedział w swoim seacie zaparkowanym na Partyzantów opodal domu Kowalików. Czekał na syna doktora, na Michała. Nie musiał długo się zastanawiać nad tym, kto nie lubił Matyldy. Kto mógłby chcieć się jej pozbyć. W piętnastoletnich chłopcach buzują emocje, a ci często nad nimi nie panują. Pamiętał sobie z tego okresu. Gdy miał czternaście lat, planował podpalić samochód anglisty w odwecie za to, że ten na forum klasy omówił jego test, wyśmiewając błędy. Skończyło się na niewielkim porysowaniu maski gwoździem, ale bardziej sprzyjające warunki mogły sprawić, że posunąłby się do czegoś więcej.

Uruchomił silnik i ruszył. Nie było sensu stać tu dłużej. Dzisiaj Michał już nie przyjdzie do ojca. Zrobiłby lepiej, gdyby przyczaił się na chłopaka w pobliżu mieszkania jego matki. Nie próbował się z nim umówić, bo tamten na pewno nie zgodziłby się na rozmowę, a co więcej, stałby się bardzo ostrożny. Pozostawały próby złapania go koło szkoły lub miejsca zamieszkania.

Gdy Dizel jechał Ogrodową, przyszedł mu do głowy pomysł, jak zwabić nastolatka w konkretne miejsce. Tym miejscem mogłoby być mieszkanie Kamili. Gdyby dziewczyna zadzwoniła do chłopaka i poprosiła go o przyjście, ten na pewno by nie odmówił.

Z kamienicy wychodziła właśnie kobieta z wózkiem dziecięcym. Górecki wyminął ją i wsunął się do klatki. Wbiegł na drugie piętro i energicznie zapukał do drzwi. Umiał tak

pukać, aby mieszkańcy otworzyli. Nauczył się tego podczas kilkuset interwencji w trakcie służby w policji. Kamila otworzyła natychmiast. Trzymała w dłoni jogurt.

– Jest u ciebie Michał?

– Nie ma. Już do mnie nie przychodzi. Matka mu zakazała.

– Mogę wejść?

– A po co?

Dziewczyna lekko przymknęła drzwi, dając tym znać, że nie ma ochoty go wpuszczać. To było trochę dziwne. Nadal przecież był tym słynnym Dizelem Góreckim, mimo że nie zdołał odnaleźć żywej Matyldy Piątek.

– Chciałem pogadać o Michale.

– Nie chcę o nim gadać.

Z głębi mieszkania dobiegło skrzeczenie papugi. Kamila się obejrzała.

– Lolo jest głodny. Muszę go nakarmić.

Damian włożył nogę za próg. Cofnęła się z zaskoczeniem widocznym w mimicznych mięśniach. Pojemniczek z jogurtem wypadł jej z ręki.

– Kurwa!

To jedno słowo rzuciła z wyjątkową ekspresją. Oboje patrzyli na plamy białej substancji pokrywające podłogę i jedną nogawkę Damiana.

– Masz papierowy ręcznik?

Ruszyła do kuchni. Po chwili wróciła z dużą rolką. Dizel urwał kawałek i zaczął wycierać spodnie. Kamila przyklękła i czyściła wykładzinę. Zamaszystymi ruchami próbowała zamaskować zdenerwowanie, a może nawet strach.

– Pogadamy teraz? – zapytał, gdy się podniosła i stanęła przed nim z papierową kulą w dłoniach.

– Nie pogadamy. Wypierdalaj!

Tą odzywką przekonała go, że powinien zostać. Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz! – polecił.

Ładne młode usta zadrżały.

– Zaraz wybiegnę na klatkę i zacznę wrzeszczeć, że chciałeś mnie zgwałcić.

– No to biegnij! Ja poczekam na policję w salonie.

Ruszył do pokoju. Od razu podszedł do okna. Kamila stanęła za nim. Odwrócił się ku niej.

– Tamtego dnia Michał był u ciebie. Razem staliście w oknie i patrzyliście na ulicę. Widzieliście, jak Piątek parkuje. Widzieliście, że zostawia dziewczynki w samochodzie. Michał zbiegł na dół i zabrał Matyldę. Przyprowadził ją tutaj do ciebie. Uznałaś, że to świetna zabawa. Żeby bliżej przyjrzeć się konsekwencjom tego żartu, zbiegłaś na dół z telefonem i zrobiłaś parę zdjęć. Gdy wróciłaś do mieszkania, Matylda była już martwa. Michał ci powiedział, że to był wypadek, że tego nie chciał, że ona była niegrzeczna i wrzeszczała, a on chciał ją uciszyć. Zastanawia mnie tylko, gdzie ukryliście ciało i kto pomógł wam przetransportować ją nad jeziorko.

Kamila kręciła głową w geście zaprzeczenia. Wargi jej drżały, a ręce nerwowo ugniatały papierowy ręcznik. Siedząca na krawędzi szafy papuga też obracała przecząco głową.

– Jesteś detektywem do dupy. Stąd nie widać, że dziewczynki były w samochodzie. Gdyby nawet Michał był wtedy u mnie i gdybyśmy stali w oknie, tobyśmy nie zobaczyli, że one tam są.

Dizel był pod wrażeniem. Ta nastolatka nie straciła głowy. Broniła się, przywołując racjonalny argument.

– To nie ma znaczenia, że nie widać było dziewczynek – oznajmił.

Kamila parsknęła nerwowym śmiechem.

– Pojebało cię.

– To nie ma znaczenia, że nie było ich widać z twojego okna. Michał wiedział, że one tam są. Rozpoznał Juliana i jego samochód. Wiedział, że w niedzielę zabiera córki do siebie. Kto wam pomógł pozbyć się ciała? Czy to była Laura? Czy to matka Michała? Powiedz!

Klatka piersiowa dziewczyny unosiła się i opadała w zawrotnym tempie. Otwarte usta łapczywie łapały powietrze.

– To nie Michał, to nie my. Nic takiego się tu nie wydarzyło.

– Jeśli Matylda tu była, to na pewno zostawiła jakieś ślady. Policja je znajdzie. Nie wykręcicie się z tego. Nie ukryjecie tego.

Kamila wypuściła papierową kulę z rąk. Zasłoniła dłońmi twarz i zaszlochała. W tym momencie papuga wydała z siebie dźwięk, który zaskoczył Dizela. Ten dźwięk przypominał płacz dziecka.

Rozdział 46

– Wersje Leśniaka i Malika są identyczne – oznajmił aspirant Bielewicz. Szukał w szafce mineralnej. Od nadmiaru kawy czuł cierpkość na języku. – Myślę, że Piecuch powie nam to samo. Trzeba po niego wysłać patrol. Jego żona powiedziała, że za dwie godziny wróci z Olsztyna. Powinien być już w domu.

Komisarz Kaptera rozparł się na krześle. Eksponował spiżowe zwały mięśni na klatce, brzuchu i ramionach. Zero zmęczenia, tylko moc, jak u filmowego gliny. Starszy posterunkowy Jaskóła, przeciwnie, kulił się za biurkiem, wyczerpany kilkudniowym chorowaniem.

– Obejrzelście to nagranie z telefonu Leśniaka? – zapytał Kosma.

– Tak – odpowiedział komisarz. – Gównno widać. Tylko jakieś ciemne sylwetki. Eksperci też niewiele z tego wyciągną.

– A co słyhać na tym zapisie?

– Tylko wrzaski Markowskiego i sapanie tamtych. Możemy zapomnieć o zidentyfikowaniu sprawców po głosie.

– Chyba pozostaje nam przesłuchanie wszystkich mieszkańców Anglit. Nie będzie lekko. Oni będą kryć się nawzajem.

– A mi się wydaje, że nie będzie źle. – Komisarz patrzył wzrokiem supergliny, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.

– Z większą grupą ludzi powinno być nawet łatwiej. Wystarczy każdemu lekko zasugerować, że ktoś z sąsiadów wskazał właśnie na niego. Parę razy przesłuchiwałem gangusów. Gdy

wspomniałem takiemu, że kumple mówią dużo, ale tylko o nim, to od razu się łamał.

– A te wyniki z laboratorium? – zagadnął Kosma. – Jest w nich coś zaskakującego?

– Jest – oznajmił Kaptera.

Jaskóła przytaknął komisarzowi. To pierwsza sytuacja, w której tych dwóch funkcjonariuszy miało to samo zdanie. Kosma był szczerze zaintrygowany.

– Gdzie są te wyniki?

Karol sięgnął z parapetu plik dokumentów i rzucił je Bielewiczowi na blat. Ten zaczął czytać, szukając tego, co miało rzekomo zaskakiwać.

– Sprawca ma zwierzaka z dziwną sierścią, piekielnie długą – oznajmił komisarz. – A nauczyciel miał jedynie jamnika.

– Aha – mruknął Kosma, bo właśnie dotarł do tego fragmentu. – Coś jeszcze ważnego jest w tych wynikach? – zapytał, popijając mineralną.

– A ta sierść to mało? – Kaptera poruszył się na krześle, a to zatrzeszczało pod jego ciężarem. – Dzwoniłem do matki Markowskiego. Zapewniła, że poza jamnikiem jej syn nie trzymał żadnego zwierzaka. Trochę nam to komplikuje sprawę. Jeśli matematyk ma być sprawcą, to jakieś dowody na niego by się przydały. A tu jakaś dziwna sierść. Trzeba będzie skonsultować się z ekspertem. Niech powie, czyje to, bo w tej chwili możemy szukać tego zwierzaka w bajkach albo horrorach, bo na pewno nie w Pasłęku.

– W Pasłęku nie, ale w okolicach już tak – mruknął aspirant. Jaskóła podniósł blade powieki, które przed chwilą mu opadły.

– W okolicach? W jakich okolicach?

– Wiesz, czyja to sierść? – zapytał komisarz z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Tak, wiem. Taką sierść mają alpaki.

– Aha, alpaki. Macie tu alpaki?

– No właśnie, mamy tu alpaki? – zapytał Jaskóła.

– Są gdzieś w pobliżu, ale gdzie dokładnie, to zaraz ustalimy.

Kosma wybrał numer córki. Odebrała od razu.

– Tato, dobrze, że dzwonisz. Wiesz, co się stało?

– Co?

– Podobno Pitagoras nie żyje. Samochód go potrafił. Aneta przysłała mi taką wiadomość i ona chce się upewnić, czy to prawda. Ja też chciałabym wiedzieć. A ty wiesz wszystko. Powiedz mi, czy to prawda?

– Tak, kochanie, wasz matematyk nie żyje.

– Och!

W okrzyku Agaty pobrzmiwały wszystkie emocje, od zaskoczenia po radość i niedowierzanie.

– Kochanie, przypomnij mi, gdzie robiłaś te zdjęcia z alpakami?

– Tato, Pitagoras został zamordowany, a ty o alpakach?

– Sama powiedziałaś, że został potracony samochodem.

– No tak, ale na pewno ktoś zrobił to specjalnie. Musisz przeprowadzić śledztwo.

– Tak, przeprowadzę, a na razie powiedz mi, gdzie robiliście te zdjęcia.

– W Anglitach.

– W Anglitach – powtórzył za córką, posyłając kolegom wymowne spojrzenie.

Ci kiwali głowami, machinalnie akceptując to, że alpaki znajdowały się tam, gdzie mieszkała i zginęła Wiola Nowak.

– Pamiętasz dokładnie, u kogo jest ta alpakarnia?

– Nie.

– A pamiętasz może, czy wasz matematyk jeździł ostatnio oglądać alpaki?

– Pitagoras? Nie mam pojęcia.

Kosma się rozłączył. W wyszukiwarce internetowej wpisał dwa słowa: Anglity i alpaki. Wynik pokazał mu gospodarstwo Jarosława Piecucha.

Coś na kształt uśmiechu rozluźniło napiętą twarz komisarza.

– No to jesteśmy w domu. Markowski w sobotę pojechał do Anglit. Najpierw poszedł obejrzeć alpaki. Pogłaskał je, poklepał, a do rękawiczek i kurtki przyczepiło mu się sporo sierści. Gdy opuścił gospodarstwo, natknął się na Wioletę Nowak. Wtedy przekonał ją, żeby poszła z nim w stronę lasu.

Bielewicz przyznawał, że to prawdopodobna wersja.

– Zaraz wyślę patrol po Piecucha.

Kaptera podniósł się.

– Sami po niego pojedziemy. Od razu rzucę okiem na te alpaki. Muszę się upewnić, czy mają tak długą sierść.

Bielewicz dopił mineralną i również wstał. Zerknął na starszego posterunkowego z myślą, aby go zabrać. Tamten jednak wycierał spocone czoło i ciężko oddychał.

– Karolina, odpocznij chwilę. Będziemy dzisiaj jeszcze mieli mnóstwo roboty. Musimy przesłuchać większość mieszkańców Anglit.

– Dzięki, Kosma. Zdrzemnę się chwilę na krześle, a potem biorę się do roboty.

Rozdział 47

KILKA ALPAK STAŁO leniwie w zagrodzie i prezentowało lśniąca ciemnym brązem sierść, jak gdyby ktoś je skropił wodą źródlaną. Miało się ochotę zanurzyć palce w tej wełnistej masie. Komisarz Kaptera to właśnie zrobił. Wyciągnął rękę i przez ogrodzenie dotknął najbliższej alpaki. Zwierzę się obróciło bokiem i przysunęło bliżej, jak gdyby postanowiło dać człowiekowi chwilę radości w kontakcie ze sobą.

– Myślę, że ta sierść może mieć trzydzieści centymetrów.

Kosma przytaknął.

Z domu wyszedł mężczyzna w samym swetrze z gołą głową. Rozpoznali Jarka Piecucha. Szedł w ich stronę.

– Już jesteście? Myślałem, że zdążę jeszcze zjeść obiad. Dopiero wróciłem z Olsztyna.

– Panie Jarku, sprawa jest poważna – odezwał się aspirant Bielewicz.

– Wiem, że jest poważna. Nie żyje człowiek. Gdybym wiedział, że skończy się to linczem, nigdy nie wziąłbym w tym udziału i odradziłbym to Malikowi i Leśniakowi.

Kaptera oparł się o ogrodzenie mocnym ramieniem.

– Dziwię się panu. Tamci młodzi i narwani, a pan ma już swoje lata. Trzeba było pomyśleć.

– Pomyślałem i wyszło mi, że bez naszej pomocy wy nic nie zrobicie. Byliśmy u was w komisariacie i co to dało?

– My działamy zgodnie z prawem. Nie mogliśmy zatrzymać Markowskiego tylko dlatego, że ktoś powiedział, że to on jest

sprawcą. Musieliśmy znaleźć dowody, które by o tym świadczyły. Nadal tych dowodów szukamy.

– To szukajcie, bo jeśli zginął niewinny człowiek, to na naszą wieś spadnie jakieś odium. I tak już panuje tu ciężka atmosfera. Niby wszyscy mówią, że dobrze się stało, że już nasze dzieci są bezpieczne. Ale ten lincz ciąży nad ludźmi i każdego dnia będzie gorzej. Zapomną o Wioletce, a o tym, że zatłukli człowieka, będą pamiętać i będzie to ich gryzło. A jeśli jeszcze okazałoby się, że ten nauczyciel był niewinny... To połowa mieszkańców się rozpije, a druga połowa popadnie w depresję albo coś podobnego.

– Wie pan, kto brał udział w tym linczu? – zapytał Kosma.

– Nie i nie chcę wiedzieć. O nic nikogo nie pytam. Poza tym ludzie nic nie mówią, nawet nie wychodzą z domów. Tutaj przyleciała tylko Gośka Leśniak, żeby powiedzieć mojej żonie, że zabraliście Mariusza i Igora.

Dorośle alpaki stały bez ruchu, jak gdyby pozowały do zdjęcia. Te młodsze leżały pod wiatą i tylko unosiły głowy, rozglądając się wokół. Trochę przypominały olbrzymie maskotki, to przez tę długą sierść i duże ciemne oczy. Aspirant miał w pamięci zdjęcie, na którym jego córka przytula policzek do pyska alpaki.

– Dużo ludzi do pana przyjeżdża, żeby porobić sobie fotki z alpakami?

– Teraz mniej, ale latem całkiem sporo.

– A Rafał Markowski tu był?

– Nie.

– W sobotę go nie było?

– Tutaj w alpakarni nie.

– A może jednak był i pana pracownik go widział?

– Nie mam pracowników. Wszystko robię z żoną i dwoma synami. Markowskiego u mnie nie było, ale był wtedy w Anglitach, bo mój syn go widział, jak biegł wzdłuż lasu.

Bielewicz się rozejrzył. Posesja nie była ogrodzona. Każdy mógł podejść do drzwi frontowych domu, a także do alpakarni, aby pogłaskać zwierzęta.

– Pana syn jest w domu? – zapytał Kaptera.

– Tak.

– Chcielibyśmy z nim pogadać. Jest ważnym świadkiem, skoro w sobotę widział Markowskiego.

– To chodźcie do domu! Pogadacie z nim, a ja się ubiorę, bo przecież zabieracie mnie na komisariat.

Alpaki odprowadzały ich spokojnymi spojrzeniami i powolnymi ruchami głów. Wełniste i leniwe sylwetki zdawały się zaprzeczać energicznym ruchom trzech oddalających się mężczyzn.

Jarek otworzył drzwi i przekroczył próg domu.

– Zibi! Panowie chcą z tobą pogadać.

Piecuch wprowadził ich do podłużnego pomieszczenia. Pierwsza część to była kuchnia, a na końcu coś na podobieństwo gabinetu z biurkiem, fotelem i regałami. W rogu, wciśnięty między meble, stał chłopak. Zaciskał pięści. Górna warga pokryta cienkim wąsem drgała mu jakby pobudzana prądem. Rzucił na nich wystraszone spojrzenie, po czym spuścił głowę.

Aspirantowi przyszło do głowy, że Zibi musiał brać udział w linczu. A teraz młoda psychika nie radziła sobie z tragicznymi konsekwencjami tego czynu. Powinni zabrać na komisariat ojca i syna. Chłopak szybko wyśpiewa, kto jeszcze brał w tym udział.

Kaptera wyminął wyspę kuchenną i wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Syn Piecucha rzucił się do okna. Otworzył je i wyskoczył na zewnątrz. Komisarz nie zawahał się. Złapał za futrynę i postawił nogę na parapecie. Sekundę później był po drugiej stronie. Chłopak znał tutaj każdy zakamarek. Wiedział, jak uciekać. Ryzyko, że im zwieje, było duże. Kosma postanowił włączyć się do pościgu. Wyminął osłupiałego Piecucha i wybiegł z domu frontowymi drzwiami. Okrążył budynek i zobaczył, jak Kaptera dopada chłopaka. Przewraca go na rozmiękły śnieg twarzą w dół i zaciska mu trytytkę na nadgarstkach. To akurat nie było potrzebne, Zibi nie zagrażał im ani sobie i nie zanosilo się na to, żeby podejmował kolejne próby ucieczki. Jego plecy podrygiwały od szlochu. Bielewicz pomógł koledze podnieść chłopaka.

– Dlaczego uciekałeś? – zapytał Kaptera.

Zibi milczał. Kawałki brudnego śniegu oblepiały mu bluzę. Podwinął palce u stóp ubranych tylko w skarpetki. Zza rogu domu wypadł Jarek. Dyszał, a jego twarz spinał niepokój.

– Synu, dlaczego uciekałeś?

Chłopak już nie płakał. Spuścił głowę, jak gdyby przyznawał się do winy.

– Brałeś udział w linczu? – zapytał komisarz.

Zibi zadrżał.

– Zimno mi w stopy.

– Synu, powiedz, że to nie ty, że tam cię nie było – odezwał się Piecuch.

– To nie ja, tato.

Rozdział 48

PAPUGA PRÓBOWAŁA SFRUNĄĆ na ramię Dizela. Odgonił ją. Ta jednak nie dawała za wygraną. Nauczona bliskiego kontaktu z człowiekiem, znowu usiłowała na nim usiąść. Udało jej się przycupnąć na jego plecach. Zepchnął ją. Podszedł pod drzwi łazienki.

– Kamila? Wszystko dobrze?

– Tak.

– To wyjdź! Chcę pogadać.

– Zaraz.

Parę minut temu dziewczyna zupełnie się rozkleiła. Wepchnął ją do łazienki, prosząc, aby umyła twarz, a on zrobi im herbatę i wtedy porozmawiają. Herbatę zrobił i nawet połowę wypił, a ona wciąż siedziała za drzwiami.

– Kamila, martwię się o ciebie.

– Nie musisz.

W jej głosie nie było słyhać niedawnego płaczu.

– Nie chcesz ze mną pogadać, to może porozmawiasz z policją? Im opowiesz, jak zginęła Matylda.

– Spierdalaj! – rzuciła ostro.

Uśmiechnął się. Nie było śladu po załamaniu. Kamila się pozbierała.

– Idę do twojego pokoju. Sprawdzę, co trzymasz w szafie.

Nie liczył na to, że znajdzie narzędzie zbrodni czy dowód świadczący, że Matylda przebywała w tym mieszkaniu. Chciał wyciągnąć dziewczynę z łazienki. Nikt nie lubi, jak mu się grzebie w rzeczach osobistych, a nastolatki są pod tym

względem bardzo drażliwe. Stukał szufladami i drzwiami od szafy. Prawie wszędzie znajdował jakieś kosmetyki. Kamila wrzucała je gdzie popadnie. Nagle zamarł. Ktoś ostrożnie otwierał drzwi wejściowe.

– Ciebie tu się nie spodziewałem – mruknął Dizel, wchodząc do przedpokoju.

– A ja wiedziałem, że tu jesteś. Kamila do mnie napisała. Poprosiła mnie o wsparcie.

Doktor Oskar Kowalik zapukał w drzwi łazienki.

Dziewczyna otworzyła. Przez te kilkanaście minut, aby czymś się zająć, zrobiła sobie makijaż. Wyglądała teraz na starszą i bardziej zuchwałą.

– Muszę się uczyć hiszpańskiego. Jutro mam test. Dlatego teraz szybko powiem, co się stało w niedzielę, i sobie pójdziecie.

Weszli do salonu. Nastolatka usiadła na poręczu fotela i wygięła się do tyłu. Przypominała aktorkę z paradokumentu, która przygotowuje się do kulminacyjnej sceny. Zbyt ekspresyjne zachowanie miało przekonać widzów do tego, co zamierzała wygłosić.

– W niedzielę był u mnie Markowski, ten nauczyciel. Brałam u niego korki rok temu. Polubiliśmy się, dlatego czasami wpadał do mnie. W niedzielę przyszedł z Matyldą. Powiedział, że się kręciła po ulicy, że się zgubiła, dlatego ją zabrał.

– Wystarczy – rzucił Dizel.

Kamila splotła palce i stukała stopą w podłogę.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam. Powiedziałam mu, że wiem, kim jest Matylda, że zadzwonię po kolegę Michała i on po nią przyjdzie. Markowski się na to nie zgodził. Potem zrobiło się to zamieszanie na ulicy. Szukali dziewczynki. Markowski się wystraszył, bo wyszło na to, że porwał dziecko. Tego się

właśnie bał, że go oskarżą o porwanie dziewczynki, a on tylko ją zabrał, bo błąkała się po ulicy. Nie mogliśmy powiedzieć, że ona jest tutaj, bo nikt by nie zrozumiał. Bał się, że go ze szkoły wyrzucą. Postanowiliśmy, że to przeczekamy. Kazał mi wyjść na zewnątrz i trochę poobserwować. Gdybym wiedziała, że to robi Matyldzie, tobym nie wychodziła.

Kamila mówiła coraz szybciej. Już nie splatała palców, teraz je sobie wykręcała. Tym razem to Kowalik jej przerwał.

– Okej, już nie musisz nic więcej mówić. Pan detektyw zrozumiał wszystko.

Dizel potwierdził ruchem głowy.

– Teraz zostawimy cię samą. Poradzisz sobie?

Przytaknęła.

Wyszli z mieszkania i w milczeniu zeszli po schodach. Mroźne powietrze było niczym kostki lodu wrzucone za koszulę. Jakby ich otrzeźwiło. Stanęli w kręgu światła rzucanego przez lampę uliczną, bardzo blisko miejsca, gdzie Julian parę dni temu zaparkował samochód z dziewczynkami.

– Gdzie teraz jest Michał? – zapytał Górecki.

– Wysłałem go do mojej siostry do Warszawy.

– Od kiedy wiesz, że to on?

– To nie on, to nie Michał zabił Matyldę.

– A kto? Kamila?

– Nie Kamila. Laura. To moja pierwsza żona zabiła Matyldę.

Dizel energicznie wydmuchnął obłok pary.

– Laura mi nie pasuje.

– Ale to ona. Niestety, to ona.

Górecki wyciągnął z kieszeni telefon i odnalazł zdjęcie Laury. Jej biała twarz lśniła w szarościach styczniowego wieczoru i wydawała się wyrażać najwyższe opanowanie. Podał aparat Kowalikowi.

– To zdjęcie zrobiła Kamila tamtego wieczoru, gdy zaginęła Matylda. Fotografowała ludzi, którzy się zebrali, żeby pomóc szukać dziecka. Laura wtedy też wyszła na ulicę. Gdyby porwała dziewczynkę, to siedziałaby w mieszkaniu. Nie pasuje mi na sprawcę. Uważam, że oboje próbujecie kryć syna.

– Michała nie musiałbym kryć. On ma dopiero piętnaście lat. Nie zamknęliby go nawet w poprawczaku. Adwokat załatwiłby mu najniższy możliwy wyrok, a potem wysłałbym go za granicę do któregoś z moich przyjaciół. Z Laurą jest inaczej. Jej grozi dwadzieścia pięć lat, a może nawet dożywocie. Nie mogłem na to pozwolić.

– Dlaczego nie?

Doktor gładził zarost na brodzie i patrzył na przejeżdżające samochody.

– Bo ją kocham.

– Kochasz kobietę, która zabiła dziecko?

– Nawet gdyby wymordowała całe przedszkole, to i tak bym ją kochał. Poza tym jest matką mojego syna. – Kowalik palcem musnął twarz byłej żony na wyświetlaczu. – Wyszła wtedy na ulicę, ale nie szukała Matyldy jak inni, bo wiedziała, gdzie ona jest. Wiedziała, że leży martwa w jej kuchni. A może Matylda wtedy jeszcze żyła. Nie wiem dokładnie, kiedy ją zabiła.

Dizel obrócił głowę w stronę kamienicy, w której mieszkała Królowa Śniegu. Tak Laurę Kowalik nazywali manifestujący pod jej oknami mieszkańcy Pasłęka, domagający się, aby oddała dziecko. Uznał to za niedopuszczalną nagonkę. Może świadomość zbiorowa okazała się bardziej przenikliwa niż jego detektywistyczne doświadczenie.

– Laura ci powiedziała, że zabiła Matyldę?

– To Michał do mnie zadzwonił, jakieś dwie godziny po zaginięciu. Powiedział, że wrócił do domu i zastał matkę

siedzącą na podłodze pod ścianą w kuchni. Matylda leżała pod drugą ścianą. Krzyczał do słuchawki, żebym przyjechał. Był w totalnej rozsypce. Prosiłem go, żeby się uspokoił. Chciałem, żeby podał telefon Laurze. Słyszałem, jak do niej mówi, że ja chcę z nią rozmawiać. Ale z nią wtedy nie było kontaktu. Siedziała i tępo patrzyła na zwłoki Matyldy. Nie mogłem jechać do nich. W domu mieliśmy policję. Weronika histeryzowała. Nie miał kto się zająć Anią. Teściowie jeszcze nie dojechali. Poprosiłem Michała, żeby nic nie robili, żeby cicho siedzieli w domu. Obiecałem, że na drugi dzień się u nich pojawię i wszystkim się zajmę. Ale następnego dnia musiałem jechać na komisariat i na krótko do kliniki. Musiałem wziąć udział w konsylium, ten pacjent nie mógł czekać. Byłem w kontakcie z Michałem. Powiedział mi, że matka późnym wieczorem zniosła Matyldę do piwnicy. Poprosiłem go, żeby razem z Laurą posprzątała całe mieszkanie, aby nie został żaden ślad po bytności tam dziecka.

Damian w wyobraźni zobaczył białą kobietę z nieżywą dziewczynką w ramionach, skradającą się po pogrążonych w mroku schodach.

– Byłem u Laury następnego dnia. Szukałem w mieszkaniu śladów Matyldy. Nic nie zauważyłem.

– To znaczy, że dobrze posprzątała.

– Wcale nie. Gdyby mieszkanie było wypolerowane na błysk, tobym to zauważył, bo to podejrzane. A najciekawsze jest to, że Laura pozwoliła mi się rozejrzeć.

Doktor pokiwał głową, dając do zrozumienia, że wie, w czym rzecz.

– Myślę, że Matylda zginęła od razu i dlatego nie zostawiła w mieszkaniu Laury żadnych śladów. Nie zdążyła zdjąć płaszczyka ani butów. Była ubrana, gdy poszedłem po nią do

piwnicy. Nie miała jedynie czapki i rękawiczek. Wiem, że czapkę znalazł na chodniku Julian. A rękawiczki może miała w kieszeni płaszczyka. Nie sprawdziłem tego.

– Jak zginęła Matylda?

Policzki Kowalika zadrgały, usta ułożyły się w grymas fizycznego cierpienia. Westchnął.

– Myślę, że doszło do jakiegoś tragicznego wypadku. Laura nie jest złą kobietą. Świadomie nie zrobiłaby krzywdy dziecku. Sądzę, że zabrała ją z samochodu pod wpływem jakiegoś impulsu. A potem doszło do czegoś tragicznego. Obejrzałem Matyldę w piwnicy. Miała wgniecenia w czaszce, za lewym uchem.

– Nie zapytałeś Laury, jak to się stało?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo bałem się, że ta rozmowa ją zrani, że słowa, które padną, podzielą nas na zawsze, a tego bym nie chciał.

– To ty zawiozłeś zwłoki Matyldy nad jeziorko?

– Tak. Zrobiłem to wtedy, gdy Ania zniknęła z domu. Przyjechałem z tobą na Ogrodową, bo pomyśleliśmy, że to Michał ją zabrał. Ja naprawdę w to uwierzyłem. On ma dopiero piętnaście lat. Przeżył wielki wstrząs. Wydawało mi się, że po czymś takim może zrobić coś głupiego. Gdy okazało się, że jest u Kamili, a Anię zabrał Julian, to naprawdę mi ulżyło. Wtedy ty pojechałeś do mieszkania Piątka, a ja zostałem tutaj. Wróciłem do Laury i wyniosłem Matyldę w walizce. Nad jeziorem nie było żywej duszy. Nikt nie widział, jak ją wrzuciłem do wody.

– Kamila o wszystkim wie?

– Tak. Michał jej powiedział. Byłem na niego zły, że to zrobił, ale też go rozumiem. Musi mu być bardzo ciężko, a ja nie

mogę poświęcić mu zbyt dużo czasu. O tym, jakie ma teraz relacje z własną matką, chyba nie muszę ci mówić.

Dizel wodził wzrokiem po rozświetlonych oknach, za którymi toczyło się zwyczajne życie całkiem zwyczajnych ludzi. Może w którymś z tych mieszkań też w tej chwili dochodzi do jakiejś tragedii, bo te są wpisane w rodzinne więzi.

– Dlaczego wszystko mi wyjawiałeś?

– Bobyś nie odpuścił. Chodziłbyś i węszył, aż w końcu do czegoś byś się dogrzebał. Wolę się z tobą dogadać.

– Chcesz mi zapłacić za milczenie?

– Jeśli będziesz chciał kasę, to ci dam. Mam jednak nadzieję, że cię przekonam, żebyś nie zgłaszał tego na policję. Dzisiaj radzę ci, prześpij się z tym, co usłyszałeś, a jutro pomyśl o konsekwencjach wydania Laury. Zapłacimy za to wszyscy, a najbardziej mój syn i Weronika. Jeśli ona się dowie, że to Laura, to mnie za to obwini, a potem siebie, bo to ona mnie uwiodła.

– Nawet jeśli będę milczał, to jeszcze jest policja. Aspirant Bielewicz może jest mało doświadczony, ale pomaga mu komisarz Kaptera. To dobry glina. On może na coś wpaść.

Kowalik znowu potarł zarost na brodzie.

– Może wpadną na trop Laury, a może nie. W tej chwili nie będę się tym martwił. Teraz zależy mi na tym, żebyś ty milczał.

Rozdział 49

ZIBI KRĘCIŁ SIĘ NA KRZEŚLE. Ręce trzymał w kieszeniach, a butami ugniatał podłogę pasłęckiego komisariatu. Cały znajdował się w kleszczach strachu.

– No przesłuchajcie Zibiego. No już. Przesłuchajcie Zibiego – mamrotał pod nosem jak obłąkany.

W pokoju panował zaduch, zdominowany przez woń potu. Młody Piecuch pocił się, wytwarzając trudny do zniesienia zapach. Mogło być to spowodowane tym, że miał na sobie ubranie do pracy w alpakarni, przesiąknięte wonią zwierząt.

Aspirant Bielewicz otworzył okno.

– Będziecie gryźć Zibiego. Będziecie kąsać. – Chłopak zdawał się pluć słowami.

W drzwiach stanął Karol Jaskóła i patrzył na Piecucha ze zdumieniem. Można było zwątpić w to, że Zibi jest przy zdrowych zmysłach.

Kaptera nie rozpoczynał przesłuchania. Patrzył w monitor i zupełnie nie reagował na chłopaka. Napięcie rosło. Z głębi komisariatu dobiegł podniesiony głos Jarka Piecucha, który domagał się widzenia z synem. Jaskóła wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Zapadła cisza.

Mijały minuty i gdy się wydawało, że gęsta atmosfera zaraz wybuchnie nieprzewidywalnym zdarzeniem, komisarz podniósł głowę i spojrzał na chłopaka.

– Nazywasz się Zbigniew Piecuch?

Przesłuchiwany przytaknął.

– Masz dziewiętnaście lat?

Kolejne potwierdzenie ruchem głowy.

– Chcesz nam powiedzieć o wszystkim? Czy najpierw wolałbyś powiedzieć o tym swojemu ojcu?

Strach ścisnął mięśnie mimiczne Zibiego. Niewielki wąs niemal zniknął pod nosem, a oczy stały się dziwnie wypukłe.

– Nie chcę rozmawiać z ojcem.

– To może najpierw porozmawiasz z adwokatem?

– Nie.

– W takim razie proponuję, żebyś złożył wyjaśnienie.

– Jakie wyjaśnienie?

– Opowiesz nam, co się stało. Nie musisz nic mówić, ale może byś chciał?

Chłopak bardzo powoli przytaknął.

Kosma usiadł przy sąsiednim biurku. Mocno naciągane będzie to przesłuchanie. Co prawda Kaptera wspomniał o adwokacie i odmowie składania zeznań, ale tak oględnie, że młody Piecuch, nieobeznany z podobnymi sytuacjami, na pewno nie zorientował się, jakie prawa mu przysługują.

– No to słuchamy, co masz do powiedzenia?

Zibi przyłożył palce do skroni. Wyglądało na to, że zastanawia się, od czego zacząć. Powoli się uspokajał. Już się tak nie kręcił na krześle. Butami wciąż ugniatał podłogę, ale górna część ciała stała się stabilna.

– Po prostu powiedz nam, co wczoraj robiłeś – zachęcił komisarz.

– Wczoraj? Nic ciekawego. Nakarmiłem alpaki. Porobiłem też im zdjęcia i wrzuciłem na naszą stronkę. Maluchy nagrałem i dałem to na TikToka.

– A wieczorem, co robiłeś?

– Oglądałem serial.

– Wiedziałeś, że twój ojciec wraz z Igorem Malikiem i Mariuszem Leśniakiem pojechali po Rafała Markowskiego?

– Tak. Usłyszałem, jak się na to umawiali u nas w alpakarni.

– No i czekałeś, aż wrócą do Anglii z nauczycielem?

Zibi wzruszył ramionami.

– No to czekałeś czy nie? – zapytał ostrzej komisarz.

– Nie czekałem. Oglądałem serial.

Palce Kaptery uderzające o blat biurka zdradzały niecierpliwość, a zaciśnięte szczęki wyrażały złość. Wstał, obszedł biurko i stanął naprzeciwko chłopaka.

– Dlaczego uciekałeś przez okno, gdy weszliśmy do domu z twoim ojcem?

– Bo pomyślałem, że przyszliście po mnie. Już wcześniej chciałem uciec do Niemiec albo do Anglii, ale brakowało mi kasy.

– Co takiego zrobiłeś, że musisz wiać przed policją?

Młody Piecuch znowu zaczął się kręcić na krześle. Wydawało się, że zaraz się zerwie i wybiegnie z pokoju. Komisarz położył mu dłoń na ramieniu.

– Powiedz, co takiego zrobiłeś, że musisz wiać przed policją?

– Nie chcę iść do więzienia.

Głos chłopaka się załamał. Chwilę później się rozplakał.

– Dlaczego miałbyś iść do więzienia? Co takiego zrobiłeś?

Komisarz posłał pełne niepewności spojrzenie aspirantowi Bielewiczowi. Obaj myśleli o tym samym, o długiej sierści alpak znalezionej na majtkach Wiolety Nowak i o tym, że młody Piecuch codziennie pracował przy tych zwierzętach.

– Nie chciałem jej udusić. Chciałem jedynie, żeby była cicho. Mogła się tak nie wydierać.

Łzy płynęły po rozedrganych policzkach Zibiego. Komisarz zabrał dłoń z jego ramienia i odsunął się z odrazą.

– Zgwałciłeś i zabiłeś Wioletę Nowak?

– Nie! – To słowo zabrzmiało w ustach chłopaka jak pisk. – Nie zgwałciłem jej. Ona tego chciała. Chciała się ze mną bzykać.

– Jedenastoletnia dziewczynka chciała się z tobą bzykać?

– Tak. Przychodziła do alpakarni i mnie zaczepiała. Ciągłe przysyłała mi serduszka. Raz wdrapała się na belkę w magazynku i udawała, że boi się zejść. Musiałem ją stamtąd ściągać. Pytała, czy będę z nią chodził. Mówiłem, że nie, bo jest dzieckiem, że może za rok, za dwa, jak dorośnie.

Kaptera wrócił za biurko i oparł się dłońmi o blat.

– Skoro mówiłeś nie, to dlaczego doszło do tego w lesie?

– Bo Wiola była taka namolna. Ja ją odganiałem, a ona i tak nazywała mnie swoim chłopakiem. No to skoro chciała chłopaka... Zapytałem, czy pójdziemy na randkę do lasu. Zgodziła się od razu i nawet się ucieszyła.

Aspirant Kosma Bielewicz miał teraz przed oczami dziecinną buzię swojej córki. Agata była tylko rok starsza od Wiolety Nowak i zapewne też się podkochiwała w kolegach z wyższych klas, a nawet w tych z liceum. Oby nigdy nie trafiła na kogoś takiego jak młody Piecuch.

– Masz dziewiętnaście lat – odezwał się Kaptera po dłuższej pauzie. – Na pewno wiesz, że dorosły mężczyzna nie może utrzymywać stosunków seksualnych z nieletnią. To jest karalne.

– Wiem. Gdybym miał dziewczynę taką w moim wieku, nigdy nie umówiłbym się z Wiolą. Nie byłoby mi to potrzebne.

– Powiedziałeś ojcu, że w sobotę widziałeś Rafała Markowskiego przy lesie.

– Tak. Wszyscy zaczęli nagle mówić, że on jest pedofilem i że to on zabił Wiołę. Pomyślałem, że dobrze się złożyło. On

pójdzie siedzieć, a nie ja. On bardziej zasłużył, bo jest pedofilem. A ja nie jestem pedofilem, a Wioletę udusiłem przez przypadek, a nie specjalnie. Nie mogę więc być skazany, bo za wypadki nie można nikogo karać.

Zibi przetarł twarz otwartymi dłońmi. Była w tym geście nadzieja, że wszystko się ułoży. Strach powoli ustępował z jego ciała, ale z oczu wciąż wзираł obłąd.

Kosma do tej pory się nie odzywał. To było przesłuchanie komisarza, a aspirant miał się przysłuchiwać i uczyć. Pewne pytanie rozpychało mu się jednak pod czaszką i domagało się werbalizacji. To pytanie nie służyło poznaniu szczegółów zbrodni, ale i tak postanowił je zadać.

– Zibi, powiedz mi, czego się najbardziej boisz?

Młody Piecuch spojrział na niego zaskoczony, może nie samym pytaniem, ale tym, że aspirant w ogóle się odezwał.

– Czego się boję?

– Tak, czego boisz się w tej chwili najbardziej?

Chłopak wytarł nos rękawem kurtki.

– Ojca się boję. Tego, co powie, czy zrozumie. On jest taki porządny.

Kosma wstał. Na drugim końcu komisariatu starszy posterunkowy Jaskóła wypytywał Jarka Piecucha o porwanie Markowskiego i późniejszy lincz. Prawdopodobnie jeszcze nie skończyli, ale aspirant nie zamierzał czekać. Pewnym krokiem pokonał korytarz i otworzył drzwi.

Karol czyścił właśnie nos. Wzrokiem zdawał się pytać kolegę, dlaczego ten przerywa mu przesłuchanie. Piecuch siedział tyłem do wejścia. Nie obejrzał się. Jego przygarbione plecy nawet nie drgnęły.

– Panie Jarosławie – odezwał się aspirant.

Dopiero teraz mężczyzna się podniósł i odwrócił w stronę drzwi.

– Co z moim synem? – Wargi Piecucha wydawały się poruszać z trudem, jak gdyby sparaliżował je stomatologiczny zastrzyk. Struny głosowe były jednak w stanie nadać słowom cień pretensji. – Zibi jest pełnoletni, ale powinniście pozwolić mu zeznawać w mojej obecności.

– Nie sądzę, żeby pana syn życzył sobie pana towarzystwa, chociaż zaraz będziecie mogli się zobaczyć. Jeśli ma pan zamiary na dobrego adwokata, to może pan już dzwonić.

Mężczyzna opadł na krzesło.

– Miałem nadzieję, że jednak nie brał udziału w tym linczu. To moja wina. Gdybym się nie zgodził na porwanie nauczyciela, na to, żeby go przywieźć do Anglit, to wtedy nie doszłoby do tego wszystkiego. Powinienem to przewidzieć. W ludziach była tak wielka agresja. Tak bardzo chcieli dopaść pedofila, który zamordował dziewczynkę od nas. W moim synu też się gotowało, a ja tego nie widziałem.

– Zibi nie przyznał się do linczu.

– Nie? – Wraz z zaskoczeniem na twarzy Piecucha pojawiła się nadzieja. – To dobry chłopak. Coś mi od razu nie pasowało, że on miałby z łomem tam przyjść. No bo przecież ja tam byłem, a Zibi nie napadłby na kogoś w mojej obecności. To przecież logiczne. Panowie, wy chyba to rozumiecie?

– Pana syn przyznał się do czynu seksualnego wobec Wiolety Nowak i do pozbawienia jej życia.

– Że co? – Na poczciwej fizys Piecucha pojawiło się niezrozumienie. Po chwili łapał powietrze otwartymi ustami, a rękę przyciskał do serca. – To niemożliwe. To niemożliwe – powtarzał szeptem.

Siedzący za biurkiem starszy posterunkowy Jaskóła też był zaskoczony. Uniósł dłoń do kołnierza policyjnej koszuli i go rozpiął. Spocił się, może z wrażenia, a może z powodu gorączki.

Rozdział 50

DRZWI MIESZKANIA LAURY KOWALIK nadal były zamknięte. Górecki dobijał się od kilku minut. Gospodyni nie otwierała. Znowu zapukał, chwilę później nacisnął dzwonek. Musi z nią porozmawiać. Musi się dowiedzieć, jak Matylda straciła życie. A przede wszystkim powinien się upewnić, że to Laura jest sprawczynią, że nie bierze na siebie winy syna.

Zbiegał po schodach z postanowieniem, że poprosi doktora o pomoc w skontaktowaniu się z jego pierwszą żoną. Przy wejściu do piwnicy zobaczył kota, zwyczajnego dachowca. Stał z pyszczkiem przyciśniętym do szczeliny między posadzką a drzwiami. Wyraźnie chciał dostać się do środka. Dizel nacisnął klamkę, a kot od razu czmychnął w piwniczny półmrok. Instynktownie poszedł za zwierzęciem. Gdzieś tutaj, za którymiś drzwiami, Laura ukryła ciało Matyldy. Rozległ się cichy szum w rurach i jakieś stuknięcie, jak gdyby ktoś kopnął w metalowy przedmiot. Kot schował się za piwniczny występ. Damian słyszał ciężki oddech. To nie złudzenie. Ktoś dyszał. Tylko spod jednych drzwi sączyła się elektryczna jasność. Otworzył je i w nikłym świetle żarówki zobaczył białą twarz Laury Kowalik. Gwałtownie zatrzymała powietrze w płucach, a to w piwnicznej akustyce zabrzmiało niemal jak okrzyk.

– Detektywie, przestraszyłeś mnie.

Stała wyprostowana i patrzyła na niego z wrogością. Białka oczu miała przekrwione, a policzki zapadnięte. Nie wyglądała dobrze, ale i tak biła od niej jakaś dziwna wyższość.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.
- Po co tu przyszedłeś?
- Chciałem porozmawiać.
- Tutaj? W piwnicy?
- Możemy iść na górę.
- Teraz jestem zajęta. Sprzątam.

Przy nogach kobiety stało wiadro, z którego krawędzi zwisała szmata. Drugą szmatę trzymała w dłoniach.

- To tutaj ukryła pani ciało Matyldy?

Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu, jak gdyby chciała się upewnić, czy pozostał jakiś ślad po zwłokach, choćby kontur ciała odcisnięty w piwnicznym kurzu.

- Oskar powiedział mi, że pan już o wszystkim wie.
- To dlatego pani sprząta, żeby zatrzeć ślady?
- Sprzątam, bo było brudno. Kobiety już tak mają. Sprzątają, gdy jest brudno.

Z korytarza dobiegło miauczenie, żalosne i nieprzyjemne niczym preludium do mającej nastąpić rozmowy o zbrodni.

- Jak to się stało? Dlaczego pani to zrobiła?
- Po co pan chce to wiedzieć?
- Próbuję zrozumieć. Poza tym szukam powodu, dla którego nie miałbym iść na komisariat i zgłosić, że to pani zabiła Matyldę.

Białe usta Laury zacisnęły się w niewidoczną kreskę.

- Oskar mówił, że wszystko z panem załatwił. Podobno obiecał pan zachować wszystko w tajemnicy.
- Nieprawda, nie obiecywałem nic takiego. Postanowiłem, że podejmę decyzję po rozmowie z panią.

Wrzuciła szmatę do wiadra i przysiadła na szafce pozbawionej drzwiczek.

– Nie boję się wyroku. Mogę iść siedzieć. Boję się tylko o Michała. Jak on sobie z tym poradzi?

– Z tym, że zabiła pani pięcioletnie dziecko? Przecież on o tym wie i jakoś sobie radzi.

– A pan poradziłby sobie z tym, że najbliższa panu osoba trafia za kraty na ćwierć wieku? Na Michała i tak już dużo spadło. Bardzo przeżył nasz rozwód i wyprowadzkę z domu. To, co zrobiłam, było dla niego szokiem. Tego, że zostałam skazana, chyba już by nie udźwignął.

– Martwi się pani o syna. To zrozumiałe. Ale w tym mieście jest jeszcze jedna matka, która zamartwiała się o swoje dziecko.

Laura patrzyła przed siebie na ceglana ścianę, na pajęczynę rozciągającą się pomiędzy dwoma pęknięciami. Przypominała posąg z alabastru. Biała twarz odbijała elektryczne światło, białe dłonie niemal świeciły, białe włosy wydawały się esencją czystości.

– Należało się suce – syknęła.

Dizel nie dowierzał. Spodziewał się skruchy, wyrzutów sumienia, rozpacz. Przecież zginęło dziecko.

– Nie żałuje pani?

– Co to za pytanie? Dlaczego pan zadaje mi tak głupie pytania?

– Doktor Kowalik powiedział mi, że to musiał być nieszczęśliwy wypadek.

Laura skierowała ku Damianowi alabastrową twarz. Delikatny uśmiech zdawał się ożywiać posągowe oblicze.

– Tak powiedział? Biedak. On nadal wierzy, że jestem normalna. Nie przyjmuje do wiadomości tego, że zamienił mnie w potwora, chociaż mu to oświadczyłam. To on jest odpowiedzialny za śmierć tej małej i ona też. To oni oboje

zrobili ze mnie kogoś, kim nigdy nie byłam, kim nie powinnam być.

Dizel przesunął wiadro i przykucnął naprzeciw Kowalikowej. Wydawało mu się przez chwilę, że ta się zaraz cofnie. Nie poruszyła się jednak.

– To ty byłaś tą kobietą w szaliku, która wychodziła ze sklepu spożywczego, gdy Julian tam wchodził?

– Tak. Zawsze lubiłam zimę, bo mogłam się wtedy zawinąć w szalik i ludzie tak mi się nie przyglądali. Do dzisiaj to robię. Potrafię tak założyć szal i czapkę, że biała skóra nie rzuca się w oczy.

– Rozpoznałaś wtedy Juliana? Wiedziałaś, że to pierwszy mąż Weroniki?

– Nie rozpoznałam go. Domyśliłam się, że to on, gdy zobaczyłam dziewczynki w samochodzie. Minęłam ten wóz, szłam już dalej, ale zawróciłam. Otworzyłam drzwi i wyjęłam tę małą z fotelika. Powiedziałam jej, że pójdziemy do taty do sklepu po cukierki.

– To nie był nieszczęśliwy wypadek. Zabrałaś Matyldę z samochodu, żeby ją zabić.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Myślałam, że ją trochę potrzymam, a potem wypuszczę, całą i żywą. Sądziłam, że tak właśnie zrobię, ale się pomyliłam.

– Co się takiego stało, że zmieniłaś zdanie i jednak odebrałaś jej życie?

Laura patrzyła mu w oczy i milczała.

– Bałaś się, że Matylda cię wyda. Gdybyś ją wypuściła, to powiedziałyby, że to biała pani ją zabrała do siebie. Przeraziły cię konsekwencje i dlatego ją zabiłaś. Martwa Matylda nie doniosłaby na ciebie.

– To nie tak, detektywie, to nie dlatego. Tamtego wieczora zostawiłam małą w kuchni i wyszłam na ulicę. Widziałam jej ojca i ludzi, którzy mu pomagali szukać dziecka. A potem przyjechał Oskar z nią. Ta kobieta odebrała mi wszystko. Odebrała mi nie tylko męża i dom. Wzięła też mój spokój, moją dobroć i wrażliwość. Wtedy zrozumiałam, że muszę odebrać jej to samo. Nie mogłam wypuścić tej dziewczynki, bo gdybym to zrobiła, to tak, jak gdybym dmuchnęła szczęściem w ich życie. Gdyby ją odzyskali, to ściskaliby się ze szczęścia i płakali z radości. Nie mogłam na to pozwolić. Nie miałam wyboru. Wróciłam do domu. Ta mała siedziała w kuchni, tam, gdzie ją zostawiłam. Wyjęłam młotek z szuflady i uderzyłam ją w głowę. Tutaj. – Laura dotknęła miejsce za lewym uchem. – Potem jeszcze raz uderzyłam. Mocniej. I to wystarczyło.

Dopiero teraz alabastrowa twarz zadrgała od emocji, a z ust wyrwało się westchnięcie.

– Żałujesz? – zapytał Dizel.

– Nie wiem. Ale mam wrażenie, że moja nienawiść powoli wygasa. Detektywie, pamiętaj, żebyś nigdy nikogo nie doprowadził do takiej nienawiści. Żadnemu człowiekowi nie można tego zrobić. Nikt nie zasługuje na to, żeby tak nienawidzić.

Dizel dotknął białej dłoni. Zdziwił się, że jest taka ciepła.

– A Weronika? Czy ona zasługuje na to, żeby nienawidzić?

Laura uśmiechnęła się nie tylko ustami, ale również każdym mimicznym mięśniem.

– Życzę jej, żeby topiła się we własnej nienawiści, żeby się nią dławiała. Jeśli pójdziesz na policję, aby na mnie donieść, to ona się dowie, że to ja. I wtedy będzie mnie nienawidzić tak, jak ja jej. Będę w końcu mogła postawić znak równości między sobą a nią.

Damian podniósł się. Ogarnęło go lekkie znużenie. Ta sprawa skończyła się jak inne. Znowu chodziło o czyjeś cierpienie. Gdy przyjdzie mu szukać kolejnego dziecka, to również zacznie od ustalenia, kto w danej rodzinie czuje się najbardziej zraniony.

Rozdział 51

KOMISARZ KAPTERA SIEDZIAŁ na krześle pod ścianą. Powieki mu opadły. Klatka piersiowa unosiła się rytmicznie. Drzemał. Obok na taborecie stała niedokończona kawa i nadgryziony kawałek pizzy.

Dwa metry dalej prokuratorka Monika Warecka przeglądała protokoły. Na jej biurku też stała kawa, ale zamiast pizzą raczyła się ciastkami.

– Przesłuchaliście już wszystkich mieszkańców Anglit? – zapytała niezbyt głośno, aby nie obudzić komisarza.

Kosma uniósł głowę znad swoich papierów. Oczy go piekły ze zmęczenia, a serce łomotało od nadmiaru kofeiny.

– Jeszcze nie. Skupiliśmy się na mężczyznach. Teraz będziemy przesłuchiwać kobiety. Może będą bardziej rozmowne.

Monika wzięła do ręki kolejny protokół.

– Na razie widzę, że nikt się nie przyznał do linczu. I wszyscy mają alibi na ten czas, bo akurat odwiedzali sąsiadów.

– Kryją się nawzajem, ale komisarz stwierdził, że to do czasu. Przy kolejnym przesłuchaniu powinni już sypać.

Prokuratorka spojrzała na Kapterę. Zdawała się wzrokiem obejmować całą jego sylwetkę z wyciągniętymi przed siebie nogami, pochyloną we śnie głową i splecionymi na brzuchu dłońmi.

– Na którą planujecie drugą turę przesłuchań?

– Dopiero na jutro. Chodzi o to, żeby po Anglitach się rozeszło, że nauczyciel nic złego nie zrobił, zabili niewinnego

człowieka, że to syn Piecucha odpowiada za śmierć Wioli Nowak. Powinno ich ruszyć sumienie. Ktoś nie wytrzyma i pęknie.

Komisarz machnął głową jak koń na pastwisku, jednocześnie otworzył oczy.

– Będą pękać jak włoskie orzechy – wymamrotał zaspanym głosem, rozglądając się uwolnionymi od snu źrenicami.

Mimo drzemki nie stracił czujności i celnie wciął się w rozmowę pomiędzy Warecką a Bielewiczem.

– Też uważam, że znajdzie się ktoś, kto wyśpiewa nam wszystko – oznajmiła Monika. – Będę jutro przesłuchiwać razem z wami.

Kaptera się przeciągnął. Krzesło pod nim zaskrzypiało. Wziął łyk kawy. Skrzywił się, bo była zimna.

– Mamy już sprawcę śmierci Wiolety Nowak, a jutro będziemy mieli sprawców linczu – oznajmił mocnym tonem. Wydawało się, że zaraz zacznie zacierać ręce z zadowolenia. – I jak tylko przyjdą wyniki sekcji zwłok Matyldy, to się ogłosi, że za jej śmierć odpowiada matematyk. Wszystko się ładnie pozamyka.

Kosma wiedział, że w tym gronie tylko on jest za tym, aby dalej szukać mordercy pięciolatki.

– A jeśli okaże się, że Matylda nie stała się ofiarą przemocy seksualnej? – zagadnął.

Prokuratorka odłożyła dokumenty i posłała mu pewne siebie spojrzenie.

– Jeśli medyk nie znajdzie śladów przemocy seksualnej... No cóż, trzeba będzie uznać, że Markowski nie zdołał zrealizować swoich potrzeb. Poza tym nie będą nas interesować dowody, których nie ma, ale te, które są. Musimy znaleźć coś, co potwierdzi, że to on porwał i zabił Matyldę.

– Ja mam córkę – oznajmił Kosma.

Użył najmocniejszego argumentu, aby nadal szukać osoby odpowiedzialnej za śmierć dziewczynki. Warecka wstała i podeszła do jego biurka.

– Rozumiem. Musisz jednak, aspirancie, przyznać, że zrzucenie winy na Markowskiego to w tej chwili najrozsądniejsze rozwiązanie.

– No tak, bo procesu karnego nawet nie będzie, bo oskarżony nie żyje. Sukces pewny, roboty mało.

Nie chciał być złośliwy, zwłaszcza wobec prokuratorki. To, że postanowiła wykorzystać nadarzającą się okazję, to właściwie było normą. Wszyscy tak robili.

Monika obróciła pierścionek na palcu, aby oczko było lepiej widoczne. Nawet z tak banalnego ruchu było zdecydowanie. Ta kobieta nie wiedziała, co to są wątpliwości.

– Aspirancie, przemyśl sobie korzyści społeczne z tego, że winnym śmierci Matyldy Piątek okaże się nauczyciel.

– Korzyści społeczne?

Nie załapał, o czym mówi prokuratorka.

– Tak. Wyobraź sobie, jak odetchną całe Anglity, gdy za kilka dni dotrze tam informacja, że jednak nie zabili niewinnego.

Musiał przyznać jej rację. Monika ciągnęła swój wywód:

– Jeśli pozostawimy tych ludzi z poczuciem winy, to za kilka tygodni, najdalej za kilka miesięcy będziecie mieli w Anglitach więcej przypadków przemocy domowej, wzrośnie tam alkoholizm, pojawią się też rozboje. Nie mówiąc o rozwodach, zwolnieniach z pracy, problemach zdrowotnych i tego typu rzeczach.

Kosma przytakiwał. Zgadzał się z każdym słowem Wareckiej. Ale w jego głowie kłębiły się też inne argumenty.

– A czy w tych korzyściach społecznych uwzględniła pani uczucia matki Markowskiego? Planuje pani jej wyjawić, że chcemy z jej syna zrobić mordercę? Bo skoro nie żyje i był pedofilem, to nic mu już nie zaszkodzi.

– Wyślemy do niej najlepszego psychologa. Sama też z nią porozmawiam.

– To proszę też pamiętać o psychologu dla mieszkańców Pasłęka, który przekonałby ich, że zaszczucie tej kobiety to nie jest najlepszy pomysł. I jeszcze osobny psycholog dla rodziców uczniów z Jedyńki, żeby nie domagali się odwołania dyrektorki.

Ironizował. Otwarcie wyśmiewał jej pomysł. Prokuratorka nie dała się sprowokować.

– Aspirancie, masz rację. Pomyślę o jakiejś kampanii społecznej, żeby dyrektorka Markowska poniosła jak najmniejsze szkody.

– Tak w ogóle, to może się jeszcze okazać, że to naprawdę on porwał i zabił tę dziewczynkę – wtrącił komisarz Kaptera.

– W dniu zaginięcia Matyldy jego samochód nie jeździł po Pasłęku. Nie ma go na żadnej kamerze monitoringu – zauważył Kosma. – A chyba zgodzimy się z tym, że bez wozu trudno byłoby uprowadzić dziecko z Ogrodowej.

– Może pożyczył samochód od matki. Jej wozu nie sprawdziliśmy.

Na korytarzu rozległ się kaszel przypominający im, że panuje sezon przeziębieniowy, a ten nie oszczędza też funkcjonariuszy. Chwilę później do pokoju zajrzał starszy posterunkowy Jaskóła. Kiwnął na aspiranta Bielewicza.

– Możesz na chwilę?

Kosma wstał zza biurka.

– Co jest? – zapytał, gdy znaleźli się na korytarzu.

- Dizel czeka przed komisariatem. Chce z tobą pogadać.
- O czym?
- Nie wiem. Nie pytałem. Ale to rzeczywiście dziwne, że chce pogadać. Przecież dla niego już jest po sprawie. Taki wielki z niego detektyw, a Matyldy nie odnalazł. Myśmy ją znaleźli.
- No, dodaj jeszcze, że martwą. Nie mamy czym się chwalić.
- Pójdiesz z nim pogadać?
- Tak.
- To zapytaj, ile mu zapłacili za te kilka dni. Myślę, że tyle, co my w rok zarabiamy.

Bielewicz nie słuchał kolegi. Zapiął kurtkę i wypadł na zewnątrz. Lampy uliczne rozpraszały ciemność. Dwie kobiety szły po przeciwnej stronie chodnika. Nigdzie więcej ludzkiej sylwetki. Wtem rozległo się trzaśnięcie samochodowych drzwi. Kilkanaście metrów dalej z ciemnego seata wysiadł Damian Górecki w swojej nieodłącznej kurtce z białym orłem rozpostartym na plecach i kapturze.

- Nie zajmę ci dużo czasu. Wiem, że siedzicie teraz w papierach.

- Dobrze, że jeszcze pamiętasz, na czym polega służba.

Dizel parsknął.

- Tego się nie da zapomnieć.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Dzisiaj.

Kosma kiwnął ze zrozumieniem.

- Sprawą zaginięcia Matyldy chyba nie będziesz się chwalił w sieci?

- No, nie. - Górecki poprawił kaptur, jak gdyby chciał ukryć twarz w jego cieniu. - Wiecie, kto zabił Matyldę? Macie podejrzanego?

– Może mamy, może nie. Okaże się w ciągu najbliższych godzin.

Ktoś szedł chodnikiem. Obaj spojrzeli w stronę zbliżających się kroków. Żółtawe światło lampy wydobyło z półmroku niebieskawy szal i włosy w podobnym odcieniu: znak rozpoznawczy Justyny Drabicz.

– Ja wiem, kto to zrobił – oznajmił pośpiesznie Dizel. – Wiem, kto zabił Matyldę.

Aspirant stanowczym ruchem ręki dał znać dziennikarce, aby do nich nie podchodziła. Ta zaskoczona stanęła między dwoma kręgami ulicznego światła. Dreszczyk przeleciał mu mrowiem po plecach. Górecki musiał coś wiedzieć. W innym razie nie zaczynałby tematu.

– Kto?

To słowo wypadło mu z ust, zanim jeszcze je pomyślał.

– To Laura Kowalik zabrała dziewczynkę z samochodu, a potem ją zabiła w swojej kuchni.

Kosma w pierwszej chwili odepchnął tę informację. Zwyczajnie nie chciała zagnieździć mu się w głowie, jak gdyby nie pasowała do przebiegu śledztwa. Pedofil wydawał się bardziej prawdopodobny albo ktoś zaburzony, ale nie porzucona kobieta kierująca się zapewne zemstą. Z każdą sekundą nabierał jednak przekonania, że to najbardziej typowy sprawca, potwierdzający policyjne statystyki.

– Mówisz o pierwszej żonie doktora?

– Tak, o niej.

– Co na nią masz?

– Przede wszystkim jej przyznanie się do winy. Mam je nagrane.

– No to chodź do środka! Złożysz zeznanie do protokołu i odsłuchamy ten zapis.

- Nie.
- Jak to nie? To po co tu przyszedłeś?
- Kowalik chce, żebym darował Laurze. Ona też wolałaby uniknąć odpowiedzialności.
- Kurwa, co to ma być? Koncert życzeń dla morderców?
- Mnie prawie przekonali, że nie powinienem wam tego zgłaszać.
- Przekonali cię kasą?
- Nie kasą. Paroma argumentami.
- Jakimi znowu argumentami?
- Takimi, że to Weronika najbardziej ucierpi, gdy się dowie, kto zabił Matyldę. Nie wybaczy tego mężowi ani sobie. Prawdopodobnie z czasem weźmie winę na siebie, bo to ona uwiodła doktora i rozbiła jego małżeństwo, to ona rozwścieczyła Laurę. A drugim poszkodowanym będzie syn Laury. Wiadomo, nikt nie chciałby widzieć własnej matki za kratami.
- Dizel, co ty mi pierdolisz? Przecież co drugi przestępca ma dzieci albo rodziców. Mamy wszystkich zwalniać, bo ktoś z rodziny będzie cierpiał?
- Justyna ruszyła w ich stronę. Już do niej dotarło, że nikt nie ma prawa wstrzymywać wolnych mediów, nawet policja. W wysoko uniesionej głowie i podskakującej grzywce widać było gotowość do działania.
- Co to za narada? - rzuciła z udawaną lekkością. - Macie coś nowego?
- Na jutro Warecka planuje konferencję prasową. Przyjdź, to się dowiesz - oznajmił aspirant, tłumiąc wcześniejsze oburzenie.
- Pewnie, że przyjdę. Ale wypadałoby, żebym czegoś dowiedziała się wcześniej. Jestem stąd, reprezentuję lokalne

media. Coś mi się należy od tutejszych funkcjonariuszy. Ustaliliście już, kto brał udział w linczu na Markowskim?

– Jeszcze nie.

Justyna wypuściła z ust obłok pary wraz z westchnięciem.

– Obawiam się, że media z Warszawki się tego dowiedzą przed wami. W Anglitach aż się roi od dziennikarzy. Biegają od domu do domu i wszystkim podtykają mikrofon.

– A dlaczego ciebie tam nie ma? Co z ciebie za dziennikarka? – zagadnął aspirant.

– Mam nadzieję, że tutaj dowiem się czegoś więcej niż tam. W Anglitach ludzie nie chcą mówić. Tych z TVN-u podobno poszczuli psami.

– Niestety, musisz czekać do jutra, do konferencji prasowej.

Justyna obróciła się ku Dizelowi i poufałym ruchem położyła mu rękę na ramieniu.

– A ty masz coś nowego?

– Nie.

– To po co przyjechałeś na komisariat? Tylko nie mów, że chciałeś się pożegnać z aspirantem.

– No właśnie chciałem powiedzieć: do widzenia.

– No, uwierzę. – Przesunęła wzrok z twarzy detektywa na fizys policjanta i z powrotem. – Wiem, że coś macie. Nie musicie mi wszystkiego mówić. Wystarczy pół informacji. Może to coś o Matyldzie?

– Lepiej ty powiedz, czy byłaś u Kowalików? Jak Weronika? – zapytał Damian ze szczerą troską.

Dziennikarka przygryzła dolną wargę, która nagle niebezpiecznie zadrżała.

– Mam wrażenie, że u nich w domu nawet ściany płaczą. Bardzo mi ich szkoda. Chyba najbardziej matki Weroniki. Ta kobieta jest zupełnie rozbita. A Weronika nie odstępuje Ani.

Gdy byłam u nich, to robiły kwiaty z bibuły dla Matyldy, na pogrzeb. – Dwie duże łzy spłynęły po policzkach Justyny. Wytarła je kciukiem. – Ona martwi się też o Juliana. On wciąż jest na oddziale psychiatrycznym w Elblągu. Jeszcze nie wie, że jego córkę wyłowiono z naszego jeziora. Jutro Weronika chce do niego jechać z Anią i Oskarem. Dobrze, że doktorek jej pomaga. Nigdy mi nie pasował z tym swoim perfekcjonizmem, ale teraz przyznaję, że naprawdę dużo robi. Ta rodzina trzyma się w tej chwili tylko na jego opanowaniu.

Milczeli przez dłuższą chwilę, a ich oddechy zlewały się w zimnym powietrzu. Pierwszy ciszę przerwał Dizel:

– Z czasem się pozbierają. Widziałem takie poturbowane rodziny i zwykle się podnosiły. O ile nie spadał na nie nowy kataklizm.

Kosma się skrzywił. To do niego detektyw kierował te słowa, poparte mocnym spojrzeniem. Wyrazne napomknienie, aby dać spokój Kowalikom, a zwłaszcza Laurze Kowalik.

– Będę już jechał – zakomunikował Dizel, zerkając w stronę swojego wozu. Obrócił się ku Justynie. – Dzięki za mieszkanie. Posprzątałem po sobie. – Uśmiechnął się. – Trzymajcie się.

– Ty również – rzuciła dziennikarka. – I życzę ci lepszego finału przy szukaniu kolejnego dziecka.

– Dzięki.

Bielewicz kiwnął głową detektywowi. Ten oddalił się parę kroków i odwrócił ponownie w ich stronę.

– Zrobisz, co uznasz za słuszne – powiedział, patrząc na policjanta.

Chwilę później kontur białego orła na plecach Góreckiego zniknął w zimowych ciemnościach. Trzasnęły drzwi od samochodu i rozległ się warkot silnika. Seat ruszył, rozpraszając reflektorami mrok ulicy.

Justyna wciągnęła głośno powietrze nosem, jak gdyby delektowała się jego zimnem.

– O czym on mówił? Co masz uznać za słuszne?

Bielewicz wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Spojrzenie dziennikarki stało się czujne, podejrzliwe. Nie wierzyła mu.

– Sorry, ale muszę wracać do roboty. Przyjdź jutro na konferencję Wareckiej.

– Przyjdę – rzuciła do jego pleców. Za chwilę zawołała: – Aspirancie! Powiedz mi chociaż, czy u nas wciąż grasuje jakiś pedofil? Czy dzieciaki są nadal w niebezpieczeństwie?

Zatrzymał się i powoli odwrócił w stronę dziennikarki. Na tę informację zasługiwała. Zasługiwali też na nią mieszkańcy.

– To już koniec. Możesz napisać, że wszyscy rodzice w Pasłęku i okolicach mogą być spokojni o swoje dzieci.

– Na pewno? Przecież jeszcze nie wiadomo, kto zabił Matyldę.

– Zapewniam, że żaden pedofil nie biega po naszych ulicach. Ja dzisiaj będę spał spokojnie, a mam dwunastoletnią córkę.

CZEŚĆ DZIEWIĘTNASTA

Rozdział XXVIII

– Napiłabym się kawy – oznajmiła Wera.

Dłońmi ścisnęła skronie. Miała wrażenie, że przez ostatnią godzinę jej głowa była wystawiona na huragan. Aż w uszach jej piszczalo.

– Wypijesz po drodze. Nie możemy tu dłużej siedzieć. Na piętrze leżą zwłoki Krigera. Powinniśmy się stąd zmywać.

Mąż pochylał się nad nią z troską w oczach. Jego przystojna twarz wyrażała coś jeszcze, coś, czego Wera nie знаła. Drobne mięśnie wokół ust się napięły i nadały obliczu pewną twardość, a nawet surowość. Doświadczenie zmienia człowieka, czyny pozostawiają swój rys na wyglądzie. Patrzyła na twarz mordercy. Jej ukochany mąż odebrał życie Krigerowi. Najpierw ona zaciskała worek na głowie Williama. Robiła to z wielkim oddaniem. Nikt by jej wtedy nie oderwał od jego ciała. Ale gdy poczuła, że zbliża się koniec, że ten człowiek już kona z braku tlenu... Połuźniła worek. Wtedy Rajmund dokończył dzieła. Nie pozwolił Krigerowi złapać oddechu ratującego życie. Zacisnął folię i kilkanaście sekund później morderca ich córki był martwy. Patrzyli na niego przez kilka minut w milczeniu. Wera czuła pustkę i pozorny spokój.

– Wstawaj! Jedziemy!

Przycisnęła wydruk komputerowy do piersi i podniosła się z kanapy. Torres stał już przy drzwiach i skomlał.

– Wszystko wzięliśmy? – zapytała, zerkając na reklamówkę w rękę męża.

– Tak. Jego laptop wrzucimy gdzieś do rzeki po drodze.

Wyszli z domu, rozglądając się, czy nikogo nie widać w pobliżu. Zazieleniło się po burzy. Skowronki wydobywały melodię ze swoich gardziołek, jakby z większą siłą witalną. I świerszcze rozpoczęły już wieczorny koncert. Natura była niewzruszona, nie dostosowała się do ludzkiej tragedii. Oni stracili córkę, a ptaki dalej śpiewały. Co za dysonans.

Rajmund uruchomił silnik i ruszył.

– Wyjmij karty SIM i wyłącz telefony!

Zrobiła, co kazał. Aparatów pozbyli się w pierwszej kolejności. Wrzucili je do stawu hodowlanego koło Pasłęka. Ich celem była Warszawa, ale kierowali się w przeciwną stronę, na północny zachód trasą S7. Potem zjechali na Tczew. Zanim wjechali do miasta, skręcili w boczną drogę, która po kilku minutach zamieniła się w polny trakt. Stanęli.

– Zmienię tablice – rzucił Rajmund i wysiadł.

Otworzył tylne drzwi i wypuścił psa. Ten położył się przy samochodzie.

– Co zrobisz z fałszywymi tablicami? – zapytała, gdy znowu ruszyli.

– Schowam w naszej piwnicy, a za rok się ich pozbędziemy. Tak będzie najbezpieczniej.

– Boję się – wyszeptała.

– Nie bój się! Nie wpadną na nasz trop.

– Nie tego się boję.

Rajmund nie miał odwagi zapytać, czego dotyczy jej strach. A może nie pytał, bo wiedział.

– Boję się, że nigdy nie poznamy prawdy. Nie dowiemy się, co stało się z Matyldą.

– A w tej jego książce nic nie wyczytałaś?

– Nie. Żadnej wskazówki. Drażnił się z nami. Mówił, że nam powie, że to napisze i nie napisał! Potwór!

Rajmund zacisnął dłonie na kierownicy.

– Na szczęście już go nie ma.

Torres zaskomlał cicho. Wera sięgnęła ręką do tyłu i go pogłaskała.

– Chciałabym wiedzieć, gdzie jest jej ciało. I jak zginęła?

– Jeśli ją pochował gdzieś w Dawidach, to policja ją znajdzie – oznajmił Rajmund. – Jak trafią na jego zwłoki, no i na trupa w sadzie, to na pewno przeszukają cały teren. Nie tylko jego posesję, ale też okolice. Ja bym tak zrobił na miejscu gliniarzy.

Wjechali do Tczewa. Tutaj na osiedlu Czyżykowo stała skoda Wery.

– Wyrzucę cię na przystanku i pojedę w stronę Wisły. Może uda mi się tam pozbyć laptopa Krigera.

Przytaknęła. Chwilę później stała już przy swoim aucie, a Rajmund odjeżdżał. Powinna mu jeszcze powiedzieć, że w Tczewie wypije kawę, żeby się nie niepokoił tym, że dojedzie do Warszawy dużo później niż on. Usiadła w fotelu kierowcy i otworzyła skrytkę. Wyjęła swój telefon i włączyła go. Miała kilkanaście nieodebranych połączeń. Najczęściej dzwoniło do niej z nieznanego numeru, aż osiem razy. Oddzwoniła. Parę sekund później po drugiej stronie słuchawki rozległ się dziewczęcy głos:

– Mamo?

Wera przełknęła ślinę, która pojawiła się w gardle wraz ze szlochem.

– Matylda!

– Mamo, dlaczego nie odbieracie? Dzwonię do was od trzech dni.

– Matylda, córeczko, gdzie ty jesteś?

– U Sylwii.

– Jak to u Sylwii?

– No bo was nie ma w domu, a ja nie mam kluczy. No to przyszedłam do Sylwii.

– A gdzie byłeś przez te trzy miesiące?

Przeciągłe westchnięcie rozległo się w słuchawce.

– Na Pradze, u kolegi, ale ja już nie chcę być z nim. To kretyn. Mieliśmy wspólnie napisać książkę, ale on tylko by pił i pił. To jakaś melina, a nie artystyczna komuna. To nie dla mnie.

– Dlaczego się do nas nie odzywałaś? Martwiliśmy się.

Matylda milczała, a Wera pozwoliła płynąć łzom. Płakała z ulgi i szczęścia.

– Mamo, czy mogę wrócić do domu?

– Tak, skarbie. Tylko musisz jeszcze chwilę poczekać, za cztery godziny będziemy w Warszawie.

– A czy tata nie jest zły?

– Nie jest. Oboje jesteśmy szczęśliwi.

– Torres jest z wami?

– Tak, skarbie.

– Tęskniłam za nim i za wami też.

Wera pociągnęła mocno nosem. Szkoda tylko, że Rajmund dopiero za cztery godziny dowie się, że ich dziecko żyje. Teraz nie mogła do niego zadzwonić i go o tym poinformować. Nie miał przy sobie telefonu. Zostawił go w Warszawie. Uśmiechnęła się przez łzy. Znowu będą normalną, szczęśliwą rodziną.